

Część pierwsza

1

Zostało jej trochę ponad trzy godziny życia, a ja sącyłem sok grejfrutowy z tonikiem w hotelowym barze.

— Wiesz, jak to teraz jest — powiedziałem. — Tylko najtwardszym się udaje. Nie ma miejsca dla tych, którzy mają rozdarte serca.

Towarzyszył mi biznesmen. On też przeżył huśtawkę lat osiemdziesiątych i pokiwał głową zadzierzyście, na ile pozwalała mu trzymana whisky.

— Jak ktoś ma rozdarte serce, to niech się szybko wyleczy — zawyrokował — a nie pcha się do biznesu.

— Wypiję za to — odparłem, chociaż oczywiście w moim fachu rozdarte serca to właśnie jest interes.

Trochę wcześniej Gerry zapytał mnie, z czego żyję, a ja mu odpowiedziałem, że z importu i eksportu. Potem zadałem mu to samo pytanie. Bo widzicie, raz się poślizgnąłem. Wymyśliłem sobie zawód tylko po to, by okazało się, że facet, z którym piję, pracuje w tej samej sferze. Niedobrze. Teraz jestem lepszy, ostrożniejszy i w dniu ataku nie piję. Ani kropli. Już nie. Rozeszło się, że popełniam błędy. Oczywiście to bzdury, ale czasami takie plotki się pojawiają. Nie mogę przecież zamieścić sprostowania w gazecie. Ale wiedziałem, że kilka czystych trafień jawnie zada kłam akurat temu małemu pomówieniu.

Jednak z drugiej strony dzisiejsze zadanie to nic wielkiego; podano mi je jak na tacy. Wiedziałem, gdzie ona będzie i co będzie robić. Nie wiedziałem tylko, jak wygląda. Przekazano mi szczegółowo, co będzie miała na sobie. Dobrze ją teraz znałem. Nie będę musiał się napracować przy tej okazji, ale przyszli pracodawcy nie muszą o tym wiedzieć. Zobaczą jedynie tabelę wyników. Proste, będę brał wszystkie łatwe cele.

— Cóż więc kupujesz i sprzedajesz, Mark? — zapytał Gerry.

Nazywam się tutaj Mark Wesley. Jestem Anglikiem. Gerry też, ale jako światowi biznesmeni zapożyczamy amerykański akcent, ten będący

lingua franca biznesu. Po cichu zazdrościmy go przecież naszym amerykańskim kuzynom.

— Wszystko, co się nadarzy, Gerry — odparłem.

— Podzielim to. — Gerry wznosił toast whisky. Była trzecia po południu czasu lokalnego. Whisky sprzedawano po sześć funtów za miarkę, niewiele drożej od mojego napoju. Pijałem w hotelowych barach w całym zachodnim świecie. Tak samo mrocznych nawet za dnia, z talami samymi butelkami za wypolerowanym barem, z tym samym barmanem w liberii nalewającym z nich. To podobieństwo niesie mi pocieszenie. Nie chcę chodzić w obce miejsca, gdzie nie można się skupić, gdzie nie ma o co się zahaczyć. Nie cierpiałem Egiptu: nawet znaki handlowe Coca-Coli były napisane po arabsku i wszystkie liczebniki były obce, do tego każdy miał nie takie ubranie, jak trzeba. Nienawidzę krajów Trzeciego Świata; nie będę tam przeprowadzał ataków, chyba że pieniądze wydadzą się interesujące. Lubię być tam, gdzie są czyste szpitale z zapleczem, suche przescieradła na łóżku, uśmiechnięte buzie, no i mówi się po angielsku.

— Cóż, Gerry — rzuciłem — miło się z tobą rozmawiało.

— Mnie również, Mark. — Otworzył portfel i wydobył wizytówkę. — Proszę, na wszelki wypadek.

Przyjrzałem się jej. Gerald Flitch, strateg d/s marketingu. Była nazwa firmy, telefon, faks i adres w Liverpoolu. Schowałem wizytówkę do kieszeni i poklepałem marynarkę.

— Przepraszam, ale nie mogę się odwzajemnić. Nie mam przy sobie wizytówek.

— W porządku, to nic.

— Ale ja stawiam drinki.

— Hm, no nie wiem...

— Gerry, naprawdę miło mi będzie. — Barman podał mi rachunek, a ja podpisałem go, dodając numer pokoju. — W końcu nigdy nie wiadomo, kiedy będę potrzebował przysługi.

Gerry skinął głową. — W interesach potrzeba przyjaciół. Twarzy, której możesz zaufać.

— To prawda, Gerry, w naszym fachu głównie chodzi o zaufanie. Oczywiście, jak widać, byłem w nastroju do filozofowania.

Z powrotem w swoim pokoju zawiesiłem na klamce kartkę z napisem: NIE PRZESZKADZAĆ, zamknąłem drzwi na klucz i podparłem klamkę krzesłem. Łóżko było już pościelone, ręczniki w łazience zmienione, ale

ostrożności nigdy nie za wiele. Sprzątaczką mogła i tak zajrzeć. Obsługa zawsze pukała, a potem nie czekając na reakcję, otwierała drzwi.

Wyciągnąłem walizkę z dna szafy i położyłem na łóżku, potem sprawdziłem małą pieczęć z taśmy klejącej. Była nadal nietknięta. Przeciąłem ją paznokciem i otworzyłem walizkę kluczem. Wyjąłem kilka koszul i T-shirtów, aż trafiłem na granatowy prochowiec. Wydobyłem go i położyłem na łóżku. Potem, zanim przeszedłem do dalszych czynności, założyłem skórzane rękawiczki do jazdy samochodem. Już w rękawiczkach rozłożyłem prochowiec. W środku, zawinięty w folię, spoczywał mój karabin.

Ostrożności nigdy nazbyt wiele, a obojętnie jak bardzo uważasz, zawsze zostawisz ślady. Staram się śledzić najnowsze osiągnięcia kryminalistyki i wiem, że wszyscy zostawiamy jakieś ślady, gdziekolwiek jesteśmy: włókna, włosy, odciski palców, tłuste maźnięcia palcem lub otarcie ramieniem. W dzisiejszych czasach można zidentyfikować DNA po jednym włosie. Dlatego karabin zawinięty był w folię: zostawiała mniej śladów niż tkanina.

Broń była piękna. Wyczyściłem ją starannie w sklepie u Maxa, potem sprawdziłem identyfikatory i inne znaki szczególne. Max radzi sobie z usuwaniem numerów seryjnych, ale zawsze wolę mieć pewność. Spędziłem trochę czasu z karabinem, poznawałem go, jego ciężar, pewne słabe strony. Ćwiczyłem przez kilka dni, uważając, aby pozbyć się wszystkich wystrzelonych kul i łusek, żeby nikt nie mógł namierzyć broni za ich pomocą. Każda broń zostawia szczególny i unikalny ślad. Z początku też w to nie wierzyłem, ale najwyraźniej taka jest prawda.

Amunicja zawsze stanowiła problem. Nie chcę się nią szczególnie kłopotać. Każdy nabój ma wybity znak identyfikacyjny. Próbowałem je spiłować z kilku naboju i w zasadzie nie wpływało to na dokładność strzału. Lecz tego dnia wszystko musi iść idealnie. Zapytałem więc Maxa i dowiedziałem się, że kule mogłyby zostać skojarzone z kontyngentem towarzyszącym oddziałom Brytyjskiej Armii w Kuwejcie podczas wojny w Zatoce. (Nie zapytałem, jak Max wszedł w ich posiadanie; prawdopodobnie w ten sam sposób jak i karabin). Wiem, że niektórzy snajperzy lubią sami robić sobie amunicję. Dzięki temu mogą być jej pewni. Jednak ja nie mam uzdolnień w tym zakresie i nie wiem, czy to ma znaczenie. Max czasami robił dla mnie amunicję, ale teraz nie miał już tak dobrych oczu.

Amunicja była kalibru 338 lapua magnum. Pełnopłaszczowa, jak to przeważnie bywa z wojskowym wyposażeniem, bo zgodnie z Konwencją Genewską wymagany jest najbardziej „humanitarny” typ pocisku.

Hm, nie jestem zwierzęciem, nie zamierzałem przeciwstawiać się wymogom Konwencji.

Max w swojej ofercie miał spory wybór broni. Dlatego korzystam z jego usług. Nie zadaje zbyt wielu pytań i ma znakomite zaplecze. A fakt, że mieszka na wygwizdowie, stanowi dodatkowy atut. Jest jeszcze Belinda, jego córka, która sama w sobie jest premią. Zawsze przywożę jej prezent, jeżeli gdzieś wyjeżdżam. Nie żebym... no, wiecie, nie w obecności Maxa. Bardzo jest wobec niej opiekuńczy, a ona w stosunku do niego. Przypominają mi Piękną i Bestię. Bel ma krótkie, jasne włosy, oczy lekko ukośne, jak u kota, i długi prosty nos. Twarz wygląda jak wypolerowana. Max, z drugiej strony, od lat zmaga się z rakiem. Stracił jedną czwartą twarzy i prawą stronę, od oka do górnej wargi, ma przykrytą białą, plastikową protezą. Czasami Bel nazywa go Upiorem z Opery. Znosi to z jej strony. Od nikogo innego by tego nie wysłuchiwał.

Chyba dlatego zawsze jest zadowolony, widząc mnie. Nie chodzi o to, że przynoszę gotówkę i czegoś potrzebuję, ale nie widuje specjalnie wielu ludzi. Spędza cały dzień w warsztacie, czyści, piłuje i poleruje broń. Spędza tam też niejedną noc.

Miał remingtona 700 typu „Varmint”, zaopatrzonego w lunetę redfielda. Amerykańscy marines używają tej militarnej wersji sztucera jako karabinów snajperskich. Korzystałem z niej wcześniej i nic złego nie mogę powiedzieć. Jednak ciekawszy był karabin snajperski sterlinga. Większość znajomych uważa, że w Dagenham wytwarza się tylko samochody, ale tam właśnie produkowano sterlingi. Były przyjazne użytkownikowi, począwszy od podpórki na policzek po rowkowany odbojnik. Można było go zamontować na dowolnej podstawie, założyć jakikolwiek celownik albo noktowizor. Przyznaję, kuszące.

Były też inne. Max nie posiadał ich, ale wiedział, gdzie je dostać: L39A1, brzydki mauser SP11, fusil model 1 typ A. Zdecydowałem się na brytyjski; mogą uchodzić za sentymentalnego. Ostatecznie Max wręczył mi karabin, o którym obaj wiedzieliśmy, że na niego się zdecyduję: model PM.

Producent, Accuracy International, nazwał go PM. Nie wiem, co oznaczają litery, może *post mortem*. Lecz brytyjska armia zna go pod nazwą sniper rifle L96A1. Przyznacie, można sobie język połamać, dlatego razem z Maxem nazywamy go PM. Jest ich kilka wersji i Max proponował super magnum (stąd amunicja kaliber 338 lapua magnum). Sam karabin nie zasługuje na miano pięknego, a kiedy rozpakowałem go w hotelu, wyglądał jeszcze gorzej, bo na oryginalny kamuflaż nałożyłem swój własny.

PM jest oliwkowo zielony; dobre, kiedy ukrywasz się między drzewami, ale pośród szarego betonu ulicy nie jest już taki niezauważalny. Zatem w warsztacie Maxa obwinąłem go szarą taśmą samoprzylepną, robiąc to w rękawiczkach, by nie zostawić odcisków na taśmie. W rezultacie karabin był rusznikarskim odpowiednikiem Niewidzialnego, cały zabandażowany oprócz tych elementów, do których potrzebny był dostęp. Była to prosta robota polegająca na owijaniu; zawijanie samej nierdzewnej lufy zajęło kilka godzin.

PM to długi karabin, lufę ma prawie dziesięć centymetrów dłuższą niż remington. Też jest ciężki, chociaż wykonany głównie z plastiku, ale bardzo wytrzymałego: dwa razy cięższy od sterlinga. Jednak to mi nie przeszkadzało, przecież nie musiałem go nieść przez dżunglę. Nawet go wydłużyłem, dopasowując tłumik płomienia własnej konstrukcji. (Max uśmiechnął się połową twarzy, gdy mi się przyglądał. Podobnie jak ja, jest koneserem sztuki i rzemiosła, a najlepsze w moim ukończonym dziele było to, że działało).

Wszystkie karabiny zaproponowane przez Maxa były powtarzalne, wszysdde 7.62 mm i wszystkie miały lufy z czterema bruzdami o prawoskrętnym zwoju. Różniły się stylem i prędkością końcową w lufie, długością i ciężarem, ale jedną cechę miały wspólną. Wszystkie były śmiercionośne.

Ostatecznie doszedłem do wniosku, że niepotrzebna mi zintegrowana podstawa: przy kacie, pod którym będę strzelał, będzie raczej przeszkadzała, niż pomagała. Zdemontowałem ją więc, minimalnie redukując wagę. Chociaż do PM pasuje magazynek na dziesięć nabojów, wiedziałem, że będę miał co najwyżej dwie kule, a najlepiej jedną. Przy karabinach powtarzalnych czasami nie było czasu na drugi strzał. Kiedy zajmowałem się ryglem, twój cel uciekał w bezpieczne miejsce.

W końcu podniosłem karabin i stałem w pokoju naprzeciw pełnowymiarowego lustra na drzwiach szafy. Zasłony były zaciągnięte, więc mogłem sobie na to pozwolić. Założyłem już lunetę. Ach, ten Max potrafił utrudniać sprawy. Mógł dać mi redfielda, parker-hale'a, zeiss diavari ZA.... nawet starą lunetę snajperską nr 32. Lecz na PM nie można było ich założyć, więc zamiast grymasić i zakładać własne uchwyty do lunety, wybrałem celownik Schmidt and Bender 6x42, cały czas powtarzając sobie, że może, choć raz, zadaję sobie zbyt wiele trudu.

Byłem gotów zdjąć pchłę z kociego wąsa z odległości pięciuset metrów, kiedy moim zadaniem było trafić w człowieka, na otwartej przestrzeni, z odległości równej jednej dziesiątej takiego dystansu. Co robi-

łem, kupując cały ten przesadzony sprzęt i technologię, kiedy coś sklecone naprędce w Chinach dałoby taki sam efekt? Max znał odpowiedź.

— Lubisz jakoś, lubisz styl.

To prawda, Max, najprawdziwsza prawda. Skoro ci, do których celowałem, mieli nagle rozstać się z tym światem, chciałem, aby mieli najlepszą odpawę, jaką mogłem im zapewnić. Spojrzałem na zegarek, potem dla pewności sprawdziłem jeszcze godzinę na zegarze w radio.

Zostały jej jeszcze dwie godziny życia.

2

Wszystko czekało na Eleanor Ricks. Obudziła się tego ranka po śnie wymuszonym prozkami, ze świadomością, że czeka ją kolejny dzień gotowyją kąsać. Śniadanie i mąż Freddy oczekiwali na nią w kuchni, tak samo jak pani Elfman. Kiedy Eleanor i Freddy szli do pracy, przychodziła pani Elfman i szykowała śniadanie, potem sprzątała wszystko i porządkowała pokoje. Kiedy nie pracowali, wtedy sprzątała, ale nie gotowała. Freddy upierał się, że jedno z nich *musi* poradzić sobie z owsianką albo kiełbasą z jajkami i kawą, dopóki nie poświęcą się pracy. Zabawne, ale zazwyczaj kończyło się na tym, że Eleanor gotowała, jeżeli nie było pod ręką pani Elfman, nawet kiedy musiała iść do pracy, a Freddy „odpoczywał”. Dzisiaj jednak pracowali oboje.

Freddy Ricks był aktorem, popularnym (choć tylko w telewizyjnych, tasiemcowych komediach) na początku lat osiemdziesiątych, a teraz ciężko zarabiał na życie, grając nieliczne role „charakterystyczne”. Próbował grywać w teatrze, ale nie podobało mu się, stracił więc sporo z ich wspólnych oszczędności podczas bezowocnego pobytu w Hollywood, kiedy to starał się wejść w łaski producentów i reżyserów, którzy przenieśli się tu z brytyjskiej telewizji. Dzisiaj grał główną rolę w reklamie płatków śniadaniowych, tylko głowa i tors, a będzie miał na sobie żółty nieprzemakalny, rybacki kapelusz, i do tego zdziwioną minę. Miał do powiedzenia dwie linijki, ale później podłożą głos innego aktora. Freddy nie rozumiał, dlaczego jego głos nie był wystarczająco dobry. Jak wytknął im, był wystarczająco dobry dla dwunastu milionów widzów, którzy w latach 1983-84 przełączali się co tydzień na sitcomy z nim.

Siedział przy stole, przeżuwając płatki i czytając ulubiony tableid. Wyglądał na wściekłego, ale ostatnimi czasy zawsze tak wyglądał. Radio stało na ociekaczu zlewozmywaka, ściszone, bo Freddy go nie lubił. Lecz

lubiła je pani Elfman i nachyliła głowę do tranzystora, starając się wychwycić słowa przy zmywaniu naczyń z poprzedniego wieczoru.

— Dzień dobry, pani Elfman.

— Dzień dobry, pani Ricks, jak pani spała?

— Jak kamień, dziękuję.

— Niektórym to dobrze — mruknął Freddy z za łyżki płatków. Eleanor zignorowała go, podobnie jak pani Elfman.

Eleanor nalała sobie kubek czarnej kawy.

— Chce pani śniadanie? — zapytała gospoia.

— Nie, dziękuję.

— To najważniejszy posiłek dnia.

— Jestem jeszcze pełna po wieczornym posiłku. — To było kłamstwo, ale co innego mogła powiedzieć: jak zjem choćby jeden kęs, będę pewnie wymiotować całe rano. Pani Elfman pomyślałaby, że żartuje.

— Archie wstał?

— Kto to wie? — warknął Freddy.

Archie to ich syn, siedemnastolatek; „gra na komputerze” w zespole młodzieżowym. Eleanor nigdy nie słyszała, żeby ktoś „grał” na komputerze jak na instrumencie muzycznym, aż Archie jej pokazał. Teraz jego zespół nagrywał drugą płytę, po sukcesie pierwszej w miejscowych klubach. Podeszła do schodów i zawołała go. Nie było odpowiedzi.

— Cholera, jest jak Drakula — gderał Freddy. — Za dnia go nie widać. — Pani Elfman rzuciła mu wrogie spojrzenie, a Eleanor przeszła do swojego gabinetu.

Eleanor Ricks była niezależną dziennikarką, reporterką dochodzeniową. Udało się jej zyskać sławę bez odwoływania się do typowego „śledzenia” gwiazd muzyki pop, bożyszczy tłumów i rodziny królewskiej. Lecz pewnego dnia odkryła, że redakcje wysyłały dziennikarzy, aby właśnie ją opisywali, więc postanowiła zmienić swoje życie zawodowe. Zatem teraz, po latach artykułów do gazet i magazynów, w końcu szła do telewizji... dokładnie w momencie, kiedy najwyraźniej Freddy z niej wychodził. Biedny Freddy; myślała o nim przez moment, a potem wzięła się do pracy.

Dzisiaj przeprowadzała wywiad z Molly Prendergast, szefową Ministerstwa Spraw Socjalnych. Miały się spotkać w jakimś hotelu w centrum. Nie będą rozmawiać o sprawach dotyczących tego ministerstwa ani o pozycji Molly Prenergast, czy nawet jej karierze we własnej partii politycznej. Było to o wiele bardziej osobiste i dlatego spotykały się w hotelu, a nie w biurach ministerstwa.

Pomysł należał do Eleanor. Liczyła, że dowie się więcej od Molly Prendergast na neutralnym gruncie. Nie chciała słuchać polityka; chciała wysłuchać matki...

Ponownie przejrzała swoje notatki, listę pytań, wycinki z gazet, nagrania wideo. Rozmawiała przez telefon ze swoimi asystentami gromadzącymi materiały. To był wstępny wywiad, nie miał być emitowany. Eleanor zabierze magnetofon, ale tylko do własnego użytku. Nie będzie kamer ani techników, tylko dwie kobiety na pogaduszkach przy drinku. A potem, jeżeli Prendergast okaże się przydatna do projektu, poprosi ją o normalny wywiad na antenie, gdzie znowu zada jej te same lub podobne pytania. W telewizji polityk będzie o wiele bardziej ostrożna, bardziej będzie się pilnować. Lecz Eleanor i tak ją wykorzysta: Prendergast to nazwisko, a do nagłośnienia jej historii trzeba było nazwiska. A przynajmniej Joe tak jej powtarzał.

Baterie do magnetofonu ładowały się przez całą noc. Sprawdziła je, nagrała się na próbę i cofnęła taśmę, żeby odsłuchać. Magnetofon, chociaż mały, miał wbudowany stereofoniczny mikrofon i miniaturowy, ale mocny zewnętrzny głośnik. Weźmie ze sobą trzy kasyety C-90, chociaż wywiad miał trwać tylko godzinę. Hm, może się przeciągnie albo taśma się zerwie... Nie, nie powinien się przeciągnąć. Dwie dziesięćdziesiątki wystarczy. Ale lepiej weźmie ze sobą więcej baterii.

Przewinęła kompilację wideo i jeszcze raz przestudiowała, a potem podeszła do komputera i dopracowała niektóre z pytań, usuwając jedno, dodając dwa nowe. Potem przefaksowała je do producenta, który odzwoił z potwierdzeniem.

— Jesteś pewien? — zapytała Eleanor.

— Tak, jestem. Słuchaj, nie martw się tym, Lainie. — Nie cierpiała, kiedy nazywała ją Lainie. Kiedyś powie mu to w twarz... Oj, chyba nie powie. Była to mała cena za poparcie Joe Drapera. Joe był wspaniałym producentem, jeśli nie — jak wielu jego telewizyjnych kolegów — odrobinę primadonną. Zarobił fortunę, kręcąc serial o policjantach i lalka tasiemców komediowych (w jednym z nich Freddy grał pomyłonego sąsiada), a potem uruchomił własne przedsiębiorstwo produkcyjne, specjalizujące się w filmach dokumentalnych i dokumentach fabularyzowanych. To były dobre czasy dla niezależnych producentów, dopóki znałeś swój rynek i kilka osób w telewizji. Joe miał dużo przyjaciół; jego weekendowe kokainowe party w domu w Wiltshire były niezwykle lubiane. Zapraszał ją kilka razy, ale bez Freddy'ego.

— Łatwo mówić, Joe, jestem w tym nowa, nie dam rady tak się wyluzować jak ty. — Cóż, tu domagała się komplementu i oczywiście Joe 0 tym wiedział.

— Lainie, jesteś najlepsza. Zrób po prostu to, w czym jesteś dobra. Rozmawiaj z nią, otwórz ją, potem usiądź wygodnie i okaż zainteresowanie. To wszystko. Wiesz, jakbyś była... — Już widziała kolejny z wymęczonych uśmiechów Joego. — Poskramiaczem lwów. Wchodzisz, trzaskasz z bicia, a kiedy ona zaczyna wykonywać sztuczki, możesz się zrelaksować i przyjąć oklaski.

— Naprawdę myślisz, że to takie proste, Joe?

— Nie, to ciężka praca. Ale tajemnica leży w jednym: nie pokazuj po sobie, że to taka ciężka robota. Powinna być gładka jak sukno na stole bilardowym, tak gładka, że ona nie powinna się zorientować, że została trafiona, dopóki nie wpadnie do łuzu. — Zaśmiał się wtedy, a ona razem z nim, sama zaskoczona własną reakcją. — Słuchaj, Lainie, to będzie dobra telewizja, czuję to. Masz świetny pomysł i realizujesz go właściwie: na ludzką ciekawość. Ta formuła sprawdzała się, kiedy jeszcze telewizja była w powijakach. A teraz do roboty!

Zmusiła się do uśmiechu.

— W porządku, Joe, już. — Odłożyła słuchawkę.

Zadowolona, Eleanor zadzwoniła po kuriera-rowerzystę. Napisała list, załączyła do niego kopię pytań i schowała do dużej, szarej koperty. Napisała na niej nazwisko Prendergast i jej domowy adres. Kiedy zjawił się rowerzysta, zawahała się, zanim przekazała mu kopertę. Potem zamknęła drzwi i odetchnęła. Myślała, że zwymiotuje, ale opanowała się. To tyle. Te pytania będzie zadawać. Nie pozostało nic innego do piątej, poza paniką, kilkoma proskami do zażycia i przymiarką ubrań. Może wyjdzie gdzieś na chwilę, aby się uspokoić, przejdzie się po Regens Park i dookoła ogrodu zoologicznego. Świeże powietrze, trawa i drzewa, bawiące się, biegające dzieci lub też czasami gapiące się na zwierzęta za ogrodzeniem; to ją uspokajało. Nawet odrzutowce przelatujące w górze wywierały dobry wpływ. Ale wychodziło na zero. Kiedy się uspokajała, tak samo długo musiała siedzieć na ławce w parku i płakać. Zanosiła się szlochem i chowała twarz w płaszczu. Nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego tak postępuje.

Nie potrafiła tego wyjaśnić, chociaż wiedziała. Zachowywała się tak, bo się bała.

Ostatecznie została w domu. Leżała w kąpieli, kiedy zadzwonił telefon. Pani Elfman już wyszła do domu, poinformowawszy po raz kolejny

Eleanor, że nie tlenie pokoju Archiego, dopóki sam z siebie z grubsza nie uporządkuje najgorszego bałaganu. Freddy wyszedł kręcić reklamówkę pia drów w rybackim kapeluszu, nie żegnając się nawet ani nie życząc jej powodzenia. Wiedziała, że już nie wróci do domu. Zatrzyma się w jednym z licznych pubów, aby gadać z innymi zgorzkniałymi mężczyznami. Wróci tu dopiero o siódmej albo ósmej. A Archie? Hm, nie widziała go już od kilku dni.

Pozwoliła, by telefon dzwonił jakiś czas — co mogło być tak ważne? — ale wtedy uświadomiła sobie, że to może być Molly Prendergast i chce przedyskutować jakieś nowe pytanie albo je odrzucić. Eleanor sięgnęła po słuchawkę aparatu zawieszzonego nad wanną. Wtedy to wydało się istnym szaleństwem, telefon w łazience, ale okazał się bardziej użyteczny, niż się spodziewali.

- Halo?
- Eleanor?
- Geoffrey, to ty?
- A kto inny?
- Zawsze łapiesz mnie w wannie.
- Ja to mam szczęście. Możemy porozmawiać?
- O czym?
- Chyba wiesz.

Geoffrey Johns był adwokatem Eleanor, i to od piętnastu lat. Czasami praca Eleanor doprowadzała do nakazu sądowego, pozwu o zniesławienie albo wezwania do sądu. Rzeczywiście, dobrze znała Geoffreya. Wyobrażała go sobie, jak siedzi w fotelu swojego dziadka w biurze także po dziadku (które w pewnym momencie było miejscem pracy jego ojca). Gabinet był duszny i mroczny, fotel niewygodny, ale Geoffrey nie chciał wprowadzać żadnych zmian. Nawet używał bakelitowego telefonu z małą szufladką w podstawie na notes. Aparat był repliką i kosztował go niemałą fortunę.

— Nie dziś — powiedziała, kładąc się w wodzie. Technik powiedział jej, że nie może porazić się prądem, nawet jeżeli słuchawka wpadnie do wody. Nie było dosyć volt, czy coś w tym rodzaju. Poczuje, co najwyżej, łaskotanie. Mówiąc to, uśmiechał się. Na to łaskotanie.

— Chyba wiesz — powtórzył Geoffrey Johns, w nienaturalny sposób przeciągając słowa. Eleanor wydawało się, że mówi tak powoli, bo liczy sobie honorarium za godzinę. Kiedy nic nie odpowiedziała, westchnął głośno. — Robisz coś dzisiaj?

- Nic specjalnego. Po południu mam wywiad.

— Myślałem, że może się spotkamy.
— Nie sądzę, żeby to było konieczne.
— Nie? — Znowu cisza, znowu przerwa. — Słuchaj, Eleanor...
— Geoffrey, chcesz coś powiedzieć?
— Ja... nie, chyba nie.
— Wiesz, że jesteś najdroższym z moich znajomych. — Przerwała.
— To był ich stary żart.

— Moje stawki są naprawdę bardzo rozsądne — dopowiedział, najwyraźniej uspokojony. — A może w przyszłym tygodniu? Postawię ci lunch.

Przesunęła gąbką między piersiami, a potem po nich. — Brzmi niebiańsko.

— Chcesz teraz wybrać termin?
— Geoffrey, wiesz, jaka jestem. Skończyłoby się tylko na tym, że potem bym go zmieniała. Poczekajmy.
— Dobrze. Hm, jak mówią Amerykanie, miłego dnia.
— Minęła druga, Geoffrey, lepsza część dnia minęła.
— Nie przypominaj mi — odparł Geoffrey Johns.

Wyciągnęła rękę, żeby odłożyć słuchawkę na widełki, i zastanawiała się, czy Geoffrey obciąży ją rachunkiem za rozmowę. Spodziewałaby się tego po nim. Poleżała jeszcze trochę dłużej, aż zostało tylko tyle ciepłej wody, by mogła się spłukać. Przeczesała palcami włosy, oddając się temu przyjemnemu uczuciu, potem energicznie się wytarła i przeszła nago do sypialni po ubranie.

Specjalnie oddała do czyszczenia żółto-niebieską sukienkę i cieszyła się, że dzień jest słoneczny. Ta sukienka najlepiej sprawdzała się w blasku słońca.

3

Z hotelu pojechałem taksówką. Punkt docelowy znajdował się zaledwie w odległości dziesięciu minut piechotą, ale wiedziałem, że w taksówce nie będę wzbudzał podejrzeń. Londyńscy taksówkarze nie są, jak wiem z doświadczenia, wszystkowiedzącymi i ciekawskimi osobnikami, jakimi ich się postrzega. Kiwają głową, kiedy podaje im się adres, i to wszystko. Oczywiście mój miał tylko jeden komentarz gotowy, kiedy wsiałem do taksówki.

— Co tam pan dźwiga, bazookę czy co?

— Sprzęt fotograficzny — odparłem, chociaż taksówkarz nie wykazał zainteresowania. Umieściłem długie metalowe pudło na tylnym siedzeniu, gdzie wciśnięte ukośnie między górny narożnik tylnego okna a dolny narożnik drzwi oferowało mi nazbyt mało miejsca. Było dłuższe, niż potrzeba; ale z drugiej strony najkrótsze ze stosownych pudeł, jakie udało mi się znaleźć.

Było srebrne, z trzema zapięciami i czarną rączką. Kupiłem je w specjalistycznym sklepie dla fotografów. Przeznaczono je do przenoszenia cennego papieru używanego jako tło. Sprzedawca próbował sprzedać mi do tego arkusze papieru milimetrowego — były w specjalnej ofercie — ale odmówiłem. Nie przeszkadzało mi, że pudło jest za duże. Nie sugerowało chyba zaraz, że w środku znajduje się broń.

Na filmach miejscowy zabójca nosi przeważnie małą aktówkę. Karabin jest w środku, rozłożony na części, na lufę i kolbę. Potem po prostu składa wszystko i przyczepia lunetę. Oczywiście, w rzeczywistości, jak masz taką broń, w najmniejszym stopniu nie dorówna ona solidnością jednoczęściowej konstrukcji. Normalnie niósłbym karabin w specjalnym futerale pod płaszczem, ale PM był zwyczajnie za długi i za ciężki. Więc zamiast iść, pojechałem do biura taksówką.

Śledziłem pogodę od kilku godzin i nawet zadzwoniłem z hotelu do informacji meteorologicznej z zapytaniem o najświeższy raport. Pogodnie, ale bezjaskrawego słońca. Innymi słowy, idealne warunki, bo słońce to najgorszy wróg snajpera. Spokojnie żułem gumę i wykonywałem ćwiczenia oddechowe. Minęło ledwie kilka minut, gdy taksówkarz zatrzymał się przy krawężniku i wysadził mnie przed biurowcem.

Była sobota, pamiętajcie, i chociaż znajdowałem się w centrum Londynu, mój punkt docelowy nie był przy przelotowej trasie. Ulica była cicha. Samochody czekały na zmianę świateł, a sklepy prowadziły leniwy handel i wszystkie biura były zamknięte. Sklepy znajdowały się na poziomie ulicy, typowa mieszanka pracowni z ceramiką, małych galerii sztuki, sklepów z obuwem i biur podróży. Zapłaciłem taksówkarzowi i wystawiłem skrzynkę na chodnik. Poczekałem, aż taksówka odjedzie. Po drugiej stronie ulicy było więcej sklepów z biurami na piętrach i hotel Craigmead. Był to jeden z tych starych, niedocenianych hoteli z przesadnymi stawkami za pokój. Wiedziałem o tym, bo rozważałem możliwość zatrzymania się tam, zanim zdecydowałem się na coś bezpieczniejszego.

Teraz stałem przed typowym londyńskim kompleksem biurowym, z czterema stopniami prowadzącymi do imponujących drzwi frontowych i fasady, która w pewnych dzielnicach miasta skrywałaby dużą kamienicę

podzieloną na mieszkania. W zasadzie postąpiono w ten sposób z sąsiednim domem na wszystkich kondygnacjach poza parterem i pierwszym piętrem. Jednak wybrany przeze mnie dom był teraz pozbawiany wnętrza i przebudowywany, by zaferować—jak informowała tablica na zewnątrz — luksusowe lokale biurowe na miarę dwudziestego pierwszego wieku.

Byłem tu wczoraj i przedwczoraj, i jeszcze raz wcześniej dzisiaj. W ciągu tygodnia pracowało tu sporo robotników, ale przy sobocie główne drzwi były zamknięte na cztery spusty, a w środku ani żywego ducha. Dlatego wybrałem ten dom, a nie mieszkania w sąsiednim budynku, które dawały lepszy widok celu, ale prawdopodobnie byłyby używane w weekendy. Podszedłem do głównych drzwi i zająłem się zamkiem. Był prosty, typu yale, nawet nie założony na stałe. Prawdziwe zamki pojawiają się później, po remoncie. Tymczasem, kiedy w środku było niewiele rzeczy, które można było ukraść, wykonawcy nie zaprzęтали sobie głowy specjalnym zamknięciem.

Nie zajęli się też jeszcze instalacją systemu alarmowego: kolejny powód mojego wyboru. Z frontowej ściany sterczały gołe przewody. Później zostaną podłączone do alarmu i całość będzie osłonięta. Lecz teraz zabezpieczenie nie było priorytetem.

Nie jestem najwspanialszym ślusarzem na świecie, ale każdy nastolatek z blokowiska wszedłby tu w parę sekund. Wkroczyłem do głównego holu, niosąc z sobą pudło, i zamknąłem drzwi. Czułem zapach wysychającego gipsu i mokrej farby, ścieranego drewna i politurę. Parter przypominał plac budowy. Były tu deski i płyty kartonowe, worki cementu i gipsu, zwoje wełny mineralnej. Niektóre z desek w podłodze były wyjęte, aby umożliwić dostęp do kanałów na instalację elektryczną, ale nie zauważyłem nigdzie świeżych rolek kabli: pewnie były za drogie, żeby walać się byle gdzie. Podwykonawca zabierał je co wieczór do furgonetki i przywoził rano. Znałem kilku elektryków; są uważni w tych sprawach.

Nigdzie też nie leżały narzędzia elektryczne i w ogóle żadne inne. Domyśliłem się, że zamykano je gdzieś w budynku. Na podłodze stał telefon, jeden z tych starych, płaskich modeli o kwadratowej słuchawce spoczywającej nad tarczą. Był powyszczerbiany i upstrzony farbą, ale co dziwniejsze, podłączony był do gniazdka w ścianie. Uniosłem słuchawkę i usłyszałem znajomy sygnał. Zdaje się, że miało to sens: to miało być długie zlecenie; musiały istnieć jakieś sposoby na komunikowanie się między ekipą a centralą. Odłożyłem słuchawkę i wyprostowałem się.

Jako że nie byłem tu wcześniej, wiedziałem, że muszę szybko się zapoznać z tym miejscem. Zostawiłem skrzynkę w holu i skierowałem się na górę. Gdzieś wstawiono drzwi, ale żadne nie były zamknięte na klucz poza jednymi, do magazynu. Domyślałem się, że tam przechowywano narzędzia.

Na drugim piętrze znalazłem potrzebne mi biuro.

Pierwsze piętro było za blisko parteru. Zawsze istniała możliwość, że któryś z przechodniów podniesie wzrok, chociaż rzadko to się zdarzało. Na trzecim piętrze, z kolei, nachylenie byłoby zbyt duże, strzał zbyt trudny. Mogłem przyjąć to wyzwanie, ale wiedziałem, że muszę dobrze trafić. Dzisiaj nie było czasu na zabawę, musiało być szybko i banalnie. Hm, no, niezbyt *banalnie*. Zawsze pozostawała moja wizytówka.

W wybranym przeze mnie biurze panował taki sam chaos jak wszędzie w budynku. Zakładano tutaj sufit podwieszany, z którego sterczały gniazdko, prawdopodobnie do podłączenia komputerów. Podwieszany sufit, szachownica plastikowych, białych paneli, będzie zakrywać prawdziwy strop przyozdobiony jeszcze bardziej skomplikowanym gzymsem, który pierwotnie musiał otaczać główną lampę w pokoju, prawdopodobnie żyrandol. Zawsze i wszędzie muszą spieprzyć stare budynki.

Sprawdziłem wyjścia: były tylko frontowe drzwi. Bo ci pracujący tutaj wyjście na schody przeciwpożarowe na tyłach budynku tymczasowo zastawili drabinami i rusztowaniem, skutecznie barykadując wyjście. Kiedy więc będę wychodził, będę musiał użyć głównych drzwi. Lecz to mnie nie martwiło. Odkryłem, że atak jest najlepszą formą obrony, więc bezczelność może być najlepszą formą przebrania. To skradająca się osoba wygląda podejrzanie, a nie ktoś, kto podchodzi do ciebie. Poza tym, uwaga będzie skupiona na czymś innym, prawda?

Okno było w porządku. W ramach dodatkowej **izolacji** założono małe skuteczny, przejrzysty panel, który można było przesunąć, a za nim znajdowało się normalne, podnoszone okno. Przekręciłem zamek w oknie i spróbowałem je otworzyć. Rolki opierały się przez moment, bo na linkach zastygła skorupa biała farba, aż w końcu ustąpiły z głośnym piskiem i okno podniosło się o kilka centymetrów. Przy odrobinie wysiłku podniosłem je o kolejne centymetry. Dalekie od ideału. To oznaczało, że luneta będzie mierzyła przez szybę, a lufa będzie sterczała na wolnym powietrzu. Już kiedyś przeprowadzałem zamach prawie w identycznych warunkach. Mówiąc szczerze, chyba mógłbym dźwignąć okno jeszcze wyżej na siłę, ale potraktowałem to trochę jako *zbyt* małe wyzwanie.

Wyrzałem na zewnątrz. Nikt na mnie nie patrzył. Nie widziałem nikogo w sklepach przy ulicy ani nikogo gapiącego się z okien hotelu. W zasadzie wyglądało na to, że niektóre ze sklepów już zamykano. Mój zegarek wskazywał siedemnastą dwadzieścia pięć. Zgadza się, niektóre z nich, większość właściwie, zamkną się o wpół do szóstej. Turyści i goście w hotelu Craigmead nie będą teraz w pokojach, nadal będą korzystać ze słonecznej pogody. Przed szóstą ulica będzie obumarła. Musiałem tylko czekać.

Przyniosłem pudło na górę i otworzyłem je. Nie mogłem znaleźć krzesła, ale była skrzynka, którą postawiłem na sztorc. Wydawała się wystarczająco mocna, więc umieściłem ją przy oknie i usiadłem na niej. PM leżał przede mną na podłodze, razem z dwiema kulami. Siedziałem i myślałem o nabojach. Pomyśleć, że coś tak małego, o określonym przeznaczeniu, może być jednocześnie tak złożone. Proste lub w kształcie szyjki butelki. Pasowane, z pierścieniem, z półpierścieniem, bez pierścienia, rowkowane. Z bocznym zapłonem albo z centralnym zapłonem. Do tego dochodziła zawartość spłonki. Wiedziałem, że Max robi własną mieszankę przy użyciu styfninianu ołowiu, siarczku antymonu i azotanu baru, lecz w stosunku, którego nie zdradzał. Podniosłem jedną z kul, ujmując za podstawę i wierzchołek. Ciekawe, jak to jest być trafionym? Znałem odpowiedź w kategoriach kryminalistyki. Znałem rodzaje ran wejściowych i wyjściowych powodowanych przez różną broń, z różnej odległości i przy użyciu różnej amunicji. Musiałem znać te rzeczy, żebym mógł określić każdy indywidualny cel. Niektórzy snajperzy decydują się na strzał w głowę i nazywają go wtedy „JFK”. Ja nie.

Wybieram serce.

O czym jeszcze myślałem w tym pokoju, gdy samochody przesuwają się w dole z jednostajnym, uspokajającym szumem, jak fale spływające po brzegu? Nie myślałem o niczym innym. Oczyszcziłem umysł. Mogłem znajdować się w transie, gdyby ktoś mnie zauważył. Zwiesiłem ramiona, spuściłem głowę, rozluźniłem mięśnie szczęki. Szeroko rozłożyłem palce, nie zaciskałem ich. Nie koncentrując wzroku, obserwowałem sekundnik, jak zatacza kręgi na tarczy zegarka. W końcu wyszedłem z tego stanu i zacząłem zastanawiać się, co zamówię na obiad. Jakies czerwone mięso w sosie tak gęstym, aby zasługiwał na dobre, czerwone wino. Była za pięć szósta. Podniosłem PM, odblokowałem rygiel, włożyłem na miejsce pierwszą kulę i zamknąłem zamek. Potem z kieszeni wyjąłem małą podu-

szkę domowej roboty i umieściłem ją między ramieniem a kolbą. Musiałem uważać na odrzut.

Ten moment był niebezpieczny. Gdyby ktoś mnie teraz zobaczył, nie widziałby mężczyzny w oknie, ale lufę karabinu, czarną lunetę i celującego snajpera. Lecz nieliczni przechodnie byli zbyt zaprzątnięci własnymi myślami, żeby podnosić wzrok. Spieszyli się do domu albo na jakieś spotkanie w restauracji. Nieśli torby z zakupami. Skupiali się na zdradliwych, londyńskich płytkach chodnikowych. Jeżeli nie padłeś ofiarą piękniętej płyty, to mogłeś liczyć się z psim gównem. Poza tym nie mogli patrzeć prosto przed siebie; to przyciągało wzrok nieznanym i niechciane spojrzenia.

Luneta była wspaniała; zupełnie jakbym stał kilka kroków od hotelowych schodów. Pośrodku były obrotowe drzwi, a po obu stronach zwyyczajne, pchane. Większość ludzi wchodzących i wychodzących z hotelu najwyraźniej korzystała z tych tradycyjnych. Zastanawiałem się, których ona użyje. Była szósta, punkt. Powoli zmrużyłem powiekę, żeby nie zakłócić wizji. Minuta po szóstej. Teraz dwie po. Oddychałem głęboko, powoli wypuszczając powietrze. Odsunąłem oko od lunety. Wystarczająco dobrze widziałem stąd wejście do hotelu. Teraz pod hotel podjechał samochód. Z przodu siedział sofer w liberii. Mężczyzna i kobieta wysiedli sami. On wyglądał na dyplomata; samochód miał dyplomatyczną tablicę rejestracyjną poniżej osłony chłodnicy. Po trzech stopniach przykrytych dywanem podeszli do obrotowych drzwi. A teraz wychodziły dwie kobiety.

Dwie kobiety.

Przyłożyłem oko do lunety. Super. Przyciągnąłem karabin mocno do ramienia zabezpieczonego poduszką, poprawiłem chwyt o ułamek i położyłem palec na spuście. Dwie kobiety uśmiechały się, rozmawiały. Dyplomata i jego żona przeszli obok nich. Teraz kobiety rozglądały się, szukając taksówek. Podjechał kolejny samochód i jedna z kobiet wskazała go. Zaczęła schodzić po stopniach, a za nią jej towarzysząca. Zza chmury wyszło słońce, rozświetlając żółto-niebieski wzór na jej sukience. Nacisnąłem spust.

Natychmiast wyciągnąłem karabin z okna. Wiedziałem, że dobrze trafiłem. Upadła do tyłu, jakby ktoś pchnął ją mocno w pierś. Druga kobieta nie uświadamiała sobie przez moment, co się stało. Prawdopodobnie myślała, że to omdlenie albo atak serca. Ale teraz zobaczyła krew i rozglądała się; potem na czworakach pokonała resztę schodów i schowała się za samochodem dyplomaty. Kierowca wysiadł i rozglądał się.

Wyciągnął pistolet spod marynarki i krzychał do dyplomaty, aby schował się w hotelu. Kierowca w drugim aucie najwyraźniej zanurkował pod deskę rozdzielczą.

Rozległy się syreny. W centrum Londynu zawsze słyszało się syreny — karetki pogotowia, straż pożarną. Ale to były policyjne radiowozy, które z piskiem hamowały przed hotelem. Wstałem i odszedłem od okna. To niemożliwe, nie mogli przyjechać tutaj tak szybko. Spojrzałem jeszcze raz. Niektórzy z policjantów byli uzbrojeni i kierowali się do sąsiedniego domu, tego z mieszkaniami. Przechodniom kazano się chować, kobieta ukryta za samochodem krzychała i płakała, uzbrojony szofer kucał przy nieruchomym ciele. Podniósł ręce, gdy policjanci wymierzili do niego, i zaczął wyjaśniać, kim jest. Może trochę potrwać, zanim mu uwierzą.

Wiedziałem, że na wyjście zostały mi tylko sekundy. Zaraz zajmą się tym budynkiem. Schowałem karabin do pudła razem z niewykorzystaną kulą, zamknąłem skrzynię i zostawiłem ją na miejscu. Normalnie zabrałbym go z sobą, rozebrał na części i pozbył się ich. Max nigdy nie chciał odbierać ode mnie broni, a ja nie mogłem go za to winić. Lecz wiedziałem, że nie mogłem ryzykować wyjścia stąd z pudłem w rękę.

Kiedy schodziłem na dół, wpadłem na pomysł. Niedaleko znajdował się szpital. Podniosłem słuchawkę i wykręciłem 999, a potem poprosiłem o pogotowie.

— Cierpię na zaawansowaną hemofilię i właśnie doznałem poważnego wypadku. Chyba mam wylew wewnątrz czaszki. — Podałem im adres, potem odłożyłem słuchawkę i poszedłem szukać cegły. Znalazłem kilka przy drzwiach. Podniosłem jedną i uderzyłem się w czoło, starając się trafić krawędzią. Dotknąłem czoła dłonią. Pojawiła się krew. A potem z zewnątrz dotarł odgłos stłumionej eksplozji: moja wizytówka.

Podłożyłem ładunek rano. Znajdował się na dnie kosza na śmieci w zaułku za jedną z restauracji. Zaułek był jakieś pięćset metrów od hotelu. To była mała bomba, na tyle duża, aby narobić hałasu. Zaułek był ślepy, więc raczej nikt nie powinien być ranny. Celem było odwrócenie uwagi, kiedy będę odchodził niezauważony przez policję.

Teraz rozległa się kolejna syrena, nie policyjna, ale karetki pogotowia. Niech Bóg ich błogosławi, pogotowie wie, że jak dzwoni do nich hemofilik, to staje się to priorytetem. Otworzyłem główne drzwi i wyjrzałem na zewnątrz. Karetka właśnie zajechała pod dom. Jeden z sanitariuszy otwierał tylne drzwi, drugi wysiadał z miejsca dla kierowcy.

Razem wyciągnęli nosze i ustawili je na chodniku, a potem podjechali pod drzwi. Ktoś, zapewne policjant, zapytał ich głośno, co robią.

— Nagły wypadek! — odkrzyknął jeden z nich.

Przytrzymałem dla nich drzwi. Ręką zasłaniałem zakrwawione czoło, uśmiechałem się wstydliwie.

— Potknąłem się i upadłem — wyjaśniłem.

— Nic dziwnego, przy tych wszystkich śmieciach wszędzie dookoła.

— Pracowałem na gorze.

Dałem się położyć na noszach. Pomyślałem, że to będzie lepiej wyglądać.

— Ma pan kartę? — zapytał jeden z mężczyzn.

— Została w domu, w portfelu.

— Zawsze ma pan ją nosić przy sobie. Jaki ma pan poziom czynnika?

— Jeden procent.

Teraz wkładali mnie do ambulansu. Uzbrojeni policjanci nadal byli w kamienicy obok. Ludzie spoglądali w stronę eksplozji sprzed kilku chwil.

— Co się tu, do diabła, stało? — jeden z sanitariuszy pytał drugiego.

— Bóg wie. — Drugi sanitariusz rozerwał opakowanie opatrunku i wyciągnął kompres, który przyłożył mi do czoła. Przycisnął go moją dłonią. — Proszę, zna pan zasady. Mocno naciskać.

Kierowca zamknął karetkę z zewnątrz, zostawiając mnie ze swoim kolegą w środku. Nikt nas nie zatrzymywał, kiedy odjeżdżaliśmy. Siedziałem i myślałem sobie, że jeszcze nie jestem bezpieczny.

— To pańska wizytówka? — Sanitariusz podniósł coś z podłogi. Zaczął czytać. — Gerald Flitch, strateg marketingowy.

— Moja wizytówka. Musiała mi wypaść z kieszeni. — Wyciągnąłem rękę, a on oddał mi kartonik. — Firma, dla której pracuję, przynosi się w przyszłym tygodniu do nowego biura.

— A to jest stara wizytówka, z adresem w Liverpoolu?

— Tak — powiedziałem. — Nasze stare biura.

— Ma pan czynnik osiem czy dziewięć, panie Flitch?

— Osiem — odparłem.

— Mamy dobry oddział hematologiczny, zajmą się panem.

— Dziękuję.

— Prawdę mówiąc, równie szybko dotarłby pan tu na piechotę.

Tak, już przejeżdżaliśmy przez bramę i zbliżaliśmy się do izby przyjęć. Tylko dotąd mogłem prowadzić tę grę. Wiedziałem, że pod kompresem krwawienie już ustało. Zabrali mnie z samochodu i podali pielęgniarki moje dane. Poszła zadzwonić po kogoś z hematologii, a sanitariusz

sze wrócili do karetki. Siedziałem przez kilka chwil w pustej poczekalni, potem wstałem i skierowałem się do drzwi. Karetka jeszcze stała, ale nie widać było sanitariuszy. Prawdopodobnie poszli na herbatę i papierosa. Zszedłem podjazdem przed głównym wejściem do szpitala i wyrzuciłem opatrunek do kosza na śmieci. Na ścianie wisały dwa telefony; zadzwoniłem do swojego hotelu.

— Poproszę z panem Wesleyem. Pokój 203.

— Przepraszam — odpowiedziała po chwili recepcjonistka. — Ale nikt nie odbiera.

— Czy mogę zostawić wiadomość? To bardzo ważne. Proszę powiedzieć panu Wesleyowi, że nastąpiła zmiana planów, musi być dzisiaj wieczorem w Liverpoolu. Nazywam się Snipes, z zarządu.

— Pod jakim numerem może się skontaktować pan Wesley? — spytała, a ja podałem jej fikcyjny numer poprzedzony kierunkowym do Liverpoolu i odłożyłem słuchawkę. Na ulicach kręciło się sporo policji, kiedy wracałem do hotelu.

Rzecz w tym, że policja znajdzie PM, a potem będą chcieli rozmawiać z człowiekiem, którego zabrało pogotowie. Pielęgniarka powie im, że podałem nazwisko Gerald Flitch, a sanitariusz doda, że na mojej wizytówce był adres w Liverpoolu. Po tym wszystkim mogą trafić do domu Flitcha albo do jego pracodawców, a wtedy dowiedzą się, że wyjechał do Londynu i zatrzymał się w hotelu Allington.

A to doprowadzi ich do mnie.

Automatyczne drzwi w hotelu rozsunęły się z sykiem. Podeszedłem do recepcji.

— Co to się dzieje? Wszędzie pełno policji.

Recepcjonistka jeszcze nie podniosła wzroku. — Wcześniej słyszałam jakiś huk — powiedziała. — Ale nie wiem, co się stało.

Teraz podniosła wzrok. — Boże, co się panu stało?

Dotknąłem czoła. — Potknąłem się i upadłem. Cholerne londyńskie chodniki.

— Jejku, chyba mamy gdzieś plaster.

— Dziękuję, mam w pokoju. — Przerwałem. — Nie było dla mnie wiadomości?

— Tak, jest wiadomość, przyszła niecałe dziesięć minut temu. — Podała mi, a ja przeczytałem.

— Cholera. — Zdenerwowałem się, po raz drugi tego dnia zwieszając ramiona. — Mogę prosić o rachunek? Wygląda na to, że muszę się wymeldować.

Nie mogłem ryzykować jazdy taksówką z samego Allington do innego hotelu — taksówkarz mógłby podać policji, dokąd był kurs — więc przeszedłem się trochę, ciągnąc walizkę. Była lżejsza niż przedtem o całe siedem kilo i za duża jak na to. Zużywszy prawie całą gotówkę na uregulowanie rachunku, wyciągnąłem z bankomatu dwieście funtów. Pierwsze dwa hotele były pełne, ale w trzecim znalazł się mały, pojedynczy pokój z prysznicem, ale bez wanny. Hotel sprzedawał pamiątki gościom, w tym duże torby podróżne z nazwą hotelu na obu bokach. Kupiłem jedną i zabrałem na górę. Później tego wieczoru zawiozłem pustą walizkę na dworzec King's Cross. W centrum Londynu trudno jest znaleźć skrytki na bagaż, więc oddałem walizkę do przechowalni bagażu. Widząc rozmiar walizki, mężczyzna zapał się, zanim spróbował ją podnieść, a potem zaskoczyła go jej lekkość.

Wróciłem inną taksówką do hotelu i zacząłem oglądać wiadomości, ale nie potrafiłem się skoncentrować. Najwyraźniej uważali, że trafiłem niewłaściwą osobę. Myśleli, że celowałem do dyplomaty. Hm, to pomoże zamącić obraz. Wcale mi to nie przeszkadzało. Potem wspomnieli, że policja znalazła dużą skrzynkę w domu naprzeciw hotelu. Pokazali zaułek, gdzie wybuchł mój mały ładunek. Metalowy śmietnik wyglądał jak rozrwane opakowanie. Nikt nie został ranny, chociaż dwie pomoce kuchenne z chińskiej restauracji były w szoku i miały rany od odłamków szkła.

Oczywiście nie spekulowali, dlaczego policja tak szybko zjawiła się na miejscu. Jednak ja sam zastanawiałem się nad tym, rozważałem problem, ale nie pojawiała się żadna mądra odpowiedź.

Jutro. Będzie czas na rozmyślania jutro. Byłem wyczerpany. Przeszła już mi ochota na mięso i wino. Chciało mi się spać.

4

Freddy Ricks i Geoffrey Johns nie przepadali za sobą, a jednak adwokat nie zdziwił się, kiedy zadzwonił do niego Freddy. Freddy był lekko wstawiony, jak zwykle, i wyglądało na to, że jest oszołomiony.

— Słyszałeś?

— Tak — odpowiedział Geoffrey Johns. — Słyszałem. — Siedział w salonie, z kieliszkiem armaniaku drżącym obok na oparciu kanapy.

— Jezu Chryste — lamentował Freddy Ricks — zastrzelono ją!

— Freddy, tak... mi przykro. — Geoffrey Johns popił łyk ostrego alkoholu. — Archie wie?

— Archie? — Minał całkiem zrozumiałym moment, zanim Freddy rozpoznał imię swojego syna. — Nie widziałem go. Musiałem pojechać do... chcieli, żebym ją zidentyfikował. Potem musieli mi zadać kilka pytań.

— Dlatego dzwonisz?

— Co? Nie, nie... hm, tak, w pewnym sensie. To znaczy, muszę zrobić pewne rzeczy, a przy bramie stoi z pięćdziesięciu reporterów i... wiesz, różniliśmy się, ale ty jesteś naszym adwokatem.

— Rozumiem, Freddy, zaraz przyjadę.

Na posterunku policji przy Vine Street nadinspektor Bob Broome zastanawiał się, co powiedzieć dziennikarzom. Tłoczyli się przy wejściu na ponury komisariat. Nawet w słoneczny dzień na Vine Street, głęboki i wąski kanał między Regent Street a Piccadilly, docierało niewiele światła, ale za to zbierały się tam wszelkie dostępne spaliny i brud. Broome uważał, że ten posterunek ma na niego wpływ. Wydawało mu się, że pamięta czasy, kiedy miał w sobie radość. Ostatni raz uśmiechał się przed kilkoma dniami, a pełną piersią śmiał się przed kilkoma miesiącami. Nikt już nie chciał opowiadać mu dowcipów. Więźniowie w celach też byli bardziej wymagający.

— I co mamy, Dave?

Komisarz Dave Edmond siedział naprzeciw Broome'a. Cieszył się też reputacją ponurego pierdoły. Ludzie, widząc ich razem, przeważnie omiotali ich z daleka, zupełnie jak statek pełen zadżumionych. Broome był wysoki i szczupły, o karnacji grabarza, natomiast Edmond okrągły i opalony. Właśnie wrócił z dwutygodniowego pobytu w Hiszpanii, gdzie przeleżał na jakiejś plaży, żłopiać piwsko.

— No, ciągle zbieramy zeznania. Broń jest w laboratorium. W biurówcu pracują technicy, ale najwcześniej jutro będą mieć jakieś wyniki.

Rozległo się stukanie do drzwi i weszła policjantka z kilkoma faksami dla Broome'a. Odłożył je na bok i odprowadził dziewczynę wzrokiem, a potem zwrócił się do Edmonda. Każdy jego ruch był powolny i rozważny, jakby funkcjonował na prochach, ale Edmond wiedział, że szef po prostu jest ostrożny.

— A co z karabinem?

— Sierżant Wills jest guru od pif-paf — odparł Edmond — więc posłałem go, żeby przyjrzał się mu. On, zdaje się, wie więcej od tych mądra-

li z balistyki. Z tego, co mu powiedziałem, wywnioskował, że to broń wojskowa.

— Nie babrajmy się, Dave. To znowu ten Demolka. Na kilometr widać jego sposób działania.

Edmond skinął głową. — Chyba że to naśladowca.

— Jakie są na to szanse?

Edmond wzruszył ramionami. — Sto do jednej?

— Norma. Co z tym telefonem, mamy nagranie?

Edmond potrząsnął głową. — Oficer, który przyjął zgłoszenie, zapisał to, co zapamiętał z rozmowy. — Podał kartkę.

Znowu otworzyły się drzwi. Tym razem był to policjant, który uśmiechał się przepraszająco, gdy wszedł z kolejnymi papierami dla nadinspektora. Z korytarza dochodziły odgłosy gorączkowych działań. Kiedy policjant wyszedł, Broome wstał, podszedł do drzwi i podparł klamkę krzesłem, wpychając pod nią oparcie. I wrócił powoli za biurko.

— Szkoda, że nie mamy tego na taśmie — powiedział, podnosząc arkusz papieru od Edmonda. — Mężczyzna, Anglik, w wieku między dwadzieścia a siedemdziesiąt pięć. Tak, bardzo to przydatne. Rozmowa raczej nie była zamiejszcowa. — Broome podniósł głowę znad raportu. — I powiedział tylko, że będzie strzelanina przed hotelem Craigmead.

— Normalnie można by to potraktować jako wygłup, ale oficer odniósł wrażenie, że to nie są wygłupy. Głos wykształconej osoby, zdecydowany, z odpowiednią dozą emocji. Od razu wysłaliśmy ludzi.

— Ale wprawdzie musieliście ich uzbroić.

— Ten, który dzwonił, to kto, według ciebie?

— Możliwe, że to sam Demolka. Może mu odbiło i chce, żebyśmy go złapali, albo bawili się w kotka i myszkę. Albo to ktoś, kto go namierzył, ale w takim razie, dlaczego nie ostrzegł tych ludzi na stopniach? — Broome przerwał. Jego gabinet nie był większy od pokoju przesłuchań: w pewnym sensie był nawet mniej przytulny. Lubił go, bo ci, którzy tu wchodzili, czuli się nieswojo. Lecz Edmondowi najwyraźniej też tu się podobało... — Ludzie na schodach to osobna sprawa. Mamy dziennikarkę, panią minister i jakiegoś starszego urzędnika z ambasady wschodnioeuropejskiej.

— Więc kto z nich był celem? — pytał Edmond.

— Właśnie. To znaczy, czy trafił tego, kogo chciał? Jeżeli nie, to zostali dwoje niech lepiej uważają. Pamiętaj, już kiedyś wcześniej zabił niewłaściwą osobę.

Edmond skinął głową. — Wkrótce i tak nam to zabiorą.

To prawda. Scotland Yard i komórka antyterrorystyczna przejmą sprawę. Ale to było podwórko Boba Broome'a, a on nie miał zamiaru oddawać sprawy i iść spać.

— Bzdura — powiedziała. — Co z tym drugim telefonem, tym do Craigmead?

— Gadaliśmy z recepcjonistką. Wie tylko, że jakiś mężczyzna chciał rozmawiać z Eleanor Ricks. Przywołano ją, ale ona to zignorowała.

— Nie podeszła?

— Nie, recepcjonistka twierdzi, że przeszła obok, kiedy wywoływa-
no jej nazwisko przez głośniki.

— Czy była z nią ta minister?

— Tak. Ale twierdzi, że nic nie słyszała.

— Więc może Eleanor Ricks też nie słyszała?

— Może.

— Ale gdyby zareagowała na wezwanie...

— Molly Prendergast wyszłaby z hotelu sama.

— A my mielibyśmy jasną sprawę, kto był celem. — Broome wes-
tchnął.

— Bob, co dalej robimy?

Broome spojrział na zegarek. — Przede wszystkim, muszę zadzwonić do Ameryki. Po drugie, trzeba zająć się mediami. A potem chcę przesłu-
chać tych ciołków ze szpitala.

— Już ich ściągamy.

— Dobrze. Miło z ich strony, że pomogli mu uciec, co?

— Myślisz, że może miał współlnika?

— Zdaje się — powiedział Bob Broome, wstając — że raczej właśnie stracił jeden ze swoich dziewięciu żywotów.

— Miałeś dzwonić...

— Och, racja. — Broome usiadł ponownie. Ktoś próbował otworzyć
drzwi, ale krzesło nie pozwalało. Wiedział, że ktoś, kto chciałby poznać
Demolkę, zjawi się szybko w Londynie. — Proszę mnie połączyć ze Stana-
mi Zjednoczonymi — powiedział do słuchawki.

5

Hoffer nie cierpiał latać, szczególnie wtedy, gdy klasa biznes nie wcho-
dziła w rachubę. Nie cierpiał, kiedy upychano go jak kurczaka do klatki.
Zasadniczo wolał być niczym młody kogucik z wiejskiego podwórka. Za-

łodze nie podobało się, kiedy odchodziłeś za daleko i za długo. Zawsze się wtrącali, wciskali w przejście te cholerne wózki, dopasowane w sam raz na wymiar. Nawet on się nie mieścił w to przejście. A ty miałeś siedzieć na miejscu, żeby ułatwić pracę tym, co popychali wózki. Pieprzyć ich, on był tu klientem.

Pojawiały się też inne problemy. Nos mu się zatykał podczas długodystansowych lotów i uszy bolały. Ziewał jak wieloryb plujący na plankton i przełykał, jakby dławiła go bryła betonu, a głowa stawała się niczym szybkowar obojętnie, co robił. Począł, aż podejdzie ta ładniejsza stewardesa, i z uśmiechem pełnym cierpienia zapyta ją, czy mają coś. Może są teraz jakieś tabletki na takie rzeczy. Lecz ona wróciła do niego z dwoma plastikowymi kubkami i powiedziała, że powinien je sobie założyć na uszy.

— Co to ma być, żart? Mam to mieć na sobie przez całą drogę do Londynu?

Zgniół kubki w mięsistych dłoniach i wstał, aby skorzystać z łazienki. Cztery rzędy dalej siedział facet, który śmiał się z filmu ze Stevem Martinem, o samochodzie, który wyjechał z fabryki bez kół i paliwa. Facet wyglądał na takiego, który śmiałby się nawet na procesach w Norymberdze.

Łazienka: kolejny problem. Japońska trumna byłaby większa. Potrwało trochę, zanim ułożył wszystko: lusterko, szczyryk, towar. Ochrona lotniska czepiała się szczyryka, aż wyjaśnił im, że jest prywatnym detektywem z Nowego Jorku, a nie palestyńskim terrorystą, a szczyryk to prezent dla kuzyna w Londynie.

— Od kiedy — wypalił ostatecznie — są *grubi* terroryści? A w ogóle widzieliście kiedyś terrorystę ze szczyrykiem? Lepiej uzbroiłbym się w sztucce, które podają podczas lotu do posiłku.

W końcu go przepuścili.

Wyjął z kieszeni zmięty banknot dolarowy. Hm, albo banknot, albo słomka od drinka. A te słomki były tak wąskie, że w ogóle nic nie można było przez nie wciągnąć. Czytał gdzieś, że osiemdziesiąt procent dwudziestodolarówek w obiegu nosiło ślady kokainy. Tak, ale on tyle nie miał; ograniczał się do jednodolarówek. Nawet po zwinięciu dolar był pognieciony. Zastanawiał się, czy nie użyć małego palca, nabrać proszek i wciągnąć bezpośrednio do nosa, ale w ten sposób sporo się marnuje. Poza tym trząsał się tak bardzo, że wątpił, czy doniesie coś z koki do nosa.

Usypał kilka ścieżek. Koka nie była szczególnie dobra, ale pasowała. Pamiętał czasy świetnej koki, towar, który spalał się na biały popiół na

końcówce papierosa. Teraz towar to przetwarzane gówno z Kolumbii i Miami, a nie to peruwiańskie чудо z dawnych czasów. Jak testowałeś go na żarzącym się papierosie, robił się czarny i cuchnął jak jamajska melina. Wiedział, że ten towar wypali mu nos. Widział swoją twarz w lustrze nad zlewem. Widział zmarszczki dookoła ust i oczu, zmarszczki od koki. Wtedy zajął się bieżącymi sprawami i pociągnął dobrą dawkę.

Kciukiem zebrał to, co zostało na lusterku, i wtarł sobie w dziąsła. Przez sekundę było kwaśne, zanim go zmroziło. Dobra, upudrował sobie nos. Wątpił, czy od tego film nabierze kolorytu, ale może znajdzie coś jeszcze, z czego będzie mógł się uśmieć. Nigdy nic nie wiadomo.

Obecnie Hoffer prowadził własne biuro detektywistyczne, chociaż zatrudniał dwóch techników i sekretarkę. Chociaż zaczynał w obskurnym, wynajmowanym biurze nad peep showem niedaleko Time Square, zakładając, że tak właśnie zaczynali prywatni detektywi na filmach. Wkrótce jednak zauważył, że klientów zniechęcała lokalizacja, więc szybko wynajął czystsze biuro w Soho. Jedyne problemy polegały na trzech kondygnacjach schodów i braku windy. Zatem Hoffer przeważnie pracował w domu, korzystając z telefonu i faksu. Miał wtedy jednego technika; spotkał się z nim tylko dwa razy, w obu przypadkach w McDonalddie. W końcu klienci byli szczęśliwi, kiedy Hoffer Private Investigations znalazł się nad modną galerią z bazyliadami, gdzie płótna wyglądały, jakby kogoś na nich zarżnięto, a potem przeprowadzono sekcję zwłok. Najtańszy obraz w galerii zajmował połowę ściany i nabywca musiałby się pozbawić dwunastu tysięcy dolarów. Hoffer wiedział, że galeria przetrwa najwyżej pół roku. Widział, jak wnoszono do środka malowidła, ale nigdy nie widział, żeby ktoś stamtąd z nimi wychodził. Przynajmniej on sam miał klientów. Minał złoty okres, kiedy samo jego nazwisko wystarczało do podtrzymania interesu, jeszcze w czasach, gdy pokazywanie się w mediach było dobre. Jednak historii szybko przycichały i samo nazwisko Hoffer nie wystarczało.

Za dwanaście tysięcy agencja Hoffera mogła utrzymać się jakieś osiem tygodni, nie licząc wydatków. Robert Walkins obiecał złożyć dokładnie tę sumę na koncie bankowym agencji podczas rozmowy telefonicznej z Hofferem. To dziwne znowu rozmawiać z tym człowiekiem. W końcu Walkins był pierwszym klientem Hoffera. W pewnym sensie był *jedynym* klientem Hoffera, jedynym, który się liczył.

Demolka znowu działał i Hoffer mocno chciał w tym uczestniczyć. Nie tyle chciał, co musiał. Miał do zapłacenia pensje i podatki, czynsz za mieszkanie, koszty biznesowe i do tego jeszcze swoje ulubione dragi.

Potrzebował Demolki. A mówiąc dokładniej, potrzebował rozgłosu. Kiedy sam zaczynał, wynajął konsultantkę do spraw reklamy, zanim najął księgową. Kiedy dowiedział się dosyć od konsultantki, wykopał ją. Miała wspaniałe ciało, ale za to, ile go kosztowała, mógł *kupić* wspaniałe ciało, które nie tylko gadałoby i krzyżowało nogi.

Kiedy dostał telefon z Londynu, spakował się w trzydzieści minut. Ale najpierw zadzwonił po bilet na najbliższy dostępny lot, a potem zadzwonił do Roberta Walkinsa.

— Pan Walkins? Tu Leo Hoffer. — W policji wszyscy nazywali go Lenny, ale od kiedy poszedł na swoje, postawił na Leo. Czyli Lwa. Co z tego, że faktycznie był Koziorożcem?

— Panie Hoffer, rozumiem, że są wieści? — Walkins zawsze mówił tak, jakby przyłapał cię na sikaniu na jego dywan.

— On jest w Londynie — Hoffer przerwał. — W Anglii.

— Nie myślałem, że chodzi panu o Londyn w Alabamie.

— No tak, i właśnie tam jest.

— I pojedzie pan za nim?

— Chyba że pan nie chce?

— Zna pan naszą umowę, panie Hoffer. Oczywiście chcę, żeby pan za nim pojechał. Chcę go złapać.

— Tak jest.

— Przekażę fundusze. Ile będzie pan potrzebował?

— Powiedzmy dwanaście patyków? — Hoffer wstrzymał oddech. Walkins nie był skąpy, jak dotąd nie, chociaż odmówił Hofferowi klasy biznesowej.

— Bardzo dobrze. Powodzenia.

— Dziękuję.

Wtedy spakował się. Nie zajęło to dużo czasu, bo nie posiadał zbyt wielu ubrań. Skontaktował się z Moirą w biurze, aby przez jakiś tydzień ogarnęła wszystkie sprawy. Poprosiła go, aby przywiózł jej jakiś upominek, „coś królewskiego”.

— A może samego księcia? — odparował.

Skończył pakowanie i zadzwonił po taksówkę. Nie miał do zabrania żadnych notatek. Wszystko, co miał, zarejestrował w głowie. Zastanawiał się, czy powinien zabrać z sobą książkę na podróż, ale zrezygnował z pomysłu. I tak w mieszkaniu nie miał żadnych książek, a na lotnisku zawsze mógł kupić kilka czasopism. Ostatecznie wepchnął scyzoryk do bagażu podręcznego, do tego lusterko i towar do wewnętrznej kieszeni marynarki. Nóż, z grubej, ostrej stali był szczególnie ozdobny i drogi: dzięki temu

ludzie wierzyli, że to prezent dla kuzyna. Francuski, Laguiole, z mahoniową rękojeścią i motywem węża. W nagłych wypadkach przydawał się też korkociąg. Lecz prawdziwą zaletą było ostrze.

Wiedział, że taksówka już jest w drodze, co dawało mu tylko kilka minut na ostateczną decyzję. Czy powinien zabrać broń? W szafie w sypialni miał strzelbę i dwa nieoznakowane półautomatyczne pistolety. Poważne sztuki przechowywał gdzie indziej. Najlepiej byłoby, gdyby poszukał czegoś takiego. Jednak nie miał czasu. Wyjął więc z szafy smith & wessona 459, kaburę i trochę amunicji. Zapakował do walizki, jedynie zawijając w sweter. Gdy zamykał wieko, rozległ się dzwonek przy drzwiach.

Z Heathrow zadzwonił do hotelu niedaleko Piccadilly Circus, z którego wcześniej już korzystał, i udało mu się zdobyć pokój. Recepcjonistka pragnęła mu koniecznie opowiedzieć, jak bardzo spokojnie jest w hotelach o tej porze roku, skoro nie było teraz zwyczajowych turystów... Hoffer odłożył słuchawkę, przerywając połączenie. Nie dlatego, że czuł się paskudnie. Po prostu nie rozumiał, co kobieta mówi.

Wiedział, że może zadzwonić po taksówkę. Zawłókł jednak swój багаż do metra i pojechał pociągiem do miasta. Nie było lepiej niż w Nowym Jorku. Trzech młodych twardzieli obrabiało wagony; domagali się pieniędzy od przyjezdnych. Hoffer nie wyjął jeszcze z walizki swojego smith & wessona, czym na pewno ucieszyliby się żebrzący. Doszedł do wniosku, że Londyn zdecydowanie staczał się. Nawet centrum miasta wyglądało, jakby zdemolował je gang. Wszystko było porozwalane albo pokryte graffiti. Kiedy ostatni raz był w Londynie, więcej kręciło się punków, ale miasto było bardziej ożywione, a ludzi mniej na ulicach.

Podróż pociągiem trwała wieki. Jego ciało mówiło mu, że jest pięć godzin wcześniej, niż uważali wszyscy dookoła. Stopy miał opuchnięte, a podczas jazdy pociągiem znowu poczuł ciśnienie w uszach. Plastikowe kubki jak nic!

Recepcjonistka oczywiście uśmiechała się współczująco. Powiedział jej, że jeżeli naprawdę jest jej go żal, to ma litr szkockiej w torbie, a ona zna numer jego pokoju. Wtedy też udało jej się uśmiechnąć, ale musiała się do tego przymusić. Poszedł do swojego pokoju i przypomniał sobie wszystko, co najgorsze w Anglii. A dokładnie: łóżka i hydraulikę. Jego łóżko było o wiele za wąskie. W obozach koncentracyjnych mieli szersze prycze. Kiedy zadzwonił do recepcji, powiedziano mu, że wszystkie łóżka w jednoosobowych pokojach są takiej samej wielkości, więc jeżeli chciałby mieć podwójne łóżko, to musi zapłacić za pokój dwuosobowy. Wtedy

musiał zjechać windą do recepcji, wziąć nowy pokój i wrócić windą na górę. Nowy pokój był odrobinę lepszy, niewiele. Włączył telewizor i poszedł do łazienki przygotować kąpiel. Wanna wyglądała, jakby dziecko mogło się w niej dobrze bawić, ale dorośli mógłby mieć problemy, a jeżeli można było wnioskować z ciągłego kapania z kranów, cierpiały one na dolegliwości prostaty. Przy zlewie nie było nawet porządnej szklanki, tylko kolejny plastikowy kubek. Odkręcił butelkę Johnny Walkera Red Label i nalał sobie szczerdę. Chciał już dolać wody z kranu, ale powstrzymał się; pił więc czystą szkocką i obserwował, jak woda w końcu przykryła dno wanny.

Wzniósł toast do lustra. — Witaj w Anglii — powiedział.

Z Bobem Broome'em umówił się w hotelowym barze.

Znali się z konferencji w Toronto, kiedy obaj pracowali w wydziałach antynarkotykowych. Było to już jakiś czas temu, ale potem spotkali się jeszcze podczas poprzedniego pobytu Hoffera w Londynie. Wtedy też tropił Demolkę.

— Chcesz powiedzieć, że Walkins nadal ci płaci? — Broome nie krył zdziwienia.

— Nie dostałem żadnej zaliczki ani nic w tym rodzaju — wyjaśnił Hoffer. — Ale kiedy tylko mamy jakieś nowe wiadomości o Demolce, to wiem, że mogę iść tropem, a Walkins mi zapłaci.

Bob Broome potrząsnął głową. — Nadal nie wierzę, że tak szybko tu się znalazłeś.

— Bob, nie mam żadnych zobowiązań, w tym sekret. — Hoffer rozejrzał się po barze. — Śmierdzi tu, chodźmy na spacer. — Broome na niego spojrział, na co zaśmiał i poklepał po marynarce. — W porządku, Bob, nie jestem uzbrojony. — Broome'owi wyraźnie ulżyło.

Był niedzielny wieczór i na ulicach panował spokój. Poszli do Soho i znaleźli pub, wystarczająco podrzędny jak na gusta Hoffera, gdzie zamówili piwo i znaleźli stolik w kącie.

— No, Bob, co tam masz?

Broome ostrożnie odstawił szklankę na podstawkę, sprawdzając, czy jej dno znajduje się w równym odstępnie od wszystkich krawędzi. — Wczoraj o szóstej wieczorem przed hotelem w pobliżu ambasady amerykańskiej była strzelanina. Jakieś dwie minuty po strzelaninie niedaleko, w koszu na śmieci, eksplodowała bomba. Był do nas ostrzegawczy telefon, więc wysłaliśmy tam ludzi. Zjawiliśmy się za późno, ale w samą porę,

aby rozpocząć poszukiwania zamachowcy. Okazał się trochę za sprytny. Poszliśmy do budynku dokładnie naprzeciw, a on się przyczaił w biurówcu obok. Musiał widzieć, jak przyjechaliśmy. Zadzwonił po karetkę, opowiedział im, że jest poważnie chory, a oni zawieźli go do szpitala prosto nam spod nosa.

Hoffer potrząsnął głową. — Ale macie rysopis?

— O, tak, całkiem dobry, pod warunkiem że nie miał peruki i kolorowych szkieł kontaktowych.

— Zostawił broń?

Broome skinął głową. — Karabin snajperski L96A1.

— Nigdy o takim nie słyszałem.

— Brytyjski, niezła sztuka. Podrasował go, dodał tłumik płomienia i obwiązał taśmą kamuflującą. Sama luneta była warta moją miesięczną pensję.

— Nikt nigdy nie twierdził, że Demolka jest tani. A skoro o tym...?

— Nie wiemy, kim był jego cel. Na stopniach znajdowały się cztery osoby: dyplomata z żoną, szefowa Ministerstwa Spraw Socjalnych i dziennikarka.

— On sam jak daleko znajdował się od hotelu?

— Siedemdziesiąt, osiemdziesiąt metrów.

— Mało prawdopodobne, żeby nie trafił.

— Już kiedyś spuszczał.

— Tak, ale to był przypadek. Jego celem musiała być ta reporterka.

— Jesteśmy otwarci na wszystko. Dyplomata najwyraźniej jest przekonany, że to on miał być ofiarą.

— Wy musicie być otwarci, ja nie. W zasadzie to słynę z tego, że się *zamykam*. — Hoffer skończył piwo. — Chcesz jeszcze jedno? — spytał, na co Broome potrząsnął głową. — Muszę zobaczyć wszystko, co macie, Bob.

— To nie takie łatwe. Będę musiał to omówić z moim...

— Jeszcze coś, dla twoich dzieci... — Hoffer wyjął z kieszeni kopertę i przesunął po stole. — Jak się mają?

— Świetnie, dzięki. — Broome zajął do koperty. Spoglądał na pięćset funtów.

— Nie próbuj odmawiać, Bob, miałem cholerne kłopoty przy realizacji czeków w hotelu. Zdaje się, że obciążyli mnie jak zawsze za ten przywilej, a dodatkowo kurs wymiany był tak wysoki, że nie spodziewałbyś się tego od najgorszego wroga. Schowaj. To dla dzieci.

— Na pewno będą wdzięczne — odparł Broome, wypychając kopertę do wewnętrznej kieszeni.

— To miłe dzieciaki. Jak mają na imię?

— Jak tam sobie wymyślisz — odpowiedział bezdzietny Broome.

— Więc możesz mnie oświecić?

— Mogę zrobić fotokopie. Dostaniesz je zaraz z rana.

Hoffer skinął głową. — Tymczasem mów do mnie, zainteresuj mnie. Opowiedz mi o ofierze.

— Nazywa się Eleanor Ricks, lat 39, wolny strzelec. Robiła reportaż z Falklandów i z początkowych walk w byłej Jugosławii.

— Więc nie zajmowała się budżetami?

— Nie, a ostatnio przeniosła się do telewizji. Wczoraj spotkała się z Molly Prendergast, to właśnie ona jest z Ministerstwa Spraw Socjalnych.

— W jakim celu się spotkały? Nie, czekaj... to samo jeszcze raz? — Hoffer poszedł do baru i zamówił kolejne dwa piwa. Nigdy nie musiał długo czekać w barach; to było jedyne miejsce, gdzie jego rozmiar dawał mu pewien autorytet. Nieważne, że nie miał super ubrania albo że nie goilił się od jakiegoś czasu, miał swoją wagę i posturę.

Między innymi z tego powodu sporo pracował w barach.

Przyniósł piwa do stolika. Do swojego zamówił podwójną whisky.

— • Też chcesz? — Ale Broome potrząsnął głową. Hoffer popił łyk piwa, potem wlał whisky. Wyjął dwa papierosy z jednej z beczkowych paczek, zapalił je i podał jednego Broome'owi. — Przepraszam — wytłumaczył się — brzydki nawyk. — Nie każdy chce, aby ślinić mu papierosa. — Opowiadałeś mi o Molly Prendergast...

— To był wywiad, coś związanego z ostatnim projektem Ricks, tym dla telewizji. Zgłębianie kultów religijnych.

— A ta minister ma coś z nimi wspólnego?

— Niebezpośrednio. Jej córka przez moment była zaangażowana w jeden z nich. Prendergast i jej mąż musieli wściekle walczyć, aby ją stamtąd wydostać. W końcu mieli ją dosłownie porwać.

— I o tym chciała rozmawiać Ricks?

— Według Prendergast.

— Nie jesteś jednak zbyt pewny.

— Nie mam powodów, aby podejrzewać, że kłamię. Poza tym jej wersję potwierdza producent programu.

— Jak on się nazywa? — Hoffer wyjął notes i długopis z kieszeni.

— Joe Draper. I jest jedna dziwna rzecz, ktoś dzwonił do hotelu. Prosił Eleanor Ricks i powiedział, że to pilne. Została przywołana, ale nie

odebrała telefonu. Niewiele osób wiedziało, że tam będzie. Draper należy do tych nielicznych.

— Jaka to stacja?

— To mały, niezależny producent. Zdaje się, że nazywa się Draper Film albo Draper Vision, coś w tym stylu.

— Bob, za ciężko pracujesz, wiesz? To znaczy, pracujesz na okrągło, co? Mam rację? Pewnie, że mam. Czasami musisz pozwolić mózgowi odetchnąć.

— Nie jest łatwo.

— Ale jak mózg ci nie odpocznie, zaczniesz zapominać, na przykład, czy to było Draper Films czy Draper Vision. Chodzi o drobiazgi, Bob, ale drobiazgi mogą być ważne. Jesteś gliną, wiesz o tym.

Broome nie wyglądał na uszczęśliwionego tym małym wykładem. W zasadzie to skończył piwo i powiedział, że musi iść. Hoffer nie zatrzymywał go. Sam też nie został w pubie. Przypominał mu kilka kiepskich, irlandzkich barów w obrębie Soho. Przeszedł przez Shaftesbury Avenue na Leicester Square, szukając ciekawych drągów albo ciekawych kurew. Lecz nawet na Leicester Square było spokojnie. W tych czasach nikt nie wychodził na rewir. Budki telefoniczne były pełne wizytówek dziwek. Oglądał je niczym w galerii, ale nie znalazł nic ciekawego ani ekscytującego. Wątpił, czy znajdzie cokolwiek nowego pod słońcem, chociaż najwyraźniej przy pomocy komputerów robili dzisiaj niesamowite rzeczy.

Na łózkach w bramach leżały dzieciaki, więc zapytał, czy gdzieś tu można znaleźć jakieś prochy, a potem przypomniał sobie, że tutaj może to też oznaczać trawę. Ale i tak nie wiedziały. Cholera, nawet chyba same nie wiedziały, jak się nazywają. Poszedł na Charing Cross, znalazł tak-sówkę i pojechał do Hampstead.

Tam właśnie Demolka przeprowadził inne uderzenie w Londynie, w biurze przy High Street. Jak zwykle, trzymał się na dystans. Strzelał z budynku po drugiej stronie ulicy; kula rozbiła okno, zanim przeszła przez serce hinduskiego biznesmena, który był wplątany w aferę finansową wraz z kilkoma rządami i prywatnymi firmami.

Demolka zawsze trzymał się na dystans, co interesowało Hoffera. Często łatwiej byłoby po prostu podejść do ofiary i użyć pistoletu. Ale Demolka używał karabinów snajperskich i działał z daleka. Te fakty dużo mówiły Hofferowi. Mówiły mu, że Demolka to prawdziwy profesjonalista, nie jakiś łach. Był wyszkolonym snajperem. Każdy cel był dla niego wyzwaniem. Lecz był też wybredny, zupełnie nie tak jak łobuzy. Nie lubił

zbliżać się do krwi. Unikał bólu. Pojedynczy strzał w serce: zdecydowanie snajperski majstersztyk, trafiać w sam środek za każdym razem.

W Hampstead też podłożył bombę, chociaż nie musiał. Policja myślała, że zajmuje się bombą IRA, aż skojarzyli to z zamachem. Potem zjawił się Hoffer i opowiedział im sporo o Demolce. Niewielu wiedziało tyle co Hoffer o Demolce.

Lecz i Hoffer nie wiedział dosyć.

Wrócił inną taksówką do hotelu i wyprosił od taksówkarza kilka pustych rachunków, dając mu szczodry napiwek w nagrodę. Sam je sobie wypisze i odda klientowi na dowód wydatków.

— Jeszcze coś, szefie? — spytał kierowca. — Towarzystwo? Trochę trawy? Co szefchce.

Swędział go nos. Hoffer wychylił się na tylnej kanapie.

— No, to ciekawe — powiedział.

6

Mark Wesley nie żył.

Szkoda, bo to oznaczało, że będę musiał zamknąć kilka kont bankowych i pozbyć się talii kosztownych, podrabianych dowodów tożsamości i jeszcze droższego, fałszywego paszportu z pięknie sfabrykowanymi wizami.

Jeszcze bardziej drastyczne było to, że to moja jedyna druga tożsamość w Zjednoczonym Królestwie, co oznaczało, że od teraz będę musiał być sobą. Zawsze mogłem wyrobić inną tożsamość, ale to wymagało czasu i pieniędzy.

Sporo czasu spędziłem, nie będąc sobą. Trochę potrwa, zanim znów przyzwyczaję się do tego nazwiska: Michael Weston. Na początek wynajmę samochód i wyjechałem z Londynu. Wybrałem jedną z większych wypożyczalni i powiedziałem, że to może być tylko wypożyczenie na drogę w jedną stronę. Wyjaśnili, że tego rodzaju usługa jest droższa, ale skoro ręczyłem kartą kredytową, nie mieli nic przeciw temu.

Samochód był ładny, czerwony escort XR3i, miał niecałe dziesięć tysięcy kilometrów na liczniku. Pojechałem do centrum handlowego przy północnej obwodnicy i kupiłem, poza innymi rzeczami, czapkę. Potem skierowałem się na północ. Nie dzwoniłem, żeby uprzedzić. Nie chciałem, aby Max mnie oczekiwał.

Dużo myślałem i uzyskiwałem nieodmiennie tę samą odpowiedź: ktoś poinformował policję, ktoś, komu zależało, abym został schwytany. Istniały tylko dwie możliwości: Max albo mój zleceniodawca. Nie chcę wiedzieć, dla kogo pracuję, tak samo jak nie chcę wiedzieć nic o osobie, za której zabicie mi płacą. Nie chcę się angażować. Chcę jedynie pieniędzy. Zlecenia dostaję poprzez różnorodnych pośredników: dwóch w Stanach, jednego w Niemczech, jednego w Hongkongu i Maxa w Anglii. To Max przekazał mi to zlecenie, właśnie wykonane. Tylko on, poza zleceniodawcą, znał szczegóły zadania.

Jak mówię, sporo nad tym myślałem, a mimo to zawsze kończy się na Maxie albo moim zleceniodawcy. I nadal pozostaje pytanie: dlaczego. Dlaczego Max chciałby, aby mnie aresztowano? Czy pieniądze nie wystarczyły mu dla uspokojenia sumienia? Mógł zrezygnować w dowolnym momencie, ale może nie uświadamiał sobie tego. Może chciał zrezygnować, ale pomyślał, że mnie by się to nie spodobało i że jego też chciałbym zabić. Czy najpierw chciał się zemścić?

Był jeszcze mój zleceniodawca. Może jemu, albo jej, też zabrakło odwagi w ostatniej chwili i zadzwonił na policję. To była najbardziej prawdopodobna odpowiedź, chociaż było jeszcze jedno ale: co, jeśli ta cała sprawa od samego początku to pułapka? Byłem pewien, że mogę wymyślić jeszcze inne teorie, ale one wszystkie prowadziły w tym samym kierunku: będę musiał porozmawiać z Maxem. Potem może będę musiał dowiedzieć się, kim jest mój zleceniodawca, i też zadać jemu lub jej kilka pytań.

Doskwierało mi to. Nie cierpię angażować się. Nie chcę dowiadywać się. Ale tym razem może nie być innego sposobu. Może będę musiał dowiedzieć się, *dlatego* zapłacono mi, abym zamordował Eleanor Ricks. Widziałem gazety i wiadomości w telewizji. Na moją korzyść liczyło się zaskoczenie władz. Nadal nie wiedzieli, kto był moim celem. Ale ja wiedziałem, znałem nazwisko i detale ubioru. Dyplomata znalazł się tam zupełnym przypadkiem, chociaż nie ta pani polityk. Ktokolwiek wiedział, że Eleanor Ricks będzie wychodzić z hotelu o szóstej, znał ją dobrze. Więc prawie na pewno wiedział też, że pani minister będzie z nią. Czyżbym miał przstraszyć tę polityk? Czy wysłałem ostrzeżenie?

Może zaczynacie rozumieć, dlaczego nie lubię się mieszać. Nie spieszyłem się. Chciałem, żeby mój przyjazd zaskoczył Maxa. Gdybym zjawił się natychmiast, prawdopodobnie mniej by się zdziwił. Lecz przerwałem podróż, będąc już blisko celu podróży w Yorksire, aby móc wejść do Maxa wcześniej rano następnego dnia. Max był ostrożnym człowiekiem, ale

nie siadał uzbrojony do śniadania. Otaczały go pola i wzgórza. Nikt nie usłyszy strzału, nikt nie zauważy pochówku. Nikt poza Belinda.

Zakwaterowałem się w małym hotelu, nie zdejmując czapki w recepcji. Potem wyszedłem do fryzjera i dałem sobie bardzo krótko obciąć włosy.

- Jest pan pewien? — zapytał fryzjer.
- Jestem — odparłem. — To na lato. Inaczej jest mi za gorąco.
- Prawda — powiedziała, chwytając za nożyczki.

Wracając do pokoju, też miałem założoną czapkę, potem umyłem włosy i nałożyłem zakupioną farbę, zamieniając je z kasztanowych na czarne jak smoła. Przyjrzałem się brwiom, ale pomyślałem, że daruję sobie farbowanie. Krótkie włosy wyschły szybko. Rana na czole goiła się szybko, chociaż wokół strupa nadal był siniec.

Rozpakowałem torbę. Kupiłem kilka nowych rzeczy w centrum handlowym i wyrzuciłem te, które miałem na sobie podczas ataku. Nie była to szczególna ostrożność: zawsze zakładam tanie ubranie na akcję, potem pozbywam się go. Jeżeli używasz broni, technicy z laboratorium znajdują ślady składników z łuski na twoich dłoniach i ubraniu. Nie do wiary, co? Mówię o tym Maxowi, a on nie wierzy. Twierdzi, że zmyślają to, żeby ludzie nie używali broni palnej. Może ma rację. W torbie miałem też zapasówkę, magnum kaliber 357; tym razem nie kupiłem go u Maxa, ale od przyjaciela z Francji. Była to kopia colta, i to niezbyt dobra. Na strzelnicy trafiał wszędzie, tylko nie w dziesiątkę. Ratowało go to, że jak wszystkie rewolwery, przerażał ludzi. Taką miał rolę. Nie sądziłem, że przestraszy Maxa; a jednak chciałem, aby wiedział, że jestem uzbrojony.

W torbie nie było nic więcej poza brązową kopertą, kilkoma butelkami drobnego, białego proszku, trochę większymi butelkami sterylizowanej wody i dwiema paczkami jednorazowych strzykawek. Zawsze trzymałem je w torbie, od kiedy pokojówka w hotelu zauważyła je w łazience i poinformowała kierownika, że jestem dealerem heroiny. Biedactwo, była potem bardzo zawstydzona. Ale i tak zostawiłem jej napiwek.

Leżałem chwilę na łóżku, przeczesując jednym palcem resztki włosów, a drugą ręką głaszcząc kota. Kot był własnością hotelu. Widziałem go w recepcji, gdy przyjechałem, i zwabiłem cmoktaniem.

— Niech pan sobie daruje — powiedziała recepcjonistka. — Geronimo jest bardzo nieśmiały.

Może, ale ja mam podejście do zwierząt. Geronimo pokornie podrapał do mojego pokoju bez nawoływania i miauczał pod drzwiami tak długo, aż go wpuściłem, a wtedy owinał się mi kilka razy dookoła nóg i po-

tarł szczęką o moje wystające knykcie, zostawiając swoją woń. Nie miałem dla niego nic do jedzenia, ale wybaczył mi. Leżeliśmy więc, obaj z zamkniętymi oczyma, gdzieś między myślą a nicością, aż zszedłem do baru na kolację.

Z powrotem w pokoju, wypiwszy nijakie pół butelki Montrachet, otworzyłem kopertę. Zawierała szczegóły dotyczące celu, wszystko, co mój pracodawca chciał, abym wiedział o Eleanor Ricks. Nie jestem technikiem kryminalistyki ani potomkiem Sherlocka Holmesa, ale wiedziałem, że kartki złączone zszywką to komputerowy wydruk; był dobrej jakości, a sama czcionka ładna i regularna. Papier był ciężki i miał znak wodny; nawet na kopercie wydrukowano słowa. Choć jedynie: „Tajne i poufne”.

Jeszcze raz przeczytałem wszystkie informacje, szukając wskazówek co do tożsamości mojego pracodawcy. Było też zdjęcie mojego celu. Zdjęcie portretowe, do ramion. Uśmiechała się, głowę miała przekrzywioną na jedną stronę, a włosy spadały jej na ramię. Wyglądało mi na profesjonalną robotę. Przede wszystkim było czarno-białe, a ile osób używa monochromatycznych filmów w dzisiejszych czasach? Poza tym najwyraźniej było pozowane, a nie zrobione przypadkiem.

Kto miał dostęp do oficjalnych fotografii? Oczywiście fotograf i sam model. Osoby zatrudniane przez modela i prawdopodobnie najbliższa rodzina... plus fani, gospodyni i każdy, kto mógł je skraść z biurka. Absolutnie nie zawęzłem spraw.

Mówiłem, że nie lubię wiedzieć za dużo o moich celach, ale mój zleceniodawca tym razem przesłał mi sporo informacji, wiele zbytecznych. Znajomość okoliczności wskazywała, że jest blisko z celem. To znaczy, tego rodzaju rzeczy nie można było zebrać z wycinków prasowych. Musiał ją znać cholernie dobrze. To albo był niezwykle dokładny w zbieraniu danych.

Jednak to nie tłumaczyło wiedzy o tym, jakie kolory założy tego dnia. Cofnąłem się do rodziny i współpracowników. Przyszło mi do głowy, że będę musiał wrócić do Londynu i pogrzebać trochę... ale to wszystko będzie zależało od tego, co Max ma do powiedzenia.

Uregulowałem rachunek wieczorem, bo rano zamierzałem **wyruszyć** przed śniadaniem. Lecz kierowniczka nie chciała **nawet o tym słyszeć**. Wstała o szóstej, aby przygotować mi jajecznicę na bekonie i zaparzyć herbatę. Nawet usiadła ze mną, **kiedy** jadłem, chociaż wolałbym być sam.

— Daleko pan jedzie?

- Niezupełnie. Po prostu mam dużo zajęć.
- Oj, wiem coś o tym, miły panie.

Uśmiechnąłem się, ale wątpiłem w to. Gdy wyszedłem, Geronimo towarzyszył mi do samochodu, ale złapał woń czegoś lepszego i potruchtal w tamtą stronę. Samochód pokrywała ciężka rosa, poranek był surowy, gęste chmury wisiały nisko w dolinach i drogi były mokre. Lecz XR3i zapalił za pierwszym przekręceniem kluczyka. Na siedzeniu obok spoczywało magnum, które przykryłem darmową, lokalną gazetą, którą zabrałem wczoraj wieczorem z baru. Kiedy ruszyłem, wiedziałem, że czeka mnie potem długi spacer.

Dom Maxa położony był na dziewięciu akrach wrzosowisk, których monotonię przerywały jedynie groble ułożone z kamieni bez zaprawy, dzieląc ziemię na nieużywane, zamknięte poletka. Groble zbudowano, aby dać miejscowym zatrudnienie podczas najtrudniejszego okresu lat dwudziestych. Nigdy nie zamierzano z nich korzystać. Max używał tych najbliższych jego domu jako strzelnic. Reszta gospodarskich zabudowań została zburzona albo pozostawiona, aby sama się zawaliła w swoim czasie. Sterty kamieni znaczyły niegdysiejszą farmę. Max dzielił je na duże, średnie i małe, bez konkretnego powodu, według mnie. Jednak zawsze działał metodycznie, nawet w kwestii gruzu.

Zatrzymałem samochód jakieś dwa kilometry od domu na trawia-
stym poboczu, a potem wspiąłem się na jeden z murków i zacząłem iść. Trawa pod stopami była mokra i żałowałem, że nie kupiłem jakichś terenowych butów. No, ale lepsze to, niż podjechać pod sam dom. Samochód było słychać z odległości kilkuset metrów. Chociaż widziałem dom, wiedziałem, że kuchnia wychodzi na wewnętrzne podwórko, nie na wrzosowiska. Naliczyłem mniej niż tuzin drzew na całym terenie i zastanowiłem się, jak Bel może tu mieszkać.

Wepchnąłem magnum za pasek spodni, ale teren był tak nierówny, że przeniósłem rewolwer do kieszeni marynarki. Idąc, trzymałem na nim rękę. Już w samochodzie zauważyłem, że na lufie pojawiły się czerwone plamki rdzy. Na tym polegał problem z tanią bronią, nie warto jej było serwisować.

W połowie pierwszego pola nagle zatrzymałem się. Nie wiedziałem, czy jestem na to gotowy. Już długo nie używałem pistoletu, nawet dla groźby. Poza tym, skoro Max nie miał z tym nic wspólnego, chciałem go prosić o przysługę, jego i... Bel.

Max nie trzymał już psa. Uważał, że zwierzęta powinny żyć na wolności. Na gospodarstwie nie miał żadnych zwierząt, chociaż Bel roztkliwiała

się nad kotami, psami i końmi. Dookoła było cicho, gdy pokonywałem ostatni murek. Jeżeli Max przestrzegał regularnego planu, to będzie teraz w kuchni jadł prawdopodobnie coś makrobiotycznego. Trzymał się dziwacznej diety, która — jak przysięgał — powstrzymywała raka. Obszedłem dom z boku i wyjrzałem zza węgła. Na podwórku cisza. Widziałem volvo kombi Maxa zaparkowane w stodole, a za nim jedną z tarcz w kształcie człowieka ze strzelnicy pod dachem. Wyjąłem magnum z kieszeni i podeszedłem do drzwi kuchennych. Obróciłem gałkę.

Kuchnia została całkowicie wyremontowana jakiś rok temu. Teraz cała błyszczała białymi kaflami i białym sprzętem. Utrzymywana w fanatycznej czystości, przypominała mi bardziej szpital. A w samym środku, przy rozkładanym stole siedział Max. Był już ubrany i na oszpeconą twarz założył swoją maskę. Próbował jeść łyżeczką coś brązowego i kleistego, jednocześnie słuchając Radio Four.

— Zastanawiałem się, kiedy się zjawisz — powiedział, nie podnosząc wzroku. Jedną ręką trzymał miskę, a drugą łyżeczkę. Pokazywał mi obie ręce, żebym się nie denerwował. Nie celowałem z pistoletu. Zwiślał mi w dłoni nieomal od niechcenia. — Zjesz coś?

— Nie dziwisz się, że przyszedłem, Max.

Teraz podniósł na mnie wzrok. — Poważnie się obciąłeś, chłopie. Oczywiście, że się nie dziwię. Słyszałem, co się stało. Mówili, że policja zjawiła się na miejscu zaraz po strzałach. Wiedziałem, co sobie pomyślisz.

— A co ty byś pomyślał, Max? — Oparłem się o zlew, trzymając się na dystans.

— Zjesz coś?

— Już jadłem, dziękuję.

— Herbaty?

— Dobrze.

Wstał i sięgnął po kubek z suszarki.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

— Dlatego, że jest głupie. Czekałem, aż wymyślisz mądrzejsze. — Poczłapał z powrotem do stołu z kubkiem. — Siadaj, proszę. I odłóż ten cholerny rewolwer. Żenada na niego patrzeć. Cholerna, tania, azjatycka podróba; pewnie chybiłbyś do mnie nawet z dwóch metrów. Jaki ma odchyl?

— Jakiś centymetr na dwadzieścia metrów.

Max zmarszczył nos. — I do tego rdzewieje, jeżeli chciałeś mnie tym stuknąć, to wolałbym umrzeć ze wstydu.

Uśmiechnąłem się, ale pistoletu nie odłożyłem. Max westchnął.

- Jeżeli nie ze względu na mnie, to na Bel.
- Gdzie ona jest?
- Smacznie śpi w swoim łóżku, leniwa locha. No, chcesz tej herbaty?

Wziąłem kubek ze stołu i postawiłem go na zlewozmywaku, o który się opierałem.

— Więc — powiedział Max — ktoś wiedział, że wykonujesz tę robotę, i powiadomił policję. To logiczne, że to ja albo przede wszystkim ten, kto ci płaci. — Skinałem głową. Max spojrzał znowu na mnie. — Cóż, to nie byłem ja. Nie winię cię za podejrzliwość, ale to nie ja. Mogę ci jedynie powiedzieć, jak złożono zamówienie. Zadzwoił do mnie człowiek, Italianiec nazwiskiem Scotty Shattuck. Znasz go? — Potrząsnąłem głową. — Był zawodowym wojskowym, ale na Falklandach nabawił się strachu czy coś podobnego. Wziął na pamiątkę parę uszu, a kiedy armia dowiedziała się o tym, oddała go społeczeństwu. Od tamtej pory próbował działać jako najemnik, wyszkolił paru wojowników w Sarajewie. Nie ma specjalnej reputacji, większość czasu spędza, tłukąc się po nocnych klubach, zamiast ćwiczyć z krótkiej broni.

— Gdzie mieszka?

— Nie poganiaj mnie, Mark. Shattuck powiedział, że ma klienta, którego interesowało wykonanie pewnej roboty. Chodziło o to, że ktoś sypnął mu parę funciaków, żeby znalazł zabójcę.

— Dlaczego sam nie wziął tej roboty?

— Może chciał, ale klient znał jego reputację. W każdym razie powiedziałem, że będę potrzebował paru szczegółów, więc spotkaliśmy się w Leeds. Przekazał mi zapieczętowaną kopertę z informacjami, które podałem tobie przez telefon.

— Ile wiedział o zleceniu?

Max wzruszył ramionami. — Koperta nie była ruszana, ale mógł rozedrzeć tę oryginalną, przeczytać informacje i wsadzić je do nowej.

— Byłby aż tak ciekawy, żeby to zrobić?

— Nie wiem, może. Shattuck lubi bawić się z wielkimi. Myślał sobie, że jestem jakimś alfonsem ze stajnią snajperów, zapytał, czy dam mu spróbować. Kazałem mu się zachowywać. I zachowywał się, jakoś, aż nadeszła pora wypłaty.

— Tak?

— Nic nie mówił, tylko miał drgawki i pocił się. Potem wyjął pieniądze z kieszeni i podał mi. — Maxowi zachciało się pić od mówienia. W kubku z herbatą miał słomkę; pociągnął przez nią długi łyk.

— Więc gdzie mogę go znaleźć?
— Nie wiem.
— No, daj spokój, musisz wiedzieć.
— Nigdy nie musiałem wiedzieć. To on zawsze kontaktował się ze mną.

Niepostrzeżenie uniosłem rewolwer. — Max — powiedziałem. Nie musiałem mówić nic więcej. Byłem zbyt zajęty obserwacją drzwi, tych wychodzących na korytarz i resztę domu. Stała w nich Bel. Miała na sobie krótką koszulkę nocną, odsłaniającą bardzo ładne nogi. Ona też do mnie celowała. Ze strzelby.

— Mark, wiem, jak jej użyć. Odłóż rewolwer.

Nie poruszyłem się. — Wyjaśnijmy jedno — powiedziałem. — Jeżeli chcesz teraz dla mnie pracować, już nie nazywam się Mark Wesley. Ale Michael Weston.

Max zerwał się z krzesła.

— Jezu, Bel! To Churchill premier! — Podbiegł do drzwi i zabrał jej strzelbę. — Wiesz, ile to kosztuje?

— Jakieś dziesięć patyków — odparła.

— Dziesięć, zgadza się. Ale mniej, jeżeli z niej strzelano. — Otworzył strzelbę, by pokazać, że Bel nawet jej nie załadowała. Odłożyłem moje magnum na zlewozmywak.

— Słuchaj — powiedział Max — uspokójmy się wszyscy. Powiem ci, co wiem o Shattucku, Mark.

— Michael.

— Dobra, Michael. Powiem ci, co wiem. Ale usiądźmy. Strzelanina jak w westernie działa mi na nerwy, szczególnie w kuchni. Wiesz, ile trwało to całe kafelkowanie?

Wtedy Max nastawił wodę i usiedliśmy. Bel uśmiechnęła się do mnie krzywo, a ja puściłem do niej oko.

— Dobrze ci w czarnych — powiedziała, mając na myśli moje włosy. — Chociaż w tej fryzurze wyglądasz jak glina. — Pod stołem dotknęła nogą mojej stopy. Już wcześniej prowadziliśmy tę grę, ciesząc się sekretem skrywanym przed Maxem. Starałem się sobie przypomnieć, że zaledwie kilka minut temu celowała do mnie ze strzelby, choć nie naładowanej. Bel miała twarz szóstoklasistki, ale wiedziałem, że jest kimś więcej.

— Przepraszam — powiedziałem. — Nie przywozłem ci pamiątki tym razem.

Próbowała wyduć usta. — Jestem urażona.

Wsadziłem rękę do kieszeni i wyciągnąłem czapkę. — Chyba ze chcesz to.

Wzięła ją ode mnie i obejrzała. — Jeju, dzięki — powiedziała, nie kryjąc ironii. — Będę ją trzymać pod poduszką.

Max masował szczękę. Przeważnie nie mówił wiele, co zrozumiałe. W ciągu ostatnich dwudziestu minut powiedział więcej, niż normalnie przez cały dzień.

— O co chodziło z tą moją pracą dla ciebie? — zapytała Bel, zaplatając ręce na piersi.

— Dokładniej, z pracą ze mną. — Mówiąc to, spoglądałem na Maxa. — Będę musiał wrócić do Londynu; są pytania, które muszę zadać. Z partnerką będę wyglądał mniej podejrzanie. Poza tym, z niektórymi osobami nie będę mógł rozmawiać sam. Ale Bel tak.

— Nie — odezwał się Max.

— Dobrze płacę i zaopiekuję się nią. Rozegram to prosto. Pierwsze oznaki niebezpieczeństwa, a pędzę z nią tutaj z powrotem.

— Co ja niby jestem, kukłą brzuchomówcy? — Bel wstała od stołu z rękami na biodrach. — Dlaczego mnie samej nie pytasz? Mówisz, jak-byś chciał pożyczyć samochód albo rower, nie osobę.

— Przepraszam, Bel.

— Niejedziesz — powtórzył Max.

— Jeszcze nic nie powiedziałam! — zaprotestowała Bel, uderzając dłonią płasko w stół. — Najpierw chcę posłuchać.

Opowiedziałem więc. Nie było sensu niczego pomijać. Bel nie była głupia, zdecydowanie nie była naiwna. Wywahałaby kłamstwo. Nie jest łatwo powiedzieć komuś, z czego żyjesz, nie, jeżeli nie jesteś dumny ze swojej pracy. Nigdy nie przeszkadzało mi, że Max wiedział, ale Bel... Bel to zupełnie inna sprawa. Oczywiście, wiedziała cały czas. To znaczy, rzadko przyjeżdżałem na gospodarstwo, kupowałem broń, strzelałem, poprawiałem. Nie robiłem tego w ramach weekendowego hobby. A mimo to Bel rumieniła się, kiedy opowiadałem moją historię. Popijając trzecią kolejkę herbaty, teraz już przy wyłączonym radiu. Bel nasypała też sobie płatków. Połknęła dwie łyżki, zanim cokolwiek powiedziała.

— Chcę jechać.

Max zaczął protestować.

— Kilka dni, Max — wtrąciłem. — To wszystko. Słuchaj, tym razem potrzebna mi pomoc. Do kogo jeszcze mam się zwrócić?

— Znam z tuzin osób lepiej nadających się od Bel. I do tego chętnych zarobić.

— Hm, dziękuję bardzo — powiedziała. — Dobrze wiedzieć, że masz takie wysokie mniemanie o mnie.

— Nie chcę tylko, żebyś...

Ujęła go za rękę i ścisnęła. — Wiem, wiem, ale Michael potrzebuje pomocy. Czy mamy odwrócić się do niego plecami? Udawać, że go nie znamy? A kogo innego znamy?

Wtedy to dotarło do mnie po raz pierwszy. Mieszkali tutaj, na odludziu, z konieczności, a nie z wyboru. Nie można było prowadzić takiego sklepu jak Max w środku miasta. Lecz tutaj byli osamotnieni, odcięci od świata. Dwa razy w tygodniu były kursy do wioski albo pobliskiego dużego miasta, ale to nie liczyło się za życie towarzyskie. Dla Bel. Miała dwadzieścia dwa lata. Poświęciła wiele, przeprowadzając się tutaj. Rozumiałem, dlaczego Max się boi: nie bał się, że coś jej się stanie, bał się, że tam jej się spodoba. Bał się, że odejdzie na dobre.

— Kilka dni, Max — powtórzyłem. — I przywiozę Bel z powrotem.

Nic nie powiedział, mrugnął jedynie wodnistymi oczyma i spojrzął na stół, na którym spoczywały jego dłonie, pocięte i poranione od wypadków przy ślusarce. Bel dotknęła jego ramienia.

— Pójdę spakować parę rzeczy. — Kolejny raz uśmiechnęła się do mnie i pobiegła do pokoju. Mocno zacząłem się zastanawiać, dlaczego jest taka skora do wyjazdu ze mną.

Po jej wyjściu siedzieliśmy w niezręcznej ciszy. Wypłukałem kubki w zlewozmywaku i usłyszałem, jak krzesło Maxa szoruje o podłogę, gdy wstawał. Podeszedł do mnie i wziął do ręki rewolwer.

— Potrzebujesz czegoś? — zapytał.

— Może pistoletu.

— Chyba mam coś lepszego. Chociaż nietaniego.

— Tym razem pieniądze nie mają znaczenia.

— Mark... Przepraszam, to znaczy Michael. Śmieszne, dopiero co przyzwyczaiłem się, żeby mówić do ciebie Mark.

— Niedługo zmienię imię.

— Michael, wiem, że się nią zaopiekujesz. Ale nie chciałbym... to znaczy, nie chcę...

— To wyłącznie biznes, Max. Oddzielne pokoje, obiecuję. A poza tym Bel sama zadba o siebie. Miała dobrego nauczyciela.

— Nie traktuj mnie protekcyjnie — odparł z uśmiechem, odkładając magnum i sięgając po ścierkę.

Nie jest pan dziennikarzem, co?

Była to pierwsza sprawa w poniedziałek rano i Hoffer nie był w nastroju. Karetka pogotowia stała w specjalnej zatoczce, dolidnie przed wejściem na oddział pomocy doraźnej, a sanitariusze sprząтали i sprawdzali tył wozu.

Hoffer stał na zewnątrz, zjedną ręką wspartą o tył karetki. Wyobraził sobie nagle, że zatrzaskuje wielokrotnie drzwi na głowie sanitariusza.

— Mówiłem już. Jestem prywatnym detektywem.

— Tylko że ja już powiedziałem policji wszystko, co wiem, a potem te cholerne gazety zaczęły mnie nachodzić.

— Pan posłucha, panie Hughes. Pokazałem moją legitymację.

— Tak, każdy może coś takiego podrobić.

To prawda, ale Hoffer nie miał ochoty na dyskusje. W głowie mu tak huczało jak na paradzie w Dzień świętego Patryka w Bostonie. Do tego uszyjeszcze nie wróciły mu do normalnego stanu. Za każdym razem, gdy oddychał przez nos, czuł, że wsysa bębenki do gardła.

— Niech pan powie, a odejdę — odparł. To przeważnie sprawdzało się.

Hughes odwrócił się i przyjrzał się mu. — Nie wygląda pan na dziennikarza.

Hoffer poldwał tylko głową z uznaniem dla jego mądrości.

— Wygląda pan jak tuż przed zawałem.

Hoffer przestał ldwać głową i przywołał na twarz poważną, zasepioną minę.

— W porządku, przepraszam. Co więc mam panu powiedzieć?

— Widziałem pana zeznania na policji. W zasadzie to chciałbym zadać kilka pytań na ten temat, niektóre ująć inaczej.

— Hm, to szybko. Jestem na służbie.

Hoffer opanował się, żeby nie wytknąć mu, że mogli zacząć dobre pięć minut temu. Zamiast tego zapytał o akcent tamtego fałszywego pacjenta.

— Bardzo gładki — odparł Hughes. — Grzeczny, cichy, wykształcony.

— Ale zdecydowanie angielski?

— Och, tak.

— Nie amerykański? Czasami są bardziej podobne, niż to się może wydawać.

— Ten był angielski. Jednak nie powiem, z jakiego regionu. On nie był Amerykańcem, to na pewno.

— Może Kanadyjczykiem? — padło, na co Hughes potrząsnął głową. — W porządku, wystarczy tego opisu, w co był ubrany, wzrost, kolor włosów i tak dalej. Sądzi pan, że mógł mieć pofarbowane włosy?

— A skąd mam wiedzieć?

— Czasami farba nie wygląda najlepiej.

— Tak? Pewnie spotyka pan innego rodzaju kobiety.

Hoffer próbował się zaśmiać. Klamka w drzwiach dobrze leżała mu w dłoni. Nie spuszczał wzroku z głowy sanitariusza. — A nie mógł to być tupecik?

— I do tego jeszcze Irlandczyk? — padło, czego Hoffer nie zrozumiał. — Nie, na pewno miał własne włosy.

— Mm-hm. — Hoffer już porozmawiał z pielęgniarką na oddziale wypadkowym, z tą, która spisała dane mężczyzny, a potem poszła zadzwonić po hematologa. Pomogła tyle, co kodeina w koszu pod gilotyną. Potarł czoło. — Powiedział, że choruje na hemofilię.

— Był hemofilikiem.

— Jest pan pewien?

— Albo on, albo ktoś w rodzinie. A może studiował medycynę.

— Tak dużo o tym wiedział?

— Znał poziomy wskaźników, wiedział, że hemofilicy mają nosić przy sobie specjalną kartę, wiedział, że muszą zadzwonić na pogotowie i wezwać karetkę, jeżeli się skaleczą. Dużo wiedział.

— A nie mógł zgadywać?

Hughes potrząsnął głową. — Mówię przecież, *wiedział*.

— Kto tu jest hematologiem?

— Nie wiem. Jestem szoferem.

— Z taką wiedzą?

Spojrzenie kierowcy powiedziało Hofferowi, że schlebaniem do niczego nie dojdzie. — A co z tą wizytówką, która wypadła mu z kieszeni?

— No, powiedział, że jest jego, ale policja twierdzi, że nie. Kazali mi przyjrzeć się prawdziwemu Geraldowi Fritchowi. To nie był on.

— Uhm. Sam też z nim porozmawiam.

Drzwi na oddział wypadkowy otwały się z hukiem, gdy sanitariusz wyjechał stamtąd z wózkiem inwalidzkim i zjechał po rampie. Hughes

wyskoczył z karetki. Na wózku siedziała kobieta, tak stara i nieruchoma, że wyglądała na wypchaną.

— Znowu tu jesteśmy, pani Bridewell — krzyknął do niej Hughes, gdy przygotowywali się, aby wnieść kobietę do pojazdu. — Zaraz będziemy w domu.

— Warto jeździć? — Hoffer mruknął do siebie. Odwrócił się od karetki, ale Hughes go zawołał. Kierowca siadał już na swoim miejscu i zapalał silnik. Hughes trzymał tylne drzwi, szykując się, by je zamknąć.

— Nie żartowałem z tym zawałem. Powinien pan trochę schudnąć. Jak byśmy kładli pana na nosze, toby nam plecy wysiadły.

— Dobra dusza z ciebie, człowieku! — zawołał Hoffer, ale trafiło to w zamknięte drzwi karetki. Wrócił pod górkę na oddział nagłych wypadków. Była tu jeszcze ta sama pielęgniarka, z którą wcześniej rozmawiał. Nie wyglądała na cierpiącą.

— Jeszcze jedna rzecz — powiedział Hoffer, podnosząc skrzywiony palec wskazujący. — Z kim mogę porozmawiać o hemofilii?

Dosłownie to znaczy miłość krwi.

Doktor Jacobs był małym mężczyzną o głosie angielskiego aktora, który sprawia, że Amerykanki moczą majdty. Zupełnie jakby Jeremy Irons stał gdzieś za kulisami, a Jacobs udawał kukiełkę. Poza tym Hoffer nigdy nie widział takich owłosionych rąk, poza zoo. Lekarz miał dla niego tylko dziesięć minut. Wyjaśniał, co oznacza słowo hemofilia.

— To bardzo ciekawe — odpowiedział Hoffer. — Ale człowiek, którym się zajmujemy, to płatny zabójca, rewolwerowiec. Używa też ła-dunków wybuchowych. Czy to wygląda na odpowiednie zajęcie dla hemofilika?

— Nie wygląda. Hm, to znaczy, nie dla *poważnego* hemofilika. Widzi pan, istnieją trzy szerokie poziomy hemofilii. Poważny, umiarkowany i ła-godny. Większość zarejestrowanych hemofilików w Wielkiej Brytanii to poważne przypadki... to znaczy, wykazują mniej niż dwa procent czynni-ka krzepnięcia.

— Co to jest czynnik krzepnięcia?

— Hemofilicy, panie Hoffer, cierpią na brak krzepnięcia krwi. Krzep-nięcie to złożone zjawisko, obejmujące trzynaście różnych elementów. Je-żeli wydarzy się jedno, wówczas dochodzi do drugiego i mamy efekt do-mina. Kiedy doszło do wszystkich trzynastu, mamy krzepnięcie. Lecz he-mofilikom brakuje jednego z tych czynników, więc nie może dojść do peł-nego procesu i stąd brak krzepnięcia. Większość chorych ma czynnik

osiem, niektórzy mają czynnik dziewięć. Jest nawet kilka jeszcze radszych przypadków, ale to są dwa główne. Czynnik osiem określamy mianem hemofilia A, a czynnik dziewięć hemofilią B. Podąża pan?

— Czytam pana jak Braille'em.

Doktor Jacobs oparł się w czarnym, skórzanym fotelu. Gabinet miał ciasny, zagracony, pełen skryptów, wyników badań i stert poczty, na którą nie odpowiedział. Jego biały kitel wisiał na drzwiach; na ścianach pełno było oprawionych w ramki dyplomów. Ręce miał założone na piersi, więc mógł dłońmi gładzić swoją małą sierść. Włosy także wychodziły mu spod kołnierzyka. Nagiego Hoffer mógłby położyć przed kominkiem jako dywanik.

— Poważni hemofilicy — mówił lekarz — stanowią ponad trzydzieści procent wszystkich przypadków hemofilii. Mogą cierpieć na spontaniczne, wewnętrzne krwotoki, przeważnie do tkanek miękkich, stawów i mięśni. W dzieciństwie zaleca się im unikania sportów kontaktowych. Staramy się dobrze ich wykształcić, żeby mogli wykonywać pracę biurową, a nie fizyczną.

— Wobec tego nie służą w siłach zbrojnych?

Doktor Jacobs uśmiechnął się.

— Siły zbrojne i policja nie rekrutują hemofilków.

Hoffer zmarszczył czoło. Jeżeli był pewien jednego, to tego, że Demolka był kiedyś żołnierzem albo policjantem.

— Żadnych wyjątków?

— Żadnych.

— Nawet jeżeli mają łagodniejszą formę?

Jacobs potrząsnął głową. — Coś nie tak? — zapytał nagle.

Bo Hoffer ciągnął się za uszy. — Od latania coś mi się dzieje z uszami — powiedział. — A może pan coś poradzi. Może pan spojrzy?

— Jestem hematologiem, panie Hoffer, nie laryngologiem.

— Ale może pan zapisywać leki, tak? Może coś przeciwbólowego?

— Niech pan pójdzie do ogólnego lekarza.

— Mogę zapłacić.

— Nie wątpię. Czy przeziębiał się pan w samolocie?

— Hm? — Hoffer tyle wciągał ostatnimi czasy, że prawie sobie tego nie uświadamiał. Wydmuchał nos i przypomniał sobie, że musi kupić więcej chusteczek jednorazowych. Cholera, nos też go zawsze swędział. — To przez tę paskudną pogodę — dodał.

Doktor wyglądał na zaskoczonego i wyrzał przez okno. Na zewnątrz był kolejny, piękny dzień. Przeniósł wzrok z powrotem na Hoffera.

— Policja już mnie pytała o zabójcę. Z tego, co wiem, wynika, że posiada pewną wiedzę na temat hemofilii, ale jak powiedziałem policji, nie wyobrażam sobie poważnego hemofilika w roli zabójcy. Sanitariuszom powiedział, że jest jednoprocentowy. Chyba kłamał. To znaczy.... to wszystko to jedno wielkie gdybanie...

— Nie, proszę mówić. — Hoffer wepchnął strzępek chusteczki z portem do kieszeni.

— Hm, wydaje mi się, że broń, jakiej używa, ma odrzut.

— Zdecydowanie.

— Jakikolwiek odrzut mógłby spowodować poważne krwawienie. Bardzo szybko nabawiłby się kłopotów z ramieniem. A potem nie byłby z niego żaden snajper.

— A jeżeli chodzi o osobę z umiarkowanymi objawami?

— Nawet w przypadku takiego chorego, byłoby to niebezpieczne. Chociaż nie, jeżeli ten człowiek cierpi na hemofilię, to jest przypadkiem umiarkowanym.

— Ale mimo to wiedziałyby o chorobie, tak?

— O, tak. Ale mógłby sobie wyrządzić krzywdę i nie potrzebować potem pomocy medycznej. Wystarczyłby po prostu ucisk, żeby powstrzymać krwawienie.

Hoffer przemyślał to. — Byłby zarejestrowany?

— Prawie na pewno.

— Ale tych danych nie da się...

Jacobs potrząsał głową. — Jeżeli policja zechce je zobaczyć, wtedy oczywiście są szanse, szczególnie jeżeli chodzi o ujęcie mordercy.

— Tak, oczywiście. Panie doktorze, ilu jest chorych umiarkowanie?

— W Brytanii? — Hoffer skinął głową. — Około półtora tysiąca.

— Na ilu?

— Na około sześć i pół tysiąca.

— A ilu z tego półtora tysiąca możemy odliczyć?

— Słucham?

— Wie pan, ilu z nich to dzieci, emeryci, kobiety? To zredukuje liczbę.

Jacobs zaśmiał się.

— Mam parę broszurek, które powinien pan przeczytać. — Otworzył szufladę biurka i szukał w niej czegoś.

— Co? Powiedziałem coś śmiesznego?

— Nie, chodzi o to, że na hemofilię chorują tylko mężczyźni. Choroba przekazywana jest przez matkę, nie ojca, na syna.

Hoffer przeczytał ulotki, siedząc w barze hotelu Allington.

Trudno mu było w to wszystko uwierzyć. Jak matka mogła to zrobić synowi? Nie do wiary. Kobiety w rodzinie mogły być nosicielkami choroby, ale prawie nigdy na nią nie cierpiały. A jeżeli przekazywały chorobę córce, córka mogła ją opanować. Wszystko było w chromosomach. Chłopiec dostawał X od matki i Y od ojca, natomiast dziewczynka dostawała dwa chromosomy X, po jednym od każdego z rodziców. Błędna genetyczna informacja znajdowała się w chromosomie X. Mężczyzna z hemofilią przekazywał niewłaściwy chromosom X. Mężczyzna chory na hemofilię przekazywał zły chromosom córce, ale dobry, który otrzymywała od matki, równoważył tamten zły. W ten sposób stawała się nosicielem, ale nie chorowała. Każda kobieta ma dwa chromosomy X, natomiast mężczyźni X i Y. Zatem chłopcy mają pięćdziesiąt procent szans na otrzymanie złego X od matki. I nie mogą go wyeliminować, bo nie mają drugiego dobrego X, mają bezwartościowy Y, który na nic im się nie przyda w tej walce.

Były też inne aspekty, wszystko o Królowej Wiktorii i rosyjskiej rodzinie królewskiej, o Rasputinie. Królowa Wiktoria była nosicielką. Poza tym w rodzinie nie musiała wcześniej występować hemofilia, choroba mogła pojawić się spontanicznie. A umiarkowany hemofilyt mógł nie wiedzieć, że ma tę chorobę, dopóki nie przyszła pora na operację albo usunięcie zęba. Im więcej Hoffer czytał, tym bardziej zastanawiał się, czy nie zrobić badania krwi. Zawsze łatwo nabijał sobie siniaki, a raz pluł krwią przez kilka dni po wizycie u dentysty. Może miał hemofilię. Mógł się wszystkiego spodziewać po matce.

Hoffer nie był pewien, czy fakt, że Demolka chorował na hemofilię, miał jakieś znaczenie. Możliwe, że w jego rodzinie występowała ta choroba; mógł się również interesować jako osoba postronna. Nie uzyska dostępu do jakichkolwiek źródeł, a nawet gdyby, to co z nimi zrobi? Będzie rozmawiać z wszystkimi chorymi? Zaciągnie ich tu, żeby Gerry Flitch ich oglądał, każdego z osobna?

A właśnie, o wilku mowa...

— Pan Flitch?

— Tak.

Hoffer podał mu rękę. — Leo Hoffer, pozwoli pan, że postawię panu drinka.

— Dziękuję bardzo.

Hoffer strzelił palcami, a barman skinął głową. Za pierwszym razem, kiedy Hoffer tak zrobił, barman obrzucił go lodowatym spojrzeniem, że

można by nim mrozić martini. Lecz potem Hoffer dał mu duży napiwek, więc barman stał się jego przyjacielem. Hoffer siedział w miękkim fotelu w ciemnym kącie baru. Flitch przysunął krzesło i usiadł naprzeciwko niego. Wstrząsnął głową, aby poprawić fryzurę.

— To wszystko jest... no, nie wiem — zaczął nie pytany. — Nie codziennie okazuje się, że drinki stawia ci międzynarodowy terrorysta.

— Gerry, nie terrorysta, tylko płatny zabójca. Mogę do ciebie mówić Gerry?

— Ależ oczywiście... Leo.

— Bardzo proszę. Dobrze, co pijesz? — Barman stał w pogotowiu.

— Poproszę whisky.

— Z lodem pan sobie życzy?

— Iz wodą.

— Oczywiście.

Hoffer podał barmanowi pustą szklanekę. — Tom, ja jeszcze raz to samo.

— Z przyjemnością, panie Hoffer.

Gerry Flitch wyglądał na równie ujętego, a taki był plan od samego początku. Hoffer zebrał ulotki dotyczące hemofilii i wepchnął je za oparcie fotela. Fotel był wspianały, wystarczająco duży i cholernie wygodny. Zastanawiał się, czy mógłby go kupić od hotelu, może nadać na багаż.

— Leo, mówieś, że jesteś prywatnym detektywem.

— Racja, Gerry.

— I policja twierdzi, że jesteś bardzo znany.

— Może w Stanach. — Dobrze. Jak sugerowano, Flitch zadzwonił do Boba Broome'a, żeby sprawdzić wiarygodność Hoffer'a. — To opowiedz mi o sobocie, Gerry. Bez pośpiechu, mam czas cię posłuchać.

Barman Tom zjawił się z drinkami i Hoffer wręczył mu kolejny napiwek. — Tom, pozwolisz jakieś orzeszki albo coś podobnego, co?

— Oczywiście, panie Hoffer.

Orzeszki i chrupki zjawiły się w małych, szklanych miseczkach. Hoffer poczęstował się garścią. Pół godziny temu wypalił odprężającego skęta i teraz zrobił się głodny.

— Dobra — zaczął Flitch — co opowiadać? Piłem w barze, siedziałem na jednym z tych stołków. Facet wszedł na drinka i usiadł kilka stołków dalej. Pil coś bezalkoholowego, chyba grejpfрут z lemoniadą.

— To był tonie, nie lemoniada. Wiemy to z paragonu.

Flitch kiwnął głową. — Tak, tonik, racja. W każdym razie, zaczęliśmy rozmawiać.

— Kto zaczął?
— Chyba ja.
— A ten facet, czy rozmawiał niechętnie?
— Nie, raczej nie, wydawał się bardzo miły. Nie powiedziałaśbyś, że myślał o morderstwie.

— Może nie myślał. Ci faceci potrafią to odizolować, kiedy chcą. O czym więc rozmawialiście?

Flitch wzruszył ramionami. — O ogólnych sprawach. Powiedział mi, że zajmuje się importem-eksportem. Ja odparłem, że jestem strategiem marketingowym. Dałem mu nawet wizytówkę. — Potrząsnął głową. — A potem ni z tego, ni z owego uzbrojeni policjanci zjawiają się pod drzwiami mojego pokoju.

— Gerry, dokonałeś największego przełomu w sprawie. To Demolka popełnił błąd, przyjmując twoją wizytówkę.

— Tak, ale teraz on wie, kim jestem, dla kogo pracuję, gdzie mieszkam. A ja właśnie rozmawiam z tobą.

— Ale nie dowie się, że z tobą rozmawialiśmy, dopóki go nie aresztujemy. Poza tym nie jest głupi. Nie zbliży się do ciebie.

— Nie będzie musiał się zbliżać, co? Z tego, co słyszałem, kilkaset metrów będzie dosyć blisko. — Flitch skończył drinka. Hoffer wiedział, że mężczyzna się denerwuje, ale podejrzewał, że Flitch lubi wypić. Facet był młody, jeszcze przed trzydziestką, ale jego twarz starzała się przedwcześnie, tracąc dobry wygląd, a zyskując dodatkowe podbródki. Jedynie duży facet, taki jak Hoffer, mógł pozwolić sobie na podbródki i nie wyglądać na pijaka. Flitch właśnie upodabniał się do takiego i obraz był już prawie kompletny.

— Gerry, powiedz, używasz koki?

Flitch szeroko otworzył czy. — Hm, chyba nie chodzi ci o colę?

— Nie.

Flitch wzruszył ramionami. — Może i zdarzało się na imprezach. — Zmrużył oczy. — Dlaczego?

Hoffer wychylił się do przodu. — Wiesz, gdzie mógłbym trochę znaleźć?

Flitch uśmiechnął się. — W Liverpoolu mógłbym ci pomóc, ale nie tu.

Hoffer oparł się w fotelu i pokiwał powoli głową, potem wyciągnął szyję. — Następna kolejka, Tom. — Flitch nie zaprotestował. Hoffer potarł dłońią nos. — O czym jeszcze rozmawialiście? O rodzinie? O pracy? O tym rozmawiają biznesmeni w obcych barach, co?

— Nie my, nie zeszło na tematy osobiste. Rozmawialiśmy o tym, jak łatwo się żyło w połowie lat osiemdziesiątych, a potem jak zrobiło się trudno i jak nadał jest. Powiedział coś w rodzaju: „W naszym fachu nie miejsca na rozdarte serca”. — Flitch wzdygnął się na to wspomnienie.

— Facet ma poczucie humoru — stwierdził Hoffer. Zjawił się Tom z drinkami. — Gerry, nie pytam cię, jak ten facet wyglądał. Dałeś policji dobry opis, a do tej pory na pewno już zmienił wygląd. Zadam trudniejsze pytanie. — Hoffer wychylił się do przodu. — Jakie zrobił na tobie wrażenie jako człowiek. Po prostu zamknij oczy, wróć pamięcią do tamtego dnia, skoncentruj się, a potem powiedz, co chcesz powiedzieć. Nie ma się czego wstydzić, w barze nikogo nie ma. No, zamknij oczy. — Flitch je zamknął. — Dobrze, a teraz, żeby cię rozgrzać, zadam ci kilka pytań. Dobrze?

— Dobrze. — Flitchowi drgały powieki niczym młode motyle.

— Powiedz, jak się poruszał, sztywno czy płynnie? Jak podnosił szklankę? Widziałeś, jak chodził?

Gerry Flitch zastanowił się przez chwilę, a potem zaczął mówić.

Później Hoffer umył twarz i ręce w męskiej toalecie i obejrzał się w lustrze. Czuł się zmęczony. Musiał dzisiaj wieczorem zadzwonić do Walkinsa i przedstawić mu wstępny raport. Będzie miał mu dużo do powiedzenia. Walkins nie mógł się doczekać informacji o Demolce. Zupełnie jakby chciał zbudować idealny obraz, który potem mógłby podrzeć na strzępy. Hoffer tak naprawdę nie mógł rozgryźć Wałdinsa. U niego w domu nie było zdjęć córki, chociaż sporo było zdjęć żony, która zmarła na raka płuc. Facet był nadziany; dorobił się na polityce. Kiedy był senatorem, Walkins odłożył pieniądze, prawdopodobnie w większości legalnie. W polityce nie trzeba było oszukiwać, żeby dorobić się małej fortuny. Kiedy jednak Walkins odszedł z polityki, musiał zrobić coś, żeby zamienić małą fortunę w dużą, wystarczająco dużą, by opłacić obsesję Hoffera i jeszcze sporo zachować.

Hoffer miał ochotę wciągnąć parę ścieżek. Dzięki nim nie zaśnie i będzie czujny. Ale miał do wykonania jeszcze jedną pracę, a poza tym był niebezpiecznie blisko końca swoich zapasów. Wyszedł z ubikacji i zbajerował recepcjonistkę, która pozwoliła mu zajrzeć do pokoju 203. Policja nieźle go przekopała. Na toalecie, szafie i telewizorze jeszcze widać było proszek do pobierania odcisków palców. Lecz wyglądało na to, że „Mark Wesley” poświęcił trochę czasu na odkurzanie, zanim się wymeldował. Zostawił Wika suchych ręczników na podłodze w pokoju, bo dla czego tam

leżały, jeżeli nie używał ich do odkurzania? Jednak policja twierdziła, że ma połowę odcisku dłoni z wewnętrznej strony drzwi i kciuk z czajnika. Oczywiście nie byli pewni, czyje to są odciski. Mogły należeć do pokojowej albo gościa lub poprzedniego mieszkańca. Dowiedzą się dopiero, jak zaarrestują Marka Wesleya, czy jakkolwiek teraz się nazywał. Opylili też karetkę, ale Wesleyowi pomagano przy wsiadaniu i wysiadaniu. Niczego nie dotykał.

Pokój niczego Hofferowi nie zdradził. Gerry Flitch też za dużo mu nie powiedział. Sam budował własny portret Demolki, ale nie wiedział, dokąd go to zaprowadzi. Nie był psychologiem ani specjalistą w sporządzaniu portretów psychologicznych. Miał kolegę w FBI, który może więcej by z tego wszystkiego wynioskował. Wrócił do recepcji, gdzie recepcjonistka już miała wydruk i jego fotokopie. Wręczył jej obiecaną dwudziesdęc. Uzyskał już te informacje od Boba Broome'a, ale chciał sprawdzić, czy Broome gra z nim uczciwie. Wszystkie informacje tam były. Facet użył karty kredytowej, aby zarezerwować pokój, ale przy wymeldowaniu zapłacił gotówką. Policja przeprowadziła testy i sprawdziła numery seryjne na banknotach pobranych przez hotel w sobotę. Najważniejszym przełomem jednak okazała się karta kredytowa. Domowy adres, jaki Mark Wesley podał w hotelu, oczywiście był fałszywy, ale karta kredytowa okazała się prawdziwa.

Uzyskanie informacji z firmy obsługującej karty trwało trochę, ale teraz poznali wszystkie kłamstwa Wesleya: zawód, datę urodzenia, rodowe nazwisko matki. Hm, może to wszystko było sfabrykowane, ale może było w tym kilka półprawd i przeoczeń. Wszystko będzie sprawdzone. Firma od kart kredytowych przesłała informację na adres w St John's Wood i tam też miał wyruszyć Hoffer, gdy tylko zjawi się jego szofer.

Broome przybył spóźniony jedynie pięć minut, więc Hoffer wybaczył mu.

— Pracowity ranek? — zagadnął Broome, gdy pasażer wsiadł do środka.

— Raczej tak, a u ciebie?

— Powoli do przodu.

W drodze do St John's Wood Hoffer opowiedział Broome'owi o tym, czego dowiedział się na temat hemofilii.

— Gdybyśmy zdobyli listę zarejestrowanych hemofilików, na pewno szybko zawęzilibyśmy zakres poszukiwań.

— Chyba. Zobaczę, co da się zrobić. To może być ślepy zaułek.

— Ale tego nie dowiemy się, dopóki nie natrafimy na ścianę, co?

— Chyba nie. Ale może pójdziemy na skróty. Właśnie mijamy Lorda, tak przy okazji.

— A którego to Lorda?

— Po prostu Lorda. To świątynia krykieta.

— Boisko sportowe, hm? Krykiet to jest to samo co baseball, tylko łatwiejszy? — Broome obrzucił go posępnym spojrzeniem. — Tylko żartowałem, ale oglądałeś kiedykolwiek mecz baseballu? Najlepsza gra na świecie.

— Chyba dlatego tyle krajów w niego gra...

Przyjechali pod blok i zaparkowali na parkingu wyłącznie dla mieszkańców. Kiedy dotarli do właściwych drzwi. Broome chciał zadzwonić, ale wtedy zauważył, że Hoffer wyciąga zza pasa smith & wessona.

— Chryste, Leo!

— Jak to, przecież nasz człowiek może tam być.

— To tylko usługa pocztowa, to wszystko. Adres zamieszkania. Poza tym, spodziewają się nas, więc schowaj ten pistolet.

Hoffer niechętnie wepchnął pistolet za pas i zapiął marynarkę. Broome zadzwonił do drzwi i czekał. Drzwi się otworzyły.

— PanGreene?

— Nadinspektor Broome?

— Tak jest. — Broome pokazał legitymację. — Możemy wejść?

— Oczywiście.

Poprowadził ich krótkim, mrocznym korytarzem do salonu. Mieszkanie znajdowało się na parterze. W tak małym Hofferjeszcze nigdy nie był. Jedna sypialnia i jedna łazienka, a kuchnia była połączona z salonem. Jednak było dobrze wykończone, jeżeli wolałeś, aby dom był urządzony zgodnie z modą, a nie z własnymi upodobaniami. Wszystko wyglądało na właśnie zakupione w salonach Habitat.

Desmond Greene był po czterdziestce, żylasty, o zwisającej szczęce, nadmiernie ruchliwych dłoniach i oczach unikających twojego spojrzenia. Kiedy mówił, wyglądał, jakby wygłaszał wykład do bladej tapety. Hoffer od razu go przejrzał i wiedział, że to pedał; co było bez znaczenia. Hoffer często spotykał mężczyzn, co do których gejostwa był pewien, a ci dopiero później przedstawiali mu swoje nadmuchiwane żony. Co też było bez znaczenia.

Broome postanowił nie przedstawiać Hoffera. W polityce stołecznej policji nie leżało w zasadzie ciągnięcie za sobą w śledztwie prywatnego detektywa z Nowego Jorku. Może Broome miał nadzieję, że Hoffer będzie trzymał gębę na kłódkę.

— Jak długo pan kręci ten biznes? — zapytał Hoffer.

Greene przesunął palcami po twarzy niczym w reklamie kremu. — Cztery i pół roku, w tym interesie to długo.

— Jak pana znajdują potencjalni klienci?

— Och, ogłaszam się.

— W lokalnej prasie?

Oschły uśmiech. — Raczej w tej kosztownej. Regularnie zamieszczam reklamę w czasopismach.

— W jakich czasopismach?

— Mój Boże, ależ jest pan ciekawski.

Hoffer spróbował przywołać swój oschły uśmiech. — Tylko kiedy połuję na wyrachowanego mordercę i ktoś stoi mi na drodze.

Greene wyglądała na zdezorientowanego i Bobb Broome przejął inicjatywę. Hoffer nie miał nic przeciw temu, bał się, że przestraszył Greene, który teraz nie powie prawdy, żadnej prawdy. Nie przeszkadzało mu nawet to, jak Broome patrzy na niego, jakby Hoffer właśnie poprosił harcerza, żeby wsunął mu dłoń do kieszeni spodni i poznał wuja Grzyba.

— Jak długo przekazywał pan pocztę panu Wesleyowi?

— Rozumie pan — Greene doszedł nieco do siebie — że adresy pocztowe służą zachowaniu tajności?

— Tak, rozumiem. Ale jak mówiłem przez telefon, jest to śledztwo w sprawie wielokrotnego zabójstwa. Jeżeli nie będzie pan współpracował, postawimy panu zarzut utrudniania.

— A wtedy rozbierzemy to przytulne gniazdko na części — dodał Hoffer.

— Hejku — powiedział Greene, odzyskując świadomość. — O rany.

— Hoffer — powiedział cicho Broome — idź nastaw czajnik. Może pan Greene będzie chciał napić się herbaty.

A co ja, kurwa, jestem, pokojówka? Hoffer wstał i przeszedł do kuchni. Teraz stał za Greene'em i Greene o tym wiedział. Wychylił się w fotelu, jakby obawiał się dźgnięcia nożem między łopatki. Hoffer uśmiechnął się, zastanawiając się, jak Green zareagowałby na chłodną lufę pistoletu na karku.

— Więc — mówił Broome — chce nam pan pomóc?

— Cóż, oczywiście. Moim zadaniem nie jest ukrywanie morderców.

— Może mógłby pan opowiedzieć nieco o usługach, jakie pan oferuje?

— Są takie same jak w przypadku innych moich klientów. Mam ich czterdziestu paru. Odbieram pocztę, a oni mogą kontaktować się ze mną

telefonicznie, żeby sprawdzić, co przyszło, ewentualnie mogę im przesyłać ją raz w miesiącu. Prowadzę też usługę odbioru telefonów i przekazywania wiadomości, ale pan Wesley z tego nie korzystał.

— Jak dużo poczty dostaje?

— Prawie wcale. Rachunki i wyciągi bankowe.

— I te rzeczy pan mu przesyła?

— Nie, odbiera je osobiście.

— Jak często?

— Rzadko. Jak mówię, to tylko wyciągi bankowe i rachunki.

— Jakiego rodzaju rachunki?

— Za karty kredytowe, zdaje się. Nie potrzebuje wyciągu z karty, żeby spłacić zadłużenie, prawda? Prosty czek i notatka z numerem konta wystarczą.

— Prawda. Nigdy nie przesyła mu pan poczty?

— Raz tylko, do hotelu w Paryżu.

— Pamięta pan nazwę hotelu?

Green poręcił głową. — Niestety, to było ponad rok temu.

— A może dwa lata? — podsunął Hoffer.

Greene lekko odwrócił się w jego stronę. — Możliwe.

Hoffer spojrział na Broome'a. — Ten Holender, dealer heroiny. Demolka sprzątnął go w Paryżu przed dwoma laty.

Broome skinął głową. Woda się zagotowała i Hoffer podniósł czajnik, potem zreflektował się.

— Czy ktoś rzeczywiście chce herbatę? Ja to bym zabił za drinka.

— Mam dżin — odparł Greene. — I kilka puszek piwa.

— To pana przyjęcie — skwitował Hoffer z uśmiechem.

Tak więc Broome i Hoffer dostali po piwie, a Greene siedział z dżinem z tonikiem. Rozluźnił się wtedy nieco. Piwo było dobre, chociaż lalka miesięcy przeterminowane.

— Dobrze — odezwał się Broome — więc poczta trafia tutaj i Wesley dzwoni, a pan mówi mu, co przyszło?

Greene sldnął głową, zamieszał swojego drinka palcem, a potem obliżał koniuszek.

— Czy kiedykolwiek prosi pana o otwarcie poczty i przeczytanie? Greene mlasnął. — Nigdy.

— I nigdy nie otrzymał niczego poza rachunkami?

Hoffer wtrącił: — Żadnych grubych, brązowych kopert pełnych banknotów? Żadnych pękatych przesyłek ze zdjęciami i szczegółami następnej ofiary?

Greene zadrżał cały.

— Może pan podać jego rysopis? — poprosił Broome, ignorując Hoffer. Greene opisał mężczyznę, któremu Garry Flitch dał swoją wizytówkę.

— Hm, to by było wszystko tymczasem, panie Greene — powiedział Broome. Pustą puszkę postawił na dywanie.

— Jest jeszcze jedno — dodał Greene.

— Co takiego?

— Nie zapytacie, czyjakaś poczta teraz czeka na niego?

— O, a czeka?

Greene nagle uśmiechnął się szeroko, pokrywając zmarszczkami twarz. — Tak! — zapiszczał. — Czeka!

Jednak podnieciwszy obu mężczyzn, najwyraźniej teraz się wahał. W końcu było to przestępstwo, otwierać cudzą pocztę bez wyraźnego zezwolenia. A zatem Broome musiał sporządzić odręczną notatkę, że zabiera list i że ma do tego prawo. Greene przeczytał oświadczenie.

— Może pan dopisać, że jestem zwolniony z wszelkiej odpowiedzialności i możliwych skutków prawnych?

Broome dopisał wtedy kilka słów, potem złożył podpis i postawił datę. Greene ponownie się przyjrzał. Hoffer stał blisko za nim, ciężko dysząc.

— Dobrze — powiedział Greene, składając oświadczenie, ale pozostawiwszy je na stole. Poszedł po list. Kiedy nie było go w pokoju, Hoffer wydarł świeżą kartkę z brulionu, złożył i zamienił z tą, leżącą na stole, którą zmiął i schował do kieszeni. Puścił oko do Broome'a.

Greene wrócił do pokoju. Machał cienką kopertą.

— Wygląda na wyciąg bankowy — powiedział.

To był wyciąg bankowy.

Bank był zamknięty, kiedy do niego dojechali, ale personel nadal znajdował się na miejscu, bilansując księgi. Kierownik, pan Arthur, wprowadził ich do biura.

— Nic dzisiaj nie mogę zrobić — oświadczył. — Jest zbyt późno, aby znaleźć kogoś w zarządzie. Rozumiecie, panowie, że istnieją kanały, którymi należy się porozumiewać, autoryzacja i nawet dokładne sprawdzenie może potrwać dość długo.

— Znakomicie to rozumiem, proszę pana — odparł Bob Broome — ale im szybciej weźmiemy się do pracy, tym szybciej dotrzemy do celu. Ten człowiek zamordował na pewno sześć osób, dwie z nich tu, w kraju.

— Tak, rozumiem i jutro rano zrobimy, co w naszej mocy, jak naj-
szybciej, dzisiaj tego po prostu nie da się wykonać.

Znajdowali się w oddziale na Piccadilly jednego z dużych banków. Naturalnie oddział był zapracowany, idealny dla kogoś takiego jak De-
molka, kto potrzebował anonimowości.

— Gdybyśmy mogli jedynie porozmawiać o jego koncie przez kilka
minut — nalegał Broome.

Kierownik zerknął na zegar na ścianie i westchnął.

— Proszę bardzo — powiedział.

Broome wy dobył wyciąg bankowy. Nic tam nie było szczególnego. Dotyczył zeszłego miesiąca i wykazywał sumę tysiąca pięciuset funtów na
pierwszego, potem czekiem i z bankomatu wybrano w ciągu miesiąca ra-
zem dziewięćset funtów, pozostawiając na koniec sześćset. Arthur wpro-
wadził do komputera numer konta.

— Mhm — powiedział, przyglądając się ekranowi — od tego bilansu
wyciągnięto jeszcze kolejne pięćset funtów.

— Innymi słowy — powiedział Hoffer — po prostu wyczyścił konto?

— Tak, piątek, sobota i niedziela. Wyciągał pieniądze codziennie.

Hoffer zwrócił się do Broome'a: — Pozbywa się tożsamości Mark
Wesley. — Potem mówił do kierownika. — Panie Arthur, zdaje się, że od
tej pory to konto będzie uśpione.

— Możemy się dowiedzieć, gdzie wyciągał gotówkę? — zapytał
Broome.

Arthur ponownie przyjrzał się monitorowi. — W centrum Londynu
— odparł.

— Co ze starymi czekami? — pytał Hoffer. — Przechowujecie je?

— Tak, przynajmniej przez jakiś czas.

— Możemy spojrzeć na te, które wróciły?

Arthur skinął głową. — Kiedy otrzymam autoryzację.

Broome spojrział na Hoffera. — Co sądzisz?

— Musi płacić ludziom. Może nie zawsze ma przy sobie gotówkę.

— Myślisz, że czekiem płaci za broń i ładunki wybuchowe?

Hoffer uniósł ręce, spodem w stronę Broome'a. — No, może nie, ale
musimy sprawdzić. Może jest coś, za co zapłacił albo *komu* zapłacił, co
doprowadzi nas wprost do niego. Teraz będzie w podziemiu, zajęty jest
wyrabianiem nowej tożsamości. Nam pozostało jedynie trzymać się jego
starej. Musimy węszyć, ile się da. — Zwrócił się do Arthura, który wy-
glądał na zaskoczony tą wymianą zdań. — Potrzebne są nam stare cze-

ki, stare wyciągi; potrzebujemy lokalizacji każdej maszyny, z której korzystał. Może zarysuje się jakiś schemat, który nam wskaże, gdzie mieszka.

- Maszyny? — zdziwił się Arthur.
- Bankomatu — wyjaśnił Broome.

8

Siedziałem w pokoju hotelowym, licząc pieniądze.

Miałem w gotówce cztery i pół tysiąca; pieniądze, które przechowałem w gospodarstwie Maxa. Kolejne pięć tysięcy miałem w skrytce depozytowej na Knightsbridge i dwadzieścia pięć tysięcy w gotówce w innym sejfie w tym samym miejscu. Szacowałem, że przez pewien czas jestem zabezpieczony. Prawie całkowicie opróżniłem konto bankowe Marka Wesleya i zrealizowałem jego karty kredytowe. Nadal miałem konto i karty Michaela Westona i obojętnie, jak bardzo policja będzie rozpracowywać „Marka Wesleya”, nie uważałem, że skojarzą go z Michaeliem Westonem.

W hotelu, w którym się zatrzymałem, poproszono o kartę kredytową jako gwarancję, ale zamiast tego zapłaciłem z góry. Część pieniędzy schowałem do torby, a część do kieszeni, zostawiając dwa tysiące nadal na łóżku. Więcej pieniędzy miałem w Nowym Jorku, a część w Zurychu, ale zdecydowanie nie będę musiał ich ruszać.

Ostatnie dwa tysiące zwinąłem i wepchnąłem do czubka jednego z zapasowych butów, potem schowałem buty do szafy. Musiałem wyjąć wszystko z torby. Sztuczne, tekturowe dno było luźne i pod nie wsunąłem pieniądze. Rozległo się ciche stukanie do drzwi. Otworzyłem je i wpuściłem Bel.

— Jak twój pokój? — zapytałem.

— W porządku. — Właśnie wzięła prysznic. Włosy miała wilgotne, twarz rumianą. Była ubrana w dżinsy i T-shirt. Byliśmy w nowym hotelu, Remmingtonie. Nie leżał w centrum, ale to mi nie przeszkadzało. Wiedziałem, że tak szybki powrót do Londynu był niebezpieczny. Nie chciałem znaleźć się w pobliżu Craigmear ani Allington. Zamieszkaliśmy więc w znacznie mniejszym hotelu, niedaleko Marylebone Road, poręcznym, jak powiedziała recepcjonistka, żeby odwiedzić Madame Tussaud, Planetarium i Regent's Park. Udawaliśmy, że przyjechaliliśmy na wakacje z Nottingham, więc wyglądaliśmy na zainteresowanych, gdy nam to mówiła. W zasadzie Bel była nawet bardziej niż *zainteresowana*.

— Nie będzie dużo czasu na zwiedzanie — ostrzegłem ją teraz.

— Nie martw się — ucieła. — Przyjechałam tu do pracy... A co to takiego? — Wskazywała moje „sprzęty”. Leżały na łóżku: strzykawki i cała reszta. Zacząłem je chować z powrotem do torby.

— Bierzesz narkotyki?

— Nie, tylko... czasami muszę wziąć zastrzyk. Choruję na hemofilię.

— To znaczy, że dużo krwawisz?

— To znaczy, że jak krwawię, to czasami nie chce przestać bez pomocy.

— Zastrzyku? — spytała, a ja potaknąłem. — Ale nic ci nie jest?

Uśmiechnąłem się do niej. — Nic. — Doszła do wniosku, że uwierzy mi na słowo.

— To gdzie mnie zabierasz na kolację?

— Może na hamburgera?

— Mieliśmy hamburgery na lunch.

To prawda. Zatrzymaliśmy się przy autostradzie, gdzie hamburgery wyglądały najapetyczniej na wystawie. Bel zasługiwała na coś lepszego, szczególnie w pierwszą noc w Londynie. To robiło z niej naiwnego buraka ze wsi, którym nie była. Ale nie była w Londynie od pięciu lat, przez większość roku nie wyjeżdżała z Yorkshire. Zastanawiałem się, czy dobrze zrobiłem, przywożąc ją tutaj. Jak wielkim ciężarem będzie dla mnie? Nadal nie sądziłem, że grozi nam jakieś prawdziwe niebezpieczeństwo poza aresztowaniem.

— Hm, to sama wybierz restaurację: włoską, chińską, francuską, tajską? W Londynie znajdziesz różne smaki.

Rzuciła się na moje łóżko i przyjęła pozę pełną zamyślenia.

— Tyle czasu minęło od Tottenham — dodałem. — Od tamtej pory tak wiele rzeczy mogło się wydarzyć.

Chciałem pojechać taksówką do Tottenham, ale Bel upierała się przy metrze. Odprowadziliśmy forda do wypożyczalni i zapłaciliśmy gotówką. Nie było sensu zatrzymywać go; planowałem przebywać w Londynie przez kilka dni. Jeżeli chodzi o Bel, to rzeczywiście wyglądała jak turystka, szeroko otwarte oczy, bez cienia strachu, gotowa wytrzymać spojrzenie obcego, nawet uśmiechnąć się i zacząć rozmowę. Tak, widać było, że jest tu nowa. Ja byłem niestety troszeczkę bardziej światowy, chociaż też byłem turystą. Wysiedliśmy z metra na Seven Sisters i zjedliśmy kolację w karaibskiej restauracji, gdzie Bel musiała wziąć sobie drugą kolejkę ponczu i w rezultacie zrobiło się jej niedobrze. Nie jadła zbyt wiele, poza ryżem z drobiowymi podrobami i plackami. Ryba była dla niej zbyt słona, a mięso za ciężkie.

W restauracji była wieczorna gazeta. Przejrzałem ją i znalazłem najświeższe wiadomości na temat zabójstwa Ricks. Dyplomata z hotelu Craigmead narobił smrodu, gładząc o braku bezpieczeństwa i o spisku MI5 przeciw niemu. Według niego, MI5 i jakieś państwo sąsiadujące z jego krajem byli w zмовie.

— Mać dalej, brachu — powiedziałem do jego nieostrej fotografii. Dalej na stronie był ciekawszy urywek, dodany nieomal jako komentarz. Opisywał „tajemniczy telefon” do hotelu; przywołanie, które Eleanor Ricks zignorowała. To mnie zaintrygowało. Czyżby mój zleceniodawca przestraszył się i próbował ją ostrzec? A skoro nie udało mu się jej ostrzec, czyżby zadzwonił na policję? Słyszałem historie o pracodawcach, którzy rozmyślali się. Wcale mi to nie przeszkadzało, o ile nie prosili o zwrot kosztów. Jeżeli domagali się zwrotu pieniędzy, wtedy była to całkowicie inna sprawa.

Szliśmy długą High Road, zaglądając do kilku mniej zdrowych pubów. Wyjaśniłem już Bel, kogo szukam, a ona była zadowolona ze świeżego powietrza i ruchu. Ruch był zablokowany aż do samej góry, do Monument Way, a potem całą drogę w dół. Wstąpiliśmy do Volley, ale nie było tam nikogo znajomego. W Tottenham zawsze musiałem uważać. Mogłem tam spotkać ludzi, którzy mogliby sądzić, że czegoś szukam albo weszę. Na przykład czasami kupowałem wybuchowy plastik i detonatory od dwóch Irlandczyków, którzy tu mieszkali. W zasadzie nie mieli sprzedawać dalej tych rzeczy i zawsze byli nerwowi.

Był jeszcze Harry Capaldi, alias Harry Carry, alias Andy Capp, zwany też Harry Czapa. Fakt, czasami nosił czapkę. Prawda też, że zawsze był nerwowy. Jeżeli Harry się przestraszył i schował się, nie będę zadowolony. Uważałem więc, żeby o niego nie pytać w żadnym z barów. Nie chciałem, aby dotarło cokolwiek do niego, zanim ja się nie zjawię. Gdzieś w połowie Dowsett Estate Bel zaczęła uskarżać się na nogi.

— Zaraz odpoczniemy — powiedziałem. Zaprowadziłem ją z powrotem na High Road i w pierwszym pubie, do którego weszliśmy, usiadła przy stole, więc zapytałem, co pije.

— Colę. — Na co skinąłem głową i poszedłem do baru.

— Colę, poproszę i małe piwo. — Kiedy barmanka nalewała, przyjrzałem się ofercie alkoholi. Miałem ochotę zamówić brandy. Ochotę, ale nie tak wielką. W barze nie było Harry'ego Czapy. Może w poniedziałkowy wieczór siedział w domu. Nie chciałem go nachodzić. Wiedziałem, że ma trochę broni, a ludzie, którzy mieszkali piętro wyżej, byli dealerami. Wystarczyłby jeden strzał, a budynek zamieniłby się w „Czas apokalipsy”.

Zaniosłem napoje do stolika. Bel zdjęła buty i rozcierała stopy. Mężczyźni w barze byli tak spragnieni czegoś nowego, że pożerali ją wzrokiem, jakby nie miała poprzestać na zdjęciu butów. Kiedy zdjęła kurtkę, myślałem, że jeden z nich spadnie ze stołka.

— Nowe buty — powiedziała Bel. — Wiedziałam, że nie powinnam ich zabierać.

— A mówią, że mieszcuchy to mięczaki.

Obrzuciła mnie spojrzeniem. — Na zdrowie — powiedziała, podnosząc szklanekę. Zgryzła kawałek lodu i rozejrzała się po barze. — Więc to jest to wielkie, złe miasto? Jak tu znajdziemy twojego przyjaciela?

— Będziemy się rozglądać. Zdziwisz się, ile jest pubów stąd do White Hart Lane.

— I będziemy wchodzić do każdego?

— Taki mam pomysł.

— A zamiast tego, nie możesz do niego po prostu zadzwonić?

— On nie ma telefonu.

— No to będziemy chodzić. — I zamówiła kolejną colę.

— A jeżeli chodzi o telefon, dzwoniłaś do Maxa?

— Daj mi spokój. Wyjechałam dopiero dzisiaj rano.

— Będzie się martwił.

— Nie, nie będzie. Będzie oglądał powtórki sitcomów i śmiał się do rozpuku.

Próbowałem sobie to wyobrazić, ale nie udało mi się.

— Słuchaj, Michael, nie pogniewasz się, jak coś powiem?

— Co takiego?

— Mamy być razem, tak? Jak para. Spójrz na siebie, wyglądasz raczej na mojego opiekuna.

Spojrzałem na siebie.

— Chodzi o to — ciągnęła Bel — że przede wszystkim siedzisz zbyt daleko ode mnie. Jakbyś bał się, że cię ugryzę. Sposób, w jaki siedzisz: nie jest ci wygodnie, nie bawisz się dobrze. Jesteś jak nóż sprężynowy, który zaraz ma się otworzyć.

— Dzięki — powiedziałem i przysunąłem się na ławce bliżej niej.

— Lepiej, ale jeszcze nie doskonale — dodała. — Rozluźnij ramiona i nogi.

— Zdaje się, że wiesz co nieco o grze aktorskiej.

— Sporo oglądałam telewizji przed południem. Tak dużo lepiej. — Teraz dotykaliśmy się ramionami i udami.

Skończyłem swoje piwo. — Dobra, lepiej ruszajmy dalej.

— Co?

— Jak mówiłem, Bel, mamy jeszcze sporo pubów do obejścia.

Westchnęła i wsunęła buty. Mężczyźni w pubie przenieśli uwagę na telewizję. Ktoś nad brzegiem rzeki patroszył rybę.

Byliśmy w pubie na Scotland Green, tym, gdzie ludzie przychodzili po wpisaniu się do urzędu zatrudnienia po drugiej stronie ulicy. Zawsze było tu tłoczno, na dodatek pełno zakamarków. Może być ciasno, ale to nie znaczyło, że nie mogłeś się tu ukryć. Harry Czapa chował się za rogiem obok jednorękich bandytów. Siedział na wysokim stołku, miał na sobie wzorzystą koszulę przeznaczoną dla kogoś o trzydzieści lat młodszego, dzinsy jak wyżej, no i oczywiście swoją czapkę. Przyszło mi do głowy, że powinienem mu przywieźć tę, którą kupiłem; pewnie bardziej by ją docenił niż Bel.

Nie grał na automatach, a w zasadzie to gapił się w automat sprzedający papierosy.

— Cześć, Harry — powiedziałem. Przyglądał się mi i nie poznawał, potem zaśmiał się, zanosząc kaszlem. Gdy się tak trząsał, na szyi podzwaniały mu trzy złote łańcuchy. Na nadgarstkach i palcach miał jeszcze więcej złota, a do tego złotego rolexa na prawej ręce.

— Dobry Boże — powiedział w końcu — to mnie nieomal zabiło. — Wytarł oczy. — Pobiłeś go potem?

— Kogo?

— Tego ślepcę, który cię strzygł. Szatańsko. Nie powiem nawet, co sądzę o kolorze.

— No, czemu nie skorzystać z okazji?

— Przepraszam, synu. — Ściszył głos i odchrząknął. — Mam się napraszać czy zamierzasz mnie przedstawić?

— Przepraszam, Harry. To Belinda. Belindo, to Harry.

— Co pijesz, dziewczyno?

Spojrzała na mnie, a ja skinąłem głową. — Colę poproszę.

— Potrzebuje twojej zgody? A ty pewnie chcesz podwójną brandy, załóżę się?

— Nie dzisiaj, Harry. Wystarczy małe piwo.

Potrząsnął głową. — Chyba słuch mi słabnie.

— Ja przyniosę — powiedziałem. — Nadal jesteś SP?

— W rzeczy samej. — Bel wyglądała na zaskoczoną, więc wyjaśnił skrót: — Sok pomidorowy. Nie mogę już więcej pić, bo od tego ręce mi się trzęsą.

Skinęła głową, rozumiejąc wszystko. Przyniosłem drinki, kiedy Harry wypróbowywał swoje teksty. Nie musiałem się martwić; Harry był w porządku. Był trzeźwy jak świnia i nie uciekał przed policją, urzędnikami ani adwokatami byłej żony. Był w porządku.

Kiedy wróciłem, Bel grała na jednej z maszyn.

— Już wyciągnęła cztery funty — oznajmił Harry.

— A ile wsadziła?

Harry ze znanstwem pokiwał głową. — One zawsze to wsadzają z powrotem.

Bel nawet na nas nie spojrzała. — Kto wsadza? — zapytała. — Kobiety ogólnie czy kobiety, które znasz ogólnie? Bo to jest zasadnicza różnica.

Harry zmarszczył nos. — Widzisz — powiedział teatralnym szeptem — sprawy nie mają się tak samo od czasów emancypacji kobiet. Kiedy moja Carlotta spaliła swój stanik, wiedziałem, że to koniec. Na zdrowie.

— Na zdrowie. — Popiłem piwo i zauważyłem, jak Bel puszcza do mnie oko. — Harry — powiedziałem. — Potrzebujemy czegoś.

— My?

— Bel i ja.

— Czego potrzebujecie? Zezwolenia na ślub?

— Nie, czegoś, co pomoże nam pokonać kilkoro drzwi, coś ze stemplem.

— Na przykład?

— Miałem nadzieję, że będziesz miał parę pomysłów.

Potarł nieogoloną szczękę. — Tak, może bym coś znalazł. Kiedy byś potrzebował tego?

— Dzisiaj.

Szerzej otworzył oczy. — Jezu, Mark, już kiedyś dawałeś mi trudne zlecenia, ale to...

— Dałbyś radę, mimo wszystko?

— Nie zamierzałem dzisiaj wieczorem pracować... — Wtedy uświadomiłem sobie dwie rzeczy: jedną, że *może* to zrobić, i drugą, że zastanawia się, ile może zażądać.

— Płatność gotówką? — zapytał. Skinąłem głową. — Wiesz, że lubię gotówkę.

— Wiem.

— Jezu, dzisiaj. No, nie wiem...

— Ile, Harry?

Zdjął czapkę i podrapał się po głowie, zapominając na moment o łuszczycy. Wielkie płatki skóry sfrunęły mu na ramiona. — Dobrze, Mark, wiesz, że moje ceny są rozsądne.

— Harry, różnica jest taka, że tym razem nie mam za to płacone.

— Cóż, może dla ciebie to różnica, dla mnie *nie*. Stawka musi być sprawiedliwa.

— Więc powiedz, co jest sprawiedliwe.

— Pięćset.

— Co dostanę za pięćset?

— Dwie legitymacje.

— Niewiele.

Wzruszył ramionami. — To ekspres. To najlepsza oferta, jaką mogę zaproponować.

— Ile to potrwa?

— Kilka godzin.

— W porządku.

— Masz przy sobie pieniądze? — Przytaknąłem, a on potrząsnął głową. — Biega taki po Tottenham z pięcioma paczkami przy sobie, a założy się, że nawet nie ma noża.

Za nami jednoręki bandyta wypluwał kolejną wygraną Bel.

— To na pewno twój szczęśliwy wieczór — stwierdził Harry Czapa.

Rozgośćcie się — powiedział.

To nie było łatwe w mieszkaniu Harry'ego Czapy na pierwszym piętrze. Przede wszystkim fotele, które tam się znajdowały, zavalone były stertami starych gazet i czasopism. Po drugie, połowę już i tak ciasnego salonu zajmowało prowizoryczne studio fotograficzne. Na ścianie zawieszono białe prześcieradło, by stworzyć tło, a z trójnoga zwisała samotna, zdezelowana lampa błyskowa. Harry stuknął w lampę od tyłu.

— Mam nadzieję, że żarówka cała, bo krwio pijcy chcą za nią sporo. — Żarówka błysnęła raz, potem zapaliła się i tak została. — Ślicznie — powiedział Harry. W pokoju stało proste, drewniane krzesło, którego najwyraźniej kocur używał jako swego legowiska, ale Harry zrzucił niechętnie zwierzę na podłogę i ustawił krzesło przed prześcieradłem, nakierował lampę tak, aby trafiała w wymaginowane miejsce tuż ponad oparciem krzesła. — Ślicznie — powtórzył.

Potem zajął się swoją dumą i radością. Był to specjalny aparat, który sam potrafił zrobić zdjęcie (nieco mniejsze od paszportowego), wywołać je na karcie legitymacyjnej, a potem laminować ją. Harry poklepał ma-

szynkę. — Kupiłem ją od firmy, która zbankrutowała. Wykonywała legitymacje studenckie.

Bel stała przed lustrem, czesząc się. Lustro było duże, stare i sześciokątne, a w środku umieszczono upozowaną fotografię młodej pary ze świadkami.

— Twoi rodzice? — zapytała Bel.

— Nie, kupiłem na Brick Lane. Sporo ludzi popełnia ten sam błąd. Czasami sam nie przyznaję się...

— A skąd ta muzyka?

— Z góry, jakieś czarnuchy.

Ciągły bas pobrzmiwał niczym dziwaczny puls. Ogarniał całe mieszkание.

— Nie możesz się poskarżyć? — zapytała Bel.

Harry zaśmiał się i potrząsnął głową.

— Dobra — powiedział. — Tylko wypiszę te legitymacje.

Miał starą maszynę do pisania, z tych, które wyrzucano z biur na ulicę w latach siedemdziesiątych. Miała mocną konstrukcję, ale czcionki trzeba było ustawić na nowo, albo przynajmniej wyczyścić.

— Nie da się zauważyć, kiedy maszyna to pomniejszy.

Z poprzednich doświadczeń wiedziałem, że to prawda. Kiedy karta została wypisana, umieszczono ją w maszynie, pudełku wielkości walizki przymocowanym do aparatu i wykonano kopię o zmniejszonych rozmiarach, dopiero teraz z fotografią na właściwym miejscu. Normalnie zbytnio się nie przejmowałem. Ludzie rzadko przyglądali się dowodom tożsamości wszelkiej maści. Jeżeli widzieli, że na zdjęciu jesteś ty, byli zadowoleni. Lecz tym razem było inaczej.

— Pamiętaj, Harry, niektórzy ludzie, z którymi będę miał do czynienia, mogą przyjrzeć się tej legitymacji dokładniej. Nie zrób żadnych błędów przy pisaniu.

— Proszę cię, byłem na kursie wieczorowym dla sekretarek. Siedemdziesiąt słów na minutę.

— Nie wiedziałem, że jest siedemdziesiąt dwuliterowych słów.

Zostawiłem go z robotą. Bel ułożyła ostatni kosmyk. Podała mi grzebień, ale ja potrząsnąłem głową. Spojrzałem w lustro i zobaczyłem twarzdziała spoglądającego na mnie. Miał krótko przycięte, czarne włosy i profesjonalnie zmarszczone brwi. Wyglądał jak policjant.

— Jaki chcesz region? — Harry zapytał znad maszyny.

— Lepiej jakiś centralny.

— Centralny — potwierdził. — Wiem, jak to napisać.

Sztuka dobrego podrabiania, oczywiście, nie polegała na stwarzaniu fałszywej tożsamości. Każdy to może zrobić. Sztuka podrabiania to posiadanie autentycznego lub wyglądającego na autentyczny pustego formularza. Harry za nic by nie zdradził, skąd brał blankiety, ani nawet czy były prawdziwe. Domyślałem się, że wpadła mu w ręce oryginalna matryca — jakiś czas temu, a zaprzyjaźniony drukarz zrobił mu kilkaset sztuk. Potrafił też robić inne rzeczy, na przykład postawił gdzieś pieczętkę. Te robił sam, a były piękne. Wykonał raz dla mnie wizę do Stanów, która była nie do rozróżnienia. Tylko bez mojej wiedzy wykonał ją w wersji *studenckiej*. Pytania urzędu imigracyjnego nieomal mnie zdradziły. Kiedy widziałem się z Harrym następnym razem, zrobił mi paszport po preferencyjnej cenie.

— Potrzebne są podpisy was obojga — powiedział. Włączył lampę kreślarską i założył lennonki wydawane na receptę ze zniżką, takie, których nie cierpiałeś nosić jako dziecko, ale często pragnąłeś mieć jako dorosły. Osobiście nigdy okularów nie potrzebowałem. Ludzie mówili, że to oznaka czystego życia.

Na legitymacji użyłem nazwiska Michael West; Bel natomiast Bel Harris. Powiedziała, że woli się trzymać własnego imienia. Mówi się, że w najlepszych kłamstwach jest ziarenko prawdy, a te nazwiska tak bardzo różniły się od naszych prawdziwych, że nie pomogą policji. Czasami w Stanach nazywałem się Michael West, ale nigdy wcześniej w Anglii. Bel miała dosyć kłopotów z zapamiętaniem mojego imienia jako Michael, a nie Mark. Nie potrzebowała dalszych utrudnień.

— Dobrze, kochanie — powiedział Harry — gdybyś teraz mogła usiąść na tym krzeselku...

Bel odwróciła się do mnie. — On tak mówi do ciebie?

— Chyba ma na myśli ciebie.

— Ojej — odezwał się Harry. — Zapomniałem na moment. Emancypacja kobiet, co? Nie przejmuj się mną, kochanie, po prostu siadaj.

Bel ostatecznie usiadła, a Harry wsunął blankiet, który właśnie wypisał na maszynie, do maszyny-walizki.

— Nie uśmiechaj się ani nie marszcz — polecił Bel. — Bądź naturalna. Teraz jesteś naturalna jak foka w cyrku. Lepiej, lepiej. — Błysnęła lampa i Harry wyprostował się. — Ślicznie. Potrważ jakieś pół minuty. Siadaj, Mark.

Zamieniliśmy się miejscami.

— Aha, Harry, lepiej zrób mi kilka dodatkowych zdjęć. Chciałbym, żebyś przygotował mi całą nową tożsamość.

— To wymaga czasu, Mark.

— Wiem. Co powiesz na cztery dni?
— Powiedzmy pięć. Czego ci trzeba: paszportu, prawa jazdy, numeru ubezpieczenia?

— Na początek wystarczy.
— Mówimy o poważnych pieniądzach.
— Wiem. Dam ci dwieście a konto.

— A teraz nie myśl o niczym. Najlepiej o papce z groszku, wódce, środkowym napastniku Spurs. Patrz na niego, całkowicie swobodny.

Nastąpił błysk, wtedy Harry przerzucił się na zwykłą lustrzaną. Zrobił jeszcze kilka zdjęć, jednocześnie zadając mi pytania.

— Na jakie nazwisko?
— Może Michael Whitney?
— Data urodzenia?
— Taka jak moja. Nie, zrób miesiąc wcześniej. Miejsce urodzenia: Londyn. Resztę możesz wymyślić, jak sobie chcesz.

— Dobrze, wymyślę.

Kiedy odkleił papier z mojego dokumentu i wręczył mi, czysty, plastikowy laminat był jeszcze ciepły. Pod plastildem widoczna była ta sama marsowa, policyjna mina. Bel nie była zadowolona ze swojej legitymacji. Uważała, że wygląda jak przerażone zwierzę. Przyjrzałem się dokładniej i musiałem się z nią nie zgodzić.

— Bel, ty spójrz na to optymistycznie. Przynajmniej uśmieją się, jak będą nas aresztować. Harry, masz może te...

Ale Harry już wracał do pokoju, wymachując dwoma małymi, skórzastymi portfelikami.

— Wsadź je tu — powiedział. Wolne kieszenie możecie wypełnić, czym chcecie. — Zmiął jeden w dłoni. — Sponiewierajcie je trochę wpierw, inaczej będą wyglądać jak prosto z fabryki. Uśmiechnął się. — Bez dodatkowych opłat.

Na co ja zareagowałem wręczeniem gotówki.

Z biura na rogu ulicy Harry'ego Czapy pojechaliśmy taksówką. Nasz kierowca nie wiedział nawet, gdzie jest Marylebone, a wspomnienie o Baker Street i Regent's Park nie poruszało zmurszałych klepek. Mówiłem mu więc, jak majechać, przez całą drogę do hotelu. Połączył się radiem z centralą, żeby sprawdzić, ile ma zażądać.

— To zależy, czy wyglądają na nadzianych, czy nie — odezwał się głos pośród trzasków. Kierowca spojrzął na mnie we wstecznym lusterku,

a ja potrząsnąłem głową. Dałem mu pieniądze, ale bez napiwku, skoro sam lepiej bym poprowadził, gdyby on usiadł z tyłu.

Kazałem mu wysadzić nas kilka ulic od hotelu. Gdyby ktoś dotarł do Harry'ego Czapy, mógłby zadawać pytania w firmie taksówkarskiej, a oni nie zapomnieliby taryfy z Tottenham na Marylebone Road. Nie chciałem, aby ktokolwiek zbliżył się do mnie na mniejszą odległość. Cóż, miałem na myśli kogoś konkretnego.

— Poczekaj — powiedziała Bel — kupię pizzę.

Weszliśmy więc do baru na wynos, gdzie zamówiła taką średniej wielkości z owocami morza. I z powrotem do hotelu. Zaprowadziłem Bel do jej pokoju. Podsunęła mi pudełko z pizzą pod nos.

— Chcesz mi pomóc przy tym?

Chociaż intencja była niewinna, mimo wszystko było to zaproszenie do jej sypialni, gdzie — aby zjeść — będziemy musieli usiąść na łóżku.

— Dziękuję, nie jestem głodny — odparłem, ale zrobiłem zbyt długą pauzę.

— Nie powiem tacie. — Uśmiechała się. — Czy nie powinniśmy też porozmawiać? Omówić plan na jutro?

Miała rację. — Przy śniadaniu — skwitowałem.

— Czyli zimnej pizzy?

— Nie bądź sprośna.

Poszedłem do swojego pokoju i zadzwoniłem do Maxa. Siedział tuż przy telefonie.

— Wszystko w porządku — oznajmiłem. — Podam ci numer do hotelu, będziesz mógł zadzwonić do Bel o dowolnej porze.

— Dzięki — odpowiedział naburmuszony. Potem znalazł długopis i jakiś papier. Podałem mu telefon do hotelu i numer pokoju Bel.

— Pewnie sama do ciebie zadzwoni — dodałem.

— Jeżeli już o mnie nie zapomniła.

— Nie bądź głupi, Max, mów o tobie przez cały czas. — To było kłamstwo; przez cały dzień nie wspomniła o ojcu, aż poruszyłem ten temat w pubie. *Me powiem tacie.* — Dobranoc, Max.

Odłożyłem słuchawkę.

Znałem Bel już od kilku lat i naturalnie seks nigdy mi... hm, nie to, żeby mi się nie podobała. Nie to, że nie flirtowaliśmy. Nawet nie to, że bałem się, że Max może mnie zakopać najednym ze swoich pół otoczonych kamiennymi murkami. Głównie dlatego, że ja już nie — jak mówią Amerykanie — „brałem się” do seksu. Nie pasował do mojego stylu życia. Kobiety w swoim życiu spotykałem nieczęsto i to na tak krótko, jak to było

konieczne. Jeżeli chciałem którąś poznać, musiałem konstruować pajęczynę kłamstw i półprawd. W rubryce „Samotne serca” nie trafiało się zbyt wiele ogłoszeń od kobiet poszukujących „wysokiego, przystojnego płątnego zabójcy w wieku trzydziestu-trzydziestu pięciu lat, interesującego się balistyką, gotowaniem, podróżami”. Zrezygnowałem więc z kobiet. Nie korzystałem nawet zbyt często z usług hotelowych dziwek, chociaż lubiłem kupować im drinki i wysłuchiwać zmyślonych historii...

A właśnie, wiedziałem, że muszę wykonać jeszcze jeden telefon. Zajął mi trochę czasu, zanim się zdecydowałem. Podniosłem słuchawkę i wybrałem numer z pamięci. Mam pamięć do liczb. Odebrano.

— Hotel Allington, w czym mogę pomóc?

— Chciałbym rozmawiać z panem Leo Hofferem.

— Hoffer? Chwileczkę. — Stukot klawiatury komputera. — Przepraszam, najwyraźniej nie mamy gościa o tym nazwisku.

— Na pewno u was się zatrzymał — nalegałem. — Miał być dzisiaj, a może dopiero jutro się zamelduje?

— Proszę poczekać. — Kobieta zakryła dłońią słuchawkę i zapytała koleżankę.

Koleżanka przejęła słuchawkę. — Halo? Zdaje się, że doszło do nieporozumienia. Pan Hoffer rzeczywiście dzisiaj był w naszym hotelu, ale nie jest naszym gościem.

— Cholera — powiedziałem. — Musiałem dostać błędną informację. Nie wie pani przypadkiem, gdzie się zatrzymał?

— Bardzo przepraszam. Ale przynajmniej wie pan, że pan Hoffer przyjechał.

— Tak, to prawda. Przynajmniej to wiem. Dziękuję za pomoc. — Odłożyłem słuchawkę. Po chwili pozwoliłem sobie na nikły uśmiech. Dobrze było wiedzieć, że Leo tu jest. Tam, gdzie on jest, zajdzie też cyrk, a miałem na myśli dziennikarzy, których najwyraźniej przyciągał i... których potrzebował. Zawsze wiedziałem, kiedy Leo podążał moim śladem, obojętnie jak daleko w tyle.

Musiałem jedynie wziąć do ręki gazetę i posłuchać dziennikarzy.

Widziałem Leo w telewizji w Stanach. Szczerze mówiąc, nie byłem urzeczony. Mówią, że to miłe być poszukiwanym, ale Leo wyglądał na takiego, co to sam powinien siedzieć za kratkami.

Rozległo się ciche stukanie do drzwi. Dwa krótkie stuknięcia i jedno długie: nasz umówiony sygnał. Westchnąłem, wstałem z łóżka i otworzyłem drzwi.

— Masz coś na niestrawność? — zapytała Bel.

— Już dobra — powiedziałem, wpuszczając ją — omówmy ten plan na jutro.

Omówiliśmy. Ustawiliśmy się przed lustrem i pokazałem Bel, jak ma się zachowywać jako policjantka, jak stać, jak mówić, co mówić. Z początku za dużo się uśmiechała, więc zrezygnowaliśmy z tego. Miała naturalnie zgarbione ramiona, wynik — jak twierdziła — wyższego wzrostu od koleżanek i prób zrównania się z nimi.

Po godzinie znudziła się i znowu zaczęła się mylić.

— Słuchaj — powiedziałem. — Spróbujemy raz albo dwa. Później to będzie zbyt ryzykowne. Policja na pewno zorientuje się, że krążą przebie-rańcy. Więc musimy jak najlepiej to wykorzystać, rozumiałaś? — Poczekałem, aż skinie głową. — Pamiętaj, te legitymacje nie były tanie. Teraz przyjrzyj się sobie w lustrze, znowu się garbisz.

Wyprostowała się.

— Lepiej. — Stałem blisko za nią. — Teraz zrób dla mnie jeszcze jedno. — Odwróciła się do mnie.

— Co?

— Zadzwoń od siebie do ojca.

Zmrużyła oczy. — Tak jest, szefie — odparła.

Zamknąłem za nią drzwi na klucz.

9

Najtrudniejszym zadaniem dla Hoffera w Londynie było znalezienie dealera, który nie brałby go za tajniaka albo mszczącego się ojca jakiegoś nastoletniego ópuna.

Dookoła było pełno koki, ale nie właściwej kokainy. Skończyło się na tym, że to, co kupił, zdecydowanie odstawało od pierwszej klasy; prawdopodobnie zawierało pięć części lidokainy i trzy części sody do pieczenia, ale nie mógł zażyć tego kraka ani wciągać dymu, te dwie opcje były zbyt szkodliwe. Był gliniarzem w Nowym Jorku, kiedy krak pojawił się na ulicach. Parę miesięcy i ten narkotyk zalał osiedla mieszkaniowe. Przyjaźnił się wtedy z innym policjantem, który zaczął wciągać. Facet stoczył się jak dobrze nasmarowany skateboard, na sam dół.

Hoffer wszedł w narkotyki w ten sam sposób. Całymi dniami gonił dealerów i klientów, żyjąc tak blisko narkotyków, aż to cholerstwo zaczęło z nim rozmawiać, nawet we śnie. Pewnego dnia skonfiskował kilka butelek koki, ale oddał do depozytu jedną mniej. Wkrótce odkrył, że istniała

podgrupa policjantów używająca sporo narkotyków. Niektórzy zabierali prochy jednemu dealerowi i sprzedawali drugiemu, zatrzymując po drodze paczuszkę. Inni to prawdziwe nałogi o oczach jak świdry, na głodzie. Jako gliniarz, człowiek był uprzywilejowany. Nie trzeba było szukać daleko, żeby zdobyć torebkę białego gówna, i rzadko musiałeś płacić. Ale wciąganie dymu to koszmar. Ktoś próbował go do tego nakłonić, wpuszczając własny dym do balonu i częstując używanym. Hoffer nigdy nie przepadał za tymi bardziej społecznymi aspektami ćpania i powiedział „nie” wdychaniu obcych wyziewów.

A teraz był w Londynie i robił to, co robił.

Do zakupów dodał dwieście miligramów speedu, a żeby zbalansować speed, poprosił o metakwalon albo amfę, ale skończył na librium i jeszcze odrobinie marchy.

— Tajny arsenał — powiedział do siebie po wszystkim. Soho nadal nie zapewniało dobrej zabawy w nocy, więc przemierzał West End. Przesiedział kwadrans w gejowskim barze, zanim uświadomił sobie pomyłkę, aż w końcu zlokalizował dziwkę, która nie chciała iść z nim do hotelu, ale zapewniała własną kwatere. Hoffer nie mógł na to przystać; już kiedyś trafił do brudnej sypialni dziwki, gdzie jej alfons próbował go wyrolować. Tak więc przystali na obciążanie w zaułku, za co zażyczyła sobie dwa-dzieścia. To by oznaczało, że na godzinę zarabia dwieście czterdzieści, a to przyzwoite pieniądze. To nawet więcej niż płacił mu Robert Walkins.

Rano wziął prysznic; wanna była za mała na cokolwiek. Założył poważny, granatowy garnitur i poszedł zobaczyć się z kierownikiem banku.

Pan Arthur wyglądał, jakby to *on* prosił o pożyczkę na operację ratującą życie jego córce.

— Sprawy potoczą się swoim kursem, panie Hopper.

— Hoffer.

— Oczywiście, Hoffer. — Arthur uśmiechnął się niczym ropucha w porze godów. — Ale jest trochę zbyt wcześnie, aby spodziewać się jakichkolwiek rezultatów, jak mówię.

— Mów sobie, co chcesz, ciulu, ale posłuchaj tego. — Hoffer wychylił się do przodu w ciasnym fotelu. — Nie muszę przestrzegać żadnych zasad, więc jeśli chcesz wychodzić z biura w obiad i wieczorem i nie rozglądać się na bold za baseballami, proponuję, abys przyspieszył sprawę.

— Proszę posłuchać...

— Słucham i czuję tylko, że coś śmierdzi, w co nie chcę wdepnąć. A nie jest to studzienka. Teraz, ile masz w sobie ikry, nagabuj dyrekcję, a w międzyczasie pokaż, co masz tu na miejscu.

Górna warga Arthura nagle pokryła się potem. Wyglądał, jakby ze swej postury stracił dziesięć kilo.

— Mam spodcanie o jedenastej.

— Odwołaj.

— Ale nie może mi pan...

— A myślałem, że mogę. — Hoffer wstał, trzymając ręce w kieszeni. Z łokciami sterczącymi na boki wiedział, że wygląda, jakby wziął się z dżungli. Gdyby Arthur posiadał jakąkolwiek motywację, wspiąłby się na ten filodendron w narożniku. — A teraz przynieś mi te papiery.

I przysiadł, starając się sprawiać wrażenie, że jest mu wygodnie. Kierownik siedział jeszcze chwilę, by pokazać, że nie jest zastraszony. Hoffer skwitował to wzruszeniem ramion. Obaj znali prawdę. Arthur wstał powoli, ściskając dłońmi krawędź biurka. I wyszedł z biura.

Wrócił z dwiema teczkami i kilkoma arkuszami ksero. — Tylko tyle mogę teraz zdobyć. Większość naszych dokumentów przesyła się ostatecznie do centrali.

— Powiedz im, że chcesz je mieć tu z powrotem natychmiast. A co ze sprawdzaniem bieżących transakcji Wesleya?

— Trwa. Musimy przejrzeć stare czeki. Nie trzymamy ich w zgrabnych stosikach.

Hoffer wyciągnął rękę po teczkę. Rozległo się stukanie do drzwi.

— Zignoruj — polecił Hoffer.

— Nie mogę. — Arthur podszedł szybko do drzwi i otworzył je. — To ten człowiek, panowie.

Hoffer leniwie odwrócił głowę. W drzwiach stało dwóch policjantów w mundurach. Więc Arthur nie tylko szukał akt. Hoffer jednak zajrzał do nich. Zawierały tylko puste arkusze papieru maszynowego.

— Ty sukinsynie — wycedził. Wtedy policjanci poprosili go, aby poszedł z nimi, a on wstał z krzesła. — Oczywiście. Nie ma problemu — zapewnił ich.

Lecz przez cały czas nie spuszczał z oczu Arthura.

Nigdy więcej! Słyszysz?

Hoffer słyszał. Znudziło się już mu to słuchanie. Bob Broome nie posiadał innych wyrazów w swoim słowniku.

— Bob, możesz zmienić płytę?

Broome uderzył w biurko. — Hoffer, to nie jest śmieszne. To nie jest gra. Nie możesz chodzić i wygrażać urzędnikom bankowym. Jezu Chryste, oni rządzą krajem.

— W takim razie to twój problem. Jednak mogło być gorzej.
Broome oczekiwał wyjaśnień.

— Przynajmniej ten Arthur nie wyglądał na Żyda.

Broome osunął się na fotel. — Hoffer, aleś ty wredny.

Hoffer tego nie potrzebował. — Tak, jestem wredny, ale płacę. Więc co ty na to?

— Czekaj chwilę.

— Nie, przymknij się i słuchaj. Pamiętaj, byłem policjantem i wiem, jak to jest. Udajesz, że jesteś zapracowany, ale przez cały czas mielesz wodę i czekasz, aż ktoś przyjdzie i powie ci, kogo szukasz. Ja dłużej tak nie mogę. Nie mam tego luksusu. Zamiast tego mam głowę i dwie pięści, a jak ci się nie podoba, to zejdź mi z drogi.

— Właśnie oszczędziłem ci sterty gnoju.

— Dziękuję ci za to, ale już wcześniej unikałem gówna i nikt nie musiał dźgać mnie widłami w tyłek.

Broome ze smutkiem pokiwał głową. — Hoffer, nie chcę cię tu już widzieć.

— Ciężka sprawa.

— Nie żartuję. Nie chcę, żebyś tu się kręcił.

— Poradzę sobie, nadinspektorze. — Hoffer wstał. — Ale pamiętaj, to ty do mnie zadzwoniłeś, to ty wzięłeś ode mnie pieniądze. — I wyszedł z biura. Nie kłopotał się zamykaniem drzwi.

Wychodząc z Vine Street, zauważył komisarza Dave'a Edmonda. Znał się przez Broome'a.

— Hej... Dave, tak? — zaczepił go Hoffer z szerokim, amerykańskim uśmiechem.

— Racja — odpowiedział Edmond.

— Jesteś zajęty?

— Hm, właśnie...

— Chciałem postawić ci drinka...

Edmond oblizał usta. Minęło całejedenaście godzin, od kiedy ostatni raz tknął kropelkę. — To miłe.

Hoffer położył mu rękę na ramieniu. — Jest ukryty motyw, Dave. Parę pytań, a Bob uznał, że nie będziesz miał nic przeciw temu...

— Jakich pytań? — Edmond już został poprowadzony w stronę, z której przyszedł.

— Och, o lokalne sprawy. Wiesz, balistyka, miejsce zbrodni, takie tam. I wszystko, co masz na temat zmarłej.

Edmond powiedział, że jeżeli mają rozmawiać o broni, to powinien też zaprosić Barneya. Sierżant Barney Wills był na posterunku specjalistą od uzbrojenia. Zabrali więc do pubu Barneya.

Był to znowu jeden z pubów w stylu historycznym, które ogłupiały Hoffer. W Ameryce bar wyglądał jak bar, miejsce, gdzie szedłeś się napić. Nie widział sensu końskich zbroi, reprodukcji żaglowców w ramkach i półek z książkami. Tak, *książkami*, jakby ludzie nagle pomylili to miejsce z biblioteką i postanowili napić się przy okazji, skoro już tu byli.

To wszystko zakrawało na żart, było dalekie od autentyczności. Reprodukcje były nowe i oprawione w plastik, książki kupowane z metra. Często narzekał na Anglików. Zbyt łatwo dawali się naciagać. Edmond i Barney stanowili idealny materiał dla prawdziwego artysty-oszusta, idealny, bo myśleli, że to oni nabierają jego. Był tylko głośnym Jankesem z pieniędzmi i głupimi pomysłami. Ograją go, wyśmieją, napiją na jego koszt, a po drodze jedynie opowiedzą parę historyjek.

Hofferowi ta gra nie przeszkadzała. Wiedział, kto kogo pieprzy. Gdyby to działo się na planie filmu porno, obaj policjanci mieliby półdupki poddańczo odstąpione.

Barney powiedział mu, co laboratorium dowiedziało się o snajperskim karabinie. To znaczy, że rzeczywiście z niego padł fatalny strzał i że była to broń specjalistyczna, wykorzystywana w siłach zbrojnych, ale nie w powszechnym obiegu. W Brytanii nie było łatwo wejść w posiadanie takiej broni, chociaż ostatnio dealerzy narkotyków nie mieli z tym problemów. Armia i Marynarka Królewska używała L96A1, ale cywilni snajperzy nie korzystaliby z tego.

— To było super magnum — mówił Barney, pomiędzy łykami szkockiej. — Amunicja kaliber 338 lapua magnum. Bóg jedyny wie, gdzie to zdobył.

— Muszą być jacyś lewi dealerzy broni — zasugerował Hoffer.

— Tak, ale nawet oni nie oferowaliby L96. To znaczy, połowa ich nawet nie wiedziałaby, jak taki karabin trzymać. To strzela na tysiąc metrów, komu to potrzebne? A luneta, jaką założył, to sprzęt pierwszej jakości, musiał kosztować fortunę.

— Ktoś musiał mu fortunę płacić — dodał Edmond.

— Pytanie brzmi, kto? — Hoffer zamówił następną kolejkę. — Przyjrzałem się płatnym zabójcom, panowie, to znaczy całej grupce. Pomijając tych świrów, którzy rozwalają z uzi lokalną knajpę z hamburgerami; ci przeważnie mają za sobą przeszłość wojskową. To ma sens, nie? To zna-

czy, tam przechodzą szkolenie, tam pierwszy raz smakują, co potrafi zdziałać broń.

Obaj mężczyźni skinęli głowami, zbyt zajęci piciem, aby mu prze-rwać.

— Ale ten gość choruje na hemofilię, a przynajmniej tak uważamy, a lekarze zapewniają, że wojsko nie przyjmie takiego. — Hoffer'a uderzy-łyjego własne słowa: *przeszłość wojskowa*. Może na coś trafił. Zastanowił się nad tym przez chwilę. Edmond i Barney nie zauważyli tego. Zaczęli właśnie rozmawiać o jakimś meczu krykieta. Ostatecznie Hoffer wrócił do realnego świata. Sprawił to brzęk pustych szldanek o drewniany blat. Nie żeby jego kompani cokolwiek sugerowali.

— Panowie, to musi być ostatnia kolejka. Wszyscy jesteśmy zajęci. — Tak znowu ich wciągnął i doszedł do wniosku, że bilans jest ujemny. Wy-dawał forszę, a nic nie dostawał w zamian.

— Więc Barney, co z tymi dealerami broni? Tymi z czarnego rynku, oczywiście. Są najakiejs liście, czy co? Przydałoby mi się zerknąć.

Co innego mógł Barney zrobić? Jedyne kiwnąć głową i powiedzieć, że zobaczy, co da się zrobić. A Hoffer odwrócił się do Edmonda.

— Słuchaj, Dave, miałeś mi opowiedzieć o Eleanor Ricks...

Jednostkę wojskową nie było aż tak cholernie trudno znaleźć.

Hoffer spodziewał się jakiejś piekielnej dziury w środku zadupia, ale było to tuż na północ od Londynu, na granicy miasteczka-sypialni, tuż obok osiedla.

Kiedy rozmawiał z jednostką przez telefon, powiedzieli, że może do-trzeć bezpośrednim pociągiem; podróż zajmuje jedynie pół godziny. To właśnie zrobił. Ludzie nabierali samych siebie, jeżeli myśleli, że mieszka-ją na „wsi”. Nie mieszkali nigdzie, a raczej mieszkali *na...* kredyt. Londyn dobierał się im do sznurówek. Pracowali tam, zarabiali na życie, a Londyn chciał coś w zamian. Chciał *ich*.

Starali się wyglądać na zamożnych i rozmawiać w odmienny sposób, ale byli bladzi, nieomal wyglądali na chorych, a ich samochody jedynie przyczyniały się do większych korków. Hoffer, który zastanawiał się, czy nie przyjechać taksówką, cieszył się, że wybrał pociąg. Ulice były całkowi-cie zablokowane. Ktoś mówił o dziesięciokilometrowym korku na M25. Nazywano tę drogę „orbitalną”. Można było w krótszym czasie okrążyć kulę ziemską. Pociąg jednak był daleki od ideału. Z Londynu wyjechał z opóźnieniem i nie był sprzątny ani wietrzony, od kiedy wydalil z siebie byłdo dojeżdżające. Cuchnął potężnie, a na podłodze zalegały śmieci.

Taksówka, którą Hoffer pojechał z dworca, wcale nie pachniała lepiej, a z tyłu było tylko trochę więcej miejsca niż na siedzeniu Brytyjskich Kolei. Wepchnął nogi po przekątnej i tym póki co musiał się zadowolić. Kazał wysadzić się przy wejściu do jednostki. Zaskoczył go widok uzbrojonych strażników przy bramie. Jeden wskazał mu ruchem głowy wartownię.

— Skąd ten rygor, szefie? — zapytał Hoffer, gdy strażnik zadzwonił już w jego sprawie.

— Terrorysty — wyjaśnił strażnik. — Czuwamy nieustannie.

— Myślałem, że przestali was nękać, a zajęli się resztą nas?

— Nigdy nic nie wiadomo.

Hoffer, uzbrojony w tę filozoficzną złotą myśl, został skierowany do biura.

W połowie drogi przywitał go młody żołnierz o twarzy najwyraźniej wyprasowanej razem ze spodniami i koszulą.

— Pan Hoffer? Major pana oczekuje.

— Miło z jego strony, że zgodził się ze mną spotkać, mimo tak krótkiego terminu. — Hoffer nieomal musiał biec, aby dotrzymać kroku żołnierzowi. Gdzieś po drodze Hoffer chciał zorientować się, jak facet się nazywa, ale był zbyt zajęty łapaniem oddechu. Wprowadzono go do budynku i kazano zająć miejsce. Przyjął to z ulgą. Próbował skupić wzrok na plakatach o rekrutacji i błyszczących broszurach. Można by pomyśleć, że wybiera się wakacje, a nie ryzykowną dla zdrowia karierę. Żołnierze w broszurkach wyglądali na twardych i prostolinijnych chrześcijan. Od razu wiedziałeś, że demokracja i wolny świat będą bezpieczne w ich rękach, nawet jeżeli wrzuci się ich do kraju, którego języka nie znali, a odległe wzgórze pełne są ognia moździerzowego i muzułmanów.

Hoffer przyłapał się na gwizdaniu „God Bless America” i zreflektował się w samą porę.

Gdzieś dalej na korytarzu otworzyły się drzwi. — Pan Hoffer?

Hoffer poszedł na spotkanie z majorem. Major nazywał się Drysdale i przywitał się suchą i chłodną dłońią, trochę jak pastor z kościoła baptyistów. — Proszę wejść.

— Mówiłem pańskiemu... ee, mówiłem, że naprawdę doceniam, że zgodził się pan mnie przyjąć.

— Cóż, pański telefon był dość intrygujący. Nieczęsto zdarza się, że mam okazję spotać śledczego z Nowego Jorku. A właśnie, są pewne formalności... Mógłbym zobaczyć pańską legitymację?

Hoffer sięgnął do kieszeni i wyciągnął legitymację, która nieszczęśliwie zaginęła w momencie jego rezygnacji z pracy w policji. Czasami się przydawała. Władza często wolała rozmawiać z prawdziwym oficerem, a nie z prywatnym detektywem. Hoffer uznał, że to właśnie jest taka okazja. Drysdale spisał kilka szczegółów z legitymacji, zanim ją oddał. To zmartwiło Hoffer'a, ale nie za bardzo. Może zapiszą go w wojskowych dokumentach, ale wątpił, żeby posunęli się tak daleko, aby dzwonić do jego rzekomych pracodawców w Stanach. Ciągłe było głośno na temat cięć w wojsku, a telefony kosztowały.

— Tak więc — powiedział major Drysdale — w czym mogę pomóc, panie Hoffer?

Biuro było małe i proste, pozbawione wszelkich osobistych elementów. Drysdale mógł właśnie się tu wprowadzić, co by wyjaśniało wystrój. Lecz Hoffer widział, że majorowi jest tu wygodnie, jakby spędził w tym gabinecie całe lata. Był zaledwie PR-owcem, oficjalnym obliczem armii. Prawdziwy organ jednostki krył się gdzie indziej. Lecz Hofferowi nie był potrzebny organ, chciał jedynie uzyskać kilka odpowiedzi. Chciał, żeby ktoś życzliwie go wysłuchał. Zachowywał się jak najlepiej i założył swój najlepszy garnitur, ale Drysdale nadal traktował go z lekkim rozbawieniem, jakby nigdy wcześniej nie widział takiego eksponatu.

Jeżeli chodzi o samego majora, to był wysoki i kościsty, do tego stopnia, że ręce można było mu złamać szczypcami do cięcia krabów w chińskiej restauracji. Miał krótkie, jasne włosy i niebieskie oczy niczym faszysta z ligi młodzieżowej, a do tego wąsik, który mógł być narysowany na twarzy długopisem. Nie był już młody, ale nadal wokół kołnierzyka koszuli pojawiał się trądzik. Możliwe, że miał alergię na krochmal.

— Cóż, majorze — powiedział Hoffer — jak mówiłem przez telefon, to pytanie medyczne i mało precyzyjne, ale wiąże się z serią morderstw, a dokładniej mówiąc, płatnych zabójstw i wobec tego będziemy wdzięczni za wszelką pomoc, jakiej udzieli nam wojsko.

— I współpracuje pan też ze Scotland Yardem?

— Och, naturalnie. Mam ich pełne poparcie.

— Czy może pan podać mi nazwisko kontaktowe u nich? — Długopis Drysdale'a zawisł nad kartką w notesie.

— Oczywiście. Hm, nadinspektor Broome. Pisze się B-r-o-o-m-e. Z nim trzeba rozmawiać. Pracuje przy Vine Street w centrum Londynu.

— Nie w Scotland Yardzie?

— No, oni razem nad tym pracują.

— Pomarańczowa, dobrze pamiętam?

— Słucham?

— Ta Vine Street — padło. Hoffer nadal niczego nie rozumiał. — Na planszy do monopoly.

Hoffer uśmiechnął się, nawet zachichotał i potrząsnął głową nad dowcipem.

— Ma pan telefon do tego nadinspektora?

— Och, tak, oczywiście. — Cholerna armia. Hoffer podał majorowi Drysdale'owi numer. Świerbiła go skóra, musiał opanować chęć podrapania się. Żałował, że przed wyjściem nie zażył trochę speeda.

— Może zanim zaczniemy — ciągnął swoje Drysdale, w zasadzie nie robiąc trudności, ale jedynie przestrzegając procedur — mógłby mi pan opowiedzieć co nieco o śledztwie. Och, a może herbaty?

— Tak, proszę.

Drysdale podniósł słuchawkę i zamówił herbatę i „trochę herbatników”. Potem oparł się wygodnie i czekał, aż Hoffer opowie mu wszystko o Demolce.

Trwało to chwilę, lecz w końcu, dwie filiżanki mocnej, brązowej herbaty później, Hoffer doszedł do punktu, od którego chciał zacząć. Drysdale zadawał pytania o wszystko, począwszy od pierwszego błędu zabójcy po karabin snajperski, którego użył w Londynie. I cały czas robił notatki, chociaż Hoffer chciał mu powiedzieć, że to nie jego interes, chciał mu wyrwać notes i rozszarpać zębami. Teraz pocił się, a obwiniął za to zatrucie taniną. Gardło pokrył mu filc.

— Widzi pan — powiedział — jeżeli człowiek, którego szukamy, nie był w wojsku, hm, to może był lub nadal jest w jakiś sposób powiązany. Najbardziej oczywistym powiązaniem, jakie mi przychodzi do głowy, to oczywiście związki rodzinne.

— Myśli pan o bracie lub siostrze?

— Raczej nie, bardziej o ojcu. To powinien być jego ojciec, ktoś, kto mógł zaszcześcić mu... skłonność do broni.

— Wie pan, normalnie nie pozwalamy dzieciom ćwiczyć z ostrą amunicją.

— Nie o to mi chodzi. Na pewno liczy się przede wszystkim dyscyplina... niewątpliwie. Lecz powiedzmy, że ten człowiek umiał obchodzić się z bronią, czy więc nie chciał przekazać tej wiedzy własnemu synowi?

— Nawet gdyby syn nigdy nie miał wstąpić do wojska?

— Chłopak mógł być nastolatkiem, zanim odkryto, że jest chory na hemofilię. Umiarkowanie chorzy dowiadują się o tym dopiero w doro-

słym wieku. W przypadku operacji na przykład, kiedy ktoś zauważy, że ma kłopoty z krzepnięciem krwi.

— To wszystko bardzo ciekawe — odpowiedział Drysdale, przyszu-
kując rozliczne notatki — ale nie wiem, do czego nas to doprowadzi.

— Powiem panu. Do dzieciaka, u którego wojskowy lekarz zdiagno-
zował hemofilię, kiedyś w przeszłości, jakieś dwadzieścia albo trzydzieści
lat temu. Musicie mieć to w aktach.

Drysdale zaśmiał się. — Może mamy dokumenty, ale wie pan, o co
prosi? Musielibyśmy sprawdzić każdą bazę tu i za granicą, każdy ośrodek
medyczny. Przy założeniu, że przetrzymują tak dawne dokumenty. Przy
założeniu, że dziecko było leczone przez lekarza wojskowego. Przecież
z powodzeniem mógł iść do lekarza cywilnego. Pominąwszy to, że mógł
zabrać z sobą dokumentację.

— Co?

— Kiedy zmienia się lekarza, nowy lekarz żąda od poprzedniego
kartoteki. Samemu jej się nie przechowuje, lekarz to robi. Obecny lekarz.

— Jest pan pewien? Może gdybym porozmawiał z kimś z waszego
medycznego...

— Naprawdę nie uważam, że jest to konieczne.

Hoffer rozważał swoje opcje. Mógł walnąć faceta. Mógł się przymilać.
Mógł proponować łapówkę. Nie sądził jednak, że coś z tego się sprawdzi,
więc wybrał rozczarowanie.

— Majorze, naprawdę przykro mi, że nie potraficie przyjść z pomo-
cą. Wie pan, ilu niewinnych ludzi zabił ten człowiek? Wie pan, że on nie
poprzestanie, dopóki go nie złapiemy? On nie zrezygnuje i nie będzie
zmieniał fachu. Nie wyobrażam sobie, żeby pracował jako kelner.

Drysdale znowu się uśmiechnął. — Proszę posłuchać, wiem, o co pa-
nu chodzi. Doceniam pańską...

Hoffer powstał. — Nie, panie majorze, z całym szacunkiem, ale pan
nie wie. Nie będę zajmować panu cennego czasu. — Odwrócił się do
drzwi.

— Proszę poczekać.

Hoffer zaczął. Odwrócił głowę.

Drysdale teraz też stał. — Może uda mi się rozpytać ogólnie.

Hoffer zawrócił. — Byłoby wspaniale.

— Niczego nie mogę obiecać, rozumie pan.

— Oczywiście. Wszyscy staramy się, jak możemy.

Drysdale skinął głową. — Zobaczę, co da się zrobić. — Hoffer podał
mu rękę. — Mówię to w imieniu nas wszystkich.

— Będę w kontakcie — powiedział Hoffer.

Kiedy czekał w recepcji na swoją „eskortę”, zauważył małą fontannę z wodą do picia i rzucił się w jej stronę, napełniając usta wodą, siorbał, pluł, aż w końcu przełknął kilka łyków.

— Jak oni mogą to pić? — zawołał, wycierając usta.

— To tylko woda — odezwał się z tyłu żołnierz.

— Chodzi mi o tę waszą cholerną herbatę — dodał Hoffer.

10

Zastukałem ponownie.

— Chodź — powiedziałem — popracujmy. Już nie jesteśmy turystami.

W sumie Bel nie widziała zbyt wielu zabytków Londynu, chyba że termin „zabytek” był wystarczająco obszerny, by objąć także Tottenham i lalka kiepskich restauracji. Nasłuchiwałem pod jej drzwiami, aż usłyszałem, jak wstaje z łóżka.

— Spotkamy się na dole — zawołała.

Wróciłem do swojego pokoju i znowu spróbowałem zadzwonić. Tym razem uzyskałem połączenie. Szukałem tak kogoś w British Telecom. Nazywał się Allan i tanio się nie sprzedawał.

— To ja — przedstawiłem się. — Zaczęli już podsłuchiwać pana linię?

— Nie, ale prawie wszystkie inne. Mogę sprzedać panu ostatnie brudy rodziny królewskiej, jak pan chce.

Nie wyglądało na to, żeby żartował. — Nie, dziękuję — powiedziałem. — Szukam paru numerów.

— Domyślam się, że chodzi panu o te zastrzeżone, bo inaczej dzwoniłby pan do biura numerów.

— Sprawdziłem, są zastrzeżone. Pierwszy jest do pani nazwiskiem Eleanor Ricks.

— Tej zastrzelonej?

— Możliwe.

— Musi pan uważać. Czasami Scotland Yard albo MI5 wprowadza słowa do systemu. Jak pan powie to słowo, a oni je wychwycają, nagrywają całą rozmowę.

Allan zawsze próbował wyrzucić na mnie wrażenie — albo przestraszyć, sam nie wiedziałem co — zważywszy taki komentarz.

— Może jej mąż jest abonentem — kontynuowałem. — Nazywa się Frederick Ricks. Według tabloidów mieszkają w Camden. Ich adres też jest mi potrzebny.

— Rozumiem. — Przerwał. — Powiedział pan: kilka nazwisk?

— Joe Draper szefuje firmie produkującej dla telewizji. Ma dom w Wiltshire, jego numer by się przydał, a do tego adresu, jakie ma w mieście, poza biurowym. Biuro jest w książce.

Słyszałem, jak Allan zapisuje informacje. Bezgłownie pobłogosławiłem brytyjskie media, które dostarczyły mi potrzebnych informacji.

— Widzę, że w wiadomościach znowu jest o inflacji — powiedział w końcu.

— Tylko nie kolejna podwyżka, Allan. Będzie pan za drogi.

— To specjalna oferta dla stałych klientów, podwyżkę zatrzymano na dziesięciu procentach tylko przez miesiąc.

— Szczery do bólu. Ten sam adres?

— Kogo stać dziś na przeprowadzkę?

— Gotówką może być?

— Pewnie.

— Aha, jeszcze jedno nazwisko...

— To już jest naciąganie.

— Powiedzmy, że to prezent dla mnie. Scotty Shattuck. — Przeliterowałem. — Gdzieś w Londynie chyba, i pewnie ma telefon.

— Jasne. Postaram się. Płatne jeszcze dzisiaj, dobrze?

— Wepchnę zapłatę do skrzynki. Jak mnie nie będzie, proszę zostawić szczegóły w recepcji. Podam numer.

Podąłem i rozłączyłem się. Na dole Bel już siedziała w małej jadalni, sypała sobie płatki z jednoporcjowej paczki.

— Widzę, że nie należysz do tych kobiet, które stroją się godzinami. — Usiadłem obok niej.

— Wiesz o tym sporo, co?

— Co przez to rozumiesz?

— Och, nic. — Nalała sobie mleka i zaczęła jeść.

Wiedziałem, co chciała powiedzieć. Otóż, że jest zgrabna, a ja nie zalecałem się do niej, więc w jakim to mnie stawiało świetle? Była ubrana w spodnie, niebieską bluzkę i kurtkę. Było to najprostsze ubranie wej ba-gażu. Starałem się patrzeć na nią oczami policjanta. Nie mogłem. Nie potrafiłem. Ale to w zasadzie ja będę mówić; to na mnie będą patrzeć. A przyglądając się sobie rano w lustrze, widziałem twardego glinę mierzącego mnie wzrokiem. Wyglądał, jakby chciał wyciągnąć mnie na ulicę.

— Nie jesz? — zapytała Bel.
— Nigdy nie jem dużo z rana. Wypiję tylko trochę kawy.
— Jeżeli tu ktoś się zjawi, żeby ciebie obsłużyć. Odkąd weszłam, nie widziałam żywej duszy. Wszystko stoi na kredensie, ale nie ma kawy.

Podszedłem do kredensu i rozejrzałem się. Okazało się, że w termosie znajduje się wrzątek, a w jeden z szafek znalazłem słoik z kawą rozpuszczalną.

— Mniam, mniam — skomentowała Bel.

Kawa smakowała tak, jak zawsze smakuje kawa z termosu. Przypominała mi boiska, mecze oglądane wspólnie z ojcem, kiedy obaj chowaliśmy się pod kocem w kratę albo parasolami i kapturami, w zależności od pogody. W przerwie jedliśmy kanapki, popijając kawą. Z termosu.

— Więc w planach na dzisiaj — zagadnęła Bel, wybierając resztki płatków — mamy wizytę w męskim świecie, co? — Skinąłem głową. — Ja będę elementem ozdobnym, a ty będziesz zadawać pytania? — Ponownie skinąłem głową. — Michael, jesteś całkowicie pewien, że potrzebne ci są moje kosztowne usługi? Małpkę z cyrku możesz dostać taniej. — Wtedy dotknęła mojej dłoni. — Tylko się droczę. Wypij kawę i chodźmy stąd. Ta jadalnia jest zupełnie jak z jakiegoś horroru. Nie mogę przestać myśleć o tych wszystkich gościach i służbie zamordowanej w łózkach. — Zaczęła się śmiać, ale nagle przestała, a w jej spojrzeniu kryło się coś pomiędzy wstydem a strachem. Wiem, co doładnie ją uderzyło: to, że w pobliżu kręcił się dokładnie jeden morderca.

Nie wiedziałem, gdzie szukać Scotty'ego Shattucka, ale nie byłem gotowy czekać w hotelu na Allana, żeby się ze mną skontaktował. Tak więc na Marylebone Road złapaliśmy taksówkę i pojechaliśmy na Oxford Street, gdzie — nad sklepem sprzedającym coś, co najdelikatniej można opisać jako „tandetę”, znajdowało się centrum rekreacyjne o nazwie „U Chuczka”.

Max doskonale opisał, jak wygląda Shattuck, i dzięki temu opisowi musieliśmy znaleźć człowieka, który dla utrzymania formy robił coś więcej, niż tylko biegał po parku.

„Wygląda jak krzyżówka walijskiego kuca i szafy trzydrzwiowej” — tak powiedział Max.

W Londynie sporo było siłowni, sporo miejsc, gdzie spoceni faceci dźwigali ciężary, zachęcani przez innych mięśniaków. Niektórzy z nich bez wątplenia zażywali trochę koksu, aby wspomóc rozwój mięśni i wydajność. To byli ci, którzy mieli przerwę między rękami a torsami, kiedy

szli, i nie mogli nic poradzić, by zamknąć te przestrzenie. Z tak zwanymi wrzodami pod pachami.

Sporo siłowni, ale tylko jedna lub dwie takie jak Chucka. „U Chucka” to coś więcej niż sala gimnastyczna; to miejsce, gdzie można było posiedzieć; to przystań dla tych, którzy chcieli utrzymać formę między zleceniami. Nie spotykałeś „U Chucka” tych przerośniętych koksów. Byli tu za to ci autentycznie twardzi mężczyźni z sił zbrojnych albo ci, którzy przeszli do rezerwy, ale nadal trzymali formę. Ludzie czasami rekrutowani do pracy za granicą, do pracy, o której opowiadali „U Chucka”, ale nigdzie indziej. Do Chucka wprowadził mnie były marines z Królewskiej Marynarki, który nadał mi poprzednie zlecenie. Nie było go, kiedy weszliśmy, ale sam Chuck był.

Miał około pięćdziesiątki, włosy jak stalowa wełna, a ubrany był w połowy T-shirt, mocno napięty na piersi. Mężczyźni ćwiczący na przyrządach za nim zagwizdali z uznaniem na widok Bel, gdy Chuck zbliżył się do nas. Bel zaczerwieniła się ze złości.

— W czym mogę pomóc?

— Pan jest właścicielem tego przybytku?

Przywołał znudzoną minę. Jedno pytanie wystarczyło, aby zdefiniował, z kim ma do czynienia. Wiedziałem, że mnie nie rozpozna; sporo się zmieniłem, od kiedy Brent Storey przyprowadził mnie tutaj.

— Tak jest — powiedział ostrożnie.

— Szukam kogoś o imieniu Scotty.

Twarz Chucka pozostała nieodgadniona. — Szkota? — zaryzykował.

Nie uśmiechnąłem się. — Scotty Shattuck — mówiłem dalej. Jedną rękę trzymałem w kieszeni. Miałem włożone, podobnie jak Bel, obcisłe rękawiczki z czarnej skóry. Kupiliśmy je pod drożdże tutaj. Jej pomysł. Nie powinny zadziałać, ale rzeczywiście w nich wyglądaliśmy bardziej na oficerów policji. — Bawi się ciężarami — kontynuowałem. — Mały facet, ale dobrze zbudowany. Były wojskowy.

— Przepraszam — powiedział Chuck, ignorując to wszystko — ale nie dosłyszałem pańskiego nazwiska.

— West, komisarz West.

— A to jest...? — Miał na myśli Bel.

— Posterunkowa Harris — powiedziała z kamienną twarzą.

Chuck przyjrzał się jej przeciągle, nie przejmując się tym, że ja to widzę. Dwaj klienci korzystający z maszyn przerwali i podchodzili spacerkiem w naszą stronę, wycierając ręcznikami szyje. Kolejnych trzech przysiadło pod oknem. Ruch na ulicy docierał pod postacią dręczącego, ciche-

go warkotu, z wibracjami od autobusów, od których trzęsły się lustra na ścianach.

— No — Chuck odezwał się w końcu — nie mogę pomóc, zdaje się.

— Proszę posłuchać, nie szukamy kłopotów. Po prostu muszę porozmawiać z panem Shattuckiem.

— Nie sądzę. — Chuck potrząsał głową, wspierając ręce na biodrach.

— Absolutnie nie będzie miał żadnych kłopotów, panie...

— Nazywają mnie po prostu Chuck, a inaczej Trzask. A wiesz pan dlaczego? Bo jak ktoś mi się nie podoba, to go mogę *trzasnąć*, aż wyleci przez okno.

— A próbował pan tego kiedyś z policjantem?

— Dziwne, że pan pytasz. Mów pan, czego chcesz od Scotty'ego.

— Więc zna go pan?

— Może jestem tylko ciekawy. — Sprawdzał dzielącą nas przestrzeń.

— Chodź — odezwała się Bel. — Idziemy.

Chuck podniósł wzrok. — Chcę tylko wiedzieć, dlaczego go szukacie.

Kiedy byłem tu ostatni raz z Brentem, atmosfera była całkowicie odmienna. Lecz wówczas przyprowadził mnie członek, ktoś, kogo wszyscy znali. Wtedy też nie byłem policjantem. Źle osądziłem to miejsce. Wyglądało na to, że Chuck miał rozrachunki z organami.

— Nie mogę powiedzieć — odparłem, potrząsając głową. — Ale zapewniam, że to nic poważnego.

— Nie?

Teraz dwaj twardziele stanęli po bokach Chucka. Wiedzieli, że nie muszą niczego mówić. Ich głosy jedynie zepsułyby efekt.

Nagle Bel otworzyła swoją legitymację, tak jak to robią aktorzy w telewizji. — Jeżeli nie powie nam pan, gdzie szukać pana Shattucka, będzie to oznaczać, że nie współpracuje pan z policją. Można to uznać za utrudnianie pracy.

Może oglądała za dużo telewizji przed południem.

Chuck uśmiechnął się, wpierw do jednego ze swoich ludzi, potem do drugiego. Najwyraźniej znalazł coś bardzo interesującego na czubkach butów, więc przyglądał się temu, jednocześnie mówiąc.

— Nie mam nic do powiedzenia. Nie znam nikogo o nazwisku Scotty Shattuck. Koniec, kropka. Do widzenia, żegnaj, adios, au revoir.

Wytrzymałem jeszcze chwilę, przekonany, że mu nie wierzę. Moglibyśmy się wycofać, moglibyśmy spróbować innej taktyki, ale nie mieliśmy

na to czasu. Poza tym, gdybyśmy teraz wyszli, Shattuck dowiedziałaby się o nas i zniknęłaby. Nie było innego wyboru.

Tak więc wyciągnąłem broń.

Niełatwo jest ukryć MP5 heckler & koch, ale zawsze jest to warte efektu. Dlatego właśnie pożyczyłem od Maxa kurtkę. Była obszerna, a on dodatkowo wszył w nią kieszeń, żeby łatwiej nosić pistolet. To co, że pocitem się, jak było gorąco?

MP5, długie na pół metra, ważące trzy kilo, można nosić wszędzie, nie wywołując zamieszania. To pojawiało się dopiero, kiedy wyciągałeś MP5 i celowałeś w kogoś. Trzymałem ją w jednym ręku i celowałem prosto w Chucka.

— W magazynku ma piętnaście naboí — oznajmiłem. — A nastawiłem go na serie po trzy. Żyjesz już trochę, Chuck, więc wiesz, co to ci może wyrządzić. Będziesz leżał na podłodze w dwóch kawałkach, tak jak cała reszta. A potrwa to wszystko ze trzy sekundy.

Chuck cofnął się o dwa kroki i lekko podniósł ręce, ale poza tym wydawał się całkiem spokojny jak na zaistniałe okoliczności.

— Chcę wiedzieć, gdzie on jest — powtórzyłem. — Jak mi powiesz, porozmawiam z nim. To wszystko, tylko porozmawiam. Ale jak go tam nie będzie, jeżeli ktoś go ostrzeże, to wtedy tu wrócę.

Goryle Chucka nie mogły oderwać oczu od broni. Mówiąc szczerze, nie wiedziałem, czybym należycie z tego wycelował, nieważne strzelanie. Nie przywykłem do pistoletów maszynowych, a co dopiero do tych tak krótkich, że można było strzelać jedną ręką. Nie wymachiwałem nim z dwóch powodów: po pierwsze, wiedziałem, że wystraszy każdego nie na żarty; po drugie, nie miałem czasu na wysłuchiwanie przeczących odpowiedzi na moje pytania.

— Wiedziałem, że nie jesteś gliną — wycedził Chuck.

— Tylko chcę z nim porozmawiać.

— Spierdalaj.

Mężczyźni kucający pod oknem powstali. Słyszałem oddech Bel pół kroku za sobą. Mogłem wiedzieć, że ładna twarz nie wystarczy dla ludzi takich jak Chuck. W swoim czasie zupełnie nie zważali na nie.

Nie zamierzał mówić, więc pomachałem trochę pistoletem. Jeden z goryli przemówił za niego, może za wszystkich.

— Scotty mieszka w Norwood, niedaleko Crystal Palace.

— Adres.

Podał mi. — Ale nie ma go tam od jakiegoś czasu. Tu też go nie widziałem.

— Myślisz, że ma zlecenie?

Goryl wzruszył ramionami.

— Dobra — powiedziałem. — Przepraszam za kłopot. — Zacząłem się wycofywać w stronę drzwi. Bel już wyszła. — Pozwalam wam wracać do ciężarków. Wygląda, że niektórzy z was stracili z kilogram w gatki. — Spojrzałem ponownie na Chucka i pomachałem mu pistoletem po raz ostatni. — Nazywają to wsparciem najemnika.

Potem zniknęliśmy.

Taksówka zabrała nas na południe od rzeki.

Bel powiedziała, że czuje się jak pijana z podniecenia na siłowni i krótkim biegu potem, do świateł na skrzyżowaniu, gdzie właśnie ktoś wysiadał z taksówki. Nie chciałem o tym rozmawiać, nie w taksówce, więc poczekała, aż dojedziemy na miejsce. Staliśmy na Church Road, ruchliwej dwupasmowej ulicy z jednorodzinnymi domami. Kiedyś ta dzielnica musiała być modna, ale wiele z budynków było zniszczonych w mniejszym lub większym stopniu. Dom, przed którym staliśmy, zdecydowanie należał do kategorii „większego stopnia”. Był wielkiej, wręcz monstrualnej konstrukcji, z mnogością kątów i szczytów oraz okien, tam, gdzie się ich najmniej spodziewano. Farba wyblakła i obłaziła, a niektóre okna były zakryte kocami zamiast firanami albo też deskami, gdy brakowało szyb. Jeszcze większy dom obok niego został zamieniony na hotel. Wyobrażałem sobie, że najtańsze pokoje będą właśnie te z boku.

Bel nie patrzyła na dom, patrzyła na mnie, chciała, żebym coś powiedział.

— Nie użyłbym go tam — wyznałem.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

Roześmiała się nerwowo. — Te ich miny. — Taki śmiech łatwo przechodzi w szloch. — Michael, byłem przerażona, a przecież stałam za pistoletem!

Starsza pani popychała przed sobą wózek z zakupami. Uśmiechnęła się na powitanie, tak jak to mają w zwyczaju starsi ludzie.

— Mów ciszej — ostrzegłem ją.

Bel natychmiast mnie zrozumiała. — Przepraszam.

— Posłuchaj, Bel, nie chcę kręcić się po Londynie dłużej, niż to konieczne. Dlatego użyłem broni. Nie mogę udawać miłego i grzecznego i czekać na odpowiedzi. Muszę je mieć natychmiast.

Kiwała głową. — Zrozumiano. — Odwróciła się w końcu do domu. — Boże, jaki brzydki.

— Załatwmy to szybko — powiedziałem, kierując się do frontowych drzwi.

Obszerny ogródek od frontu został jakiś czas temu zalany betonem, ale chwasty i trawa przedzierały się przez niego. Robiły się wielkie szczeliny i wybrzuszenia, bez wątplenia za sprawą korzeni kilku potężnych drzew w pobliżu. Na betonie stał samochód przykryty czarnym brezentem, który zebrał warstwę mokrych liści, mech i przypadkowe śmieci. Samochód stał jakoś nisko, więc albo opony były dziurawe, albo w ogóle ich nie miał. Za nim kilkanaście stopni prowadziło do frontowych drzwi, przegniłych u dołu. Obok drzwi znajdował się domofon, z kompletem przycisków do ośmiu mieszkań. Jedynie przy trzech z nich widniały nazwiska. Żadne z nich nie brzmiało Shattuck. Lecz i tak wybrałem jeden z tych przycisków. Żadnej reakcji. Nacisnąłem kolejny, potem jeszcze inny. Znow bez reakcji. Bel przyłożyła dłoń do drzwi i lekko je pchnęła. Ustąpiły.

— Wchodzimy? — zapytała.

W wejściu było sporo poczty razem ze śmieciami naniesionymi z biegiem czasu, a do tego gnijący stos ulotek. Ktoś zostawił ramę roweru pod ścianą. Nie miała kół.

Trochę poczty leżało na przewróconym do góry dnem kartonie. Większość listów adresowana była do Scotty'ego Shattucka, a niektóre z nich określały adres jako mieszkanie numer pięć. Sprawdziłem stemple. Trafiły się nawet sprzed tygodnia.

— Nie wygląda najlepiej — stwierdziłem.

Weszliśmy po trzeszczących schodach. Z innych mieszkań nie dochodziły żadne odgłosy. Nie spotkaliśmy żywej duszy. Mieszkanie numer pięć znajdowało się na trzecim piętrze, w pobliżu strychu, chociaż schody prowadziły dalej. Drzwi były tanie, ale wyglądały na nowe, drewniana rama pokryta cienkimi panelami. Wstawiono pojedynczy zamek yale. Drzwi nie miały klamki ani tabliczki z nazwiskiem. Na framudze przy zamku widać było zadrapania.

— Wygląda na to, że ktoś rozwalił stare drzwi.

— Może on sam zapodział klucz.

— Może. I od kiedy wstawił te nowe, nie zdążył założyć porządnych zamków.

— To dobrze — powiedziała Bel. Wyciągnęła z kieszeni mały zestaw narzędzi. — Zabrałam to ze sobą, myślałam, że może się przydać.

Zabrała się do pracy nad zamkiem. Otworzyła go w niecałą minutę. Może nie szybko, ale ciszej w porównaniu z serią z MP5.

— Wiedziałem, że jest jakiś powód, aby cię zabrać—wyznałem.

Uśmiechnęła się. — Tata nauczył mnie tego przed laty. Wtedy mieliśmy tylko jeden klucz do drzwi. Powiedział, że zaoszczędzi na dorabianiu kopii dla mnie.

— To rzeczywiście w stylu Maxa.

Bel odłożyła zestaw wytrychów i weszliśmy do mieszkania Shattucka. Od razu można było poznać, że nie przebywał tu od pewnego czasu. Mieszkanie wydawało się bez życia. Było to legowisko kawalera, tandetnie ozdobione nagimi zdjęciami, puszkami po piwie i pustymi pojemnikami z hinduskich barów na wynos. Był jeden fotel odgradzony od telewizora i wideo podnóżkiem. W jedynej sypialni pościel była w nieładzie. Towarzystwo czasopisma to mieszanka umiarkowanego porno i specjalistycznych tytułów dla kolekcjonerów i użytkowników broni. Kilka pustych łusek stało rzędem na kominku dla ozdoby. Na suficie, nad łóżkiem przyklejono lustrzane płytki.

— Fuj! — wydobyła z siebie Bel.

W pokoju było ciemno. Ściany wyklejono wielkimi płytami korka, do których Shattuck przypinał zdjęcia z kolekcji magazynów. Kobiety i broń. Czasami starannie wycinał karabiny i przyklejał je taśmą do kobiet, aż wyglądało, jakby to nagi modelki je trzymały.

— Fuj! — powtórzyła Bel.

Zacząłem otwierać szuflady. Czego szukałem? Nie sądziłem, że trafie na kolejny adres, ale mogłem coś znaleźć. Będę wiedział, jak znaleźć.

Znalazłem natomiast paczki fotografii. Usiadłem na łóżku i przeglądałem je. Był na nich głównie Scotty wraz z kolegami w akcji: wpierv w miejscu, które wziętem za Falklandy, potem może w Jugosławii. Żołnierze byli w pełnym rynsztunku, ale widać było, że Scotty był regularnym żołnierzem na Falklandach, a najemnikiem w Sarajewie. Na późniejszych zdjęciach ubrany był w panterkę, ale bez szarży. Jego uśmiechnięci koledzy wyglądali na miłych facetów do ubicia interesu. Lubili nosić zielone kamizelki, odsłaniające bicepsy, tricepsy i nabrzmiałe klatki piersiowe. W zasadzie to większość z nich wydawała się lekko sflaczała, z zaczątkami piwnego brzucha i tłuszczu na twarzy. Brakowało im tego otępiatego, zdyscyplinowanego wyrazu, jaki posiada się w regularnej armii.

Znałem Scotty'ego z opisu Maxa. Znałem go też, bo na Miku zdjęciach był sam. Ubrany był po cywilnemu i sfotografowany w pozycji spoczynnej. Zdjęcia były zrobione nad morzem i w jakimś parku. Prawdopodob-

nie wykonane były przez jego dziewczynę, a on starał się jak najlepiej pozować. Bel zerknęła na niego.

— Fuj! — powiedziała znowu.

Nie wyglądał aż tak źle. Miał długi, zwisający wąs, o którym Max nie wspominał, więc prawdopodobnie zgolił go. Miał kwadratową szczękę i faliste włosy, budowę nie do końca przysadzistą, ale zdecydowanie nie był wysoki jak na swoją tuszę. Schowałem jedno ze zdjęć do kieszeni — był na nim Shattuck z jakąś dziewczyną — a resztę odłożyłem do szuflady.

— Coś jeszcze? — zapytałem Bel, która kręciła się po pokoju.

— Nic — odpowiedziała.

Z ulicy dobiegł pisk hamulców. Całdem typowy odgłos jak na Londyn, ale mimo to podszedłem do okna i wyrzałem. Przed domem zatrzymał się samochód. Był to stary jaguar pomalowany na fioletowo. Kierowca nadal miał na sobie gimnastyczną koszulkę. Pewnie miał z sobą też ręcznik. Ktoś jeszcze siedział z przodu, a z tyłu wściekał się Chuck.

— Pora ruszać — zwróciłem się do Bel. Nie ociągała się. Na parterze zauważyłem wcześniej drzwi na tyły i jedynie miałem nadzieję, że uda się nam aż tak daleko dotrzeć.

Na schodach wydobyłem MP5, ale trzymałem go pod kurtką. Chuck i jego ludzie byli tak rozwścieczeni tym, jak ich potraktowałem, że duma nakazywała im pościg za nami, albo był to ich racjonalny ruch. W przypadku tej drugiej opcji na pewno byli odpowiednio wyposażeni. W przypadku pierwszej szykowało mi się lanie.

A ja zawsze starałem się unikać sportów kontaktowych.

Mieliśmy szczęście. Siedzieli w samochodzie, czekając, aż się pojawimy. Drzwi na tyły były zamknięte za zasuwę, górną i dolną, łatwe do otwarcia. Otworzyłem te drzwi i znaleźliśmy się w ogrodzie tak zarośniętym, że z trudem usprawiedliwiało to miano. Przebrnęliśmy przez niego do bocznego ogrodzenia i przedostaliśmy się na parking hotelu. MP5 dźgał mnie w brzuch, kiedy wspinałem się przez płot. Dwa razy sprawdziłem, czy pistolet nadal jest zabezpieczony.

Z parkingu przeszliśmy przez niski, ceglany murek na pusty teren. A za nim wyłonił się z za publicznej toalety na zupełnie innej ulicy pełnej samochodów i przechodniów. Na przystanku zatrzymał się autobus, więc wskoczyliśmy do niego. Nie wiedzieliśmy, dokąd jedzie, a kierowca, który czekał na zapłatę, najwyraźniej nie miał ochoty nam powiedzieć, więc sięgnąłem do kieszeni po drobne.

— Dwa do końca linii — powiedziałem.

Wtedy wspięliśmy się na górny pokład i zajęliśmy puste siedzenie z tyłu. Fioletowego jaguara będzie łatwo zauważyć, gdyby chciał jechać za nami, ale nie chciał.

— Ciekawe, jak długo będą tam siedzieć? — zapytała Bel.

Odparłem, że nic a nic mnie to nie obchodzi.

Skończyło się na tym, że przejechaliśmy pociągiem z powrotem przez Tamizę, a potem taksówką z dworca do naszego hotelu. Recepcjonistka miała dla mnie wiadomość, dwa numery telefonów i towarzyszące im adresy. Jak od razu zauważyłem, Scotty Shattuck nie **posiadał** telefonu, ale teraz miałem numery telefonów i adresy do rezydencji Ricksów i do mieszkania Joe Drapera na Barbicanie.

Kiedy Bel brała prysznic, zacząłem dzwonić. Prawdopodobnie śledztwo policyjne posunęło się już, więc za późno było, abym zadawał dodatkowe pytania. Potrzebowałem jedynie wymówki i cholernie dużo szczęścia. Chuck nie pójdzie na policję, to nie ten typ. Jednak wiedziałem, że sprawy będą się miały coraz bardziej niebezpiecznie, im bardziej zbliżymy się do prawdziwego śledztwa, i dlatego nie marnowałem czasu na myślenie. Gdybym się zastanawiał, może wcale bym nie zadzwonił.

I tak potknąłem się na pierwszej przeszkodzie. Mój telefon do domu państwa Ricks w Camden został przechwycony przez operatora, który poinformował mnie, że wszystkie telefony są przekierowywane. Zanim zdążyłem się wyklócić, rozległ się sygnał łączenia i telefon odebrała sekretarka.

— Crispin, Darnforth, Jessup — powiedziała, jakby to miało wyjaśniać wszystko.

— Skierował mnie tu operator — powiedziałem. — Próbowałem połączyć się z...

— Jedną chwilę...

Rozłączyła się i połączyła z inną sekretarką.

— Biuro pana Johnsa, w czym mogę pomóc?

— Staram się połączyć z panem Frederickiem Ricksem.

— Wszystkie telefony do pana Ricksa odbierana są przez to biuro. Rozumie pan, jego żona została niedawno zamordowana. — Najwyraźniej rozsmakowywała się tą wiadomością. — Pan Johns, jako radca rodziny, przejął na siebie ciężar wszelkich pytań.

— Rozumiem. Hm, jestem komisarz West; właśnie włączono mnie do śledztwa i chciałem zamienić parę słów z panem Ricksem.

— Pan Ricks wraz z synem wyjechał na kilka dni. Ktoś zajmujący się śledztwem powinien udzielić panu potrzebnych informacji.

Zapędziła mnie w narożnik. Mogłem rzucić ręcznik albo boksować dalej.

— A czy można porozmawiać z panem Johnsem?

— Z pewnością będzie można się umówić.

— Jednak chciałbym teraz.

Zignorowała to. — Piętnasta trzydzieści dzisiaj, pasuje? — A potem podała mi adres.

Odłożyłem słuchawkę i pomyślałem, nie po raz pierwszy, o wyjeździe z Londynu, o porzuceniu tego całego bałaganu. Szaleństwem było trwać w tym. Ale jaka była alternatywa? Jeżeli nie dowiem się, dlaczego mnie wystawiono i kto za tym stał, jak miałbym podjąć następne zlecenie? Poszedłem do pokoju Bel, a ona mnie wpuściła. Była ubrana, ale na głowie miała turban z ręcznika.

— Więc jakie plany na dzisiejsze popołudnie? — zapytała.

— Odgrywamy policję przed adwokatem Eleanor Ricks.

Zdjęła ręcznik i rzuciła go na podłogę. Już stała się doświadczonym gościem hotelowym. Zaraz będzie się domagać więcej szamponu i herbaty.

— To mi się podoba — powiedziała. Byłem zaskoczony. — Naprawdę. To lepsze niż gapić się na owce i murki z kamieni przez cały dzień.

— A myślałem, że oglądasz tam telewizję.

— To też lepsze od telewizji. — Usiadła na łóżku, biorąc mnie za rękę. Pociągnęła mnie, abym usiadł obok niej. I nie puszczała.

— Dzwoniłaś do Maxa? — zapytałem.

— To cios poniżej pasa.

Wzruszyłem ramionami. — To jedyny cios, na jaki mnie stać.

— Dobrze. — Pochyliła się do mnie i ustami dotknęła moich ust. Reagowałem niechętnie, więc otworzyła oczy. — Coś nie tak?

Odsunąłem się od niej, ale powoli i niezbyt daleko. — To prowadzi nas donikąd. Same ślepe zaułki.

— Nie, Michael — powiedziała — niezupełnie ślepe.

Następny pocałunek trwał trochę dłużej. Pod koniec włosy miała już prawie suche i tym razem to ona się odsunęła.

— Mogę coś powiedzieć, Michael?

— Co takiego?

— Na tej siłowni...

— Tak?

— To MP5 trzymałeś dokładnie na odwrót.
— Tak? — Pokiwała głową. — Nie mów, że strzelałeś z MP5?
Moje pytanie wyraźnie ją zaskoczyło. — Oczywiście, że tak. Prędzej czy później muszę strzelać z wszystkiego, co ma tata. Pokazać ci coś?
Zamrugałem oczyma. — Chyba raczej nie.
Zaśmiała się z mojej miny. — Myślałeś, że zabierasz z sobą Czerwonego Kapturka, co?
— No, na pewno nie spodziewałem się wilka.
Tym razem, kiedy się pocałowaliśmy, nawzajem rozpinaliśmy sobie ubrania...

11

Nie byłeś całkowicie szczerzy, co, Hoffer?

To mówił komisarz Dave Edmond. Był w tym samym pubie co wcześniej z Hofferem. I tak samo jak przedtem Hoffer stawiał mu drinka.

— Dwie duże szkockie poproszę. — Hoffer odwrócił się do policjanta. — Jak mam to rozumieć?

— Nie mówieś, że miałeś scysję z moim szefem. Nie za bardzo jest z ciebie zadowolony.

— A wie, że poszliśmy się napić? — Edmond zaprzeczył ruchem głowy. — To by go zabolało, nie?

— Ale jak się dowie, to mnie zaboli.

— A po co ma się dowiadywać? Poza tym, zadbaj o siebie. — Hoffer pociągnął nosem i podrapał się w niego. Podano drinki i Hoffer wyciągnął dwudziestkę. — Piątak dla pana — zwrócił się do barmana — i proszę przynieść to samo, dopóki kasa się nie skończy. — Wtedy podał whisky Edmondowi, który dolał do niej wody. — Chodźmy usiąść — zachęcił go Hoffer.

Dojeżdżający, którzy wpadli „na jednego po robocie”, właśnie wyszli, więc były wolne stoły. Hoffer nie lubił Edmonda tak bardzo jak Boba Broome'a, ale i tak się uśmiechnął. Potrzebował przyjaciela w oddziale śledczym, a skoro Broome'a już więcej nie można było przekupić, to byli inni, tacy jak Edmond. Broome wróci do zagrody. Już wcześniej się kłócili, a potem godzili. Tymczasem wystarczy Edmond.

— Dave, podoba mi się twój styl. Nie popisujesz się. To tacy jak ty wykonują całą robotę, a nie popisują się sztuczkami. — Hoffer zapalił papierosa i podsunął paczkę policjantowi.

- Gliny to gliny — odezwał się Edmond.
- Boże, to prawda.
- Słyszałem, że ty odszedłeś ze służby.

Hoffer rozłożył ręce. — Oblałem test sprawnościowy. Byłem dobry, jak już złapałem jakichś drani. Mogłem na nich siedzieć, aż się przyznali. Tylko że nie mogłem ich dogonić. — Hoffer zaśmiał się i potrząsnął głową. — Nie, to była sprawa Walkinsa. Miałem obsesję na jej punkcie. Tak więc szefowie postanowili przenieść mnie do innego śledztwa. Tego nie mogłem znieść, więc zrezygnowałem i zostałem prywatnym detektywem. Tylko że jedyna sprawa, jaka mnie interesowała, to przypadek Walkinsa.

- Było coś o tym w gazetach.

— No, media uwielbiały moją historię. Wszyscy przynosili kwiaty i czekoladki. Zrezygnowałem z kariery, żeby polować na tego tajemniczego zabójcę. A milioner, ojciec jednej z ofiar, płacił mi. Uwierzysz? To był dopiero materiał na artykuł. Poza tym oczywiście byłem grubym, brzydkim skurczybykiem, to też im się podobało. Na zdjęciach podoba im się wszystko, co nienormalne.

Edmond zaśmiał się. Hoffer coraz bardziej go nie lubił.

— Nadal mnie kochają — ciągnął. — I to mi nie przeszkadza. Wiesz, niektórzy myśleli, że im się odwdzięczam, to znaczy dziennikarzem, i może mają rację. Albo realizuję swoje ego. To wszystko może być prawda, ale uważaj... — Uniósł palec. — Demolka wie, że tu jestem. Wie, że nie odejdę. I z tego mam radochę. Może on się nie przejmuje, a może tak.

- Nie myślisz, że puknie ciebie?

Hoffer wzruszył ramionami. — Nigdy o tym nie myślę. — Opowiadał tę historię wielokrotnie, zawsze pomijając kilka prawd. Takich jak ta, że jego pracodawcy *domagali się* jego rezygnacji, kiedy doszli do wniosku, że zbyt jawnie pudruje nos. To według swojej wersji Hoffer zrezygnował, żeby móc realizować zlecenie Walkinsa na własny sposób i we własnym czasie, ale tak naprawdę to dostał ultimatum. Oczywiście, kiedy już wyjaśnił jednemu reporterowi, że miał teraz tylko jedną misję w życiu, to musiał dodać coś na ten temat, żeby wykazać się chęcią. I wtedy pojawił się starszek Walkins i zaproponował mu zapłatę, i historia się rozeszła, aż znalazł się w potrzasku. Teraz miał swoje biuro i swoich pracowników oraz reputację. Nie mógł tak po prostu odejść od Demolki, nawet gdyby chciał.

A często miał na to ochotę.

— To ile z tego wyciągasz? — zapytał Edmond tak, jak to czynni policjanci zawsze pytają, prędzej czy później.

— Pomyśl jakąś liczbę, a potem podwój ją — powiedział Hoffer i zaśmiał się. — Nie, jestem biznesmenem, pracodawcą, mam wydatek, pensję do wypłacenia, podatki i całe to gówno. Jak dotąd nie wyszedłem na swoje.

— Walkins jednak musi być bogaty.

— Żartujesz? On jest nadziany.

— To prawda, że jego córka to była pomyłka?

Hoffer skinął głową. Była jedyną pomyłką, jaką kiedykolwiek popełnił Demolka. Na swoim koncie miał jedenaście, może dwanaście czystych trafień plus Ellen Walkins.

— Miała osiemnaście lat, stała w drzwiach, żegnając się z gośćmi po przyjęciu. To wszystko byli ludzie z rządu, z żonami, rodzinami. Nie była celem. Domyślają się, że był nim kongresman o bardzo zdecydowanych poglądach na politykę zagraniczną. Dowolna liczba dyktatorów i wypaczonych rządów zapłaciłaby, aby zamknąć mu gębę. Ale stopień był oblodzony i skurwiel poślizgnął się. Kula przeszłaby mu prosto przez serce, ale zamiast jego trafiła Ellen. Śledztwo bardzo szybko nam zabrano. To znaczy, było zbyt poważne, aby sama policja je prowadziła. Nie mogłem na to pozwolić.

— Dlaczego nie?

Zjawił się barman z kolejnymi dwiema whisky, a do tego butelką wody, co dało Hofferowi czas na rozważenie pytania. Zadawał je sobie niejednemu raz. Dlaczego nie mógł sobie po prostu tego darować?

— Nie wiem — powiedział szczerze. — Po prostu nie mogłem. — Pociągnął nosem i otrząsnął się. — Jezu, nie chcesz tego wszystkiego słuchać. Ty powinieneś się popisywać i opowiadać. Więc co masz?

Edmond wyciągnął kopertę z kieszeni marynarki. Wewnątrz było kilka złożonych kartek ksero. Były to fotokopie bankowych wyciągów i starych czeków, razem ze spisem transakcji bankomatowych dokonanych przez Marka Wesleya.

— To jeszcze nie wszystko — wyjaśnił Edmond. — To dopiero pierwsza transza. Za to mogę mieć sporo kłopotów.

— Możesz — przyznał Hoffer, przesuwając po stole kopertę. — Ale to może cię rozweselić.

Edmond przeliczył pieniądze i schował je do kieszeni, a kopertę zgniótł i wrzucił do popielniczki. Hoffer nie mówił nic przez chwilę.

— Facet sporo podróżuje — powiedział w końcu, sięgając po whisky.

— Sprawdzimy biura podróży, które się tu pojawiły; zobaczymy, czy dadzą nam jakieś szczegóły.

— Oczywiście, sprawdźcie. A według jakiego schematu wyciąga gotówkę? Widzisz coś?

Edmond potrząsnął głową. — Tylko niektóre miały miejsce w Yorkshire, według speców od geografii z posterunku przy Vine Street. W różnych miasteczkach.

— Może gdzieś tam mieszka?

Edmond wzruszył ramionami. — Najwyraźniej wykupił też plik czeków podróżnych. Jeden z czeków na biuro Thomasa Cooka nie jest przeznaczony na podróż. — Wskazał ksero. — Widzisz? Zapisali na odwrocie, do czego służy, zakup czeków podróżnych. — Hoffer skinął głową. — Zobaczymy, czy damy radę poprowadzić to dalej. Jak dostaniemy numery czeków, możliwe, że dowiemy się, gdzie ich użył. Jest tylko jedna rzecz...

— Co takiego, Dave?

— Wszyscy najwyraźniej cofamy się po śladach na podstawie tożsamości, z której już zrezygnował. Dokąd nas to zaprowadzi?

— Rusz głową, Dave. Nie możemy go tropić do przodu, więc co innego możemy zrobić? W ten sposób określimy współników, kontakty, może znajdziemy partnerów lub nawet trafimy na wskazówkę, co do jego następnego celu. Na przykład to. — Hoffer stukał w czek.

— No, do tego zmierzałem — przyznał Edmond.

— Więc — dodał Hoffer — to jest czek wystawiony na kogoś nazwiskiem... jak się tam nazywał?

— Jest napisane H. Capaldi — dopowiedział Edmond.

— Tak, i kto to jest?

— To fałszerz.

Teraz Hoffer skupił uwagę na Edmondzie. — Fałszerz?

Edmond sldnął głową. — Harry Czapa jest w branży od lat, odsiedział trochę, ale jak wychodzi, to wraca do tego, w czym jest najlepszy.

— Co fałszuje?

— Dokumenty... w zasadzie wszystko, co zechcesz.

— Gdzie go znajdę?

Edmond oblizał usta. — Jakież czterysta metrów w górę ulicy.

— Co?

— Przywieźliśmy go na posterunek na Vine Street. Właśnie teraz Bob Broome go przesłuchuje.

Hoffer czekał, aż Edmond wróci. Trwało to chwilę, a on był coraz bardziej głodny, nie śmiał jednak wyjść z pubu i minąć się z policjantem. Zjadł więc frytki i orzeszki, a potem, w odruchu rozpacz, zapiekana kanapkę. Rzekomo była z serem i szynką. Gdyby podano ją w nowojorskim barze, klient wróciłby pośrodku nocy z mitaczem ognia.

Po tej całej whisky wziął na luz i przeszedł na piwo. Ciecz była, jakby się spało z poważną anorektyczką: ciepła, ciemna i prawie całkowicie płaska. Barney nie wrócił jeszcze z listą nielegalnych handlarzy bronią, więc nie miał co czytać poza kserokopiami od Edmonda. Nie wynikało z nich nic więcej poza Yorkshire i tym całym Capaldim, który w Yorkshire nie mieszkał. Hoffer domyślał się, że bank był tylko dla ułatwienia, a Demolka większość swoich pieniędzy trzymał pod postacią żywej gotówki. Nie interesowały go te podrózne rzeczy, chociaż gdyby dowiedzieli się, że realizuje czeki podrózne w Nikaragui lub w podobnym miejscu, to już byłaby inna historia.

Edmond wzruszył ramionami, podchodząc do stolika.

— Nic nie mówi. Bob próbował numeru z utrudnianiem nam pracy, ale jest na to za szczwany. Opowiada, że spotkał faceta w pubie i gość potrzebował gotówki.

— A Harry, ufna dusza, dał obcemu pięćset funtów i przyjął czek?

— Hm, twierdzi, że ma czek, a na dodatek rolexa jako zabezpieczenie.

— Czy ten tajemniczy jegomość wrócił po swój zegarek?

— Harry twierdzi, że nie. Mówi, że sprzedał zegarek i zrealizował czek.

— Bob zapytał go, dlaczego tak długo trzymał ten czek? Minęło prawie pół roku, zanim go zrealizował.

— Bob wspomniał o tym. Harry powiedział, że gdzieś go zapodział, a potem znowu znalazł.

— Ten facet marnuje się jako fałszerz, powinien przejść resocjalizację. Znam kabareciarzy w Nowym Jorku, którzy nie potrafią zmyślać tak szybko. — Przerwał. — To przecież kompletna bzdura.

— A co możemy zrobić?

Hoffer szeroko otworzył oczy ze zdziwienia. — Chcesz powiedzieć, że to wszystko? Nie możecie go trochę przyprzeć? A co z niezawodną, brytyjską pałką? To wy daliście światu narzędzia tortur, panowie, możecie gnoja zmusić do mówienia.

Edmond pokiwał powoli głową w zamyśleniu.

— Masz rację, że możemy go ponaciskać, ale to wszystko. Harry zna sytuację. Jak nie będzie chciał mówić, to nie.

— Jezu. — Hoffer ciężko oparł się plecami. — Nie wierzę. Dobra, gdzie on jest?

— Kto?

— Litości! A o kogo, kurwa, może mi chodzić, jak myślisz? Pewnie, że Capaldi!

— Teraz chyba wraca do domu.

— Gdzie mieszka?

Edmond wyglądał jak gracz w krykieta, który nagle znalazł się na boisku do baseballu. — Czekaj — powiedział.

— Powiedz, kurwa, gdzie mieszka! — Hoffer sięgnął do pleców, aby się podrapać. A może dłubał przy szwach na piłce.

— Mieszka w północnym Londynie — powiedział Edmond i podał Amerykaninowi adres.

Tottenham wydawał się dość senny. Jak na ciepły letni wieczór, na ulicach nie było wiele osób. A ci, co tam się znajdowali, byli czarni, co nic a nic Hofferowi nie przeszkadzało. Nie miał rasistowskich skłonności. Pasował mu każdy.

Przygotowywał dla Walkinsa sporo rachunków za taksówki. Dostał jeszcze kilka pustych druków od kierowcy i dał mu sowity napiwek. Dom, w którym mieszkał Harry Capaldi, to wąski dwupiętrowy budynek, chociaż drugie piętro to zaledwie strych. Lecz jak wynikało z dzwonek przy drzwiach, został podzielony na trzy mieszkania. Hoffer zadzwonił do Capaldiego. Nie było odpowiedzi. Rozejrzał się. Na ulicy było cicho i ciemno. Zupełnie jakby przykręcili prąd: lampy uliczne emitowały nikłą poświatę, w większości tamowaną przez chmurę owadów.

Hoffer zaatakował drzwi barkiem. Trzymał się nisko, przykładając ciężar na wysokości dziurki od klucza. Drzwi nieco ustąpiły, a potem oparły się. Przy drugiej próbie odskoczyły. Hoffer wszedł pospiesznie na pierwsze piętro. Facet był w środku i nie reagował, albo go nie było, a jedyny sposób znalezienia odpowiedzi takiej czy innej to kontynuować. Tym razem potrzebował czterech mocnych prób, zanim drzwi się poddały. A wówczas Hoffer znalazł się w korytarzu, w którym czuć było olejem do smażenia i stęchłym piwem.

— Tylko chcę porozmawiać — zawołał, zamykając za sobą drzwi. — Nie jestem gliną, jestem zwykłym cywilem. Panie Capaldi? Halo, jest tu ktoś?

W pokoju na końcu korytarza paliło się światło i dochodził stamtąd odgłos telewizora albo czegoś innego. Lecz Capaldi mógł je zostawić włączone, kiedy policja przyjechała po niego. A może zostawiał je włączone przez cały czas, żeby nikt nie myślał, że mieszkanie jest puste. Hoffer wyciągnął z kieszeni smith & wessona i poczuł się trochę bezpieczniej.

— Panie Capaldi? — powtórzył. Potem pchnął drzwi na końcu korytarza. Pokój był ciasny, głównie za sprawą okazałego urządzenia fotograficznego ustawionego pośrodku. Edmond wspominał o tym. Służył do robienia pomniejszych fotografii i do wpasowywania ich w legitymacje i tym podobne. Jak mówił Edmond, nie można było Capaldiemu postawić zarzutów; był prawowitym właścicielem tego sprzętu. I był zbyt sprytny, aby pozwolić im znaleźć coś innego, żadnych fałszywych blankietów czy formularzy, nic karalnego.

Pod oknem stał stary stół, tald ze składanymi nogami i rozkładanym blatem, żeby nie zajmował za dużo miejsca. Coś się pod nim poruszało, jakiś kot albo pies. Hoffer przykucnął i zajrzał, potem podszedł kilka kroków, żeby lepiej się przyjrzeć. Jeszcze raz przykucnął i schował broń.

— Chyba będzie nam wygodniej rozmawiać, jak pan wyjdzie stamtąd — zaproponował Hoffer.

Capaldi wyszedł sztywno spod stołu. Trząśnięcie i trzeba było mu pomóc dotrzeć do fotela.

— Kto pan jest? — zapytał. Lecz Hoffer zajęty był nalewaniem irlandzkiej whisky do używanej szklanki. Podał ją Capaldiemu.

— Niech pan wypije. Przepraszam, że pana przestraszyłem. — Spojrzał na stół. — Nie do wiary, że dorosły mężczyzna tam się zmieścił. — Potem odwrócił się z powrotem do Capaldiego z uśmiechem. — Musiał się pan bać jak cholera. Myślał pan, że kto dzwoni do drzwi, kosmici? Bał się pan, że wyrwę mu serce? Nie, ja chcę tylko trochę porozmawiać... Jezu... co z pana głową? Wygląda jak po burzy śnieżnej.

— Kto pan jest? — powtórzył Capaldi. Znalazł czapkę i nacisnął mocno na głowę.

— Nie ma znaczenia, kim jestem. Natomiast ma znaczenie to, że chcę zapytać o Marka Wesleya.

— Powiedziałem już policji. Tylko spotkałem tego faceta...

— Wiem, w barze, ale tak między nami a policją, to głównie prawda. Mogą panu co najwyżej pogrozić paluszką i zwolnić z ostrzeżeniem. Natomiast ja mogę postarać się bardziej. — Znowu wyciągnął pistolet. — Mogę pana zastrzelić. — Capaldi wyglądał, jakby ktoś go przykleił do siedzenia — głowę, ramiona, nogi, całego. — No, nie chcę pana zastrzelić.

Nie wiem nic o panu, może pan jest bardzo miłym człowiekiem, szczerym do przesady, grzecznym dla sąsiadów, i w ogóle. Mówiąc szczerze, głównie mnie to obchodzi. Nadal mogę pana zastrzelić, chyba że zacznie pan mówić to, czego nie powiedział policji.

Hoffer pochylił się do przodu i wyjął szklanę z whisky nie opierając się Capaldiemu. Obrócił szklanę, żeby napić się z czystej strony, i jednym łykiem opróżnił ją. Teraz, kiedy się uspokoił, usłyszał dudnienie basu dochodzące z piętra wyżej, od którego trzęsły się ściany i sufit.

— Dziesięć sekund — powiedział ze spokojem. — I nie liczę głośno.

Był przekonany, że zawsze należy się ludziom czas na zastanowienie się nad następnym ruchem, szczególnie kiedy byli przerażeni nie na żarty, można by rzec, że tracili zmysły. Raz czy dwa w przeszłości też tak się bał, a wtedy rzeczywiście nic nie czuł. Można było jeść i nie czuć smaku. Nie czuło się żadnego zapachu, może oprócz własnego potu. Zmysł dotyku ograniczony był do chłodnej wilgoci nogawek albo lufy ocierającej się o głowę. Zdecydowanie nie widziałeś poprawnie ani nie słyszałeś racjonalnych argumentów. Dobrze było mieć czas, aby się dostosować.

— Dziewięć, dziesięć — odliczył Hoffer. — Szkoda, że to musi tak się kończyć, panie Capaldi. Dotknął lufą głowy fałszerza.

Capaldi zaczął mówić, tak jakby. Potrzebował pięciu lub sześciu prób, żeby wypowiedzieć jedno słowo „Jezu” i jeszcze kilku, zanim zdołał dodać: „Nie strzelaj”.

— Czemu nie?

— Co?

— Czemu nie?

— Bo nie mam... bo nie... Jezu, ja mu tylko... — Utknął na dobre.

— Co tylko? Zrobiłeś mu nowy dokument tożsamości? Co? — Wtedy Hoffer też zamarł, rozdziawiając usta. — Ty skurwielu — wydobył z siebie w końcu. — *Widziałeś* go, co? To znaczy niedawno, w ciągu ostatnich dwóch dni? — Zerknął na sprzęt fotograficzny z zamontowaną lampą błyskową i krzesłem dla klienta.

— On ciągle jest w mieście, co? — Hoffer nie mógł w to uwierzyć. — Dlaczego tu jest? Nie, czekaj. — Wiedział, że w pierw musi zadać inne pytania, tak wiele, że trzeba znaleźć sensowną kolejność zadawania.

Capaldi spoglądał intensywnie ponad ramieniem Hoffera. Kiedy Hoffer odwrócił głowę, dowiedział się dlaczego. W korytarzu stało dwóch wielkich, czarnych mężczyzn, którzy przyglądali się scenie. Mieli rozdzwione gęby, pogardliwie wyduńczone usta.

— • Nie ma żadnego problemu, panowie — zawołał Hoffer.

Jednak problem zdecydowanie był. Pewnie zobaczyli wyważone drzwi frontowe, a teraz jeszcze drzwi Capaldiego w podobnym stanie. Mogli myśleć o Hofferze cokolwiek, ale na pewno nie wzięli go za policjanta. Nawet gliny z Tottenham nie wymachiwali kalibrem 459.

Pobiegli do frontowych drzwi, wołając kogoś po imieniu. Słyszał, jak wchodzi po schodach, kierując się na drugie piętro. Hoffer spojrzął znowu na Capaldiego, oczekując wyjaśnień.

— Handlują prochami — powiedział Capaldi. — Nie lubią obcych.

— O cholera. — Hoffer zaczął go podnosić. — Idziesz ze mną.

Lecz Capaldi opierał się. Nawet więcej, nadal bał się tak bardzo, że nie mógł poruszać nogami, a Hoffer nie mógł go nieść, nie kiedy na karku siedzieli mu ci handlarze.

— Skończymy naszą rozmowę później — obiecał i pobiegł do drzwi. Na górze słyszał podniesione głosy, nie tylko tych dwóch, ale były trzy, cztery, a może pięć. Ruszył schodami w dół. Słyszał za sobą tupot nóg. Skończyć to teraz czy biec dalej? Jeżeli tak, to lepiej było zasadzić się tutaj, ale jakiś instykt podpowiadał mu, że lepiej zabierać stąd swój gruby tyłek. Domy stały tylko po jednej stronie ulicy, po drugiej była ściana i wał prowadzący do torów kolejowych. Nie wiedział, w którą stronę biec. Żaden kierunek nie obiecywał ruchliwszej ulicy. Skręcił więc w lewo i pobiegł.

Tam było więcej domów i jakieś garaże, a dalej sklep na rogu. Ulica dochodziła pod kątem prostym do drugiej. Skręcał za róg, kiedy z domu Capaldiego wyszły ostrożnie cztery postacie. Jedna z nich wskazała go, a druga uniosła pistolet. Mogło to być cokolwiek, wiatrówka, pistolet startowy, nawet na wodę. Hoffer nie ryzykował.

O ile mógł wycelować, celował ponad ich głowami, ale nie tak bardzo, żeby nie pomyśleli, że żartuje. Dwóch z nich wskoczyło z powrotem do domu, ale ten z pistoletem zachował zimną krew i wypalił dwukrotnie. Pierwszy strzał trafił w zaprawę na ścianie sldedu, natomiast drugi przeszedł przez okno wystawowe, tworząc wokół dziury promieniste pęknięcia.

— O kurwa — krzyknął Hoffer i wypalił jeszcze dwa razy, nie martwiąc się, w co trafi. Schował się za rogiem, zignorował ludzi, którzy pojawili się w drzwiach i oknach. Całkiem szybko poznikali, ale przynajmniej wyjrzeli, żeby sprawdzić, a to już coś więcej niż w Nowym Jorku. W dole ulicy zobaczył inną, jasno oświetloną i ruchliwą, gdzie jeździły autobusy. Zdawało mu się, że jechał tamtędy wcześniej taksówką. Odwracał się nieustannie za siebie, ale najwyraźniej nikt go nie ścigał. Wiedział, że praw-

dopodobnie wsiedliby w samochód i tak by go ścigali. Dealerzy zrobili się dzisiaj tacy leniwi.

— Cholera — powiedział — mnie też przydałoby się trochę prochów. — Może sprzedadzą mi, zanim zrobią mi dziurę w głowie. Wiedział, że dealerzy zabijają swoje ofiary przez przedawkowanie. Lepiej niech już na nim tego spróbują z górą opalizującej koki, a gdy umrze, zbankrutują przez niego.

Wepchnął pistolet za pasek i zapiął marynarkę. Nie biegł już, jedynie szedł żwawo. Przed nim słychać było syreny. No tak, po drodze mijał posterunek. Gdy syreny były coraz bliżej, wszedł do pubu, rozejrzał się po wnętrzu, jakby kogoś szukał, potem wyszedł znowu, kiedy syreny ucichły. Natrafił niedaleko na hinduską restaurację. Okna były zasłonięte od ulicy, więc nikt nie mógł zajrzeć do środka ani z niej wyjrzeć.

Gdyby szedł dalej, ktoś mógłby go zatrzymać, albo policja, albo rozdrażnieni dealerzy. Nigdzie nie było widać taksówek, a autobusy nie poruszały się wystarczająco szybko, aby zapewnić schronienie. A skoro miał się schować, to dlaczego nie gdzieś, gdzie przy okazji coś zje? Pchnął drzwi lokalu i trafił na kolejne drzwi, które musiał pchnąć. W restauracji było cicho; dostał stolik, o który poprosił: w narożniku, na wprost drzwi. Ktokolwiek wchodził, musiał wpierw zamknąć pierwsze drzwi, zanim otworzył drugie. Przez sekundę wchodzący był uwięziony między parą drzwi. Miałby czas, żeby go ustrzelić między łyżkami zupy, zupełnie jak w scenie z *Ojca chrzestnego*.

— Spokojnie dzisiaj — powiedział do młodego kelnera.

— W tygodniu zawsze jest spokojnie, proszę pana.

Po posiłku wypił lalka drinków w irlandzkim, zdaje się, barze, bo nie widział tam żadnej kolorowej twarzy. Na drzwiach widniał napis: *Przepraszamy, żadnych podróży*. Nieomal zrezygnował z wejścia, ale wtedy barman wyjaśnił, że oznacza to komiwojażerów, Cyganów, nie turystów. Obaj porządnie się z tego uśmiali.

Wrócił taksówką do domu Capaldiego i kazał taksówkarzowi przejechać dalej. Kiedy się zastanowił, doszedł do wniosku, że Capaldiego już dawno nie będzie. Może wrócić dopiero, jak przycichnie. Albo wcale. Albo porozmawia z Hofferem i Demolka go zabije, albo będzie siedział cicho, a wtedy Hoffer go stulenie. Co takie życie warte?

— Na Piccadilly Circus poproszę — zwrócił się do kierowcy.

— Według życzenia.

Źle się stało, że im przerwano. Teraz Hoffer jedynie wiedział, że Demolka został w mieście po zabójstwie, podczas gdy normalnie wyjeżdżał. Dlaczego? Oto było pytanie. Czego miał tu jeszcze szukać?

Ktoś doniósł na policję. Zabójca wściekł się i może zamierzał coś z tym zrobić. Będzie śledził swoich płatników. Będzie poszukiwał tego, kto go wystawił.

— Niech mnie cholera — Hoffer powiedział do siebie. W ten sposób, nawet w dziesięciomilionowym mieście, w którymś momencie wpadną na siebie przypadkiem.

Przez resztę drogi zastanawiał się, co powie na dzień dobry.

12

Bel i ja czekaliśmy na spotkanie z Joe Draperem. Jego firma produkcyjna miała biura na ostatnim piętrze budynku niedaleko Harrodsa. Przyjechaliśmy wcześniej, żeby Bel mogła rozejrzeć się po sklepach. Zaproponowałem, że kupię jej, co zechce, ale ona potrząsnęła głową, nawet kiedy zapewniłem, że odciągnę to od jej zapłaty.

W zasadzie to nie zostaliśmy długo w ślepie. Po chwili wyglądała na nieco zdegustowaną. Wzięła mnie pod ramię, kiedy szliśmy do Draper Productions.

— Rozluźnij się — powiedziała do mnie.

Ostatnią noc spędziliśmy razem w łóżku, a Bel zadawała mi pytania dotyczące mojego życia, natomiast ja zastanawiałem się, jak na nie odpowiedzieć. Zwlekałem trochę, opowiadając o broni. Wiedziała sporo o pistoletach, karabinach i amunicji, ale to nie znaczyło, że je lubiła. Te rzeczy ją przerażały.

Teraz siedzieliśmy w biurach Drapera, udając, że jesteśmy z Wydziału **Śledczego**. Mieliśmy na sobie te same ubrania co wczoraj, nawet czarne skórzane rękawiczki. Nigdzie nie chcieliśmy zostawiać odcisków palców. Bel przerzucała czasopismo branżowe, a ja czytałem teletekst w telewizji. W recepcji znajdowały się trzy telewizory wielkości monitorów, wszystkie z wyłączoną fonią. Na jednym z nich pokazywano zmontowane w pętłę ostatnie produkty Drapera. Sekretarka cały czas kierowała **telefony** do **asystenta** Drapera.

— Ja do tego doprowadziłem — powiedziałem. Bel spojrzała na mnie znad magazynu. Telegazeta prezentowała wiadomości, a wszystkie dotyczyły dwóch wschodnioeuropejskich krajów, które miały zamknąć

wspólną granicę. Napięcie było spore od rozpadu Związku Radzieckiego, ale niedawna próba zabójstwa dyplomaty stacjonującego w Londynie pogłębiła kryzys.

— Może powinieneś coś z tym zrobić — wyszeptła. Szept nie był konieczny, gdyż sekretarka założyła słuchawki, by zacząć spisywać tekst z dyktafonu.

— Na przykład co?

— Nie wiem, przyznać się albo coś podobnego, powiedzieć, że dyplomata nie był twoim celem.

— Ale to by oznaczało, że powiedziałbym, kto był *prawdziwym* celem. Podoba mi się, że nie są pewni. — Uśmiechałem się, lecz Bel nie.

— Michael, mogłeś doprowadzić do wojny.

Przestałem się uśmiechać. — Masz rację. Może powinienem zaproponować Draperowi wyłączność.

Uderzyła mnie magazynem i wróciła do lektury. Telegazeta przeskoczyła do spisu treści. Na dole była informacja o strzelaninie w północnym Londynie. Towarzyszyła jej inna informacja, jakieś przemówienie ministra spraw wewnętrznych, aby twardo zabrać się za narkotyki. Nie sądziłem, aby to coś oznaczało, ale wstałem i podszedłem do sekretarki. Zatrzymała taśmę.

— Tak?

— Ma pani pilota do telewizora? — Spojrzała niechętnie. — Nie chcę zmieniać kanałów. Chcę tylko sprawdzić wiadomość w telegazecie.

Nie mówiąc ani słowa, wysunęła szufladę i wyciągnęła dwa piloty.

• — Na jednym z nich jest telegazeta — dodała, uruchamiając ponownie taśmę.

— Stokrotne dzięki — mruknąłem. Wycelowałem jednym z pilotów i nacisnąłem trzy cyfry. Pojawiła się historia. Na początku trochę pisano o ministrze spraw wewnętrznych, potem krótki akapit o strzałach na ulicy w Tottenham. To była ulica, przy której mieszkał Harry Czapa. Może niektórzy wierzą w zbieg okoliczności. Ja do nich nie należę. Wiedziałem, że Hoffer jest cholernie blisko.

Wtedy otworzyły się drzwi do Drapera i wyszedł stamtąd młody mężczyzna z kobietą. Byli ubrani jak studenci, ale nieśli aktówki. Chłopak zebrał włosy w kucyk, natomiast dziewczyna miała włosy ścięte krótko i lekko pokryte na końcach czerwoną farbą. Draper sprawdził coś u sekretarki, a potem podszedł do nas.

— Inspektorze West, przepraszam, że kazałem czekać.

— Nic takiego, jesteśmy wdzięczni, że znalazł pan czas, aby się z nami zobaczyć.

Wprowadził nas do swojego gabinetu. — Te rękawiczki to miły dodatek — powiedział. Nie zrozumiałem. — Kiedyś produkowałem program o policjantach, może znacie?

— Tak, oglądałam — przyznała Bel.

Draper wyglądał na zadowolonego. — I właśnie — powiedział — inspektor tam nosił rękawiczki takie jak wasze.

— Aha — odparłem. Draper zauważył, że nie zarobił żadnych punktów, i poprawił się na obrotowym fotelu.

— Nie bardzo wiem, w czym mam pomóc. Już opowiedziałem waszym kolegom wszystko, co mi przyszło do głowy.

— Mamy tylko kilka dodatkowych pytań. Z nowej perspektywy.

— Hm, dobrze w takim razie. — Draper złożył dłonie przed sobą. — Kawa, herbata?

— Nie, dziękujemy. Aha, to posterunkowa Harris.

Draper zagapił się na Bel. — Chcemy ruszyć z serialem dokumentalnym o policji — zwrócił się do niej. — Myślała pani kiedyś o występowaniu w telewizji?

Bel uśmiechnęła się profesjonalnie. — Raczej nie. W ostrym świetle robię się nerwowa.

Draper zaśmiał się. — Zupełnie jak w pokoju przesłuchań, co? — Teraz zwrócił się do mnie. — Proszę strzelać.

Zdaje się, że chodziło mu o to, abym zadawał pytania.

— Chcielibyśmy dowiedzieć się trochę więcej o pani Ricks, jej rodzinie, współpracownikach, możliwych wrogach.

— Hm, nikt z jej współpracowników nie był jej wrogiem. Lainie miała nieposzlakowaną reputację. Wszyscy koledzy dziennikarze podziwiali ją. Może nieliczni ludzie z telewizji szykowali noże, ale tylko w metaforycznym znaczeniu.

— To znaczy?

Rozłożył ręce. — Zapowiadała się na gwiazdę. Była naturalna w telewizji. — Znowu spojrzął na Bel. — Wiecie dlaczego? Bo nie ufała temu medium. I to było widać, tę szczerą, poczucie, że nie będzie tolerować żadnego gnoju.

— Ale faktycznie nie robiła żadnych programów?

— To prawda. Mówię o próbach, jakie nagrywamy wcześniej, szczególnie z nowicjuszami. Lainie przeszła je jak burza. Zupełnie jakby szła po wodzie. Wiedziałem od razu, jak pojawiła się na ekranie, że zacznie przy-

sparzać sobie... nie wrogów w zasadzie, ale zazdrości wśród innych pre-
zenterów, bo teraz miała im dopiero pokazać, jak tę robotę się wykonuje.

— Potrząsnął głową i uspokoił się nieco. — To wielka strata.

Zabrzmiało to, jak gdyby myślał w kategoriach finansowych.

— A co z jej rodziną? — zapytałem. — Znał ich pan?

— Och, tak, chyba poznałem ich dość dobrze.

— To znaczy?

Drapper westchnął, jakby normalnie nie plotkował, ale skoro byliśmy
z policji, jak mógł odmówić.

— Freddy jest dość trudny w pożyciu, inspektorze. Chodzi o to, że je-
go blask mocno przygasał i jemu trudno to zaakceptować. Nadal chce być
gwiazdą seriali. Widział go pan kiedyś w którymś? Nie było to nic wyma-
gającego. Poza tym, one leciały jakieś dziesięć lat temu, o czym najwyra-
źniej Freddy zapomniał. Widzi, że te wszystkie wiekowe komedie są po-
wtarzane w telewizji, a jego dziś nie ma. Naprawdę, nikogo to nie dziwi.
Tymczasem widzi, jak jego żona wchodzi przebojem do telewizji i ja jej
mówię, jaka jest wspaniała. Rozumie pan, że to musiało być dla niego
trudne.

— Tak, wyobrażam sobie. Czy kłócili się?

— Cały czas.

— O co?

— O wszystko. Chce pan przykład? — Skinąłem głową. — Dobrze,
Frededy wydał ich oszczędności na wyjazd do Hollywood. Szukał tam
pracy, ale wrócił jedynie z opalenizną i firmowymi zapałkami z drogich
restauracji. Lainie była na niego wściekła. — Przerwał. — Proszę mnie źle
nie zrozumieć, na pewno Freddy nie wydał zlecenia na Lainie, nie to chcę
powiedzieć. Kłócili się, ale nigdy nie dochodziło do rękoczynów. W zasa-
dzie nawet na siebie nie krzyczeli. Tłumili w sobie złość i nie rozmawiali
z sobą całymi tygodniami. Twierdzą jedynie, że ich małżeństwo nie było
idealne. A które jest?

Bel miała pytanie: — Czy lubił pan panią Ricks jako osobę?

— Czy lubiłem ją? Kochałem ją. Nie lubiłem nic bardziej jak... — Za-
milkł i potrząsnął głową. — Sam nie wiem. — Oczy mu zwilgotniały, ale
praktycznie całe życie zawodowe spędził w towarzystwie aktorów. Musiał
poznać jakieś sztuczki.

— Miała też syna — zachęciłem go.

— Racja, bezwstydnego darmozjada i nieroba imieniem Archie.
Mówię wam, zapamiętajcie moje słowa, zostanie milionerem w wieku
dwudziestu jeden lat.

- Co robi?
- Jest w zespole, programuje sample, tego rodzaju rzeczy.
- Elektronika.
- Tak, nie widzę, aby ten zespół wiele zdziałał. Przez grzeczność wysłuchałem ich numerów, na wypadek gdybyśmy chcieli wykorzystać któryś jako podkład do programów. Można sobie było darować. Lecz Archie to geniusz, w dość ograniczonym znaczeniu. Spodziewam się, że zajmie się produkcją i tam się wzbogaci.
- Panie Draper, wiem, że to pytanie zadali panu wcześniej moi koledzy, pewnie też dziennikarze, ale czy przychodzi panu na myśl ktoś, kto chciałby śmierci Eleanor Ricks?
- Potrząsał głową. — To musiała być pomyłka. Ten gnój na pewno chciał zabić Prendergast albo tego obcokrajowca. Na pewno.
- Pan wysłał panią Ricks na wywiad z Molly Prendergast?
- Nie, to był pomysł Lainie. To znaczy, to ona prowadziła cały show. Cała historia była jej, z minimum udziału z mojej strony. Mówiła, że chce iść w pewną stronę, rozmawialiśmy o tym, a potem ona brała się do roboty. To ona prowadziła ten pojazd, a ja... ja siedziałem gdzieś z tyłu albo w bagażniku. W ogóle się nie liczyłem.
- A w jaką stronę tak zmierzała?
- Westchnął. — Teraz pewnie nikt tego nie pociągnie.
- Rozmawialiśmy z adwokatem pani Ricks, niejakim panem Johnsem. On wspominał coś o kultach religijnych?
- Draper skinął głową. — Dziecko Prendergast tkwiło w takiej sekcji od ponad roku. Ostatecznie Prendergast sformowała coś na kształt oddziału szturmowego, który miał porwać jej córkę. Działo się to kilka lat temu, wtedy było o tym głośno. Córce teraz całkiem dobrze się wiedzie, to z nią chcieliśmy zrobić program, ale matka powiedziała *nie* — i jeżeli chcieliśmy rozmawiać z kimś, to tylko z nią. Lainie umówiła się więc na spotkanie częściowo, aby usłyszeć wersję Prendergast, a po części, aby namówić ją do zmiany zdania. Pomyśleliśmy, że jak Prendergast spotka się z Lainie, to może trochę zmięknie.
- Więc miał być to program o córce Prendergast?
- Boże, nie, ona była zaledwie zdaniem, frazą w o wiele większej historii. Nie w tym rzecz, Lainie zajmowała się samą sektą.
- Która?
- Apostołami Miłości. Brzmi na jakiś zespół z lat sześćdziesiątych, co? Można ich sobie wyobrazić na otwarciu festiwalu w Monterey.
- Jaki... ton miał przyjąć dokument?

— Zasadniczo przedstawiał, jak grupa jest prowadzona. Mają jednego z tych charyzmatycznych liderów, wiecie, jak w Waco albo Dzieciach Boga. Lecz większość sekt od razu sięga po twój portfel, zanim dobiørą się do twojej duszy, a Apostołowie tacy nie są. Przyjmują biednych.

— Nie rozumiem więc problemu.

— Cóż, nie chcą się przyznać, w jaki sposób są sponsorowani. Lainie liczy, że trzeba tysięcy, może setek tysięcy rocznie na utrzymanie działalności, a ich całkowity dochód nawet nie sięga połowy tego. Skąd więc biorą się pieniądze?

— Próbowaliśmy ich zapytać?

— W zasadzie to nawet jej tego nie utrudniali, tylko odgradzili się Wielkim Murem Chińskim. Pewni finansowi mądrale powęszyli dla nas. Dostaliśmy od nich rachunek, który nieomal nas zabił, ale niczego nie mogli nam powiedzieć o Apostołach.

— Ma pan tu coś na temat tego projektu? To znaczy coś, co mógłbym zabrać?

— Pewnie, mam kilka egzemplarzy Biblii.

— Biblii?

Draper uśmiechnął się znowu. — Od tego zaczynamy pracę, to rodzaj projektu przyszłego dokumentu. Używamy go, aby zainteresować osoby, od których to zależy. — Otworzył szafę. Była pełna opasłych teczek i ryz zadrukowanych kartek, skryptów i tym podobnych. Znalezienie tego, czego szukał, zajęło mu kilka sekund. — Proszę, po jednym dla każdego.

Biblia była luźno związana tekturową okładką i zabezpieczona cienką plastikową koszulką. W okładce były otwory, przez które widać było nazwę projektu, nazwisko Drapera i Ricks oraz kilka innych detali.

Projekt nazywał się po prostu *Apostołowie Miłości*, ale opatrzony był znakiem zapytania.

— Jestem wdzięczny za to, panie Draper. Dopilnuję, aby to do pana wróciło.

Wzruszył ramionami. — Proszę je zatrzymać. Bez Eleanor Ricks to wszystko to już historia.

— I ostatnia rzecz, czy pani Ricks miała jakiś ulubiony kolor ubrania?

Pytanie zaskoczyło go, więc uśmiechnąłem się uspokajająco.

— Nadal zastanawiamy się, czy może zabójca pomylił ją z panią Prendergast.

— Rozumiem, Lainie miałyby być ubrana w rzeczy typowe dla Prendergast. — Pokiwał głową. — Hm, wiem jedno, rzeczywiście lubiła iden-

tyfikować się ze spotykanymi osobami, a to czasami mogło oznaczać ubieranie się w podobny sposób. A jeżeli chodzi o kolory... — Potrząsnął głową. — Najbardziej kojarzą mi się jaskrawe: czerwony, niebieski, żółty. Dość podstawowe.

Pokiwałem głową. Kazano mi szukać żółtego i niebieskiego. Przyglądałem się Draperowi, starając się dojrzeć coś ukrytego w jego oczach, choćby cień winy. Ale jaki miałyby motyw? Nie, niczego nie dostrzegłem.

— A co z panią Prendergast? — niespodziewanie zagadnęła Bel.

— Co z nią? — Draper odpowiedział pytaniem.

— To osoba publiczna, jest twarda, poza tym interesuje się sektą — dodała. Draper nadal tego nie rozumiał. — Mogłaby kontynuować od tego miejsca, w którym pani Ricks zostawiła sprawę.

Draper zerwał się z miejsca. Myślałem, że przeskoczy biurko, ale on tylko pochylił się w stronę Bel.

— Genialne! — wrzasnął. — Kurwa, genialne! — Uderzył w blat obiema rękami i dziko potrząsnął głową. Szamotał się między płaczem a śmiechem. — Jakie to genialne. Dlaczego o tym nie pomyślałem?

Bel spojrzała wymownie w moją stronę, potwierdzając, że to tautologia. Draper spieszył się teraz z wyprowadzeniem nas, ale cały czas starał się być grzeczny. Jedną rękę położył Bel na ramieniu, a jedną na moich plecach. Mówił Bel, że ma przemyśleć propozycję prowadzenia serialu dokumentalnego.

— Dobrze — odparła. — Pomyślę o tym.

— To będzie wielka strata dla policji — powiedziałem jej po wyjściu.

Na ulicy skierowałem się do pierwszego kiosku i kupiłem kilka codziennych gazet. Chciałem się dowiedzieć więcej na temat strzelaniny w Tottenham. Nie sądzę, żeby Harry coś powiedział, ale jak mogłem mieć pewność? Bez podróży do Tottenham nie było takiej możliwości.

Powiedziałem Bel, że należy jej się czas wolny i zdołałem wcisnąć jej pięćdziesiąt funtów, co przy Knightsbridge wystarczy na znośny lunch. Potem skierowałem się na północ. Wiedziałem, że to jedno z większych głupstw z mojej strony, ale nie potrafiłem sobie tego racjonalnie wytłumaczyć. Wiedziałem jedno, że jak spotkam Hoffera, to nie chcę, aby Bel była w pobliżu. To bez znaczenia, że stanowi dla mnie najlepszą przykrywkę. Obiecałem przecież, że nie narażę jej na niebezpieczeństwo.

Zanim się rozstaliśmy, kazała mi zadzwonić. Powiedziałem, że po wszystkim spotkamy się w hotelu. Pocałowała mnie w policzek, a ja przy-

łożyłem palec do jej brody. Nie mówiła, abym uważał, ale wiedziałem, co myśli.

Przez całą drogę do Tottenham robiłem coś, czego normalnie nie robię. Myślałem o przeszłości. Nie tej odległej, ta mi nie przeszkadza, ale tej świeżej i o życiu w roli zabójcy. Hm, a co innego miałem zrobić z własnym życiem? Nigdy nie korciło mnie siedzenie przy biurku, a w wojsku mnie nie chcieli. Jako nastolatek byłem zdolny, ale szybko się nudziłem, a do tego byłem sfrustrowany, że nie mogę grać ani w piłkę, ani w rugby. Czasami faktycznie próbowałem brać udział w grze, ale inne dzieci znały mnie i nie chciały się zbliżyć. Chyba na swój sposób były ostrożne, ale wtedy tego nie rozumiałem. Widziałem jedynie, że jestem odmieniec. Więcej czasu zacząłem spędzać na strzelnicy, gdzie zdobyłem ciekawy fach.

Zachęcił mnie do tego ojciec, pomimo ostrzeżeń mamy. Sam był najwyższej klasy snajperem. Zaczęliśmy od wiatrówek, potem przeszliśmy na prawdziwą amunicję, na początek małego kalibru. Aż dziw pomyśleć, że te wspólne popołudnia zaprowadziły mnie tu.

Tu, mając na myśli moje ofiary.

Nigdy nie miałem sumienia. Jak mówię, każdego coś rozdziera. Ale potem chybiłem celu i zabiłem niewinną dziewczynę. Wtedy rozeszło się, że popełniam błędy. Płakałem przez tamą dziewczynę. Siedziałem przy hotelowym basenie na Bahamach i odtwarzałem to w myślach, ciągle i ciągle na nowo: zimny Nowy Jork, oblodzony stopień, jedno poślizgnięcie...

Nazwali mnie Człowiekiem Demolką, ale ja demolowałem wyłącznie życie. Można było kupić nowy kosz na śmieci, można było wyremontować ścianę nowymi cegłami i zaprawą... Lecz w biurze Drapera zauważyłem coś. Zauważyłem jego ból. Stracił kogoś i ta strata, mimo całej mojej powierzchni, nie była jedynie finansowa. Stracił osobę, którą kochał. Może i był bezwzględnym biznesmenem, może knuł intrygi, może był okrutnym kapitalistą wzbogacającym się plotką i bólem. Widziałem fragmenty niektórych jego programów; koncentrowały się na zapłakanych twarzach, gdzie dziennikarze osaczali poszkodowanych. Lecz był też człowiekiem. Czuł to, co czuły jego ofiary. Teraz to odczuwał.

Dlatego właśnie lubię oddalić się od miejsca zdarzeń. Nigdy tam nie wracam. Nie kupuję gazet ani nic podobnego. Nie czytam o sobie i nie wycinam artykułów, żeby wleźć je do albumu. Wykonuję robotę i spaceruję stamtąd. Po wszystkich nigdy nie wracam do tego myśla. Topię wspomnienia w alkoholu i podróżuję.

Proszę, oto ja: trzeźwy jak świnia zmierzam ku czemuś, nie oddalam się od tego. Nie byłem nawet uzbrojony, a wiedziałem, że jest Hoffer.

Taksówkarzowi kazałem podwieźć się na High Road i przeszedłem kilkaset metrów na ulicę Harry'ego. Frontowe drzwi nadal czekały na naprawę. Widziałem, w którym miejscu zamek został sforsowany, ale nie było śladów łomu, żadnej dźwigni. Także żadnych odcisków butów na drzwiach, co oznaczało, że użyto barku.

Na schodach słychać było jakiś hałas. Zszedł Murzyn i zmierzał do wyjścia. Obrzucił mnie wzrokiem.

— Co się tu stało? — zagadnąłem. Zignorował mnie. — Jestem przyjacielem Harry'ego.

W jego spojrzeniu widać było niewiarę. — Nie ma go.

— A co stało się z drzwiami?

— Jakiś wielki, biały skurwiel je rozwalił. — Gdyby był psem, na pewno obwąchiwałby mnie. — Pan z policji? — Potrząsnąłem głową. Murzyn rozejrzał się po ulicy. Pociąg, który stał na stacji, ruszył nasypem i mijał nas. — To był duży facet. Wziął drzwi z kopa, potem te do mieszkania Harry'ego. Wracaliśmy i pomyśleliśmy, że ktoś nas oskubał, nie? No to weszliśmy, a ten gościu wyciągnął pistolet i stał nad Harrym. Harry wyglądał, jakby miał się przekręcić, nie? To pogoniliśmy skurwiela.

Zagwizdałem. Przystąpił z nogi na nogę i wyglądał na zadowolonego z roli, jaką odegrał w tym dramacie.

— Harry'emu nic się nie stało, co?

— Nie wiem, człowieku, zwiął. Psy chciały z nim gadać, ale Harry zniknął.

— Nie winię go.

— Pewno.

— Nie ma sensu stukać do niego?

— Chata jest ogołocoana do czysta. Psy nie założyły zamka, to dzieciaki wlażyły i zabrały wszystko. Je też musieliśmy pogonić.

Pokiwałem głową, chociaż podejrzewałem, że większa część majątku Harry'ego leżała teraz na kupie w mieszkaniu piętro wyżej.

— Dzięki, że mu pomogliście — powiedziałem.

— Pewno — wzruszył ramionami — po to są sąsiedzi, nie?

Wróciłem do hotelu, położyłem się na łóżku i czytałem projekt *Apostołów Miłości*? Eleanor Ricks nieomal zaplanowała własne zabójstwo. Sekta miała swoje korzenie na północnym zachodzie USA, znanym mi obszarze, ale jej macki rozchodziły się na cały świat. W Europie było kilkana-

ście komun, ale tylko jedna w Wielkiej Brytanii. Córka Prendergast faktycznie należała do zgrupowania w południowo-zachodniej Francji, ale dociekania Ricks koncentrowały się na brytyjskiej enklawie na zachodnim wybrzeżu Szkocji.

Według notatek dodanych na końcu projektu dwukrotnie odwiedziła Szkocję, ale planowała o wiele dłuższą wizytę po zakończeniu tego, co określała „wstępnym badaniem”. Tylko nigdy nie dane było jej doprowadzić dociekań do końca.

Kluczem najwyraźniej było finansowanie sekty. Dopóki nikt tego nie wyjaśni, można było się domyślać Bóg wie czego: narkotyki, prostytutka, szantaż, wymuszenia. W teczce były wycinki prasowe odnoszące się do historii innych sekt, nie tylko Gałęzi Dawidowej w Teksasie, ale Dzieci Boga w Argentynie i paru odłamów Południowych Baptystów w Luizjanie i Alabamie. O ile się orientowałem, sekty w ogólności były pozytywne: zapewniały pracę dealerom broni. Grupa Koresha w Waco zmagazynowała dosyć broni na Armagedon i jeszcze więcej. Byłem w Teksasie. Aby kupić broń, jakkolwiek broń, wystarczało stanowe prawo jazdy i formularz, który wypełniałeś samodzielnie, stwierdzający, że nigdy nie byłeś w wariatkowie i nie ćpałeś. W Teksasie każdy mężczyzna, kobieta i dziecko ma ze cztery spluwy. A to są te *legalne*. Wiedziałem, że jest sporo dealerów broni, którzy nie wymagają dowodu tożsamości od kupujących, a jedynie pliku banknotów. Raz kupiłem lunetę z noktowizorem od człowieka z wojskową fryzurą, gdy zagadałem do niego w barze w Lubbock. Zapłaciłem połowę ceny rynkowej. Tam też poznałem Spike'a. Spike był, poza Maxem i Bel, najbliższy mojemu pojęciu przyjaciela w tym całym przeludnionym świecie.

A Spike był szalony, szalony na punkcie broni.

Bel zastukała po swojemu i weszła do pokoju. Miała rumiane policzki, gdy wskoczyła na łóżko obok mnie.

— Ale się zeszałam, nakręciłam kilometrów — powiedziała. — Jak tobie poszło?

— Nie możemy się tu dłużej kręcić.

— No, to ułatwia nam sprawy.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Przetoczyła się na bok i podparła głowę jedną ręką. — Właśnie spędziłam godzinę w kawiarni i czytałam ten projekt. — Wskazała moje papiery. — Rozumiem, że Apostołowie Miłości są równie dobrymi podejrzanyymi, co każdy inny.

— A skąd wiedzieli, w co będzie ubrana?

— Ktoś musiał ją obserwować, inaczej nie zebraliby tych wszystkich informacji, które tobie przekazali. Może obserwator zauważył, że codziennie lub przynajmniej na każdy wywiad nosiła podobne ubranie.

Tak, pomyślałem sobie. — Może — powiedziałem głośno.

— Do tego — ciągnęła Bel — jest ten zazdrosny mąż, nierozumiany nastoletni syn, producent, który chciał z nią iść do łóżka, prawnik, który równie dobrze mógł za nim stać w kolejce.

To prawda, że prawnik, Geoffrey Johnson, okazywał coś więcej niż zaledwie zawodowe zainteresowanie Eleanor Ricks, kiedy z nim rozmawialiśmy.

— Mamy więc sporo możliwych fundatorów — stwierdziłem.

— Tak, ale żaden nie jest tak silny jak Apostołowie Miłości. Zauważ, co o nich mówiła. To znaczy, z tych amerykańskich wycinków prasowych wynika, że ci ludzie nie znają się na żartach.

Bel znowu miała rację. Apostołowie Miłości mieli w USA kłopoty po tym, jak pewien dziennikarz został pobity, a inny uderzony wielokrotnie własnym aparatem.

— Nie wiemy, czy posunęliby się do zabójstwa.

— Nie wiemy, czyby się nie posunęli. Poza tym, jest jeszcze coś, na koniec.

Uśmiechnąłem się. Jak dotąd myśleliśmy w tak podobnych kategoriach, że wiedziałem, co to takiego będzie.

— Koniecznie wyjechać z Londynu — powiedziałem.

Bel zgodnie skinęła głową. — Mamy dwie rzeczy do wyboru. Przeczekamy tutaj, aż Shuttack wróci, bo tylko on może nam powiedzieć, kto cię wynajął. Albo uciekamy. Zawsze możemy wrócić później, a w międzyczasie możemy robić coś pożytecznego, na przykład przyjrzeć się Apostołom Miłości.

— Wyjęłaś mi to z ust — przyznałem. — I zawsze mogę cię podrzucić do Maxa po drodze.

— Co? — wyprostowała się. — Co chcesz przez to powiedzieć?

— Bel, potrzebowałem ciebie tutaj jako przykrywkę. W Szkocji nie będę potrzebował alibi.

— Skąd wiesz?

— Po prostu wiem. Tam jeszcze nie przeczesują ulic w poszukiwaniu płatnego zabójcy.

— Ale jest ten cały Hoffer. Jeżeli wydedukował to wszystko, co go powstrzyma przez wyjazdem do Szkocji?

— No to co, że tam pojedzie? Zamierzasz osłonić mnie przed nim?

Uśmiechałem się, ale Bel nie. Zaciskając zęby, zaczęła okładać mnie po ramionach. — Nie zostawisz mnie tu, Weston!

— Bel, zrozum, dobrze?

— Nie, nie rozumiem. — Nadal mnie oldadała. — Jadę z tobą!

Wstałem z łóżka i roztarłem ramiona. Bel zasłoniła dłonią usta.

— O mój Boże — powiedziała. — Zapomniałam! Michael, nic ci nie jest?

— W porządku. Może będę miał siniaki, ale to wszystko.

— • Chryste, przepraszam, zapomniałam, że ty... — Wstała z łóżka i objęła mnie.

— Hej, nie za mocno — powiedziałem. Śmiałem się, ale kiedy spojrzałem na Bel, miała łzy w oczach. — Już dobrze — dodałem. — Choruję na hemofilię, ale nie jestem papierową tutką, nie pękne.

W końcu uśmiechnęła się, potem znowu mnie objęła.

— Jadę z tobą — powiedziała. Pocałowałem ją w oboje oczu, wyczuwając, jak słone ma rzęsy.

— Porozmawiamy z Maxem — zdecydowałem.

13

Proszę wejść, panie... hm...

— Hoffer.

— Oczywiście. Proszę siadać.

Biuro Geoffreya Johnsa było uosobieniem tego wszystkiego, czego Hoffer nie cierpiał i co kochał w Anglii. Było staromodne, nieco zakurzony i zdecydowanie czuć było zapach historii, rodziny i tradycji. Było w tym coś szczerego, poważnego i poufnego. Nie można było sobie wyobrazić Johnsa w czerwonych szelkach i włosach przylizanych żelazem, dokonującego miliardowych transakcji przez telefon. Był bardziej ojcem-spowiednikiem niż prawnikiem i chociaż nie był taki stary, sprawiał wrażenie mądrego, dobrodusznego i uroczo wstawionego. Na przykład zmusił Hoffera do przedstawienia się, chociaż bardzo dobrze wiedział, kto to jest. Hoffer miał ochotę strzepnąć mu te okulary połówki do kosza i trzasnąć go w głowę, aby go obudzić. Kończył się wiek dwudziesty, a Geoffrey Johns nadal żył w czasach Dickensa.

— A zatem, panie... aha... Hoffer. — Poprzekładał jakieś papiery na biurku. Nie były niczym więcej niż teatralnymi rekwizytami, więc Hoffer czekał cierpliwie, siadając z uśmiechem z założonymi rękami. Prawnik

podniósł na niego wzrok. — Może herbaty? Albo kawy? Zdaje się, że wy Amerykanie wolicie kawę.

— Wolimy, panie Johns, darować sobie to całe to gówno i brać się do rzeczy.

Johns nie patrzył na Hoffera przez okulary; spuścił głowę i spoglądał nad szklami. — Panie Hoffer, należy przestrzegać pewnych grzeczności. Rodzina pani Ricks nadal pozostaje w żałobie. Sam cały czas jestem w stanie pewnego szoku.

— Była dobrą klientką, co?

Johns chwycił znaczenie dość szybko. — Traktowałem ją jak przyjaciółkę, wieloletnią.

Hoffer zwrócił uwagę na bakelitowy telefon; aż musiał się uśmiechnąć. Adwokat źle to odebrał.

— Dobry Boże, człowieku, co tu jest do śmiechu?

— Pana telefon — powiedział Hoffer. — Atrapa, co? To znaczy: imitacja.

— Według mnie to replika.

— Dużo teraz podróbek, panie Johns. I napiję się tej herbaty, jeśli można, z mlekiem i dwiema kostkami cukru.

Johns gapił się na niego, rozważając, czy poczęstować tego impertynenta z Ameryki herbatą. Przeważała uprzejmość. Johns połączył się z sekretarką i poprosił o imbryk herbaty.

— Zdaje się — mówił Hoffer — że ma pan obowiązki przede wszystkim względem swoich klientów. Przyzna pan?

— Oczywiście.

— Cóż, jeden z nich został zamordowany. A rodzina poprosiła pana o pomoc. Z tego, co rozumiem, chcą znaleźć mordercę, ona też by chciała i pan prawdopodobnie też.

— Oczywiście — obruszył się adwokat. — Tylko bez „prawdopodobnie”. Uważam, że powinni przywrócić wyrok śmierci przez powieszenie dla terrorystów.

— Terrorystów? Dlaczego tak pan mówi?

— Co?

— Że zabójca był terrorystą?

— No, a kim była docelowa ofiara?

— Nie mam podstaw, by nie uważać, że była to pani Ricks.

— Naprawdę? Ale ta minister i dyplomata...?

Hoffer potrząsnął głową. — Demolka zazwyczaj trafia w cel.

— Och, ale w gazetach piszą, że trafił niewłaściwą osobę w Nowym Jorku. Piszą, że tam się zaczyna pański udział.

Hoffer potwierdził to. Wczoraj i dzisiaj rano udzielił wywiadu dwóm gazetom i stacji radiowej. Jeszcze nie telewizji, co było zaskakujące. Kiedy dwa kraje we wschodniej Europie zamknęły wspólną granicę, historia przybrała inny obrót. Demolka nadal pojawiał się we wiadomościach, a Hoffer był zawsze dobry na materiały.

— Według mnie, panie Hoffer — kontynuował Johns — moim obowiązkiem jest wesprzeć oficjalne śledztwo policji tak, jak umiem. Nie wydaje mi się, aby uczestniczył pan w śledztwie oficjalnie, dlatego nie mam obowiązku udzielać panu odpowiedzi.

— Jeżeli pan wie cokolwiek — powiedział Hoffer — to wie pan też, że jeżeli ktoś złapie tego człowieka, będę to ja.

— Naprawdę? A jak długo pan go śledzi? Już jakiś czas, zdaje się. Hofferowi coraz bardziej podobał się ten adwokat.

— Dużo pewnie rozmawiał pan z policją? — zapytał.

— Praktycznie codziennie, wczoraj dwa razy. — Johns potrząsnął głową. — Jak mogę, to pomagam, ale niektóre z ich pytań...

Zjawiła się taca z herbatą. Hoffer dobrze przyjrzał się sekretarce, gdy stanęła obok niego i pochyliła się, aby postawić tacę na biurku. Świetne nogi, ładna pupa, ale twarz tak chuda i ostra, że można by używać jej jako szpikulca.

— Dziękuję, Monico — powiedział Johns. Po wyjściu sekretarki zaczął nalewać mleko i herbatę z gracją księżnej.

— Cukrem proszę się poczęstować.

Hoffer poczęstował się. — Jakie mieli te pytania? — zapytał od niechcienia.

— Hm, zaskoczyło mnie to: jakie kolory lubiła nosić? W ogóle nie widzę w tym sensu, ale oficer powiedział, że ma powody, by je zadać.

— Ale nie przedstawił tych powodów?

— Nie. Typowy policjant, obawiam się.

— Jej ulubione kolory, hm? — Hoffer sam zastanowił się nad tym pytaniem, szukając w nim sensu, jednocześnie mieszając herbatę. Była to jedna z tych eleganckich, porcelanowych filiżanek z uszkiem tak bardzo ozdobnym i miniaturowym, że musiał wziąć w dłoń całą filiżankę, ignorując ucho.

Johns najwyraźniej nie miał ze swoją filiżanką żadnych kłopotów. Pewnie na prawie uczyli talach sztuczek.

— Muszę pana zapewnić, że ściśle współpracuję z londyńską policją. Wiedzą, że jestem po właściwej stronie. To znaczy, wszyscy mamy ten sam cel.

— Tak, rozumiem.

— Proszę więc mnie źle nie zrozumieć. — Hoffer uśmiechnął się skromnie. — Prasa nie zawsze przedstawia mnie we właściwym świetle. Nie szukam rozgłosu ani niczego w tym rodzaju. Nie jestem nawiedzonym wariatem z niebiańską misją do wypełnienia. Jestem tylko gliniarzem, wykonującym swoją robotę. — Szczerość przychodziła mu łatwo. — I będę wdzięczny za pańską pomoc.

Johns odstawił filiżankę. — Zapewnię ją panu, o ile będę w stanie.

Przerwał im telefon. Może i była to replika, ale miała miły, stary dzwonek, który powoli ucichł, gdy Johns podniósł słuchawkę.

— Monica, prosiłem, żebyś nie łączyła żadnych rozmów. Dobrze, połącz go. Halo, Ray, co mogę zrobić dla ciebie? Nie, dzisiaj rano nie oglądałem wiadomości... Co takiego? — Spojrzał na Hoffera i nie odrywał od niego wzroku. — To ciekawe. Kiedy to było?... No, nie wiem, co sądzić. Nie, teraz bez komentarza. Dziękuję, do widzenia.

Odłożył słuchawkę, ale nie odrywał od niej ręki.

— To reporter — poinformował Hoffera. — Mówi, że z lokalną stacją radiową skontaktował się ktoś podający się za zabójcę.

— Jakiś wariat — stwierdził Hoffer. — Co powiedział?

— Powiedział, że chce przekazać tym dwóm europejskim krajom, że nie próbował zastrzelić dyplomaty. Powiedział, że trafił tego, kogo chciał. — Johns pobladł, gdy podnosił dłoń ze słuchawki. — Chyba potrzebuję czegoś mocniejszego od herbaty.

Pod oknem znajdował się barek. Johns nalał ciemnego płynu do dwóch kieliszków. W kieliszku była jakaś setka alkoholu, który Hoffer powachał.

— Sherry — wyjaśnił Johns, połykając swoją porcję.

Hoffer, który wcześniej miał okazję skosztować sherry jedynie w angielskim deserze, wypił alkohol, zatrzymując w ustach przed połknięciem. Z początku było kwaśne, ale szybko uzyskało pełnię smaku, gdy rozgrzewała mu wnętrzności.

— Niezłe — przyznał.

— Nadal pan sądzi, że to wariat dzwonił? — zapytał adwokat.

— Nie wiem.

— Może pański człowiek właśnie odkrył u siebie sumienie.

— On i sumienie... — Hoffer nadal nie rozumiał pytania o ubranie Ricks. — Ten policjant, z którym pan wczoraj rozmawiał, ten, który pytał o ubranie pani Ricks, mogę wiedzieć, kto to był? Czy to nadinspektor Broome może? Albo komisarz Edmond?

— Nie, żaden z nich, chociaż z nimi już wcześniej rozmawiałem. To ktoś nowy w śledztwie. Przeprosił, że zadaje pytania, które już wcześniej słyszałem.

— Był sam?

— Nie, z kimś drugim.

— Nie miał przypadkiem brązowych włosów?

— Czarne, krótko ścięte, jak sobie przypominam.

Hoffer zaczął się zastanawiać. Mark Wesley miał fałszywą legitymację od Harry'ego Capaldiego...

— Pokazywali panu jakieś legitymacje?

— O, tak. On nazywał się Wes... nie, chwileczkę. — Hoffer nieomal zerwał się z fotela, ale prawnik znowu szukał czegoś na biurku, jakiegoś strzępka papieru. — Jest. Inspektor West.

— Bez imienia?

— Bez. Asystowała mu kobieta, posterunkowa Harris.

Hoffer potrząsnął głową. — Nie znam ich — powiedział, sam nie wiedząc, czy mówi prawdę.

Bob Broome nie zachwyił się na jego widok. Posterunek przy Vine Street jak zwykle ogarniał chaos i mrok. Broome nie chciał przepuścić Hoffera przez recepcję, więc ten czekał, aż Broome zejdzie do niego.

— Jestem zajęty — oznajmił oschle, kiedy w końcu się zjawił.

— Znajdziesz dla mnie czas, Bob, kiedy usłyszysz, co mam.

Broome zmrużył oczy. — Mam tu dookoła dosyć świrów, więcej nie potrzebuję.

— Nie myślisz chyba, że ten telefon wykonał świr, co?

— Nie wiem.

— Macie nagranie czy tylko zapis?

Broome jeszcze bardziej zmrużył oczy. — Tylko po to tu przyszedłeś, żeby nagabywać mnie o ten telefon?

Hoffer potrząsnął głową z dezaprobatą. — Powiedz mi tylko jedno: komisarz West i posterunkowa Harris, znasz ich?

— A imiona? — padło, na co Hoffer pokiwał przecząco. Broome zastanowił się jeszcze chwilę. — Nigdy o nich nie słyszałem.

— West jest trochę podobny do Wesleya, co?

— Hoffer, daj spokój, o co ci chodzi?
— Możemy pójść na górę i porozmawiać o tym? Czuję się jak ofiara, kiedy tkwię tu na dole.

Broome postanowił iść mu na rękę, pomimo poważnych podejrzeń.

— No, to chodź — powiedział. W drodze na górę minęli schodzącego Barneya. Puścił oko do Hoffera.

— Będę miał to jutro dla ciebie — powiedział.

— Dzięki — odparł Hoffer tonem pełnym winy lub przynajmniej zażenowania, gdy Broome obrzucił go wrogim spojrzeniem.

Kiedy dotarli do biura, Broome ostentacyjnie sprawdził godzinę. — Masz pięć minut — zwrócił się do Hoffera. Wtedy usiadł i wyglądał, jakby oczekiwał na przedstawienie.

— Bob, nie należę do żadnego związku aktorskiego. — Hoffer usiadł powoli, starając się, by było mu wygodnie. — Powiem prosto z mostu, ale przestań zachowywać się, jakbyś się dąsał.

— *Dąsał?* To ty chodzisz, jakbyś był nadinspektorem, a ja jakimś chłopcem na posyłki, który wchodzi ci w drogę. Hoffer, ja się nie dąsam. Jestem cholernie wściekły. Dobra, co tam masz dla mnie?

Do pokoju wszedł posterunkowy i położył małą paczkę na biurku Broome'a. Broome zignorował ją, czekając, aż Hoffer zacznie mówić. Hoffer wskazał paczkę.

— To ta taśma, Bob? — Broome nic nie odpowiedział. — No, może posłuchamy?

— Najpierw powiedz mi, co wiesz.

— Hm, „wiesz” to trochę zbyt mocne. Ale jest ten adwokat, Geoffrey Johns.

— Znam pana Johnsa.

— Tak, znasz. Ale nie znasz nikogo o nazwisku West albo Harris. West jest dobrze po trzydziestce, wysoki, szczupły, z krótkimi, czarnymi włosami. Jest z młodą kobietą, dość wysoką, o krótkich, jasnych włosach. Możecie dostać bardziej szczegółowy opis od Johnsa i jego sekretarki.

— Miło z twojej strony. Więc sądzisz, że West to Wesley?

— Tak.

— I udaje oficera policji?

— Używając legitymacji podrobionej przez Capaldięgo.

— Dlaczego? — padło, ale Hoffer nie odpowiedział. — A kto jest jego partnerką?

Teraz Hoffer wzruszył ramionami. — Nie mam pojęcia, ale rozpytywał się o Ricks. Liczy się to, że nadal jest w mieście i rozpytuje się. Na lo-

gikę, powinien być już hen daleko, a pozostaje pod naszymi nosami. — Wtedy Hofferowi przysłała do głowy pewna myśl. Odrzucił ją. — Bob, on tu jest, na pewno coś knuje, nic innego nie przychodzi mi do głowy. — I dodał: — Zdaje się, że szuka swojego zleceniodawcy.

— Co?

— Anonimowy telefon, przez który nieomal wpadł; szuka tego, kto dzwonił. To logiczne, że musiał to być ktoś z grona bliskich ofiary, bo inaczej skąd by wiedział, gdzie ją znaleźć? — Strzelił palcami. — Dlatego pyta ojej ubranie.

— Jej ubranie?

Mózg Hoffera pracował na wysokich obrotach. — Ktoś musiał mu powiedzieć, w co będzie ubrana! Chryste, czy to możliwe?

— Hoffer, nie bardzo to rozumiem.

Hoffer osunął się w fotelu tak bardzo, jak było to możliwe. — Ja też nie, nie wszystko. Jedynie fragmenty, a te fragmenty nie całkiem mają sens.

Broome obracał paczkę w palcach, ale najwyraźniej nie spieszył się, by ją otworzyć. — Hoffer — odezwał się — wczoraj wieczorem ktoś strzelał w północnym Londynie.

— Tak, czytałem o tym.

— Mamy opis otyłego mężczyzny, który uciekał.

— Tak?

Broome ścisnął nasadę nosa. — Doszło też do pobicia, tylko że nie zabrano żadnych pieniędzy poszkodowanemu. — Broome podniósł wzrok. — Teraz powinieneś mnie zapytać, kim była ofiara.

Hoffer wydmuchał nos, zanim odpowiedział. — Więc kim była?

— Pan Arthur, kierownik banku.

Hoffer wrzucił zużytą chusteczkę do kosza obok biurka Broome'a.

— Ty przypadkiem nie wiesz nic o tym, Hoffer?

— Daj mi spokój, Bob. Nikogo nie napadłem, od kiedy przestałem pracować w policji nowojorskiej. Macie opis napastników?

Broome wpatrywał się w Hoffera. — Został uderzony od tyłu. Ma wstrząs mózgu.

Hoffer potrząsnął głową. — Taki miły facet. Nikt dzisiaj nie jest bezpieczny.

Broome westchnął i przetarł oczy. — • W porządku — powiedział — posłuchajmy taśmy.

Posterunkowy przyniósł przenośny magnetofon kasetowy i ustawił go.

— Ta miejscowa stacja musi być czujna — zauważył Hoffer.
— Nagrywają wszystkie rozmowy łączone do redakcji informacyjnej, po części w ramach przysługi dla nas.

— Dlaczego?

— Bo IRA często dzwoni do miejscowych radiostacji, aby przyznać się do zamachu. W ten sposób informacje szybciej wchodzi na antenę, poza tym wtedy nie wygląda na to, że z nami współpracują.

— Więc stacja radiowa to rodzaj pośrednika?

— Tak, swego rodzaju. — Broome włożył kasetę i włączył klawisz odtwarzania. Rozległ się cichy syk, który przybierał na sile, aż ktoś się odezwał.

— Sekcja informacyjna, przy mikrofonie Joely.

— Tu Demolka, rozumiesz?

— Dem...? Och, tak, tak. Rozumiem.

— To słuchaj. Powiedz wszystkim, że trafiłem wybrany cel, zrozumiano? Nie celowałem w dyplomatę. Był tam przypadkiem. Zrozumiano?

— Mm, tak. — Joely najwyraźniej wszystko zapisywała. — Tak, rozumiałam. A mogę zapytać...

— Żadnych pytań. Jak ktoś myśli, że to blef, to powiedz mu Egipt, Cairo Hilton, dwunasty grudnia dwa lata temu.

— Halo? Halo? — Lecz Demolka rozłączył się.

Broome słuchał ciszy przez kilka chwil, potem zatrzymał taśmę i przewinął.

— Oryginał trafił do laboratorium — powiedział. — Zobaczmy, co stwierdzą.

— Brzmi, jakby dzwonił z budki, nie zamiejscowa. On jest Anglikiem, co?

— Na to wygląda. Wygląda też na to, że próbował zamaskować głos. Hoffer uśmiechnął się. — Nie dasz się nabrać, co?

— Może jest przeziębiony.

— Tak, może.

Broome spojrział na Hoffera. — I ten Egipt?

Hoffer skinął głową. — Tak, nie wszyscy o tym wiedzą. — Nikt nie potrafił stwierdzić, czy to Demolka, więc nie trafiło do gazet. Trafienie było precyzyjne, z dalekiej odległości, ale nie podłożył bomby. Albo po prostu nie eksplodowała.

— Kogo zabił?

— Jakiegoś arabskiego milionera z dużymi długami z hazardu, które niemądrze ignorował. — Hoffer wzruszył ramionami. — Hazardzista był

wielką szychą i nie uważał, że ktoś może go tknąć. Miał czterech goryli i pancernego mercedesa, którego nie naruszyłyby wyrzutnik granatów. Gdziekolwiek gość szedł, goryle tłoczyli się dookoła niego, jakby był Muhammadem Ali w drodze na ring. Aż nagle, pif-paf, kula trafia faceta prosto w serce. Wszyscy się rozglądają, tylko nie wiedzą, gdzie patrzeć, bo nie ma gdzie. Uważają, że strzelał z sześciuset, może siedmiuset metrów.

— Sporo o tym wiesz.

— Miałem sporo czasu, aby to sprawdzić. Mam akta ponad sześćdziesięciu zamachów z ostatnich piętnastu lat. Może być zamieszany w dowolną ich liczbę.

— Czy ktoś jeszcze może o tym wiedzieć?

— Jedynie ktoś z taką obsesją jak ja. — Hoffer przerwał. — To on jest na taśmie. Wiem, że to on.

— Zobaczymy, na co wpadną te mądrale.

— Na przykład?

— Zdziwisz się. Mamy językoznawców, którzy określają jego akcent, nawet jak ty albo ja niczego się nie dopatrzemy. Możemy określić region albo hrabstwo.

— No, jestem pod wrażeniem.

— Powoli i metodycznie, Hoffer, tak działamy. Nie strzelamy na chybił trafił, ani z broni, ani z gęby.

— Czyli tylko ja tu opowiadam żarty.

— Tylko sam nie zostań jednym wielkim żartem, dobra?

— No, Bob, trafiłeś mnie, poddaję się; masz cięty język. A na przykład, mogę dostać kopię tej taśmy?

— A jak na przykład nie?

— Nadal jesteś zły na mnie, co?

— Co Barney ma dla ciebie, hę?

— Kilka nazwisk handlarzy bronią. — Hoffer wzruszył ramionami.

— Nie tylko ciebie stać, aby działać powoli i metodycznie. Prywatny detektyw musi być cierpliwy, a jak będzie cierpliwie stukał, to będzie mu otworzone.

— Tylko przez jakiś czas nie stukaj do moich drzwi, Leo.

— Jak sobie życzysz, Bob. — Broome znowu zaczął zwracać się do niego per Leo; wszys<o ułoży się dobrze między nimi. Hoffer dźwignął się powoli. — A co z inspektorem Western?

— Wyślę kogoś do pana Johnsa, sporządzimy rysopis. — Hoffer skinął głową. — Nie oczekuj bukietu róż, Hoffer, zrobiłeś tylko to, co masz robić przez całą czas. Jak znajdziesz coś jeszcze, wróć do mnie.

Hoffer wykrzywił pogardliwie twarz. — Wiesz co, Bob, możesz mi kurwa nagwizdać. — Otworzył drzwi, ale jeszcze odwrócił się do środka. — Umiesz przecież gwizdać, nie?

I wtedy poszedł sobie.

Nazajutrz rano Hoffer siedział nad hotelowym śniadaniem. Hotel, w którym się zatrzymał, miał **restaurację**, która wychodziła na ulicę i była otwarta dla ludzi z miasta jak i dla mieszkańców. Każdy mógł wejść z ulicy i usiąść obok ciebie. Przy oknie siedział facet, który wyglądał, jakby Boris Karloff złożył nasienie w banku spermy, a po słoiczek zgłosiła się Bette Davis. Miał założone małe, okrągłe okulary gestapowca, które odbijały więcej światła, niż go w ogóle było. Czytał gazetę i jadł jajecznicę na grzance. Na ten widok Hoffera aż przeszły ciarki.

Przed wszystkim Hoffer nie czuł się najlepiej. Już go nie bolały uszy, ale odczuwał ból w boku, a to mógł być rak. Przez całą noc budził się ogarnięty narastającym bólem, który obejmował jedną stronę pleców. Zataczając się, trafił do łazienki, potem wyszedł z niej, aby wezwać pogotowie, i wtedy to pozbył się ładunku gazów. Od razu poczuł się lepiej, a zatem spróbował jeszcze raz i udało mu się wydalić kolejną porcję. Ktoś przez kilka chwil walił w ścianę, ale Hoffer zignorował to. Siedział na dywanie z gołym tyłkiem, aż przestał się trząść.

Chryste, ale się bał. Adrenalina nie pozwalała mu zasnąć przez kolejne pół godziny, a nie miał żadnych tabletek, aby pozbawić się przytomności.

Kładł to na karb nerwów. Wcześniej dzwonił do Walkinsa, a ten nie był zbyt uszczęśliwiony raportem Hoffera.

— Panie Hoffer, wolałbym, aby pan się tak nie ekscytował cały czas.

— Hm?

— Nie wiem, co pan sobie myśli. To znaczy, dzwoni pan do mnie z wiadomościami wielkiej wagi i mówi, że jest już blisko, i podnieca się pan tą perspektywą. Ale panie Hoffer, byliśmy w tym miejscu już wcześniej, *kilkakrotnie*, i za każdym razem rozgrzewa pan moją nadzieję, a zaraz potem dowiaduję się, że ślad okazał się fałszywy albo nieaktualny. Potrzeba mi czegoś więcej niż nadziei, panie Hoffer. Chcę wyników. Koniec więc z odgrywaniem scen, koniec z wyciąganiem ode mnie pieniędzy. Media tylko czekają, aż przyznam, że z pana był oszust cały czas.

— Ale, ale, chwila moment! Ja tu sobie flaki wypruwam, pracuję na okrągło. Myśli pan, że płaci mi za dużo? Nawet w połowie nie opłaca pan tego, przez co przechodzę dla pana.

— Dla mnie?

— A pewnie, że dla pana! Bo dla kogo?

— Może dla samego siebie, dla reputacji.

— To głównie prawda i dobrze pan o tym wie.

— Niech pan posłucha, nie wszczynajmy awantury.

— Ja jej nie zacząłem. — Hoffer stał w pokoju na wprost lustra na toaletce. Oddychał pospiesznie i próbował się uspokoić. Walkins był oddalony o tysiące kilometrów. Nie mógł go uderzyć, a nie chciał też walnąć w nic innego. W zamian powoli i głęboko wciągał powietrze.

— Wiem, że nie. Chodzi o to, że... chodzi o to, że my już to przerabialiśmy. Już pan był tak blisko niego, tak podekscytowany, taki pewien. A wie pan dobrze, czym to się kończy, tylko czekaniem na pański następny telefon. Nie, nie wie pan. To jak ogień pod paznokciami, jak noże wbite między zębra. To... tak, że ledwo mogę się ruszać, jakbym nic nie mógł robić, tylko czekać. Jestem uwięziony w domu jak zwykły inwalida.

Hoffer chciał mu zaproponować telefon bezprzewodowy, ale uznał, że taka obcesowość byłaby nie na miejscu.

— Proszę pana — powiedział ze spokojem — staram się, jak mogę. Przepraszam, jeżeli rozbudzam pańskie nadzieje nadaremnie. Pomyślałem tylko, że chciałby pan wiedzieć, jak mają się sprawy.

— Faktycznie, chcę wiedzieć, ale wolałbym usłyszeć, że ten skurwysyn nie żyje.

— Ja też, proszę mi wierzyć. — Hoffer spojrzął na pistolet leżący na nocnej szafce. — Ja też.

Tak więc nazajutrz rano siedział i czekał na zamówione pełne angielskie śniadanie z sokiem pomarańczowym, grzanką i kawą. Kelnerka okazała się starą jędzą. Była prawdopodobnie w kuchni i miała piołun, aby dodać do jajek. Zastanawiał się, czy może miała siostrę pracującą w przemyśle pornograficznym, na który stracił zeszłej nocy więcej pieniędzy niż czasu. Na rachunku były trzy filmy, ale on wytrzymał tylko połowę pierwszego. To, co wyświetlali, było tak gorące jak ryba w galarecie, a „bileterka”, która kolebała się przejściem i sprzedawała lody, wyglądała, jakby założyła przerażającą maskę. Mimo to epatowała większym seksem niż te blade postacie z podstawionymi głosami na pozbawionym ostrości obrazie. Film nosił tytuł *Party ze szwedzkimi nimfami*, ale zaczynał się od samochodów zajeżdżających pod domek w górach, których tablice rejestracyjne zdecydowanie były niemieckie, nie szwedzkie. Po tym Hoffer po prostu nie mógł wgrzyźć się w film.

Londyn zdecydowanie schodził na psy.

Z ulicy weszło jeszcze kilku głodnych klientów. Nie było nikogo, kto by wyznaczył im stolik, więc niektórzy wychodzili, inni siadali, a potem zastanawiali się, czy może weszli do Madame Tussaud przez pomyłkę.

— Witaj, Hoffer.

— O, Barney, siadaj. — Podniósł się nieznacznie, aby przywitać się z policjantem. Usiedli naprzeciw siebie. — Poczłstowałbym ciebie śniadaniem, ale sam jeszcze nic nie dostałem do jedzenia, a w tempie, z jakim podają, to jakbyś wracał z pracy, oni dopiero nalewaliby kawy.

— Dzięki, nie jestem głodny.

— Dobrze, że ktoś nie jest. Dziękuję, że tu przyszedłeś.

— Chyba odpowiada nam to obu. Ostatnio nie jesteś w centrum zainteresowania na posterunku.

— Tak, Bob się naprawdę gniewa, co? Tylko dlatego, że zjąłem go z listy płac. A właśnie... — Hoffer podał dwie dwudziestki. — To powinno pokryć twoje koszty.

— Dzięki. — Barney schował banknoty do kieszeni i wyciągnął złożoną kartkę papieru w linię. Wyglądała, jakby znalazł ją w koszu na śmieci.

— Napracowałeś się, Barney.

— Nie miałem jak zrobić maszynopisu, ale nazwiska to nazwiska, nie?

— Pewnie. — Hoffer niechętnie rozprostował kartkę i położył na stole. Była to odręczna lista nazwisk. Były dwie kolumny, jedna z nagłówkiem „Londyn/Południowo-wschodni” a druga „Pozostałe rejony”. Ale były tam tylko nazwiska, żadnych adresów czy innych informacji.

— Chyba płacę za dużo — powiedział Hoffer.

— O co chodzi?

— Więcej znajdę w książce telefonicznej, Barney. Co mam zrobić, przerobić całą książkę telefoniczną, szukając tych facetów, czy co?

— Powiedziałeś, że chcesz mieć ich nazwiska.

— A myślałeś, że co z nimi zrobię? Znajdę tego, który mi się podoba, i pierwotnemu synowi nadam jego imię? — Policjant spojrział, nie dowierając. Nie rozumiał, dlaczego Hoffer jest niezadowolony.

— To wszysdco są tajne informacje. To znaczy, oficjalnie ci faceci są czyści. Takich informacji nie dostanie się gdzie bądź.

— Doceniam to, naprawdę. Rozumiem cię. Ale, Jezus, Barney, spodziewałem się trochę więcej.

Barney zabrał listę i przyjrzał się jej. — Mógłbym podać ci parę adresów z głowy.

— To by pomogło. Byłbym naprawdę wdzięczny. — Hoffer zabrał listę i wyciągnął z kieszeni długopis. Rozejrzał się na próżno w poszukiwaniu śniadania. — Jeszcze dwie minuty, przysięgam, a potem, kurwa, wejdę do tej kuchni i sam sobie ugotuję.

Zjawiła się nowa kelnerka i zaczęła rozdawać menu gościom, którzy weszli, a od innych zbierała zamówienia. Wtedy pojawiła się kelnerka Hoffer'a z tacą pełną jedzenia, ale zaniosiła ją do innego stolika.

— Ten skurwiel wszedł po mnie! — zasyczał Hoffer. — Halo!

Lecz kelnerka zanurkowała już na powrót do kuchni.

— Te pierwsze trzy są w południowym Londynie — mówił Barney, wskazując palcem listę. — • On mieszka w Clapham, ten w Catford, a ten trzeci w Upper Norwood. W zasadzie Shattuck nie jest dealerem, on raczej kupuje, ale czasami lubi coś sprzedać dalej. — Hoffer skrzętnie notował informacje. — Jeżeli chodzi o tamtych pozostałych...

— Hej, czekaj, mówięś adresy.

Barney więc zacisnął mocno oczy i skoncentrował się, jakby był ostatnim graczem pozostałym w telewizyjnej zgaduj-zgaduli. Wymienił trzy ulice, ale trafił tylko jeden numer domu.

— To jednak nie są długie ulice.

— Jestem niezmiernie wdzięczny — Hoffer powiedział wątpiaco.

Zjawiła się kelnerka z kolejną tacą i tym razem postawiła ją na stole Hoffer'a.

— Kochana, powiem ci jedno — odezwał się Hoffer. — Głodujący w Afryce prędzej dostają jedzenie.

Kobieta była nieporuszona. — Mamy problemy z personelem.

— Racja, dłużej smażą szynkę niż inni. Powiedz im, żeby następnym razem zapalili gaz.

— Bardzo śmieszne. — Odwróciła się z pustą tacą.

Hoffer zaatakował małą, tłustą kiełbasę, zanurzając ją w glutowatym żółtku jednego jedyne go jajka.

— To jedno wielce zenujące śniadanie — powiedział. Wyglądało prawie tak samo żałośnie jak Barney i posiadało cały urok faceta w gestapowskich okularkach, który teraz spożywał trzecią filiżankę kawy. Grzanka smakowała, jakby znaleźli ją w laboratorium patologa, gdzie musiała leżeć obok zamrożonych bloków masła.

— Te inne — mówił Barney — to nazwiska z Londynu, na północ od rzeki albo jeszcze dalej. Ten jest z Clapton, a ten z Kilburn, ten z Dagenham, a ten ostatni z Watford.

— A adresy?

Barney wzruszył ramionami. — Potem są te spoza Londynu. Jeden z okolic Hull, dwa są z Yorkshire, dwa z Newcastle i jeden z Cardiff. — Przerwał. — Nie jestem jednak pewien, który jest który, musiałbym się zastanowić. — Rozchmurzył się i stuknął palcem w nazwisko. — Ten to zdecydowanie Bristol.

— Bristol, hm? Cóż, dzięki za pomoc. Wielkie dzięki. — Posmakował kawę. W tej fazie posiłek mógł kryć nieliczne niespodzianki. Hoffer pozostał stosownie lakoniczny. — Gównu — powiedział. — Wiesz, Barney, ludzie narzekają na jedzenie w Stanach. Mówią, że jest pięknie podane, wiesz, jest na co patrzeć, ale smakuje za niczym. Albo że to wszystko *fast food*, wiesz, hamburgery i pizza, że nie ma prawdziwej sztuki kulinarnej. Ale przysięgam, w porównaniu z tym, co jadłem w Londynie, kanapka biedaka w jakimś szałasie pełnym moskitów w Everglades to gęsie wątróbki i kawior.

Przyglądał się Barneyowi. Barneyemu.

— Nie chcesz tego?

Hoffer ciągle na niego patrzył. — Mówiłeś Yorkshire?

— Słucham?

— Dwóch z tych facetów mieszka w Yorkshire?

— Tak, w Yorkshire... albo Lancashire, gdzieś w okolicy.

— To ważne, Barney. Yorkshire? Pomyśl.

— Nie wiem... Chyba tak.

— Którzy z nich?

Barney widział, że to znaczy dużo dla Hoffera. Potrząsnął głową jak wzorowy uczeń, który zawiódł nauczyciela. — Nie wiem. Poczekaj. Harrison jest z Yorkshire.

Hoffer przyglądał się liście. — Max Harrison? — zapytał.

— Tak, mieszka w Yorkshire, ale chyba wycofał się. Ma raka czy coś. Zżarł mu całą twarz.

— Świetnie. Chcę jego adres. — Hoffer mówił powoli i wyraźnie.

— Dowiem się.

— To się dowiedz. To *bardzo* ważne.

— Dlaczego Yorkshire?

— Bo Demolka spędził tam trochę czasu i wydał nieco pieniędzy. — Hoffer znowu przyjrzał się liście, dłubiąc w zębach jednym z zębów widelca. Żadne z nazwisk nic mu nie mówiło. — Barney, potrzebuję wiadomości na temat tych dealerów z Yorkshire, i to jak najszybciej, *capisce*? — Barney spojrzał niemo. — Zrozumiano? — Teraz Barney skinął głową. — Dobry chłop. Jak szybko?

— Dzisiaj wieczorem, może dopiero jutro.

Co znaczyło, że Barney tego do jutra nie zdobędzie, ale nie chciał się do tego przyznać.

— Chodzi o to — mówił dalej — że mam moją prawdziwą pracę, wiesz. Nie mogę nagle zostawić jej i robić coś innego, nie bez konkretnego powodu.

— A moje pieniądze to niewystarczający powód?

— No, nie powiem, że nie są mile widziane.

— Stówa, jak dostanę to dzisiaj, inaczej to tylko kolejne czterdzieści.

Barney zastanawiał się, czy może się potargować. Urodził się w Londynie, a londyńczycy byli znani z cwaniactwa i machlojek. Ale jedno spojrzenie na nowojorczyka wystarczyło, aby Barney nabrał pewności, że nie wygra.

— Zrobię, co mogę — obiecał, wstając.

— Aha, Barney, tym razem napisz to na maszynie, co? Przepłać sekretarkę, jak będzie trzeba. Użyj własnego uroku.

— Dobrze. — Barney najwyraźniej doznał ulgi, kiedy mógł wyjść. Szukał jakiejś formy pożegnania i pomachał jedną ręką. — Smacznego.

— Dziękuję, Barney — powiedział Hoffer, uśmiechając się sztucznie. — Oby.

Został z kawą i grzanką. W końcu śniadanie wliczone było w cenę pokoju. Grzanka w pewnym stopniu opierała się czynności żucia i przełykania, ale kawa posiadała dobrą właściwość korodującą. Hoffer tak bardzo był zajęty tym zmaganiem, że nie zauważył, jak dziecko z próbówki Karloffa i Bette Davies odeszło od stołu i szło przez jadalnię w stronę właściwej części hotelu. Jednak zauważył, gdy mężczyzna zatrzymał się przy jego stoliku i uśmiechnął się do niego.

— Co to, widowisko cyrkowe? — zapytał Hoffer, plując kruszynkami chleba na ciemny garnitur mężczyzny. Była to marynarka w angielskim stylu, którą rzadko noszą Anglicy, ale bardzo cenią Amerykanie.

— Przypadkiem usłyszałem, jak pan próbował... eh, wezwać kelnerkę — powiedział nieznamy. — Sam jestem Amerykaninem.

— Cóż — zareagował przyjaźnie Hoffer — niech pan siada, rodaku. Dobrze jest spotkać amerykańskiego patriotę.

Mężczyzna zaczął siadać.

— Hola — rzucił Hoffer — to była ironia.

Lecz mężczyzna mimo to usiadł. Z bliska widać było natarczywy uśmiech cienkich i szerokich, bezmięsnych warg. Jego twarz znaczyły piegi. Włosy miał krótkie i utlenione. Jednak oczy prawie czarne, z ciem-

nymi workami. Nie był wysoki, ale szeroki w ramionach. Każdy jego ruch miał konkretny cel. Teraz położył ręce na stole.

— Więc jak mają się sprawy, panie Hoffer?

— O, rozumiem, kolejny fan, co? Żadnych autografów dzisiaj, koleś, dobra?

— Wydaje się pan zdenerwowany.

— Akurat w tym momencie jestem na tyle zdenerwowany, że mógłbym przerobić cię na kotlety.

— Ale jednocześnie jest pan ciekawy. Zastanawia się pan, kim tak naprawdę jestem. Z zewnątrz okazuje pan pogardę, ale umysł nieustannie pracuje.

— A dokładnie teraz każę pięściom wziąć się do roboty.

— To byłoby niemądre. — Słowa padały pomiędzy długimi, regularnymi przerwami.

— Przekonaj mnie.

Mężczyzna spojrział na zimne jedzenie ciągle zalegające na talerzu Hoffera. — Jedzenie tu jest odrażające, prawda? Rozczarowałem się, kiedy zameldowałeś się pan w tym hotelu. Myślałem raczej o Connaught albo Savoyu. Jadł pan kiedyś w Grill Room?

— A kim jesteś? Krytykiem kulinarnym?

— To moje hobby — odparł mężczyzna. — Jak przebiega misja?

— Misja?

— Znalezienie Demolki.

— Idzie dobrze, jest na górze w moim pokoju i ogląda kanał Disneya. Kim jesteś?

— Pracuję dla Firmy.

Hoffer zaśmiał się. — Za subtelność nie dostaniesz żadnych punktów, koleś. *Firma*, mówisz? A czemu CIA interesuje się moimi sprawami?

— Szuka pan zabójcy. Zamordował obywateli Stanów Zjednoczonych. Poza tym, jego cele to często są politycy.

— Tak, szumowiny z republik żyjących z wyzysku robotników. — Hoffer pokiwał głową. — Może to wszystko twoi koledzy, hę? A dlaczego wcześniej się nie przedstawiłeś?

— Cóż, powiedzmy, że teraz jesteśmy *bardziej* zainteresowani.

— Teraz, kiedy nieomal rozpętała trzecią wojnę światową? Czy teraz, kiedy zabił dziennikarkę? No, koleś, pokaż jakąś legitymację.

— Nie mam przy sobie.

— Nie mów, że zostawiłeś w drugiej marynarce koloru bordo? Znikaj mi z oczu.

Mężczyzna najwyraźniej nie miał ochoty odchodzić. — Bardzo dobrze potrafię czytać do góry nogami — oznajmił.

Hoffer nie zrozumiał, potem zobaczył, że kartka od Barneya nadal leży rozłożona obok talerza. Poskładał ją i schował.

— Handlarze bronią? — zgadł mężczyzna. Kiedy Hoffer nie odpowiadał, nieznamy uśmiechnął się szerzej. — Wiemy o nich wszystko, dostaliśmy tę informację przed kilkoma dniami.

— Uhu, jestem pod wrażeniem.

— Wiemy nawet, co pan powiedział wczoraj nadinspektorowi Broome'owi.

— Skoro wiecie wszystko, to czego chcecie ode mnie?

— Chcemy pana ostrzec. Udało się panu zbliżyć do Demolki, ale musi pan wiedzieć, że my też jesteśmy blisko. Gdyby doszło do konfrontacji... hm, musimy wiedzieć o panu, a pan o nas. Nic by nie dało, gdybyśmy zaczęli strzelać do siebie, a zabójca by uciekł.

— Skoro go ścigacie, to może pozwolicie mi wlec się za wami?

— Nie sądzę, panie Hoffer.

— Nie, hm? A wiesz, czego ja nie sądzę? Nie sądzę, że jesteś z Firmy. Już wcześniej spotykałem facetów z CIA, zupełnie nie są podobni do ciebie. Ty gorzej śmierdzisz.

— W odpowiednim czasie przedstawię legitymację.

— Tak, ktoś ci ją podrobi. Był zdolny fałszerz w Tottenham, tylko teraz nie ma go w domu.

— Staram się jedynie być grzeczny.

— Grzeczność zostaw Brytołom. Od kiedy to my jesteśmy grzeczni?

— Hoffer pomyślał, że usadził faceta. — Jesteś z sił zbrojnych, tak?

— Byłem przez jakiś czas w siłach zbrojnych.

Hoffer nie chciał myśleć tego, co mu przyszło do głowy. Że to agent Sił Specjalnych. Albo Biuro Bezpieczeństwa Narodowego. CIA stanowiło prawo samo dla siebie, ale Biuro Bezpieczeństwa miało otoczkę polityczną, znajomości na górze i na dole, przez co było o wiele bardziej niebezpieczne.

— Może jednak zaczniemy się zgadzać — mężczyzna powiedział w końcu.

— Przedstaw się, możesz coś zmyślić.

— Don Kline, panie Hoffer.

— Chcesz usłyszeć coś śmiesznego? Jak ciebie zobaczyłem, to pomyślałem: gestapowiec w okularach. Co dziwne, bo normalnie myślę John Lennon. To pokazuje, jak człowiek potrafi być czasami przewidujący, nie?

— To nas daleko nie zaprowadzi. — Kline wstał. — Może powinien pan odstawić narkotyki, zdaje się, że mają wpływ na pańską zdolność osądu.

— Nie mogły wpłynąć na ocenę ciebie. *Ciao*, kochanie.

Żeby coś zrobić, Hoffer zapalił papierosa. Nie patrzył, jak Kline wychodzi. Nawet nie słyszał jego kroków na kafelkach podłogi. Hoffer nie wiedział, kim w zasadzie jest Kline, ale znał ten rodzaj człowieka. Nigdy wcześniej nie zadawał się z tymi typami, byli mu obcy. Ale dlaczego ten typ tak nagle zainteresował się Demolką? Kline nie odpowiedział Hofferowi na to pytanie. Czy miało to związek z dziennikarką? Co takiego ona wyśledziła? Sektę? Tak, sektę religijną. Może powinien dowiedzieć się, o co w tym chodzi. Może właśnie to samo robił Demolka? Oczywiście, że tak.

Wyobraził sobie strzelaninę między nimi trzema; z Demolką i Kline. Wróciła jego kelnerka.

— Tu się nie pali.

— Wiesz, że jesteś jak anioł prosto z nieba? — powiedział do niej, gasząc papierosa o podeszwę. Patrzyła na niego bez wyrazu. — Naprawdę, nie wiedziałem, że jeszcze takie istnieją. Jesteś niesamowita.

Te słowa z pewnością były dla kelnerki czymś nowym; rozluźniła nieco postawę. W kącikach ust pojawił się kruchy załazek uśmiechu.

— Więc co robisz dzisiaj wieczorem? — mówił dalej Hoffer, wstając. — To znaczy, poza straszeniem małych dzieci?

To był cios poniżej pasa, ale nie niżej, niż ona go uderzyła.

Część druga

14

Pojechaliśmy pociągiem z Euston do Glasgow.

Postanowiłem nie wynajmować samochodu w Londynie. To można było łatwo sprawdzić albo namierzyć. Domyślałem się, że teraz policja — albo nawet Hoffer — mogła wpaść na trop tych dwojga, Westa i Harris. Poza tym mieli dowód pod postacią mojego telefonu do stacji radiowej. Wiedzieli, że jeszcze kręcę się w pobliżu. Będą sprawdzać hotele i wypożyczalnie samochodów.

Zapłaciłem więc gotówką za bilety na pociąg, a także za pobyt w hotelu. Nawet podsunąłem recepcjonistce dwadzieścia funtów i poprosiłem, żeby dotrzymała tajemnicy. Wtedy powiedziałem jej, że pani Harrison i ja nie powinniśmy być razem, więc gdyby ktoś o nas pytał... Pokiwała głową, ze zrozumieniem akceptując konspirację. Dodałem, że gdyby wspomniała komukolwiek moje nazwisko, to żeby pominęła nazwisko Bel.

Bel zadzwoniła do Maxa i powiedziała mu o swoich planach wyjazdu ze mną na północ. Nie był specjalnie zachwycony, szczególnie kiedy dowiedział się, że będziemy przejeżdżać obok i nie wstąpimy do niego. W końcu podała mi słuchawkę.

— Max — powiedziałem — jeżeli zabronisz mi ją zabrać, wiesz, że to zaakceptuję.

— Jeżeli wie, dokąd jedziesz, i uprze się, to i tak za tobą pojedzie. Uśmiechnąłem się w duchu. — Znasz ją tak dobrze.

— Powiniennem, ma to wszystko po mnie. Jak dotąd bez kłopotów?

— Tak, ale też daleko się nie posunęliśmy.

— Myślisz, że wyjazd na północ pomoże?

— Nie wiem. Jednak powinno być mniej niebezpiecznie.

— Cóż, niech wróci cała i zdrowa.

— Obiecuję. Do widzenia, Max.

Oddałem słuchawkę Bel i poszedłem do swojego pokoju, żeby się spakować.

W pociągu przeczytałem wszystkie notatki o Apostołach Miłości.

— Chyba znasz już to na pamięć — powiedziała Bel pomiędzy wycieczkami do bufetu. Byliśmy w pierwszej klasie, która była nieomal pusta, a Bel spodobało się chodzenie po pociągu, a potem wracanie z wiadomościami, jak bardzo napakowane są wagony drugiej klasy.

— Dlatego jedziemy pierwszą — odparłem. Do Glasgow jazda się dłuży, więc miałem sporo czasu na czytanie. Jednak lektura w żaden sposób mnie nie zainspirowała.

Apostołów Miłości założył były profesor, nauczyciel akademicki nazwiskiem Jeremiah Provost. Provost uczył w Berkeley w latach siedemdziesiątych. Może był zdegustowany, że nie załapał się na burzliwe lata sześćdziesiąte w mieście i college'u. Kiedy zjawił się w Berkeley, nastały o wiele spokojniejsze czasy, poza dziwną paradą nudystów. Miasto nadal szczyliło się naćpanymi hipisami albo pierwszorzecznikami, którzy chcieli odnaleźć „utraconego ducha Kalifornii”, ale ci przyjezdni jedynie przyczyniali się do tłoku na głównych ulicach, próbując żebrać albo oferując paciorki i zaplatanie włosów.

Dowiedziałem się tego wszystkiego z artykułów w gazetach i czasopiśmie. Potraktowali Provosta jako żart. Kiedyś jeszcze był adiunktem, zapraszał „wybranych” studentów do siebie do domu na weekendy. Udało mu się spolaryzować swoje grupy na tych, którzy go podziwiali, i tych, których nudziła jego mieszanka blagierstwa i mistycyzmu. Jeden z dziennikarzy stwierdził, że wygląda jak „poeta zbuntowanego pokolenia Allen Ginsberg, zanim posiwiął”. Na zdjęciach Provost miał długie, kędzierzawe, czarne włosy, z przedziałkiem pośrodku; długą, czarną brodę i okulary o grubych szklach. Trudno jest zostać wyrzuconym z college'u, szczególnie jak jest się profesorem, ale Provostowi się udało. Jego pracodawcy nie wymieniali aberracji w zachowaniu, ale raczej udało im się dokopać do brudów w przeszłości, wykazując, że skłamał we wstępnej aplikacji, a także w trakcie późniejszej rozmowy kwalifikacyjnej.

Provost kręcił się w pobliżu. Był aresztowany za handel narkotykami, ale okazało się, że jedynie je rozdawał, nigdy nie sprzedawał. Szybko stał się bohaterem miejscowego podziemia. Jego dom w stylu szafasu w spokojnej dzielnicy mieszkalnej w Berkeley stał się przystanią dla obywateli, pisarzy, muzyków i artystów. Na dom wspinała się olbrzymia postać King Konga z gipsu i drutu, nim władze zleciły rozbiorę. Dom był pomalowany tak, aby przypominał statek kosmiczny, chociaż był to tylko parterowy sześcian. W środku Jeremiah Provost powoli, acz zdecydowanie opuszczał planetę Ziemię.

Z tego domu dla zbłąkanych wyszli Apostołowie Miłości. Z początku było to małe przedsięwzięcie, sponsorowane, jak udowodnili docieśliwi dziennikarze, ze spadku, z którego żył Provost. Jego rodzina to stare pieniądze z Południa, a kiedy starsze pokolenie odchodziło, ich majątek i pieniądze dostawał Provost. Sprzedał dwa domy z plantacją, jeden z nich do muzeum. Miał też gotówkę, gdy ciotld i wujowie odkryli, że jest ich jedynym potomkiem pozostałym przy życiu.

Artykuł w kalifornijskim magazynie posunął się dalej, sięgając głębiej niż inni w jego dzieciństwo w Georgii. Jako dziecko zawsze mu nadskakiwano, a także nie skąpiono tęgiego lania, dzięki ślepej miłości matki i surowej dyscyplinie ojca (którego ojciec z kolei finansował lokalny Ku-Klux-Kłan). W szkole był bystry, ale też niekonsekwentny, podobnie na studiach. Dostał pracę w małym college'u w Oklahomie, zanim przeniósł się do Nebraski, a potem do Kalifornii.

W końcu znalazł swoje powołanie wśród Apostołów Miłości. Jego przeznaczeniem było stać się przywódcą światowego ruchu religijnego, zbudowanego na niesprecyzowanych ideałach obejmujących seks, narkotyki i warzywa „od chłopa”. Amerykańskie brukowce skoncentrowały się na pierwszych dwóch elementach, opisując „dziwaczne rytuały inicjacji” oraz „obowiązkowe związki seksualne z Provostem”. Były też tam duże zdjęcia ukazujące Provosta usadowionego na swego rodzaju tronie, z pięknościami o długich włosach upozowanymi dookoła niego, omdlewającymi u jego stóp i tęsknie spoglądającymi mu w oczy, jakby chciały zgadnąć, czy to je wybierze do następnego obowiązkowego związku seksualnego. W tej świcie zawsze były młode kobiety, zawsze o długich włosach i wszysltde wyglądały mniej więcej tak samo. Ubierały się w luźne suknie i miały amerykańskie twarze ldasy średniej, silne szczęld, gęste brwi i były rozpieszczone. Zupełnie jakby zeszyły z linii produkcyjnej w tej samej partii.

To wszystko nic mnie nie obchodziło poza tym, że zazdrościłem Provostowi wyboru kariery. Moim celem, to musiałem sobie nieustannie przypominać, było sprawdzić, czy organizacja Provosta mogła wynająć płatnego zabójcę. O wiele bardziej prawdopodobne wydawało się, że wykorzystaliby jakiegoś samobójczego żołnierza z własnych szeregów. Lecz wtedy ręka sprawiedliwości od razu wskazałaby na nich. Apostołowie Miłości byli prawdopodobnie mądrzejsi.

Apostołowie podjęli działalność w 1985. Wyszukoleni emisariusze wyruszyli do innych stanów, a nawet za granicę, gdzie założyli „misje” i zaczęli wabić ochotników. Oferowali darmowe schronienie i wyżywienie,

a do tego zwykle, duchowe wsparcie. Było to spore przedsięwzięcie. Jeden magazyn obliczył koszty i zapytał, skąd są na to pieniądze. Bo też żadni starsi krewni nie poszli niedawno do grobu ani nie trafił się niespodziewany zysk z inwestycji czy procent.

Musiało być coś jeszcze, a prasie nie podobało się, że nie może tego wykrzyć. Reporterzy obserwowali główną kwatere Apostołów, nadal poczciwy statek kosmiczny z Berkeley, aż Provost postanowił, że nadeszła pora na przeprowadzkę. Wyrwał korzenie i skierował swój autokar na północ, w pierw do Oregonu, a potem stanu Waszyngton, gdzie znaleźli się na półwyspie Olympic, na samym skraju Parku Narodowego Olympic. Provost, obiecawszy, że nie będzie rozbudowywał niczego, kupił działkę na brzegu jeziora. Postawił kilka domków, które miały wyglądać jak stare, łąki zamieniono w grządki warzywne, natomiast Apostołowie wrócili do pracy, tym razem oddzieleni od świata strażnikami i psami.

Provost nie miał skłonności apokaliptycznych. W żadnym z jego pism ani publicznych deklaracji nie było śladu myśli o nadciągającym końcu świata. Z tego powodu nie miał Idopotów z władzami, które były aż nadto zajęte sektami gromadzącymi broń niczym wiewiórld orzechy na zimę. (Raporty te sporządzono w większości przed eksplozją Gałęzi Dawidowej). Jednak Izba Skarbowa zawsze się interesowała. Urzędników ciekawiło, jak sekty utrzymywały poziom funduszy oraz czy cała sprawa nie służy unikaniu płacenia podatków. Lecz żadnych anomalii nie znaleziono, co mogło tylko oznaczać, że Provost zatrudniał dobrego księgowego.

Ostatnio w wiadomościach ucichło na temat Apostołów. Kilku dziennikarzy, próbujących przedostać się przez ochronę kwatery głównej, zostało schwytanych i pobitych, ale w mniemaniu Amerykanów nie było to żadne wykroczenie. (Tych samych, którzy byli aż nadto chętni, by czytać wiadomości o sekcie erotyczno-narkotykowej i jej „porąbanym” przywódcy).

W zasadzie dokąd to wszystko mnie zawiodło? Odpowiedź brzmiała: do pociągu zmierzającego na północ, gdzie może więcej się dowiem od brytyjskiego oddziału sekty. Bel siedziała naprzeciw mnie i ciągle stykały się nasze kolana, nogi i stopy. Zsunęła buty, a ja jej ciągle dotykałem, przepraszałem, aż musiałem wyjaśniać, dlaczego przepraszam.

Jedliśmy w wagonie restauracyjnym. Bel potrzebowała trochę czasu, aby zdecydować, a potem wybrała z menu najtańsze danie.

- Możesz zamówić, co chcesz — powiedziałem.
- Wiem — odparła, ściskając mnie za rękę.

Ograniczyliśmy się do napojów bezalkoholowych.

Popiła łyk toniku i uśmiechnęła się. — Co powiemy tacie?

— O czym?

— O nas.

— Nie wiem, jak myślisz?

— Hm, to zależy, co? To znaczy, jeżeli to jest tylko... wakacyjna przygoda, to najlepiej, jak nic nie powiemy.

— Nieźle wakacje — zażartowałem. — Sam się domyśli, obojętnie, co powiemy.

— A jeżeli to coś *więcej*, to naprawdę powinniśmy mu powiedzieć, nie sądzisz?

Pokiwałem głową i nic nie powiedziałem.

— No? — nalegała. — I co to jest?

— A jak myślisz?

— Jesteś nie do wytrzymania.

— Słuchaj, Bel, nie znamy się... To znaczy, nie w ten sposób... dopiero od niedawna. Nie jest to dokładnie narzeczeństwo, co?

Uśmiechnęła się do wspomnień: jak wyciągnąłem pistolet w siłowni u Chucka, jak uciekaliśmy przed jego ludźmi na Upper Norwood, jak robiliśmy fałszywe dokumenty w Tottenham, jak udawaliśmy policję...

— Poza tym — mówiłem dalej — tego rodzaju praca, jaką wykonuję, niezupełnie pozwala na życie rodzinne. Nie mam prawdziwych przyjaciół, nawet chyba nie wiem, jak zacząć związek, który sugerujesz.

Teraz wyglądała na urażoną. — To bardzo szczere z twojej strony, Michael. Tylko mało przekonujące, jakbyś użalał się nad sobą.

Zjawiło się moje pierwsze danie. Zjadłem kilka łyżek, zanim odpowiedziałem cokolwiek. Bel spoglądała przez okno. A może studiowała moje odbicie. Uderzyło mnie, że tak mało wie o mnie. Osoba, którą znała dotąd, nie była typowa. To tak, jakby cały czas oglądała odbicie.

— Jak już mnie poznasz — wyznałem — zobaczysz, że ze mnie jest prawdziwy nudziarz. Niewiele robię. Niewiele mówię.

— Co chcesz mi powiedzieć? Myślisz, że szukam Action Mana, otóż nie. — Rozłożyła serwetkę. — Wiesz co, zapomnij, że cokolwiek mówiłam, dobrze?

— Dobrze — zgodziłem się.

Myślałem o naszym dotychczasowym związku. Trochę całowali się, przytulali się, do tego dwie noce spędziliśmy razem. Niczego jednak nie zrobiliśmy, jedynie leżeliśmy razem prawie po ciemku, zadowoleni

i na wół ubrani. Nie chodzi o to, że nie chciałem się z nią kochać. Nie wiem, co to było.

Po części żałowałem, że nie zostawiłem jej w Londynie albo że nie uparłem się, aby podwieźć ją do Yorkshire. Trudno było skoncentrować się przy niej. Wiedziałem, że także trudniej mi będzie podejmować ryzyko. Ryzykowałem w Londynie, potem tego żałowałem. W Szkocji nie będę ryzykował, nie kiedy ona będzie przy mnie. Będę jak jeden z tych motocyklistów na harleyach, który zmuszony okolicznościami musi założyć kask. Lecz kiedy spojrzałem na nią, ucieszyłem się, że jest ze mną, że patrzy na mnie, chociaż się dąsa. Dzięki niej nie myślałem o Hofferze. Stawał się dla mnie obsesją, a to było niebezpieczne. Już kiedyś zbliżył się do mnie, w zeszłym roku, po zleceniu w Atlancie, niedaleko World of Coca-Cola. Odwiedziłem to muzeum przed zadaniem, gdyż mój cel miał zwiedzać to miejsce podczas pobytu w mieście. Jednak ostatecznie trafiłem go, jak wysiadał z limuzyny przed biurowcem. Podczas pobytu w Atlancie podejmowano go w apartamencie na ostatnim piętrze biurowca. Gnojek był tak twardy, że żył jeszcze kilka godzin po moim trafieniu. Normalnie tak się nie dzieje przy strzale w serce. Dlatego właśnie nie strzelałem w głowę: można odstrzelić spory fragment czaszki i mózgu, a ofiara przeżyje. Lecz nie w przypadku strzału w serce. Zabrali go do szpitala, a ja czekałem na wiadomość o jego zejściu. Gdyby przeżył, byłyby to dwa błędy na trzy akcje i moja kariera wisiałaby na włosku.

Po wiadomości o jego zgonie wyprowadziłem się z hotelu. Byłem tam trzy dni i tylko czekałem. Po drugiej stronie ulicy stał brzydki gmach bez okien, jakiś targ odzieży. „Dzielnica ubraniowa w pudełku” — tak kompan od kieliszka w hotelowym barze opisał go. Był taki szary i nijaki, że odreagowałem w Las Vegas, gdzie nie wydałem dużo pieniędzy, ale cieszyłem się widokiem innych wygrywających. Nielicznych szczęściarzy zawsze łatwo było zauważyć; niezliczeni pechowcy stawali się raczej tłumem. Hoffer wyglądał na przegranego i właśnie dlatego, pomimo jego tuszy, trudno go było zauważyć. Lecz wtedy popełnił błąd. Kazał się przywołać w hotelowym kasynie. Jestem przekonany, że zrobił to, aby ludzie rozpoznali jego nazwisko i patrzyli, jak idzie do recepcji. Mógłbym go zlikwidować, tylko że nikt mi za to nie płacił. Poza tym pozbyłem się broni.

Nadal nie wiem, jak mnie wytropił. Ma węż psa myśliwskiego, a na dodatek pokaźny portfel. Dopóki płaci mu Walkins, będę musiał uciekać. Albo to, albo zabić sukinsyna.

Czy takie życie warto było z kimś dzielić?

W Vegas dowiedziałem się, że moja ofiara to ważny biznesmen z Chicago, który przyjechał do Atlanty na mecz baseballu. W Chicago prowadził kampanię na rzecz posprzątania miasta, zdemaskowania pokątnych interesów, ujawnienia brudnych pieniędzy i państwowych urzędników przyjmujących łapówki. W Vegas powszechnie zgadzano się, że facet musiał oszaleć, aby tym wszystkim się zajmować.

— Widzisz ostrzeżenie: „Uwaga! Grzechotniki”, to nie wtykasz głowy pod kamień. Mam rację czy nie mam racji?

I wtedy do miasta przyjechał Hoffer, tak oczekiwany jak domokrażca sprzedający Biblię, a ja znowu musiałem się zerwać i ruszyć w drogę.

Nie, moje życie zdecydowanie nie nadawało się, by je z kimkolwiek dzielić, nawet z osobą taką jak Bel.

Trzymaliśmy się w okolicy Glasgow wystarczająco długo, aby wynająć samochód. Skoro opuściłem Londyn i zostawiłem śledczych w tyle, to mi nie przeszkadzało. Był to kolejny ford escort, tym razem biały. A wyjazd z miasta nie należał do najszcześniejszych godzin w moim życiu. Centrum miasta powstało na wzór **amerykańskiego systemu**, ale były **estakady**, autostrady i skrzyżowania pozbawione drogowskazów. Zorientowaliśmy się, że jedziemy na południe, a potem na zachód, kiedy tak naprawdę chcieliśmy jechać na północ. Wskazówld, jakich udzielił nam człowiek z wypożyczalni samochodów, okazały się bezużyteczne, więc zajechałem na stację benzynową i kupiłem mapę. Chociaż kierowaliśmy się do Greenlock, mogliśmy przejechać mostem w Erskine i przy odrobinie szczęścia wjechać na A82.

Wiwatowaliśmy, kiedy znak drogowy poinformował nas, że znaleźliśmy A82, i od tej pory jazda była piękna. Droga wiła się zachodnim skrajem Loch Lamond, Bel próbowała śpiewać tradycyjne, szkockie pieśni, których słów nie pamiętała. Za Loch Lamond zatrzymaliśmy się w Crianlarich, potem przedostaliśmy się na wschód na A85, w dzikie tereny targane wiatrem. Padało w kratkę, od kiedy przejechaliśmy granicę, ale teraz zaczęło lać regularnie, a deszcz wzmagany wiatrem redukował nam widoczność. Trafiliśmy na koniuszek kolejnego groźnego jeziora i wkrótce dotarliśmy do brzegu, zatrzymując się pośrodku Oban, aby rozciągnąć nogi i poszukać kwatery.

Wszędzie były napisy oznajmiające: brak miejsc, aż zapytaliśmy w przydrożnym pubie za miastem. Bel chciała zostać w pobliżu jeziora, a ja jej powiedziałem, że mnie to też odpowiada, tylko martwiłem się, żeby było jej wystarczająco ciepło nocą na dworze. Kiedy jednak zobaczyła

nasze dwa pokoje w Claymore, rozchmurzyła się. Kobieta, która nas przyjmowała, powiedziała, że rano dostaniemy „nawet” śniadanie, co zrozumiałem jako specjalne potraktowanie nas.

W pokojach pachniało świeżą farbą i odnowionymi sprzętami. Bel miała widok na pola za pubem. Pasły się tam owce i nie docierał hałas z szosy.

Zjedliśmy potem w barze na dole i zapytaliśmy ostrożnie, czy nasza gospodyni wie, gdzie jest Ben Glass.

— Jest za Diarmid's Pillar. Wędrujecie po górach, co?

— Niezupełnie.

Uśmiechnęła się. — *Beinn Ghlass* to szczyt między Loch Neli a Loch Nant.

— To chyba nie jest to, czego szukamy. Chodzi nam raczej o... komunię, religijne zgromadzenie.

— Chodzi wam o grupę new age? O tak, są w tamtej stronie.

— Nie wie pani dokładnie gdzie?

Potrząsnęła głową. — Ajak smakował rosół szkocki?

— Wyśmienity — odparła Bel.

Później poprosiliśmy o pożyczenie mapy okolicy. Drogi to przeważnie nieco większe szlaki. Jedyne Ben Glass, jaki znalazłem, to góra.

— Chyba nie będzie ich w książce telefonicznej? — powątpiewała Bel.

— Moglibyśmy sprawdzić pod „sekty”...

Zamiast tego wróciliśmy do Oban. Było zbyt późno, abyśmy zajęli się naszym celem, więc postanowiliśmy na nowo stać się turystami. Wiatr ustał, a wiała jedynie lekka bryza mroząca kości do szpiku, gdy posuwaliśmy się z trudem przez port i uliczkami ze śldepami, które już zamykano. Bel wtuliła się we mnie, biorąc mnie pod ramię. Kołnierzyk kurtki postawiła i podsunęła zamek jak najwyżej. Byli też dookoła inni wczasowicze, ale ci najwyraźniej zdążyli już przywyknąć do klimatu.

— Wejdźmy tu — powiedziała Bel, wybierając przypadkowy pub.

Od razu zorientowałem się, że to knajpa dla miejscowych, a obcy, chociaż przynajmniej tolerowani w trakcie sezonu, nie mogli liczyć na ciepłe przyjęcie. Klienci mówili ściszym głosem, jakby chcieli utrzymać to miejsce w tajemnicy. Bel ignorowała atmosferę, a raczej jej brak i poprosiła o dwa mały.

— Które? — odpowiedział pytaniem rumiany barman.

— Talisker — odpowiedziała szybko, widząc butelkę wystawioną w oknie.

Barman zmrużył jedno oko. — A wiekowo?

Na to nie była gotowa. Myślała, że chodzi mu *ovej* wiek.

— Chyba osiemnastoletnią — wtrąciłem.

— Podwójną — dodała Bel, starając się odzyskać równowagę. Kiedy barman stanął przy rzędzie butelek, zauważyła, że są trzy rodzaje Tali-
sker: dwunasto-, osiemnasto- i dwudziestopięcioletnia. Skinęła do mnie i uśmiechnęła się, wzruszając ramionami. Zapłaciliśmy za whisky i poszliśmy do stolika w kącie.

W barze zaległa cisza, to znaczy, że chcieli nas podsłuchiwać. Nie mieli szczęścia. Bo nagle drzwi otworzyły się na oścież i wpadła jak burza grupa roześmianych nastolatków. Musieli dopiero co przekroczyć dozwolony wiek, a niektórzy z nich może jeszcze nie. Mieli jednak po swojej stronie pewność siebie. Momentalnie bar ożył. Ktoś wrzucił pieniądze do szafy grającej, ktoś inny zachęcał do gry w bilard, a barman był zajęty nalewaniem piwa.

Ciągle nam się ktoś przyglądał, prawdopodobnie dlatego, że Bel była jedyną kobietą w pubie. Jeden z bilardzistów, czekając na swoją kolejkę, podszedł do nas i odsunął krzesło. Nie patrzył na nas, ale wrócił na to miejsce po swojej rozgrywce. Tym razem obdarował nas czarującym uśmiechem.

— Nie wiem, po co ja to robię — odezwał się. — Ogrywa mnie za każdym razem, do cna.

Obserwowałem, jak drugi gracz kieruje trzecią bilę z rzędu do luzu. — Rzeczywiście, wydaje się zręczny.

— Jest śmiertelnie niebezpieczny. Patrzcie, jak trafia. — Mężczyzna wstał, aby zagrać, ale szybko wrócił na miejsce. — Na wakacjach?

— Tak jakby.

— W porządku, turyści mi nie przeszkadzają. Jestem stolarzem. Pracuję dla tego drugiego, który rzeźbi lampy i takie różne ze starego drewna. Tylko turyści je kupują.

— Może zajrzymy — odparłem. — Gdzie jest ten sldep?

— On nie ma sklepu. Ma warsztat, ale sprzedaje wyroby w różnych sklepikach w całym mieście. W pamiątkarskich, w drobiazgach.

— Poszukamy ich — powiedziała Bel. — A teraz mógłbyś mi zrobić przysługę?

Oblizał usta i wyglądał na zainteresowanego. Bel pochyliła się w jego stronę nad stołem. Wyglądali przy tym intymnie i jego koledzy zaczęli wymieniać komentarze i śmiali się.

— Dowiedzieliśmy się, że jest tu gdzieś w okolicy talde religijne zgromadzenie...

Przeniósł wzrok z Bel na mnie. Starąłem się przybrać pokorną minę, nieszkodliwą, wakacyjną, ale on najwyraźniej dostrzegł coś więcej. Powoli wstał i podszedł do stołu bilardowego. Nie wrócił.

Nazajutrz rano pojechaliśmy do miasta i kupiliśmy własną mapę. Była nowsza od mapy z hotelu, ale mimo to nic nie pomogła. Usiedliśmy w małej kawiarni i zastanawialiśmy się. Wszyscy pozostali klienci byli turystami, wszyscy przygaszeni kolejnym mokrym, zimnym dniem. Deszcz był tak delikatny jak mgiełka i padał na miasto nieomal horyzontalnie. Bel kupiła butelkę Talisker dla Maxa.

Przed oknem kawiarni przejechał terkoczący, stary van. Był to staroświecki volkswagen bus, prawie cały zielony poza drzwiami od strony pasażera, które były niebieskie. Wcisnął się na miejsce parkingowe po drugiej stronie ulicy i kierowca wyłączył silnik. Wysiadł, podobnie pasażer. Kierowca otworzył przesuwane drzwi, skąd wyłoniło się trzech dodatkowych pasażerów. Wszyscy trzymali jakieś skrawki papieru, może listy zakupów. Wskazali sobie różne kierunki i rozeszli się.

— Zostań tu — powiedziałem do Bel.

Zanim wyszedłem z kawiarni, zniknęli. Podszedłem do volkswagena i obszedłem go. Miał dwadzieścia cztery lata, czyli był o dwa starszy od Bel. Sporo rdzy w nadkolach i drzwiach, a cała karoseria była ogólnie pobijana, jednak silnik chodził w miarę solidnie. Zajrzałem do środka. Pojazd był dopuszczony do ruchu na kolejne trzy miesiące. Ciekawe, czy przejdzie badanie techniczne. W środku były jakieś reklamówki i puste kartony. Rzędy siedzeń zostały usunięte, żeby zrobić więcej miejsca. Na podłodze leżał brudny dywan i zapasowy kanister benzyny.

Pasażerowie wyglądali na zwolenników new age: kucyki, skręty i podarte dzinsy. Mieli ten luźny sposób chodzenia, który skrywał posthipi-sowską wrażliwość. Kilku znanych mi wyznawców new age było o wiele twardszych niż ich przodkowie z lat sześćdziesiątych. Byli cyniczni i zamiast uciekać przed systemem, wiedzieli, jak go wykorzystać dla własnych potrzeb. Nie biorąc pod uwagę estetyki, dało się posłuchać tych, których poznałem.

— Coś się stało?

Odwrociłem się. Przedemną stał kierowca i zapalał papierosa z nowej paczki.

— Pan tak patrzył — mówił dalej — aż pomyślałem, że może mam łysą oponeę, czy coś.

Uśmiechnąłem się. — Nie, nic takiego.

— Może chce pan go kupić?

— To już zdecydowanie bardziej. Kiedyś miałem takiego, i nie widziałem ich od jakiegoś czasu.

— A gdzie to było?

— W Stanach. — Tak naprawdę to nie miałem takiego volkswagena, ale ci od new age, których spotkałem, mieli.

Kierowca pokiwał głową. — Tutaj jest jeszcze ich sporo, szczególnie na zachodnim wybrzeżu.

— Racja — powiedziałem. — Nie śpią soli na drogi.

— Właśnie. Wytrzymają dłużej od tego złomu. — Poldepał vana.

— Podrasowałem swojego, dałem dwa gaźniki.

Potrząsnął głową. — To był błąd. Nie jesteś stąd, co?

— Nie, dlaczego?

— Znasz się na rzeczy. Nie tak jak inni.

— To ty też nie stąd?

Zaciągnął się papierosem i przyjrzał się ognikowi. Facet miał jakieś dwadzieścia parę lat, był bardziej w wieku Bel niż moim. Miał krótkie, faliste, czarne włosy i tygodniowy zarost, martensy w wątrobowym kolorze, poplamione džinsy i grubą, myśliwską kurtkę.

— Tylko zwiedzam — odparłem.

— To szerokiej drogi. — Zgasił papierosa i schował go z powrotem do paczki, potem wszedł do vana i włączył muzykę. W jego mniemaniu ja już sobie poszedłem.

Wróciłem do kawiarni, do Bel.

— Prawie zawyłam, jak zobaczyłam, że wychodzi ze sldepu — rzuciła. — Wiedziałam, że go nie widzisz. Co powiedział?

— Niewiele. Chodź.

Wsiedliśmy do escorta i pojechaliśmy w stronę, z której zjawił się volkswagen. Kiedy już nas nie było widać, zatrzymałem się.

— Myślisz, że to oni?

— Mam talde wrażenie. Dowiemy się.

Czekaliśmy więc w samochodzie, aż mikrobus obwieścił swój przyjazd wysokimi obrotami silnika. Potrafił rozwinąć szybkość, co przyjąłem z ulgą. Nie miałem specjalnego doświadczenia w śledzeniu pojazdów, ale wiedziałem, że tu, przy tak małej ilości samochodów na drogach, miałbym kłopoty z utrzymaniem dystansu od włokącego się volkswagena. Bu-

sik nie miał bocznych lusterek, co ułatwiało sprawę, a kierowca pewnie niewiele widział we wstecznym lusterku poza głowami pasażerów. Domów było coraz mniej, a dodatkowo po drodze zlał nas porządny deszcz, więc musieliśmy zwolnić, chociaż kierowca busa najwyraźniej się nie przejmował. W końcu asfalt skończył się, przejechaliśmy przez bramę sldęconą z desek na żwirową aleję. Zatrzymałem samochód.

— Co jest? — zapytała Bel.

— Jak zobaczy nas za sobą, będzie wiedział, że jedziemy tam, gdzie on. Jak myślisz, ile domów jest przy tej drodze?

— Chyba tylko jeden.

— Właśnie, więc nie możemy go zgubić, nie? Posiedzimy tu chwilę, a potem pojedziemy własnym tempem.

— A co im powiemy?

— Nic, nie tym razem. Przyjrzymy się miejscu, nie będziemy się zbliżać.

Spojrzałem we wsteczne lusterko. Nie żebym spodziewał się jakichś pojazdów.

Brama za nami była zamknięta.

Obróciłem się w fotelu, nie wierząc w to, co zobaczyłem w lusterku.

— Co jest, Michael?

Za samochodem stały jakieś postacie. Jedna z nich otworzyła drzwi od stony pasażera. Bel wrzasnęła. Postać pochyliła się, aby się nam przyrzec. Facet był duży, wyglądał na zmarzniętego i przemoczonego; miał brodę, której nie imały się ciosy.

— Jedźcie dalej tą drogą — powiedział z angielskim akcentem. — To jeszcze jakieś dwa kilometry.

— Może cię podwieźć? — zaproponowałem. Lecz on zatrasnął drzwi. Policzyłem ich; było czterech, teraz wszyscy stali za samochodem. Gdybym wycofał się szybko, mógłbym ich rozgonić, może udałoby mi się staranować bramę. Ale deski wyglądały na solidne, a skoro byliśmy tam, gdzie chcieliśmy być, mogliśmy równie dobrze tam pojechać.

Tak więc ruszyłem powoli. Mężczyźni poszli piechotą.

— Michael...

— Bel, pamiętaj tylko naszą wersję, tylko tyle.

— Ale, Michael, oni na nas *czekali*.

— Może zawsze trzymają straż przy bramie — powiedziałem to bez specjalnego przekonania. Mężczyzna nie zapytał, czego chcemy, czy może źle skręciliśmy. To prawda, oczekiwano nas.

Hm, może nas oczekują, ale wątpię, czy spodziewają się tego, co **nam** w bagażniku. MP5.

Komuna leżała w dolinie, przez którą przepływał strumień. Przypominała mi jedną z tych wczesnych, amerykańskich osad na moment przed najazdem złych facetów na wieścinę. Domy, a w zasadzie chaty, zbudowane były z drewna. Tu i ówdzie stały samochody, a tylko połowa z nich wyglądała na używane, reszta ulegała procesowi kanibalizacji, czyli dzieła się własnymi częściami z innymi pojazdami. Panele solarne stały skierowane **na** nie świecące słońce. Spory kawałek ziemi został oczyszczony i poddany uprawie, a wychudzone, czarne świnie zajmowały się oczyszczaniem kolejnego poletka. Widziałem kozy i kury, i około trzydziestu ludzi, z których część, głównie kobiety, zabrała się **do** rozładowywania volkswagena. Kierowca busa skinął **na** nas, kiedy zatrzymaliśmy samochód. Wsiadłem i spojrzałem **na** niego.

— Chcesz jednak złożyć ofertę kupna? — zapytał, klepiąc vana.

Z największej chaty wyłonił się straszny mężczyzna. Dał znak, abyśmy weszli **za** nim **do** środka.

Chata w środku była spartańska, ale nie bardziej niż kawalerka czy hotelowy pokój. Umeblowana była sprzętami najwyraźniej własnej produkcji. Na jednym stole stała lampa. Dotknąłem podstawy z sękatego drewna.

— Jest pan cieślą? — zapytałem, zgadując, dlaczego nas **tu** się spodziewano.

Mężczyzna skinął głową. — Siadajcie — powiedział.

Sam nie usiadł **na** krześle, ale **na** podłodze. Uczyniłem podobnie, ale Bel wybrała krzesło. Na ścianie, nad otwartym kominkiem wisiała wielka fotografia szczodrobliwego Jeremiaha Provosta. Wyglądał młodziej niż **na** niektórych zdjęciach w gazecie. Na innej ścianie był gobelin i zegar wykonany z przeciętego w poprzek drzewa.

— Rozpytywaliście o nasze zgromadzenie — rzekł mężczyzna, pomijając przedstawienie się.

— Czy **to** przestępstwo? — zapytała Bel.

Przeniósł **na** nią wzrok. Oczy wydawały się nieco szersze niż powinny być normalnie, jakby ujrzał jakiś cud dawno temu i nadal próbował się **do** niego przyzwyczaić. Miał długą brodę z pasemkami siwizny. Zastanowiło mnie, czy długość brody była wprost proporcjonalna **do** pozycji w komunie. Miał ten rodzaj opalenizny, która zachowuje się przez cały rok, i był ubrany w strój roboczy; miał nawet zatknięte **za** pasek workowatych,

sztruksowych spodni grube, robocze rękawice. Włosy miał słabe, przetłuszczone, w większości posiwiąte. Był po czterdziestce i wyglądał, jakby nie zawsze pracował jako cieśla.

— Nie — odparł — ale wolimy, jak goście najpierw się przedstawia.

— Z tym nie ma najmniejszego problemu — odpowiedziała Bel. — Nazywam się Belinda Harrison, to mój przyjaciel, Michael Weston. A pan kim jest?

Mężczyzna uśmiechnął się. — Słyszę niepokój i wściekłość w twoich słowach, Belindo. Najwyraźniej panują nad tobą. Mogą być użyteczne jedynie wtedy, gdy ty nad nimi zapanujesz.

— Ciagle o tym czytam w babskich czasopismach, panie...?

— Mam na imię Richard lub częściej po prostu Rick.

— Rick — powiedziałem głosem jak balsam, pełnym dyplomacji. — Należysz do Apostołów Miłości, czy tak? Bo jak jest inaczej, to trafiliśmy w niewłaściwe miejsce.

— Michael, zawsze jesteś tam, gdzie chcesz być.

Odwróciłem się do Bel. — Zapytaj go, Belinda.

Skinęła krótko głową. — Szukam mojej siostry. Ma na imię Jane.

— Jane Harrison? Myślisz, że tu jest?

— Tak.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Bo jak uciekła, to przeszukałam jej pokój i znalazłam pełno wycinaków z gazet i czasopism, wszystkie na temat Apostołów Miłości.

— W jednym z nich — dodałem cicho, znalazła się informacja, że jesteście jedynym brytyjskim oddziałem tej sekty.

— Cóż, Michael, to prawda, chociaż niedługo otworzymy nowy dom na południu Anglii. W ogóle znasz Londyn?

— Stamtąd pochodzimy.

— To moje rodzinne miasto — dodał Rick. — Mamy nadzieję kupić trochę ziemi między Beaconsfield a Amersham.

Skinąłem głową. — Znam Beaconsfield. A jest szansa, że Jane tam przebywa, pomaga ruszyć nowemu... domowi? Rozumiem, że tu jej nie ma, bo inaczej byś powiedział.

— Nie, nie ma tu nikogo o imieniu Jane. Może gdybym wiedział, jak wygląda.

Bel wyjęła fotografię z kieszeni i podała. Uważnie przyglądałem się twarzy Ricka, gdy patrzył na zdjęcie. To zdjęcie zabrałem z mieszkania w Upper Norwood, na którym był Scotty Shattuck i jego dziewczyna.

— To ona — powiedziała Bel — sprzed roku, może niecałego.

Rick nie odrywał wzroku od zdjęcia, a potem potrząsnął głową. — Nie, nigdy nie widziałem tej kobiety.

— Mogła od tamtej pory skrócić włosy — sugerowała prosząco Bel. Robiła się z niej prawdziwa aktorka.

— Proszę jeszcze raz spojrzeć — nalegałem. Spojrzał. — Uciekła ze swoim chłopakiem. To ten na zdjęciu.

— Przykro mi, Belindo. — Rick oddał mu zdjęcie.

— Jest pan pewien, że nie pomaga zorganizować waszego nowego zgromadzenia?

— One nazywają się domami, Michael. I nie ma takiej możliwości. Bo jeszcze nie kupiliśmy ziemi, w grę wchodzi jeszcze jedna oferta. Obecnie nie ma tam naszych członków.

Zauważyłem, że w kącie pokoju, za Rickiem, stoi telefon z faksem.

— • Agent nieruchomości kontaktuje się telefonicznie?

Rick skinął głową. — Naprawdę, bardzo mi przykro, Bel. Dlaczego tak bardzo się martwisz, że Jane odeszła z domu? Czy nie wolno jej podejmować własnych decyzji?

Może rola ją przerosła. W każdym razie Bel zalała się łzami, a Rick wyglądał na zaskoczonego.

— Może jej pan podać trochę wody? — poprosiłem, obejmując Bel.

— Oczywiście. — Rick wstał i wyszedł z pokoju.

Kiedy spojrzałem na Bel, uśmiechnęła się do mnie i puściła oko.

Wstałem i rozejrzałem się po pokoju. Nie wiem, czego szukałem, gdyż nie było tu żadnych oczywistych skrytek. W faksie i aparacie nie widać było żadnych numerów, ale faks miał pamięć często używanych numerów. Wcisnąłem jedynekę i na ciekłokrystalicznym ekranie wyświetlił się kierunkowy do USA, plus 206 — kierunkowy do stanu Waszyngton — i dwie pierwsze cyfry właściwego numeru. A zatem Rick pozostawał w kontakcie z kwaterą główną Apostołów za pomocą faksu. Dwójka przywołała inny numer w Waszyngtonie, natomiast trójka skrywała miejscowego abonenta.

Bel przecierała oczy i pociągała nosem, kiedy Rick wrócił z wodą. Zobaczył mnie obok faksu.

— Zabawne — powiedziałem. — Myślałem, że cała filozofia polega na całkowitym odcięciu się od świata.

— Niezupełnie, Michael. Ile wiesz o Apostołach Miłości?

Wzruszyłem ramionami. — Tylko to, co powiedziała mi Belinda.

— A do tego wieści w czasopismach, które bardziej interesuje przekazywanie historyjek niż prawdy. Nie zwabiamy młodych ludzi w nasze

szeregi, żeby wyprać im mózgi. Jeżeli ludzie chcą iść dalej, jeżeli nie są tu szczęśliwi, to idą dalej. Nie sprzeciwiamy się. Jedynie szkoda nam ich. Po tym jak się zakradaliście, można by pomyśleć, że jesteśmy jakimiś partyzantami albo kidnaperami. A my tylko chcemy wieść proste życie.

Pokiwałem głową w zamyśleniu. — Zdaje się, że czytałem coś o jakiejś tam minister, która musiała...

Rick zaśmiał się. — Ach, tak, to. Jak ta kobieta się nazywa? — spytał, na co wzruszyłem ramionami. — Była przekonana, mimo tego, co powiedziała jej córka, że jest więziona. Żadna z naszych misji nie jest więzieniem, Michael. Czy to wygląda na celę?

Przyznałem, że nie. Chciałem również przyznać, że Rick nigdy w życiu nie widział Scotty'ego Shattucka. Przyjrzał się uważnie zdjęciu i w żadnej mierze nie zdradzał jakichkolwiek oznak, że go rozpoznaje. A to oznaczało, że cała wycieczka była totalną stratą czasu.

— Prendergast — powiedział Rick — tak się nazywa. Wiecie, nie zdziwiłbym się, gdyby nieodwracalnie skrzywdziła córkę, a z tego, co czytałem, ta córka jest teraz więziona we własnym domu. Nie może wychodzić bez ochrony. Kto więc jest tu zły? — Po zakończonym wykładzie odwrócił się do Bel. — Czujesz się trochę lepiej?

— Tak, dziękuję.

— Dobrze. Długo jechaliście z Londynu. Żałuję, że nie mogę wam pomóc. Oprowadzić was? Jeżeli Jane interesuje się nami, może w końcu znajdzie drogę do nas. Nie mogę obiecać, że się z wami skontaktuję, jak Jane zjawi się tu... to musi być jej decyzja. Jednak przynajmniej mogę was zapewnić, że nie przykujemy jej łańcuchem do kuli.

— Dobrze, a z oprowadzenia chętnie skorzystamy.

Wyprowadził nas na zewnątrz. Trzymał się bardzo prosto, gdy szedł, i powoli poruszał rękami. Domyślałem się, że rano medytował albo brał narkotyki. Na dworze kierowca volkswagena opierał się o naszego escorta. Szukałem oznak, że otwierał go, ale sam zamknąłem bagażnik na klucz, a on nie wyglądał na obeznanego z wytrychami tak jak Bel.

— Oprowadzę Michaela i Belinę — poinformował go Rick. — Ktoś kopie ziemniaki?

Co zrozumiałe, kierowca zaraz poszedł szukać motyki.

Nasza wycieczka nie trwała długo. Rick wyjaśnił, że Jeremiah Provost wierzy w równowagę między naturą a cywilizacją, więc sporo ziemi leżało odłogiem. Zabrał nas do lasu, żeby pokazać, jak pozyskują drewno na opał i budulec, ale bez niepokojenia drzew, które same nie padły.

— Dlaczego tak?

- Bo one żywią ziemię i na nich może rosnąć co innego.
- Widziałem, że Bel ma tego wszystkiego dosyć. Wkrótce może zacząć zapominać, że ma zaginioną siostrę.
- Lepiej będziemy wracać — odezwałem się.
- Rick odprowadził nas do samochodu i podał mi rękę.
- Belinda ma szczęście, że ma takiego przyjaciela.
- Chyba o tym wie.
- Bel usiadła na miejscu dla pasażera, zanim Rick zdążył obejść samochód. Pomachała mu, ale nie uśmiechnęła się ani nie opuściła okna. Rick przyłożył rękę do szyby, potem ją odsunął i cofnął się o dwa kroki.
- Denerwował mnie — powiedziała Bel, gdy wracaliśmy aleją.
- Mnie wydał się w porządku.
- Może łatwo dajesz się podejść.
- Może tak.
- Nie widzieliśmy ani śladu komitetu powitalnego po drodze, ale kiedy dotarliśmy do bramy, ktoś ją dla nas wcześniej otworzył. Skręciłem w stronę Oban, zastanawiając się, co, do diabła, teraz począć.

15

Hoffer nie widział się ponownie z Kline'em, a to była dobra wiadomość dla Kilne'a. Hoffer cierpiał bowiem na migrenę większą od deficytu budżetowego USA. Próbował iść do lekarza, ale system zdrowotny w Londynie to prawdziwy żart. Jedyne lekarz, który zgodził się go przyjąć, zasugerował mu zmianę diety i paracetamol.

— Żartuje pan? — ryknął Hoffer. — Zakazaliśmy tego w Stanach!

Lecz nie mógł znaleźć tylenolu czy kodeiny, więc zadowolił się aspiryną, która podrażniła mu żołądek i wpędziła w gorszy nastrój niż zwykle. Poprosił lekarza o tomografię mózgu — w końcu płacił za konsultację, więc przynajmniej niech mu się to zwróci, a wtedy lekarz się zaśmiał. Najwyraźniej nikt w Brytanii nie pociągał lekarzy do odpowiedzialności. Jak poszło się do lekarza w Stanach, oni praktycznie zawozili cię do gabinetu i z powrotem, żebyś przypadkiem nie potknął się o dywan i nie zaczął wzywać prawnika.

— Masz pan szczęście, że nie mam przy sobie broni — powiedział Hoffer do lekarza. Nawet wtedy lekarz myślał, że to żarty.

Tak więc podczas wizyty w Draper Productions nie był w najlepszym humorze, ale Idedy Draper dowiedział się, kim on jest, zaczął wariować.

Powiedział, że czytał o Hofferze, że to najbardziej znany prywatny detektyw na świecie, i zapytał, czy ktoś nakręcił jego biografię.

— To znaczy dla telewizji?

— To znaczy dla telewizji.

— Hm, w zasadzie to występuję w telewizji, ale tylko jako gość w pewnym talk show. — Bo dzisiaj rano potwierdzono, że Hoffer ma zastąpić komika, który zachorował na gripę.

— Myślę o czymś większym, Leo, uwierz mi.

Musieli więc omówić to przy lunchu w jakiejś restauracji, gdzie opis każdej potrawy w menu o wiele przekraczał wielkość samego dania. Później Hoffer musiał wstąpić na hamburgera. Joe Draper uznał to za naprawdę śmieszne. Najwyraźniej dzisiaj wszyscy uważali Hoffera za ulubionego kabareciarza. Draper chciał pojechać do Nowego Jorku i nieustannie towarzyszyć Hofferowi z kamerą.

— Może nigdy nie uda ci się tego pokazać, Joe. To, co robię, to nie jest kino familijne.

— Będziemy to redagować.

Już od samego początku swojej znajomości Draper i Hoffer zrozumieli jedną ważną rzecz względem siebie. Może to było pociąganie nosem i wydmuchiwanie nosa przez Hoffera, skargi na letnie alergie. Może to coś innego. Draper jako pierwszy zasugerował, żeby coś wciągnąć, a Hoffer wyciągnął szczyryk marki Laguiole.

— Ładne ostrze — stwierdził Draper, sięgając do szuflady biurka po lusterko...

Tak więc minęło trochę czasu, zanim Hoffer przeszedł do pytania o Eleanor Ricks.

— Lainie — powiedział Draper, już w restauracji — potrafiła poskramiać lwy, uwierz mi. To znaczy w życiu zawodowym. Boże, takiego pasztetu jeszcze nie jadłem.

Hoffer już skończył swoją *salade langoustine*. Nalał sobie kieliszek białego burgunda i czekał.

— Była świetna, naprawdę — mówił dalej Draper, smarując chleb, jakby pracował w kuchni. — Bez niej trzy z moich przyszłych projektów obróciły się w pył. — Rozsmarował pasztet na chlebie i włożył kromkę do ust.

— Ile bym dostał za ten program? — zapytał Hoffer.

— Jezu, Leo, jeszcze nie mówimy o pieniądzach. Musimy przygotować kosztorys, a potem przedstawić to kasjerom. To oni decydują ostatecznie.

— Nad czym pracowała Eleanor, kiedy zginęła?
— Nad Apostołami Miłości.
— Chyba widziałem ten film.
— To nie film, to sekta. — Potem trwało chwilę, zanim Draper wszystko wyjaśnił. — Mam trochę informacji u siebie w biurze, jeśli chcesz. Powinienem to sprzedawać, a nie rozdawać. Dwójka policjantów zabrała mi właśnie kopie, poza półtuzinem tych, które już rozdałem. Jednak było warto. Ktoś zasugerował, aby Molly Prendergast zastąpiła Lainie w projekcie Apostołów.

— To ta kobieta, z którą była, kiedy ją zastrzelono?
— Ta sama.
— A ta dwójka policjantów?
— Mężczyzna to inspektor Best.
— A nie West? — zasugerował Hoffer. — Był z kobietą nazwiskiem Harris?

— O, znasz ich?
— Zdaje się, że tak — przyznał Hoffer. — Pytali cię, w jakie kolory lubiła ubierać się Ricks? — Draper potakiwał głową.

— Niesamowite — powiedział.
— To dar, moja babka miała zdolności paranormalne. Joe, będę wdzięczny, jak dasz mi to, co im dałeś.

— Pewnie, nie ma problemu. A teraz porozmawiajmy o tobie...

Po lunchu i po-posiłkowym hamburgerze wrócili do biura Drapera po materiały „Apostołowie Miłości?” i finalnego niucha. Hoffer dał Draperowi swoją wizytówkę, ale nie kazał mu dzwonić, dopóki producent nie będzie miał jakichś kwot.

— Pamiętaj, Joe, stawkę mam godzinową.
— Jak wszystkie dziwki. Nie znaczy, że to nie są dobre kobiety!

Telewizyjny show nagrywano późnym popołudniem, aby puścić go nazajutrz rano. Hoffer wrócił do hotelu, aby się umyć i przebrać. Na tę okazję zakupił trochę nowych ubrań, zakładając, że może uda mu się odjąć to od podatku. Przyjrzał się sobie w lustrze i poczuł się jak oszust. Wyglądał świetnie. Garnitur był obszerny, z granatowej wełny. Nawet spodnie miały podszewkę, chociaż tylko do kolan. Ci londyńscy krawcy znali się na rzeczy. A poza tym skurwysyny wiedzieli, jak zerznąć kasę.

W białej koszuli i czerwonym, wzorzystym krawacie uznał, że wygląda godnie i fotogenicznie. Niełatwo było sprostać jednocześnie tym dwóm wymaganiom. Przysyłali po niego taksówkę, więc pozostało mu

jedynie czekać. Hamburger najwyraźniej mu nie służył, więc wziął coś na to i położył się, oglądając telewizję. Zadzwonił telefon; podniósł słuchawkę.

— Tak?

— Panie Hoffer, w recepcji jest list do pana.

— Jaki list?

— Właśnie go dostarczono.

— Dobra, pani słucho. Czekam na taksówkę do studia telewizyjnego.

— Nic na to nie mógł poradzić, chociaż już wcześniej mówił o tym recepcjonistce. — Będę wychodził za jakieś pięć minut, to po drodze odbiorę list.

— Dobrze, proszę pana.

Hoffer pospieszenie odłożył słuchawkę. Jelita chciały coś mu przekazać, gdy pędził do łazienki.

W taksówce tłumaczył sobie, że to wina langoustiny, na pewno. Chyba że nabawił się wrzodów albo czegoś podobnego; to ten rodzaj bólu, jak skurcz. Chwytało go za wnętrzności i ścisnęło, potem puszczało. Może jakieś kłopoty z jelitem grubym. Nie, to tylko jedzenie. Bez względu na wystawny wystrój restauracji, kuchnia pozostawała kuchnią, a owoce morza owocami morza.

Rozerwał szarą kopertę, która czekała na niego w recepcji. Po swoim nazwisku na wierzchu wiedział, że to list od Barneya. W środku była jedna zadrukowana kartka. Boże miej go w opiece, facet sam wydrukował wiadomość, ale tylko dwie linijki miały znaczenie: dwa adresy w Yorkshire. Handlarz bronią nazwiskiem Darrow mieszkał w Barnsley, natomiast niejaki Max Harrison w Grewelthorpe.

— Grewelthorpe? — powiedział na głos Hoffer, nie za bardzo wierząc w taką nazwę.

— Co to takiego, szefie?

— Jakies miasto albo coś — Hoffer odpowiedział kierowcy. — Grewelthorpe.

— W życiu nie słyszałem.

— To w północnym Yorkshire.

— No, to jasne. Nigdy nie byłem dalej na północ niż w Rickmansworth. Yorkshire to inny kraj, czasami można ich zobaczyć, jak przyjeżdżają tu na puchar rugby albo piłki nożnej. Dziwni ludzie, wierz mi pan. To pracuje pan w telewizji, tak?

Jak dotąd, podczas tego wyjazdu Hoffer udzielił tylko pięciu gazetowych krótkich wywiadów, jeden w niedzielnym dodatku do „Lifestyle” — choć stronę musiał dzielić z jakimś detektywistycznym filmem, mającym właśnie premierę. Do tego doszło kilka wstawek radiowych. Lecz teraz telewizja zajęła się nim, a on wymusił na asystentce producenta, że będzie wolno mu zabrać nagranie.

— Ale taśma nie będzie działała na amerykańskim wideo — ostrzegła go.

- To kupię angielskie.
- Proszę pamiętać, że mamy 240 voltów.
- To, kurwa, kupię przelotkę!
- Ja tylko chcę pomóc.
- Wiem, przepraszam, tylko robię się nerwowo.

Kiedy prowadziła go korytarzem, wyjaśniała mu, że będzie w programie z trzema innymi gośćmi: projektantką mody, piłkarzem-gejem i pisarką. Uśmiechnęła się do niego.

— Stanowi pan twardą stronę show.

— Jeżeli przeżyję tę cholerną marszrutę — poskarżył się Hoffer. Wtedy przyszło mu coś do głowy. — Jest biblioteka w tym budynku?

— Coś w tym rodzaju. Mamy jednostkę zajmującą się researchem.

Hoffer zatrzymał się gwałtownie, chwytając oddech. — Miałbym wielką prośbę.

— Chce pan powiedzieć: *kolejną* wielką prośbę. — Asystenka spojrzała na zegarek i westchnęła. Prawdopodobnie już kiedyś goście prosili ją, żeby im druta ciągnęła. Co w porównaniu z tą prośbą, rozumował Hoffer, jego nie była aż tak nierozsądna.

— Słucham — powiedziała. — Co to takiego?

I Hoffer powiedział jej.

Sam show był koszmarny, a wszyscy musieli siedzieć w fotelach, które przypominały to, na czym więźniom kazał siadać Torquemada, Idedy szli za potrzebą. Wszyscy oni, poza gospodarzem, naturalnie. Jimmy Bridger, jak wyjaśnił Hofferowi piłkarz-gej w saloniku, był sportowcem, potem komentatorem, a teraz prezenterem telewizyjnym. Hoffer miał lalka pytać do piłkarza, na przykład, czy ktoś siedł z nim po meczu pod prysznic, ale może będzie potrzebował sprzymierzeńca podczas programu, więc powiedział mu, ile to twardzieli grających w football amerykański faktycznie też było ciotami.

Potem przeszli do studia. Widownia składała się z kobiet, które powinny mieć lepsze rzeczy do robienia o czwartej po południu. Jimmy Bridger spóźnił się, i to tak bardzo, że Hoffer, już czując się nieswojo, zastanawiał się nad zamianą foteli. Fotel Bridgera przedstawiał się jako obszerna, gąbkowata przestrzeń wygięć i wgłębień. Stał pusty, gdy producent przeprowadzał rozgrzewkę z widownią. Opowiedział kilka gagów, kazał im klaskać na znak, tego rodzaju rzeczy. Telewizja była taka sama na całym świecie, pieprzony dom wariatów. Aż czasami trudno było powiedzieć, kto tu jest strażnikiem.

Jimmy Bridger też wyglądał na wariata. Miał szopę falistych włosów niczym ekstrawaganckie lody włoskie w wafelku, a ubrany był w tak ekscentryczną marynarkę, że aż stawała się problemem społecznym. Przywitały go wiwaty publiczności i aplauz, po części autentyczny. Hoffer wiedział, że gospodarze tych programów zazwyczaj lubią spotkać się z gośćmi wcześniej, choćby dla określenia zasad, aby sprawdzić, jakie pytania mogłyby być źle przyjęte, i tym podobne rzeczy. Przychodząc tak późno, Bridger wykazywał zbytnią pewność siebie lub nawet pogardę, co wychodziło na jedno. Przed rozpoczęciem nagrania przywitał się z każdym gościem, przeprosił znowu za spóźnienie i dał im próbkę swojego kunsztu, choć widać było, że głównie troszczy się o widownię. Po prostu ją *kochał*. Pocałował kilka babć w pierwszym rzędzie. Hoffer miał nadzieję, że w pogotowiu czekają nosze na wypadek nagłego zawału serca.

W końcu ruszyło nagranie. Jak Hoffer miał nadzieję, Bridger zwrócił się do niego jako pierwszego.

— A zatem, panie Hoffer, co jeden z najtwardszych nowojorskich detektywów porabia w Anglii?

Hoffer poprawił się w fotelu i pochylił w stronę Bridgera. — Hm, zdaje się, że pan pomylił mnie z tym dżentelmenem obok. Ja jestem piłkarzem-gejem.

Bridger rzucił zdesperowane spojrzenie w stronę producenta, który wściekłe pokręcił głową. Wtedy Bridger, odzyskawszy równowagę po spóźnionym wyjściu z bloków, zaśmiał się, pociągając za sobą widownię. Widzowie byli tak zdezorientowani, że śmialiby się z operacji na otwartym sercu. Od tego momentu wywiad zupełnie się nie kleił. Do jutra chyba skrócą go do dwóch minut.

Po wszystkim Hoffer nie chciał wpaść na Bridgera. To dało się łatwo zaaranżować. Bridger kręcił się po studiu, podpisując autografy i dalej całując starsze panie. Hoffer przedostał się na pełnej prędkości do saloniku dla gości. Było to gołe pomieszczenie z fotelami pod ścianami, mniej wię-

cej jak w poczekalni. Ci, którzy jeszcze byli przed występem, przypominali pacjentów czekających na wynik biopsji, podczas gdy goście Bridgera dostali już przepustki na wyjście. Hoffer łyknął trochę szkockiej.

— Myślałem, że narobi w majtki — ciotowski piłkarz skomentował dowcip Hoffera na wejściu.

— Publiczność by się w tych sikach wytarzała — odparł Hoffer. — I to *dostłownie**. — Wychylił kolejnego scotcha, a potem przechwycił asystentkę producenta.

— Zapomnij o wideo — powiedział do niej. — Możesz mi podrzucić, jak będę w lepszym programie. A co z tamtą?

— Mandy z researchu jest na zewnątrz.

— Świetnie, porozmawiam z nią.

— Dobrze. — I najlepiej już nie wracaj, kryło się w jej tonie.

Hoffer dmuchnął jej całusa, a potem wykonał swój słynny taniec językiem. Stosownie nie wywarło to na niej wrażenia. Zapowiadał się niebezpiecznie porządny dzień.

Mandy miała około dziewiętnastu lat i długie blond włosy, a do tego modną, anorektyczną figurę.

— Przydałaby ci się transfuzja mięsa — stwierdził Hoffer. — Co masz?

Wyrwał jej szarą kopertę i wyciągnął kilka skserowanych map.

— Zaznaczyłam zielonym markerem — powiedziała dziewczyna.

Hoffer sam to widział. Grewelthorpe: zaznaczone na zielono. Najbliższe wioski to Kirkby Malzeard i Mickley. Leżały na południe i wschód. Na zachodzie były tylko Masham Moor i Hambleton Hill, trochę jezior i szarość bez dróg. Dalej na południe jego uwagę zwróciła inna wioska. Nazywała się Blubberhouses. O co chodziło z tymi komicznymi nazwami? Bardziej stosowne, najbliższe Grewelthorpe zabudowane obszary to Ripon i Thirsk, miasteczka w Yorkshire, gdzie Mark Wesley wyciągał gotówkę z bankomatów.

— W czymś pomóc? — zapytała Mandy.

— O, tak, Mandy, są piękne, nieomal tak piękne jak ty, moja błada księżniczko. — Dotknął palcem jej policzka i pogłaskał ją po twarzy. Wyglądała na lekko przestraszoną. — A teraz chciałbym, żebyś zrobiła jeszcze jedno dla mnie.

Przełknęła ślinę z niepewną miną. — Co?

— Powiedz wujkowi Leo, gdzie jest Yorkshire.

W zasadzie wcale nie trzeba było czyścić smith & wessona, ale Hoffer i tak to zrobił. Wiedział, że jak zbliży się do Demolki na małą odległość, nie będzie to miało znaczenia, czy płatny morderca jest uzbrojony zgodnie z najnowszymi trendami — i tak włada mu kulę w brzuch.

Gdy wyczyścił i naoliwił pistolet, poczytał trochę. Zebrał sporo lektury podczas tej podróży: o hemofilii, a teraz jeszcze o Apostołach Miłości. Nie widział niczego w historii Apostołów, co nadmiernie zmierzwiłoby biało-czerwono-niebieskie pióra CIA albo NSC. Do tego Kline był tutaj, więc ktoś gdzieś bardzo martwił się o coś. Wyobrażał sobie, że zabójca czyta te same notatki co on. Co on może sobie myśleć? Czy podejmie śledztwo tam, gdzie ofiara została zostawiona? Wyglądało to na zbyt duże ryzyko. Szczególnie jeżeli to właśnie Apostołowie go wystawili.

Lecz z drugiej strony Demolka sporo do tej pory ryzykował, a każde ryzyko coraz bardziej przybliżało go do powierzchni. Hoffer miał nazwisko i rysopis, a teraz jeszcze Maxa Harrisona. Wiedział, że Bob Broome nie jest głupi; niedługo sam odkryje te powiązania. Lecz Hoffer już ruszył. Jedyny problem polegał na tym, że to oznaczało jazdę. Nie było linii kolejowych w pobliżu punktu docelowego, więc będzie musiał wynająć samochód. Zarezerwował wóz na jutro rano i poprosił o rachunek. Wiedział, że tak naprawdę powinien wyjechać już dziś wieczorem, ale nie jeździł nocą — nie, kiedy kierował się w sam środek nieznanego po niewłaściwej stronie drogi.

Na jutro musiał mieć czystą głowę, więc ograniczył się do wypalenia jednego dżointa w pokoju i oglądania telewizji. Potem wziął pigułkę librium, aby wgrzyźć się w sen sprawiedliwego. W końcu pracował na dobre imię.

— Leo, nie bądź taki okrutny dla siebie — mruknął. — Ty jesteś tu ten dobry. Ty jesteś bohaterem, musisz być... Jimmy Bridger tak ci powiedział. — Opróżnił szklaneczkę whisky stojącą obok łóżka i wyłączył telewizor.

W drodze do łazienki nagle doznał w żołądku oleistego odczucia i wiedział, co to takiego. Tym razem to nie rak ani rozwolnienie. To nic z tego, co jadł ani nie jadł, żadna woda z kranu ani nadmiar gorzały.

To była zwykła świadomość, że kolejny dzień, a może dwa przyniosą rozwiązanie całej sprawy.

Firma wynajmująca samochody oferowała do wyboru ciasne pudełka, które miały tyle życia w sobie co karton po pizzy.

— Który jest najtańszy?

— Fiesta, proszę pana.

Hoffer próbował się targować, ale pracownik pozostawał nieugięty. Nie było nawet szansy na druczek in blanco, gdyż cały system był skomputeryzowany, więc Hoffer nie mógł podkreślić wydatków. Szybko zorientował się, na czym polega jazda lewą stroną: było łatwo, jeżeli trzymałeś się ulic jednokierunkowych. Jednak wydostanie się z Londynu było bardziej bolesne, niż się spodziewał. Dwa razy musiał wysiąść z samochodu na światłach i prosić kierowcę z tyłu o pomoc, potem musiał znieść protesty innych kierowców, którzy naciskali klaksony, gdy światło się zmieniło.

Gubił się tak często, że po kilkakrotnym znokautowaniu kierownicy przestał się przejmować. Nie zwracał uwagi na drogowskazy, tylko po prostu skręcał w dowolną ulicę, która wyglądała w porządku. Kiedy zatrzymał się na lunch, uległ pokusie i zapytał kogoś, gdzie jest.

— Ricksmanworth.

Zatem dotarł do północnej granicy swojego taksówkarza. Zadowolony z tego rezultatu, nie wytrzymał i kupił jednak mapę. Dzięki temu odkrył, że będzie musiał pojechać nieco na przełaj, aby dostać się na właściwą drogę. Cały system dróg w Wielkiej Brytanii wyglądał, jakby dzieciak poszedł na spacer ze sznurkiem. Nie było w tym żadnego porządku, żadnego sensu. Jazda samochodem w Stanach była prosta, kiedy już wyjechało się z miasta. Lecz tutaj miasta nie miały końca, po prostu zachodziły jedno na drugie, gdzieniegdzie tylko zachowując plamy zieleni.

Jednak gdy skierował się na północ, zmienił zdanie. Między Londynem a Yorkshire znalazło się trochę zielonych terenów; nudnych, aczkolwiek zdecydowanie zielonych. Zrelaksował się za kierownicą, a nawet pamiętał, żeby poprosić po brytyjsku o „petrol”, a nie o amerykański „gas”. Zrobiło się późne popołudnie, zanim minął Leeds. Zjechał z A1 i znalazł się w Ripon, gdzie zrobił sobie przerwę w podróży na mentalną naradę wojenną.

Gdyby Max Harrison był jak każdy inny dealer broni znany Hoffero- wi, wówczas miałyby arsenał niczym z operacji *Pustynna burza*. A co miał Hoffer? Czteryście pięćdziesiątkę siódemkę i scyzoryk. Po swojej stronie miał na dodatek element zaskoczenia. To oznaczało, że ma kilka pierwszych momentów, aby zapanować nad sytuacją. Jeżeli Harrison miał do dyspozycji ciężką artylerię, Hoffer był na przegranej. Podobnie, jeżeli facet nie był sam, Hoffer będzie musiał się wycofać. Hoffer uświadomił sobie nazbyt późno, że wypił cały garnek herbaty, rozważając tę sytuację. Kofeina rozpoczęła nieubłagany najazd na jego układ krwionośny. Dla

równowagi zażył środek uspokajający i natychmiast pożałował; musiał zachować przytomność, a nie przysypiać.

Wziął więc coś na pobudzenie.

Jednak Max Harrison wcale nie mieszkał w rzekomym Grewelthorpe. Mieszkał gdzieś na przedmieściu. Zanim Hoffer dotarł w poblizze farmy, zrobiło się prawie ciemno. Przezorność nakazała mu zabrać ze sobą latarkę, którą wepchnął sobie do kieszeni i zgasił silnik. Nie widać było żadnych innych śladów domostw, a Hoffer zatrzymał się niecały kilometr od domu. Zamierzał przejść ten końcowy odcinek... czy oby na pewno? Jeżeli Harrison już dojrzał albo usłyszał Hoffera, to po co wystawiać się tak bezsensownie na cel? Na powrót zapalił silnik i ze spokojem pokonał pozostałą część trasy, i zajechał na podwórko.

Wyłączył silnik i rozejrzał się. Nigdzie nie było śladu życia. Na próbę zatrąbił, ale nie wywołało to żadnej reakcji otoczenia. Może ten człowiek rzeczywiście był rolnikiem i poszedł gdzieś ze swoją ulubioną krową albo owcą. Hoffer otworzył drzwi samochodu i wydostał się na zewnątrz. Nie słyszał żadnych zwierząt, choćby psa.

— Halo, jest tu kto? — zawołał. Jedyne wiatr zagwizdał w odpowiedzi. Hoffer poszedł do domu i zaglądał przez okna. Zobaczył dużą, czystą kuchnię. Nacisnął Idamkę i drzwi otworzyły się. Wszedł do środka i jeszcze raz zawołał.

Dom nie wydawał się pusty. Gdzieś był włączony telewizor albo radio. Dotknął czajnika, ale był zimny. Wyszedł z kuchni do korytarza w kształcie litery L. Po drugiej stronie hallu znajdowały się frontowe drzwi, najwyraźniej nie używane zbyt często. Podsunięto pod nie chodnik, aby zlikwidować przeciąg. W połowie korytarza były schody. Jednak dźwięki dochodziły zza którychś drzwi w korytarzu. Było ich dwoje. Pierwsze były szeroko otwarte i prowadziły do pustej jadalni. Trzy krzesła stały dookoła kwadratowego stołu. Drugie drzwi były zamknięte i najprawdopodobniej za nimi znajdował się salon. Hoffer zacisnął palce na kolbie pistoletu. Harrison nie mógł uciec: bo niby dokąd? Dookoła jedynie stodoły albo pola. Jednak mógł się gdzieś chować. Hoffer dotknął gałki w drzwiach, obrócił ją i lekko pchnął drzwi.

Max Harrison był zbity na miazgę.

Twarz była pozbawiona wszelkich rysów; stała się mieszaniną krwi, strupów i tkanki, jak jakiś czerwony owoc, którym bawiło się dziecko. Barney mówił mu, że Harrison cierpi na raka twarzy. Na podłodze leżała fragmentaryczna maska, a w jednym policzku Harrisona ziała wielka, czarna i głęboka dziura. Pewnie, pobić umierającego, czemu nie? Hoffer

poczuł, jak ogarnia go wściekłość, ale w końcu Harrison to nie jego problem.

Posadzono go na krześle pośrodku pokoju. Ręce zawiązano z tyłu i przymocowano do oparcia, podobnie jak stopy do nóg krzesła.

— Hej, panie Harrison? — odezwał się Hoffer.

W pokoju także panował bałagan. Doszło tu do bójki albo poważnego plądrowania, pewnie jednego i drugiego. Pod nogami ścieliło się sporo rozbitego szkła i ozdóbek. Hoffer podszedł do mężczyzny, aby zbadać mu puls. Kiedy dotknął ciała, głowa stoczyła się z ramion i spadła na dywan.

— O kurwa! — ryknął Hoffer, odwracając się, by zwrócić herbatę i ciastka. Wypluł je i wytarł usta grzbietem dłoni. — Cholera by to wzięła — wycedził. — Sporo zapłaciłem za to jedzenie. — Zakaszał kilka razy i odwrócił się do bezgłowego korpusu. Nie był patologiem, ale w końcu widział kilka sekcji w życiu zawodowym. Gardło było przecięte tak głęboko i dokładnie, że praktycznie nic go nie trzymało. Ktokolwiek zostawił Harrisona w takiej pozycji, wiedział, co się stanie, kiedy ktoś w końcu dotknie trupa.

— Niezłe, chłopie — mruknął Hoffer. Pomyślał o swoim nożu: gdyby policja go złapała, nie wytłumaczyłby się. Musiał wszystko szybko przemyśleć. Jeszcze raz spojrzął na ciało, potem rozejrzał się po pokoju. Nie zauważył tu zbyt wiele, więc poszedł na górę. Czy to możliwe, że to robota Demolki? Może ten handlarz w jakiś sposób go zdradził, a Demolka go zamordował w odwecie?

Pierwszy pokój, do którego wszedł Hoffer, należał do mężczyzny. Nigdzie nie leżały damskie fatałaszkę, żadnych sukienek nie było w szafie. Jednak było sporo zdjęć w ramkach, głównie mężczyzny — jak Hoffer mniemał, samego Maxa Harrisona z dziewczyną, prawdopodobnie jego córką. Na niektórych zdjęciach występowała jako dziecko, potem była coraz starsza, aż do wieku lat dwudziestu. Całkiem niezła z wyglądu. Jasne włosy, wydatne kości policzkowe, piękne oczy.

Były jeszcze dwie sypialnie, jedna z nich najwyraźniej dla gościa, co nie powstrzymało Hoffera przed poszukiwaniem śladów broni. Druga należała do młodej kobiety, o czym świadczyły czasopisma, kosmetyki i taśmy magnetofonowe rozrzucone wszędzie dookoła.

Więc córka Harrisona mieszkała w domu...

— Hola! — zawołał Hoffer, siadając na łóżku. — Czekaj, czekaj. — Pomyślał o rysopisie „posterunkowej Harris”, towarzyszkę Demolki. Wrócił do sypialni Harrisona i wybrał najświeższe zdjęcie. To nie mógł być zbieg okoliczności.

— Sukinsyn — powiedział cicho.

To zmieniało postać rzeczy. Bo jeżeli Demolka zabił Harrisona, to także zabrał z sobą jego córkę. Czy zmusił ją do tego? Jeżeli tak, to była raczej zakładniczką niż współnikiem, co stawiało sprawy w innym świetle, gdyby doszło do konfrontacji z zabójcą.

W sypialni Harrisona nie było śladów szukania, a pokój córki też był nietknięty. Na półce nad łóżkiem stały książki. Hoffer otworzył jedną i na pierwszej kartce znalazł jej podpis w rogu: Bel Harrison. Bel, skrót od Belinda. Hoffer jeszcze trochę został w jej pokoju, starając się dowiedzieć więcej o dziewczynie. Nie zabrała z sobą wielu rzeczy; szuflady i szafa były wypełnione bardziej niż do połowy. Jak zwykle, kiedy miał okazję znaleźć się w damskiej sypialni, zajrzał do szuflady z bielizną. Można było z niej sporo dowiedzieć się o kobiecie. Powinni uczynić z tego dyscyplinę policyjną, taką samą jak określanie profilu psychologicznego. Wybierał różne elementy, wciągał zapach detergentu i odkładał.

Na ścianach nie było plakatów, żadnych sugestii co do hobby. Pokój zdradzał mniej niż zazwyczaj. Zajrzał pod łóżko, a nawet pod dywan, ale nie znalazł żadnych narkotyków. Najwyraźniej nie było też żadnych środków antykoncepcyjnych.

— Czysta wiejska dziewczucha — powiedział do siebie. — Tylko, kochana, tatuś zajmował się nielegalnym handlem bronią, a teraz ty uciekasz razem z wrogiem.

Na dole sprawdził piwnicę. Znalazł tam kilka butelek wina i wódki, a do tego zamrażarkę, trochę narzędzi i materiałów wykończeniowych. Wybrał butelkę szkockiej i zabrał do kuchni. Nalał sobie, potem starannie wytarł butelkę ściereką, a szklankę trzymał przez kuchenny ręcznik. Kiedy się napił, obszedł dom, wycierając klamki i wszelkie inne powierzchnie, których dotykał palcami. Potem włączył latarkę i skierował się do budynków gospodarskich. Od razu znalazł krytą strzelnicę. Oceniając po długości, można było używać tu karabinów i broni krótkiej. Nadal nie widział żadnej broni. Musiała być tu gdzieś skrytka. Gdyby mógł ją znaleźć, pomógłoby mu to. Szukał dwadzieścia minut bez powodzenia i wrócił do kuchni.

Wypił kolejnego drinka i usiadł przy stole. Przedstawienie w salonie nie było w stylu Demolki. Ten lubił zachować dystans. Nigdy nie zabijał z bliska. Od dołdadnego strzału nagle przejść do noża lub brzytwy, albo czegoś innego, czego tu użyto... Nie, to nie był Demolka. Pojawiały się wobec tego dwa pytania. Kto to zrobił? I co robiła Bel Harrison z Demolką?

W kuchni stał telefon, połączony z sekretarką. Odtworzył taśmę, ale nie było żadnych wiadomości. Kilka opcji nasuwało się samych. Mógł zadzwonić na policję i poczekać na nich. Mógł zadzwonić anonimowo, a potem się ulotnić. A mógł też spieprzać, nic nikomu nie mówiąc. Mógł też zostać na miejscu i poczekać, aż zjawią się mordercy albo sam Demolka. Było całdem logiczne, że prędzej czy później córka wróci. Może do tej pory ktoś odkryje ciało. Ktoś musiał dostarczać pocztę, nawet do miejsc tak odległych od cywilizacji. Ciało było jeszcze względnie świeże. Nie podobało się Hofferowi, że Bel Harrison trafi na nie za kilka dni lub nawet tygodni.

Z drugiej strony, czy rzeczywiście chciał, aby do sprawy wplątali się kolejni policjanci? Co będzie, jak przestraszą Demolkę?

Hoffer nie wiedział, co robić, postanowił więc, że kolejny drink zdecyduje za niego.

A potem pojechał z powrotem do Ripon, aby poszukać noclegu.

16

Zaraz po śniadaniu zobaczyłem Leo Hoffera.

To brzmi jak szaleństwo, ale taka jest prawda. Kiedy wróciłem do pokoju, żeby się spakować. Musiałem zostawić włączony telewizor. Wcześniej oglądałem poranne wiadomości. Teraz szedł jakiś talk show, a jednym z gości był właśnie Hoffer. Nie żeby kradł dużo czasu antenowego, kilka minut, ale był wszechobecny: pokasływał poza wizją, podrygiwał i przeszkadzał, kiedy inni goście mówili. Zawołałem Bel. Teraz przeszli do pytań i odpowiedzi. Gospodarz krążył wśród publiczności z mikrofonem w gotowości.

— To Jimmy Bridger — powiedziała Bel. — Czasami to oglądam. Akurat wstawała starsza pani, aby zadać pytanie: — Czy pan Hoffer jest żonaty? — kamera przeskoczyła na Hoffera, który miał na sobie kosztowny garnitur, ale nosił go niechlujnie. Ubranie rzucało się w oczy, on nie.

— Nie, proszę pani — odpowiedział. Potem marszcząc twarz, dodał: — Czy to propozycja? — Wszyscy uznali to za zabawne. Ktoś inny spytał go, czy waga dla niego stanowi problem. Przyznał, że tak.

— Muszę przybrać jeszcze kilka kilogramów, zanim wystąpię w zawodach sumo, a wiecie, że te ostatnie kilka kilogramów jest najgorsze. Wtedy publiczność po prostu zataczała się ze śmiechu.

— Pytanie do innego z naszych gości — mówił prowadzący, jasno stawiając sprawę, że nie pozwoli Hofferowi zdominować programu. Wyglądało na to, że przez cały czas istniał między nimi konflikt.

— I ten człowiek ciebie ściga? — skomentowała Bel.

— To on. Mój cień. Czasami myślę, że ściga mnie tylko po to, aby pojawiać się w takich programach.

— Dlaczego miałyby to robić?

— Przede wszystkim dla swojego ego. Poza tym pozostaje w interesie, a ja jestem dla niego dobrą reldamą. Prawdę mówiąc, to chyba jedyną jego reklamą.

— Wygląda na taldego, co ma kłopoty nawet ze złapaniem grypy.

— I dlatego — powiedziałem cicho — jest taki dobry.

Posłałem Bel, aby skończyła się pakować, i sam też się za to zabrałem. Wrócimy samochodem do Glasgow, kupię nam bilety kolejowe na południe, a Bel przesiądzie się, żeby wrócić do domu. Natomiast ja pojedę do Londynu. Co innego miałbym zrobić? Przeczekam wszystko, aż Shattuck wyczołga się spod podłogi. Już kiedyś czekałem na swoje ofiary.

Bel nie była uszczęśliwiona.

— To znaczy, że nic z tego nie będzie?

— Tak miało być od samego początku.

Musiała zauważyć zmianę tonu. — Co się stało, Michael?

— Nic. Po prostu zadzwoń do Maxa i powiedz mu, że jak ci się uda, to będziesz w domu wieczorem. Powiedz mu, że zadzwonisz z Glasgow i podasz godziny odjazdu.

Zadzwońska więc. Minęło kilka chwil, zanim Max odebrał. Bel słuchała i przewracała oczyma, co znaczy, że zgłosiła się automatyczna sekretarka.

— Cześć, tato, to ja. Jak wrócisz, bądź przy telefonie. Wracam do domu, chyba dzisiaj wieczorem. Zadzwonię, jak będę znała godziny pociągów. Cześć.

Wymeldowaliśmy się z hotelu, ale Bel chciała wrócić do miasta.

— Po co?

— Po kilka pamiątek. Chodź, Michael, to ostatni dzień wakacji.

Potrząsałem głową, ale i tak poszliśmy. Kiedy robiła zakupy, spacerowałem po przystani. Właśnie wypływał prom do Muli. Wyspa oddalona była o jakieś dziesięć kilometrów, za mniejszą wyspą: Kerrera. Wyszło słońce; kilku marynarzy zajmowało się swoimi sprawami, co głównie oznaczało pozowanie przed kamerami turystów. Niedaleko przystani był hotel, w którym próbowaliśmy się zakwaterować, a przed nim wznosił się

niski murek. Wdrapałem się na niego i cieszyłem się słońcem. Wtedy Bel znalazła się przede mną i wepchnęła mi w ręce dużą, papierową torbę.

— Proszę — powiedziała.

— Co to?

— To pamiątka dla *ciebie*.

W środku był gruby, wełniany, kolorowy sweter z wyspy Fair.

— Przymierz — powiedziała. — Zawsze mogę go odnieść, jak nie będzie pasował.

— Wygląda dobrze.

— Ale przymierz!

Miałem na sobie marynarkę i koszulę, więc zdjąłem ją i położyłem na murku, a potem naciągnąłem sweter przez głowę i ramiona. Dobrze leżał. Bel zmierzwiła mi włosy i dziobnęła w policzek.

— Idealnie — powiedziałem. — Ale nie powinnaś. Musiał sporo kosztować...

Lecz ona już ruszyła dalej. — Chciałam się tylko upewnić, że pasuje. Teraz muszę znaleźć coś dla taty. — Pomachała do mnie i zniknęła.

Nie miałem odwagi zdjąć swetra. Bel spodziewała się, że go trochę ponoszę. Hm, na pewno chronił przed wiatrem, ale miałem wrażenie, że w nim nie wyglądam tak bardzo na miejscowego, a bardziej na turystę. Wyjąłem okulary z kieszeni marynarki i założyłem je.

Niedaleko zatrzymał się samochód. Uniósł się wyraźnie na osiach, kiedy kierowca wysiadł. Nieomal poleciałem na plecy z murka.

To był Hoffer.

Przeciągnął się, ukazując bezmiar koszuli i pasek zapięty na pierwszą dziurkę. Pokazał mi też coś jeszcze: nie miał kabury pod marynarką. Wykonał kilka ruchów szyją, zobaczył mnie i podszedł.

— Trochę tujechałem—jęknął.

— Ta? — imitowałem szkocki akcent. Skoro on dopiero dotarł na północ, może nie rozpozna udawanych Szkotów od prawdziwych.

I tak na mnie nie patrzył. Oglądał przystań i bardziej mówił do siebie niż do kogokolwiek. Pomyślałem, że coś zażył. — Piękne miejsce — dodał.

— Niezgorsze.

Spojrzał na hotel. — A co z tym, też niezgorszy? — Wzruszyłem ramionami i uśmiechnąłem się. — Cwany z ciebie, Szkot, hę? — Potem odwrócił się i skierował do hotelu. — Na razie, chłopie.

W chwili gdy zniknął, ześlizgnąłem się z murka, chwyciłem marynarkę i odszedłem. Nie wiedziałem, w którym sklepie jest Bel i już prawie

zdecydowałem się wrócić do samochodu po MP5. Lecz akurat wyszła ze sklepiku z upominkami, więc wziąłem ją pod ramię i ruszyłem.

— Hej, co jest?

— Detektyw z telewizji przyjechał do miasta.

— Ten grubas? — Szeroko otworzyła oczy.

— Nie odwracaj się, po prostu idź. Do samochodu i znikamy stąd.

— On tu *nie może* być — zasyczała. — Przecież godzinę temu był w telewizji.

— A słyszałaś o nagrywaniu? Nagrywają te programy, Bel. Myślisz, że ktokolwiek miałby odwagę puścić Hoffera na żywo?

— Co chcesz zrobić?

Spojrzałem na nią. — Ajak myślisz, co powinienem?

— Może... — zaczęła. Potem potrząsnęła głową.

— Co chciałaś powiedzieć?

— No... — Zacerwieniła się. — Że może spróbujesz go usunąć.

Znowu na nią spojrzałem. Teraz byliśmy przy samochodzie. — Przecież to nie jest niechciana ciąża.

Potrząsnęła głową. — Michael, ty słyszałeś go w telewizji? Te wszystkie pytania, które mu zadawali: czy jest uzbrojony, czy nie zawahałby się przed zastrzeleniem ciebie?

Otworzyłem drzwi i przeszedłem do miejsca dla kierowcy. — Ja wykonuję płatne zlecenia. Nie robię tego dla zabawy.

— Są inne sposoby, aby zarabiać na życie — odparła spokojnie.

— Co? Praca za biurkiem? Lubią, żeby ci z hemofilią tym się zajmowali. Wtedy jesteście *bezpieczni*. Do diabła z tym!

— Nie uważasz, że być płatnym zabójcą, to jednak trochę przesada?

— Jezu, Bel, to przecież ty kazałaś mi właśnie sprzątnąć Hoffera!

Uśmiechnęła się. — Wiem, ale rozmyślałam się. Powinieneś z tym skończyć. To znaczy, w ogóle. Sam chyba chcesz.

Włączyłem silnik. — To mnie nie znasz.

— Oj, chyba znam.

Spuściłem hamulec ręczny i zacząłem wyjeżdżać z Oban. Może to sam Hoffer albo Hoffer w połączeniu z tą rozmową. Obojętnie, nie byłem wystarczająco ostrożny. Wiedziałem tylko, że samochód Hoffera nadal stał zaparkowany przed hotelem.

Zauważyłem ich tuż za miastem. Mówiąc szczerze, niespecjalnie się stawali. Nie przeszkadzało im, że wiem o nich. Samochody były dwa, jeden elegancki, nowy rover, a drugi austin maestro.

— Nic nie rób — ostrzegłem Bel. — Patrz przed siebie. Śledzą nas. Zobaczyła ich w bocznym lusterku. — Jeden samochód czy dwa?
— Chyba oba.
— Kim oni są?
— Nie widzę twarzy. Są gładko wygoleni; ten, którego widzę najlepiej, jest elegancko ubrany, ma marynarkę i krawat. Chyba nie należą do Apostołów.

- Może to policja? Dlatego ten grubas tu jest.
- To dlaczego po prostu nas nie aresztują?
- A mają jakieś dowody?

Miała rację. — Mogą nam zarzucić podszywanie się pod policjantów. Mogliby nas wsadzić, dopóki czegoś nie znajdą. Policja zawsze znajdzie sposób, żeby komuś coś przyszyć, jak chce.

Przyspieszyłem, wiedząc, że escort nie ucieknie tym za nami. Jechaliśmy wybrzeżem, gdyż ustaliliśmy, że do Glasgow wrócimy inną trasą. Kiedy dojechaliśmy do prostego odcinka i nigdzie nie było widać innych samochodów, maestro wrzucił kierunkowskaz, sygnalizując wyprzedzanie. Po szybkości manewru domyśliłem się, że ma do dyspozycji potężny silnik. Nie było czego udawać, więc dobrze przyjrzałem się kierowcy i pasażerowi, gdy nas mijali. Obaj byli młodzi, jasnowłosi, w okularach przeciwsłonecznych. Zajechali nam drogę i ostro przyhamowali, więc my też musieliśmy zwolnić albo ich wyminąć. Rover był tuż za nami, przez co znaleźliśmy się w prawdziwym imadle.

— Michael, co oni robią?

— Chyba chcą, abyśmy się zatrzymali. — Dałem znak, że zjeżdżam, i wcisnąłem hamulec tak szybko, aż opony rovera zapiszczwały, gdy kierowca powstrzymywał się przed staranowaniem nas. Nie widziałem drogi przed nami, ale wrzuciłem drugi bieg i wyjechałem na sąsiedni pas ruchu. Nic niejechało z naprzeciwka, więc wyrwałem do przodu obok maestro, który już zaczął przyspieszać. Zbliżał się zakręt, a żaden z nas nie dawał za wygraną. Nagle zza zakrętu wyłoniła się ciężarówka, więc mocno zahamowałem, wracając na lewy pas ruchu, ciągle pozostając w potrzasku.

— Policja chyba nie bawi się w coś takiego — powiedziałem do Bel. Była cała biała, trzymała się kurczowo drzwi i deski rozdzielczej.

— To kim oni są?

— Na pewno ich zapytam.

Samochód z przodu znowu hamował. Kierowca włączył światła awaryjne. Najwyraźniej zamierzał zatrzymać się na tym pasie. Ciężarówka

blokowała ciąg samochodów, więc nie było szansy, abyśmy wymięli maestro. Rover trzymał się na dystans, ale wiedziałem, że jak raz się zatrzymamy, to będzie koniec. Jeden się cofnie, a drugi podjedzie do przodu, aż nie będziemy mieli gdzie uciec.

Zatrzymałem się.

— Co będzie? — zapytała Bel.

— Nie jestem pewien.

Ciąg samochodów w przeciwnym kierunku zwolnił jeszcze bardziej, aby się przyjrzeć. Kimkolwiek byli ci, co nas ścigali, najwyraźniej nie przejmowali się widownią. Normalna osoba ucieszyłaby się, uznając, że nic poważnego nie wydarzy się przy świadkach, ale ja to postrzegałem w inny sposób. Skoro nie martwili się gapiami, może nie przejmowali się niczym.

Wsunąłem rękę między siedzenia kierowcy i pasażera. Na podłodze z tyłu, zawinięty w stary, niebieski prochowiec, leżał MP5. Nie wiem, co skłoniło mnie, żeby przerzucić go z bagażnika, ale bezgłośnie podziękowałem temu aniołowi, który mnie strzegł.

— O Boże — powiedziała Bel, widząc broń.

Otworzyłem drzwi i wysiadłem, zostawiając płaszcz wraz z jego zawartością na podłodze obok pedałów. Maestro cofnął się, aż dotknął mojego przedniego zderzaka, a rover przysunął się zgrabnie od tyłu. Nigdy wcześniej trzy samochody nie były bliżej siebie na żadnym transporterze ani na paryskiej ulicy. Postanowiłem przejąć inicjatywę i podszedłem do samochodu z tyłu. Zakładałem, że ten z przodu to muł roboczy; osoba, z którą chciałem rozmawiać, będzie prawdopodobnie w tym ładnym samochodzie, na tylnym siedzeniu. Elektryczne szyby zjechały na dół, gdy się zbliżyłem. Okna były przyciemniane, tapicerka z kremowej skóry. Widziałem jedynie tył głowy kierowcy, ale mężczyzna na tylnym siedzeniu uśmiechał się.

— Witam — odezwał się. Nosił zwykłe okulary, nie przeciwsłoneczne; miał krótkie blond włosy. Usta cienkie, twarz upstrzoną piegami. Wyglądał, jakby głowa mu jeszcze nie urosła. Ubrany był w garnitur i białą koszulę, której rękawy były nieco za długie w stosunku do marynarld. Koszula była zapięta pod szyję, ale mężczyzna nie miał krawatu.

— Dzień dobry — powiedziałem. — W czym problem?

Mężczyzna zachowywał się, jakby takowego nie było. — • Chcielibyśmy prosić o kilka minut pańskiego czasu.

— Tak zawzięci są przeważnie ankierzy — odparłem. Myślałem: *to Amerykanin*. Pracuje dla Hoffera? Nie, nie odniosłem takiego wrażenia.

— Byłbym wdzięczny, gdyby pan i pańska przyjaciółka wsiedli do samochodu.

— Chce pan powiedzieć: do pańskiego?

Nawet nie przestał się uśmiechać. — O to mi chodzi.

Wzruszyłem ramionami. — A o co w tym wszystkim chodzi?

— Trudno to wyjaśnić w pięć minut. — Podniosłem rękę, ukazując rozpostarte palce.

— Mógł pan porozmawiać z nami w mieście.

— Proszę tylko wsiąść do samochodu.

W końcu od strony Oban nadjechał inny pojazd. Był to volkswagen kombi ciągnący przyczepę. Samochód miał niemiecką rejestrację.

— O-o — powiedziałem. — Będzie incydent międzynarodowy.

Gnojek nawet nie przestał się uśmiechać. Najwyraźniej nie przejmował się tym, że tamuje ruch.

— Pójdę po dziewczynę — dodałem.

Kiedy wracałem do samochodu, kierowca vana, przejeżdżając powoli z naprzeciwka, zapytał, co się dzieje. Jedynie potrząsnąłem głową. Zająłem do escorta.

— Bel — powiedziałem. — Zachowaj spokój, dobrze? Weź kluczyki. Zabierz atlas, potem wysiądź, otwórz bagażnik i wyciągnij nasze rzeczy. Zmieniamy samochody.

Potem podniosłem prochowiec i poszedłem do austina z przodu. Kierowca i pasażer obserwowali mnie w lusterku. Kiedy ruszyłem w ich stronę, otworzyli drzwi. Podeszedłem od strony pasażera, z dala od przejeżdżających samochodów, i pokazałem pasażerowi prochowiec. Zobaczył lufę.

— Widziałeś już coś takiego — stwierdziłem. — Teraz powiedz to koledze.

— Ma broń — oznajmił pasażer. To też był Amerykanin.

— Idziemy zobaczyć się z waszym szefem — powiedziałem i dałem mu znak, aby się ruszył. Poszli przede mną. Kiedy dotarliśmy do bagażnika eskorta, kazałem im iść dalej. Niemiecki kierowca wysiadł z samochodu i łamanym, ale pełnym ekscytacji angielskim rozmawiał z kierowcą rovera, który najwyraźniej nic nie odpowiadał.

Bel wyjęła nasze dwie torby. Wziąłem jedną, a ona drugą i znowu podeszliśmy do austina i wsiedliśmy. Zapaściłem silnik i odjechałem z rykiem, zostawiając bałagan za sobą. Bel krzyknęła, takiej ulżyło, i pocałowała mnie w policzek.

— Prawie się zsikałam.

— Masz kluczyki od escorta? — zapytałem z uśmiechem. Potrząsnęła nimi przede mną.

— No to postoją, dopóki nie zepchną go z drogi albo nie nauczą się, jak jest po niemiecku „cofnij przyczepę”. — Próbowałem rozluźnić ramiona. Pochyliłem się nad kierownicą niczym kierowca rajdowy. — Było gorąco — dodałem. — Dwa przypadki jednego dnia to niedobrze.

• — Myślisz, że mieli coś wspólnego z Hofferem?

Potrząsnąłem głową. — To zbyt proste. Czuć było, że to rządowi. Jest w tobie rodzaj pewności siebie, kiedy masz wszystko po swojej stronie.

— Wobec tego są powiązani z tą Prendergast?

Źle mnie zrozumiała. — Nie, mówili z amerykańskim akcentem.

— To *amerykański* rząd?

Powoli zaprzeczyłem ruchem głowy, starając się wyjaśnić wszystko. — Może się mylę, ale to na pewno byli Amerykanie.

— Kolejni ludzie wynajęci przez ojca tej dziewczyny?

— Naprawdę nie wiem. Myślę, że to wszystko ma związek z Apostołami Miłości.

Najwyraźniej przestraszyła się. — Ale nie wracasz tam?

— Nie, nie martw się.

— Myślałam, że wykluczyłeś już Ricka i jego gang.

Teraz potaknałem. — Może to sięgają jeszcze wyżej, Bel. — Dałem sobie spokój z wyjaśnianiem, o co mi chodzi.

Nie mieliśmy czego zwrócić w wypożyczalni samochodów, więc postanowiłem zatrzymać austina maestro. Mogłem podwieźć Bel do Yorkshire, a potem gdzieś porzucić samochód. Jechaliśmy bez przerwy, zatrzymując się jedynie, żeby nabrać benzyny, kupić kanapki i coś do picia, no i skontaktować się z Maxem.

— Może musiał gdzieś pojechać? — zasugerowałem.

— Może. Ale chyba powiedziała by, nie?

— Może coś mu wyskoczyło. Raz czy dwa byłem w kropce i zaangażowałem go zupełnie bez wyprzedzenia.

Pokiwała głową, ale patrzyła wprost w szybę. Żeby odciągnąć jej myśli od Maxa, naprowadziłem rozmowę na mężczyzn napotkanych rano, o tym, co mogli od nas chcieć, skąd wiedzieli, gdzie jesteśmy.

— Co byś zrobił — zapytała — gdyby jeden z nich wyciągnął broń?

— Jakby wyciągnął, tobym zawiązał ją na supełek.

— Ale na poważnie.

— Na poważnie? — zastanawiałem się. — Prawdopodobnie zachowałbym spokój.

— Naprawdę?

— Trudno powiedzieć, ale chyba tak.

Chyba właśnie takiej odpowiedzi się spodziewała.

Dotarliśmy na farmę, zanim się ściemniło. Natychmiast doznałem niewyraźnego uczucia i cieszyłem się, że mam przy sobie MP5. Gdy tylko stanąłem, Bel wyskoczyła z samochodu i pobiegła. Ona też coś przeczuwała. Zawołałem, żeby zaczekała, ale ona już otwierała kuchenne drzwi.

Zostawiłem włączony samochód i pobiegłem za nią, w jednym ręku trzymając pistolet maszynowy. Bez kolby broń była wielkości większego pistoletu. Przesunąłem zabezpieczenie z pojedynczego strzału na potrójne serie.

Wtedy wszedłem.

Krzyk Bel zmroził mi krew. Chciałem do niej biec, ale wiedziałem, że nie powinienem. Mogło być wiele powodów, dla których krzyczała. Zająrzałem do hallu, ale nikogo nie zobaczyłem. Trzymając broń przed sobą, ruszyłem dalej, cały czas ocierając się o ścianę. Przeszedłem przez otwarte drzwi jadalni i zauważyłem, że przy stole brakuje jednego krzesła, a pośrodku tego wszystkiego klęczy Bel, zasłaniając twarz dłońmi. W końcu zobaczyłem Maxa.

— Wielki Boże.

Bezglowy korpus siedział na krześle, jakby kukła brzuchomowcy już mocno nadpsuta. Ciało znalazły muchy i zbierały się wokół ziejącej dziury po szyi. Zatliła się we mnie słaba nadzieja: może to nie on. Lecz to była jego sylwetka i ubranie też pasowało, chociaż wszystko plamiła ciemna czerwień. Krew na skórze zaschła w bładą skorupę, więc to stało się już jakiś czas temu. W pokoju wyczuwało się kwaśny zapach, którego źródło zlokalizowałem; była to kałuża wymiocin na dywanie. Ścierka do naczyń leżała obok, przykrywając coś wielkości piłd nożnej.

Nie musiałem na to patrzeć.

Ścisnąłem Bel za ramię. — Nic tu po nas. Chodź do kuchni.

Udało mi się podnieść Bel na nogi. Nadal trzymałem pistolet. Nie chciałem go odłożyć, ale zabezpieczyłem mechanizm.

— Nie, nie, nie — powtarzała Bel. — Nie, nie, nie. — Wtedy zaczęła zawodzić, twarz miała purpurową, zalaną łzami.

Posadziłem ją na krześle w kuchni i wyszedłem na dwór.

Nie jestem tropicielem. Na ziemi były ślady opon, ale mogły należeć do samochodu Maxa. Rozejrzałem się dookoła i niczego nie znalazłem. W długiej stodole zapaliłem światło i przyjrzałem się jednemu z odległych celów w kształcie człowieka. Odbezpieczyłem MP5 i włączyłem pełen automat. Zacząłem strzelać. Magazynek opróżniłem w piętnaście sekund. Z sylwetki pozostały jedynie nogi.

W drzwiach kuchni stała Bel i wykrzykiwała moje imię.

— W porządku — powiedziałem, wychodząc ze stodoły. — Już dobrze. — Objęła mnie i znowu się rozpłakała. Trzymałem ją, całowałem, szeptałem słowa ukojenia. A potem sam się rozpłakałem. Max był... nie mogę powiedzieć, że był jak ojciec; miałem tylko jednego ojca i to już mi wystarczało. Ale był przyjacielem, może moim najbliższym. Łzy dały upust złości. Czułem coś gorszego, chłodną świadomość tego, co trzeba zrobić.

Bel wydmuchała nos i powiedziała, że musi trochę się przejść, więc wróciłem do domu. Nie zostawili zbyt wiele śladów. Wymiociny i ścierka do naczyń stanowiły zagadkę, ale to wszystko. Dlaczego zakryli głowę? Tego nie mogłem pojąć. Poszedłem na górę i rozejrzałem się. Sypialnia nie była ruszana. To nie byli włamywacze.

Oczywiście, że nie. Wiedziałem, kim byli. To Amerykanie. Albo Max coś powiedział, albo sami doszli do jakichś wniosków, lub też skontaktował się z nimi ktoś z Apostołów Miłości. Rozważyłem pierwszą z najmniej prawdopodobnych możliwości: Max nic nie powiedział, na pewno nie, jeżeli w grę wchodziło bezpieczeństwo Bel. A czy mogli sami dojść do wniosków; hm, jeżeli Hoffer potrafił, to dlaczego oni nie?

Bel jeszcze nie wróciła, kiedy zszedłem na dół. Wyszedłem na podwórko, ale nie słyszałem jej.

— Bel?

Z długiej stodoły dochodziły hałasy, coś przesuwano.

— Bel?

Musiałem pójść do samochodu po nowe pudełko naboju. Kiedy załadowałem pistolet, miałem trzydzieści dwie sztuki amunicji gotowe do akcji. Po cichu podkradłem się do stodoły.

Zajrzałem do środka. Ktoś usunął warstwę słomy z betonowej posadzki, odsłaniając dość sporą, podwójną klapę, która teraz była otwarta. Właz prowadził do bunkra. W środku były drewniane schody i goła żarówka. Po schodach wspinała się Bel. Na obu ramionach miała zawieszony po jednym karabinie, dwa pistolety wedoiięte za pasek dżinsów, a w rękę MP5, taki jak mój.

— Idziesz poćwiczyć? — zapytałem ją.
— Tak, na żywych celach. — W zapuchniętych oczach kryło się dzie-
kie spojrzenie. Cieldo jej z nosa, który musiała nieustannie ocierać grzbie-
tem dłoni.

— Wścielność to wróg, Bel.

— Kto ciebie tego nauczył? — parsimela. — Jakiś buddyjski mnich?

— Nie — odpowiedziałem po cichu. — Mój ojciec... i twój.

Stała naprzeciw mnie i wtedy zobaczyłem, jak opadają jej ramiona.

— Nie martw się — mówiłem dalej. — Pomścisz go. Ale najpierw to
zaplanujmy, dobrze? — Poczekałem, aż skinie głową. — Poza tym — do-
dałem — zapomniałaś o czymś.

— O czym?

— O nabojach.

Zorientowała się, że to prawda, i uśmiechnęła się słabo. Skinąłem
głową, żeby potwierdzić, że dobrze sobie radzi.

— Teraz niepotrzebna ci broń — odezwałem się. — Raczej mózg.
Mózg... i paszport.

— Paszport?

— Na wszelki wypadek — dodałem. — Teraz wróć i spakuj się. Są
tam na dole jeszcze jakieś karabiny maszynowe?

— Nie wiem. Dlaczego pytasz?

— Muszę trochę poćwiczyć, to wszystko. — Zszedłem po schodach
i otoczył mnie zewsząd arsenał: naoliwiony, czarny metal. Zupełnie jak-
bym znalazł się w kaplicy.

Minęło trochę czasu, zanim ułożyłem wszystkie sprawy. Wiedzieliśmy,
że nie możemy wzywać policji, informować stosownych władz, nic w tym
rodzaju. Zaproponowałem, żeby Bel została w domu, co Bel odrzuciła ze
złością. Więc zrobiliśmy to, co było trzeba. Ziemia na polu najbliższej farmy
dała się kopać łatwo. Mimo to na wykopaniu grobu zszedł nam czas aż do
zmroku. Dół nie był odpowiedni. Poznałem powód, dla którego kopie się
na głębokość dwóch metrów, bo trochę płycej zaczynają się kłopoty z zie-
mią, ziemia nad ciałem w końcu zaczyna się unosić, zamiast pozostać płas-
sko. Kopaliśmy trochę ponad metr. Zawsze mogliśmy pochować go je-
szcze raz później.

— Przepraszam, tato — powiedziała Bel. Nigdy nie byłeś specjalnie
wierzący, ale chyba chciałeś mieć coś lepszego. — Spojrzała na mnie. —
Od lat walczył z rakiem. Był gotowy na śmierć, ale nie taką.

— Chodź — odpowiedziałem. — Zajmijmy się czymś.

To nie było trudne. Musieliśmy skończyć pakowanie, a potem zamknąć dom. Nic nie mogliśmy zrobić z salonem, więc po prostu tak go zostawiliśmy. Bel i tak nie wiedziała, kto mógłby zajrzeć na farmę. Wszelkie listy i przesyłki zostawały na poczcie i odbierali je, gdy tylko byli w mieście.

— Może trochę potrwać, zanim wrócimy — ostrzegłem.

— To nic.

Nie rozstawałem się z MP5. Wiedziałem, że oni mogą wrócić w każdej chwili. Będę gotowy. Myślałem, czyby nie skorzystać z zapasów Maxa, ale wiedziałem, że to nie ma sensu. Zamknąłem więc piwnicę i przykryłem właz słomą. Dom też już był zamknięty, światła sterowane były automatycznie. Przeszedłem przez podwórze do murku odgradzającego pole i zastałem tam Bel. Stała nad świeżym grobem.

— Pora ruszać, Bel — powiedziałem.

— On nienawidził tego miejsca — cicho wyznała Bel. Położyłem rękę jej na ramieniu. Wzięła głęboki oddech i wypuściła powietrze. — Żegnaj, tato. Niedługo wrócę do domu. — Nawet ja odebrałem to, jakby nie mówiła serio.

Wyjechaliśmy na A1 i zatrzymaliśmy się w pierwszym napotkanym hotelu. Nie spodziewałem się, że ktoś z nas będzie mogło spokojnie zasnąć, ale byliśmy wyczerpani i brudni, a ubrania były przeпоcone, więc musieliśmy się przebrać. Wzięliśmy wspólny pokój, o czym z góry wiedzieliśmy. Bel wzięła kąpiel pierwsza. Namydliłem jej plecy i ramiona w milczeniu, potem wytarłem ją do sucha. Przeszła do sypialni, a ja zmieniłem wodę w wannie. Położyłem się z zamkniętymi oczyma, kiedy ona weszła do łazienki.

— Michael, pospiesz się, potrzebuję cię — tyle tylko powiedziała.

Z początku kochaliśmy się łąpczywie, a potem z większą czułością, której nigdy dotąd sobie nie wyobrażałem. Trochę płakała, ale kiedy chciałem odsunąć się od niej, przytrzymała mnie mocno, nie chcąc puścić. Jedyne światło w pokoju to była poświata ulicznej latarni. Przesunąłem ręce po plecach Bel, wyczułem jej kręgi. Przez krótką chwilę moje ręce nie należały do mordercy.

Wstaliśmy wcześniej i nie przejmowaliśmy się śniadaniem.

W drodze na południe zapytała mnie, co zrobimy. Powiedziałem jej. Nie wiedziała, czy to ma sens, czy nie, ale sama była w takim stanie, że nie potrafiła niczego zaproponować. Sznur samochodów w stronę Londynu przesuwiał się niczym błotnista breja ściekiem. Bel miała na nosie oku-

lary przeciwsłoneczne. Wiedziałem, że ma zaczerwienione oczy, jakby doskwierał jej katar sienny. Gdyby ktoś pytał, takie było wytłumaczenie. Kiedy dotarliśmy do Londynu, zostawiliśmy austina na długoterminowym parkingu i wyjęliśmy torby z bagażnika. Zostawiłem w samochodzie MP5, ale zabrałem prochowiec.

Wraz z bagażem pojechaliśmy taksówką na Knightsbridge. — Będę za pięć minut — powiedziałem kierowcy, gdy dotarliśmy na miejsce. A potem do Bel: — Czekaj tu.

Patrzyła, jak wchodzę do banku, jakby już nigdy nie miała mnie zobaczyć.

W środku, zanim zaprowadzono mnie do małego pomieszczenia, musiałem przejść przez te same procedury bezpieczeństwa co zazwyczaj. W pokoju stał stół i dwa krzesła. Na ścianach wisiały reprodukcje wiktoriańskiego Londynu i kilka broszur do czytania. Oferowały inne usługi bankowe. W końcu pracownik banku, który mnie tu przyprowadził, wrócił do pokoju z moją skrytką depozytową. Poczekałem, aż wyjdzie, dopiero wtedy otworzyłem kasetę.

W środku był paszport, zwitek banknotów i kilka czeków podróżnych, razem około dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Schowałem wszystko do kieszeni, potem wyjąłem pióro i kartkę, pospiesznie opisałem dotychczasowe wydarzenia. Treść nie miała sensu dla nikogo nie związanego ze sprawą. Złożyłem kartkę i zaadresowałem do jedynej osoby, dla której będzie miała sens: do Leo Hoffera w Hoffer Investigations w Nowym Jorku. Potem schowałem list do skrytki.

Tak to już jest z polisami ubezpieczeniowymi; ta była najgorsza, najszybciej sporządzona i zrealizowana. Ale to wszystko, co miałem.

Podziękowałem urzędnikowi, wyszedłem z banku i wróciłem do taksówki.

— Dokąd teraz? — zapytał taksówkarz.

— Na Heathrow — odparłem. Oparłem się na tylnym siedzeniu, ująłem dłoń Bel i jeszcze raz ścisnąłem.

17

Problem leżał w tym, że Hoffer nie mógł znaleźć hotelu w Ripon, ani nigdzie indziej, prawdę mówiąc. Postanowił więc jechać dalej. Potem zatrzymał się na parkingu, żeby przynieść ulgę pęcherzowi, i zastał tam trzy ciężarówki; kierowcy zrobili sobie przerwę i rozważali, czy nie iść spać.

Hoffer zaczął z nimi rozmawiać, a jeden z kierowców wyciągnął butelkę whisky. Po wszystkim Hoffer wrócił do samochodu, odsunął foteljak najdalej i zasnął.

Spał źle i obudził się cały sztywny, z obolałą głową i wściekłym pragnieniem. Poza tym był zmarznięty i zdecydowanie przeziębiony; a kto wie, czy nie było to coś gorszego.

Mapa była prawdziwym darem od Boga, bez niej nie miał najmniejszej szansy znaleźć Oban. Zaparkował w porcie, wysiadł w kiepskim stanie i zapytał jakiegoś miejscowego o kwatery, a potem poszedł do hotelu, gdzie nie mieli żadnych pokoi, ale bar był otwarty i zachęcał ogniem na kominku.

Hoffer usiadł przy ogniu z dużą whisky i zastanowił się, jak ma znaleźć Apostołów Miłości. Zapytał barmana, ale ten odpowiedział, że nigdy o nich nie słyszał.

— Hm, mieszkają tu, cała banda...

Jednak barman trzymał się swojej wersji. Tak więc ożywiony drinkiem, Hoffer poszedł na spacer. Znalazł sklepikarza, który prowadził interesy z Apostołami i narysował mu mapę na pustej, szarej tutece. Hoffer dojechał tam, ale drogę zagroziła mu brama zamknięta na kłódkę. Rozejrzał się dookoła, a potem wystrzelił parę razy w kłódkę, aż się otworzyła. Niech go cholera, jeżeli dalej będzie miał iść pieszo.

Nagle ze złością uświadomił sobie, że nie obejrzał w telewizji swojego występu. I wyglądało na to, że wszystkich w Oban też to ominęło, sądząc z braku zainteresowania jego osobą.

— Pierdolone lasy — narzekał, jadąc szutrową drogą.

Po jakichś dwóch kilometrach natrafił na siedlisko, kilka szałasów czy też baraków bardziej stosownych dla zwierząt niż ludzi. Dookoła kręcili się jacyś. Przerwali pracę i gapili się na niego, gdy podjeżdżał. Kiedy wysiadł, nadal mu się przyglądali. Z jednego z domków wyszedł mężczyzna z wielką brodą.

— Kim pan jest? — zapytał.

— Nazywam się Hoffer, proszę pana, Leo Hoffer. Chciałbym zamienić słowo. Szukam pary, mężczyzny i kobiety, mogli tu być niedawno.

— Nikogo tu nie było.

Hoffer rozejrzał się. — Tę osadę założył Amerykanin, co? — Mężczyzna skinął głową. — Tylko że my Amerykanie jesteśmy znani z gościnności wobec obcych. Tego tutaj nie widzę.

— Ajak przejechał pan przez bramę?

— Hm? Była na oścież otwarta. To znaczy, miała łańcuch i w ogóle, ale tylko zwiślał.

Mężczyzna kazał pomocnikowi iść i sprawdzić. Ten skinął głową i wskoczył do starego, hipisowskiego vana.

— Nie ma tu nic dla pana — brodac poinformował Hoffera.

— To może mam wypełnić jakieś podanie. Ta osada jest w moim stylu.

— Nie sądzę.

— Nie? — Hoffer podrapał się w brode. Była szorstka. Musiał się ogolić i odmoczyć. — Wie pan, mógłbym się przyzwyczaić i częściej was odwiedzać z tymi samymi pytaniami.

— Dostałby pan taką samą odpowiedź.

Mężczyzna odwrócił się do Hoffera plecami i wszedł do chaty. Hoffer zastanawiał się, czyby nie wejść za nim i nie poddać hipisa świętemu obrzędowi uderzenia pistoletem... A tam, do diabła, będą inne okazje. Wsiadł więc do samochodu i odjechał. Volkswagen stał przy bramie. Hoffer zatrąbił i pomachał, przejeżdżając. Kierowca busika stał z łańcuchem w ręce i patrzył, jak Hoffer odjeżdża.

Z powrotem w mieście rozpytał w kilku miejscach o parę turystów nazwiskiem Weston i Harrison. Nie sądził, że nadal będą odgrywać policjantów, skoro to nie było konieczne. Nazwiska nic nie znaczyły, ale jedna z ekspedientek rozpoznała na zdjęciu Bel Harrison.

— Była tu dzisiaj rano. Kupiła sweter. To zabawne, bo była bardzo podekscytowana. Wybiegła ze sklepu, żeby jej mąż go przymierzył.

Hoffera to uderzyło. — Jaki to był sweter?

Ekspedientka pokazała mu dokładnie taki sam wzór. Źle zrozumiała bolesną minę Hoffera.

— Mamy w innych kolorach, jeśli pan woli.

Wszedł ze sklepu z jękiem. Przecież *rozmawiał* z Demolką, ale miał za dużego kaca i był za bardzo rozbity, żeby się zorientować. Jednak przynajmniej jedno było jasne: Bel Harrison nie została porwana. Jeńcy nie kupują swetrów swoim oprawcom.

Co ważniejsze, mogli tu jeszcze być, musiał pamiętać o tym... Nie, kogo chciał nabrać? Zabójca go znał. Teraz będzie już poza miastem grzać, ile sił.

Albo gdzieś się ukrywa, planując atak na detektywa. Hoffer popatrzył po oknach dookoła, dużych i małych. Nie czuł się zbyt swojsko.

Wrócił do baru i zamówił kolejną whisky. Właśnie przekazywano sobie plotkę, coś o jakimś korku na szosie. Hoffer parsknął nad whisky. Ko-

rek, *tutaj*? Trzy samochody tarasowały szosę, gdy ich kierowcy prowadzili dyskusję, wstrzymując ruch i dając bezpłatne przedstawienie podróżującym na północ w stronę Oban.

Coś w tej historii zaczęło drażnić Hoffera. Podszedł do mężczyzny, który to opowiadał, i pokazał mu zdjęcie Bel.

— Nie mam pojęcia — odparł mężczyzna. W jednej ręce ścisnął piwo, a w drugiej papierosa, więc Hoffer musiał stać i trzymać przed nim zdjęcie. — W jednym z samochodów, tym w środku, na pewno była kobieta. Do tego z tyłu nie można było zajrzeć, a tego z przodu nie pamiętam.

— W tym było dwóch facetów — zapiszczał kolejny pijący. Hoffer przeszedł do niego. Mężczyzna miał na sobie kalosze i czapkę w kratkę, a policzki i nos czerwone. — Utknęliśmy za ciężarówką Berta McAuleya, starym gratem.

— A w środkowym byli mężczyzna i kobieta? — podsunął Hoffer.

— Ano, od zadka elegancki wozik, a potem jeszcze jeden z przyczepą. Pierwszy wóz miał włączone awaryjne. Albo się lekko stuknęli, albo ten pierwszy się popsuł.

— A co z tym mężczyzną i kobietą?

— To znaczy?

— Pamiętasz, Hughie — powiedział trzeci pijący — ten facet poszedł pogadać z tymi w pierwszym wozie i oni wysiedli.

— Nie widziałem tego — odparł Hughie.

Hoffer przeszedł do trzeciego rozmówcy.

— I co się wydarzyło?

— To było dziwne. Mężczyzna i kobieta wyjęli swoje rzeczy z bagażnika i zanieśli do tamtego samochodu, i odjechali, a kierowca i pasażer poszli do *trzeciego* wozu.

Wszyscy spojrzeli po sobie. Stało się oczywistym, że długo będą o tym opowiadać. Nic tak ekscytującego nie wydarzyło się od tygodni.

— Gdzie to było? — zapytał Hoffer.

— Tuż za zjazdem na Cleigh.

Kiedy Hoffer stawiał wszystkim drinka, trzeci rozmówca narysował mapę po drugiej stronie szarej tutki.

Znalezienie samochodu nie zabrało mu wiele czasu.

Został zepchnięty, i to niezbyt delikatnie, na pobocze. Chociaż ford escort był praktycznie nowy, ktoś zrobił krechę przez całą długość boku. Wyglądała na rysę, jaką dzieciaki robią kluczem, monetą albo nożem.

— Coś nerwowo, koleś — powiedział Hoffer, uważnie przyglądając się pojazdowi. Był pewien, że jest wynajęty, tak samo jak jego. W środku będą odciski zabójcy i Bel Harrison. Warto było zebrać odciski, więc Hoffer udał się na poszukiwanie najbliższego telefonu. Znalazł kemping kilka kilometrów dalej na północ. Był tam punkt informacyjny, ale zamknięty na cztery spusty, a przed nim budka telefoniczna. Wszedł do budki i zadzwonił na komisariat przy Vine Street. Nie mógł połączyć się z Broome'em, ale Emond w końcu odebrał.

— Nie spieszysz się — powiedział Hoffer — a to, kurwa, kosztuje mnie pieniądze, a robię wam przysługę!

— Jaką przysługę?

— Mam tu niedaleko samochód pełen odcisków Demolki i na dodatek jego dziewczyny.

Edmond jakby się zainteresował. — Gdzie jesteś?

— W górach Szkocji, na południe od Oban przy A816.

— Gdzie ten wóz?

— Zaparkowany na poboczu na południe od Cleigh. — Przeliterował Edmondowi nazwę.

— Połączę się z miejscowym posterunkiem.

— Oni już chyba wiedzą o samochodzie. Został porzucony, kiedy Demolka popadł w tarapaty. Mogą być w nim jeszcze inne odciski, ale niektóre zdecydowanie należą do niego.

— Czekać, jakie tarapaty?

— Kasa mi się kończy, na razie.

Hoffer odwiesił słuchawkę. Niedaleko był kran z wodą, z którego dziewczynka napełniała plastikowy kanister. Podeszedł do niej.

— Na wakacjach z rodzicami? — Skinęła głową. — Szukam mojego kolegi, skarbie. Przyjechał tu dzisiaj z przyczepą.

— Przyczepy są tam. — Wskazała mu ręką.

— Dziękuję — powiedział. — Może ci to poniosę?

— Rodzice by nie chcieli. Jest pan obcy.

Hoffer uśmiechnął się. — I tak trzymaj, mała.

Popatrzył, jak odchodzi. Musiała bardzo się starać, aby nie szurać dnem kanistra po ziemi. Jak szacował, miała jakieś jedenaście albo dwadzieścia lat. W Nowym Jorku znał dwunastolatków, którzy byli bardziej dośrośli, niż ona kiedykolwiek będzie musiała się stać. Z zasady lubił dzieci, a zasada była taka, że kiedyś będzie stary, a one będą w kwiecie wieku. Wtedy może będzie potrzebował ich pomocy. Wtedy nie da rady trzepnąć

ich po głowie ani wyciągnąć noża. Trzeba było je szanować zawczasu, inaczej odkopną ci łaskę i wbiją do gardła sztuczną szczękę.

Po dodatkowych kilku pytaniach trafił w dziesiątkę. Inny turysta powiedział mu, że Niemcy, których tu teraz nie ma, pojechali do miasta. Ale ich przyczepa stała, więc wróca. Kiedy tu przyjechali, Niemiec był nadal wściegły i opowiadał, w jakim to utknął korku.

— Chyba na nich poczekam — zdecydował Hoffer.

Wtedy turysta powiedział, że jego żona z dziećmi poszła na spacer i zapytał, czy Hoffer jest Amerykaninem? Oni pojechali przed rokiem na Florydę i bardzo im się podobało, Disneyland, plaże i wszystko. W tym roku mieli bardziej ograniczony budżet, przy panującej recesji, po utracie pracy i w ogóle. Zapytał, czy Hoffer napije się piwa. Hoffer uznał, że znieśie opowiadki o Florydzie, o ile cena będzie rozsądna.

— Pewnie — odpowiedział — czemu nie?

Wtedy też mężczyzna powiedział Hofferowi coś, aż mu się zrobiło cieplej na sercu: — Wie pan — zaczął — ciągle mi się wydaje, że już pana twarz gdzieś widziałem. Występował pan kiedyś w telewizji?

Niemcy nie spóźnili się. Było to małżeństwo w mocno starszym wieku, najwyraźniej dość zamożni, dorobiwszy się przez całe życie. Byli ubrani za fundusz emerytalny i jeździli samochodem z funduszu emerytalnego. Kiedy Hoffer powiedział im, czego oczekuje, otworzyli swoją przyczepę i zaprosili do środka. W środku nie było dużo miejsca, ale Hofferowi najwyraźniej było wygodnie, kiedy wepchnął nogi pod stół i usiadł.

Z początku jego pytania bawiły ich. Kobieta powiedziała, że chce po prostu o tym zapomnieć, ale jej mąż wypił piwo lub dwa i dość szybko odzyskał tamten nastrój. Nie mówił zbyt dobrze po angielsku, ale był lepszy niż w barowym niemieckim Hoffer. W końcu jednak Hoffer doszedł do trzeciego samochodu z tamtych na szosie.

— Kierowca — mówił Niemiec — duży człowiek, nie bardzo szczęśliwy. Nie mówił mi nic dobrego. Miał nadal niechęć, ale ja twardo.

— Uhm, tak — odparł Hoffer — oczywiście. Był tam jakiś pasażer?

— Na tylnym miejscu, tak. Rozmawiał z drugim kierowcą...

— To znaczy, z kierowcą tego środkowego samochodu?

Niemiec skinął głową. — ...i wtedy ten drugi kierowca odszedł, ale człowiek na tyle nie rozmawiał ze mną. On śmiał, śmiał cały czas...

— Śmiał się — poprawił Hoffer.

— No mówię. Ja wtedy do niego, jaki tu problem? Ale on śmiał tylko.

— Śmiał się — poprawiła go żona.

— Czy może pan opisać tamtego mężczyznę?
— Hm... miał garnitur, koszulę, ale bez krawata, chyba. Nie był duży, jak tamci. Okulary miał, okrągłe, a włosy miał białe.

— Blond — powiedziała jego żona. — Białe mają starzy ludzie.

— I co się wydarzyło? — zapytał Hoffer. Oboje najwyraźniej nie zauważyli, jak zmieniło się jego nastawienie.

— To było bardzo dziwne. Ludzie ze środkowego samochodu odjechali tym pierwszym samochodem. Ludzie z pierwszego rozmawiali z mężczyzną z trzeciego. Potem trzech mężczyźni zepchnęli drugi samochód z drogi.

— Ten blondyn został wtedy w samochodzie?

— O, tak, w samochodzie on został. Potem odjechali w trzech, nie przepraszali mnie! — Mężczyzna zaczerwienił się z wściekłości. Powoli przechodził na swój ojczysty język. Żona pogłaskała go po ramieniu uspokajająco.

— Bardzo mi państwo pomogli — powiedział Hoffer.

— Czegoś się pan napije? — zapytała kobieta.

— *Nein, danke* — odparł Hoffer. Nie uczestniczył w żadnych kursach językowych, ale to zadziwiające, ile można było się nauczyć na kilku filmach wojennych i w barach. Wydostał się spod stołu i pożegnał się, potem wsiadł do samochodu i zapalił papierosa. Kline skonfrontował Demolkę, a Demolka mu uciekł, co udowodniało głupotę Kline'a albo że zabójca jest sprytny. I nikt nie zginął, to było dopiero dziwne. Hofferowi zrobiło się ciepłej na sercu. Skoro Demolka nie działał z bliskiej odległości, to Hofferowi pozostało jedynie zbliżyć się do niego, i to bardzo. Im dalej się trzymał, tym większe groziło mu niebezpieczeństwo. Jednak z drugiej strony, im był bliżej, tym większe miał szanse, że wpadnie na Kline'a i jego komandosów.

A widział już, na co *ich* stać w bezpośrednim starciu. Odrąbią ci, kurwa, głowę i zostawią jako niespodziankę.

— W jakie ja gówno się pcham? — zapytał samego siebie, zapuściwszy silnik i kierując się na południe.

18

Poleciliśmy do Bostonu. Zawsze staram się tak robić, unikać lotniska JFK. Ono bardziej przypomina targ bydlą niż lotnisko, a jest tam więcej kontroli niż gdziekolwiek. Poleciliśmy jako Michael Weston i Belinda Harrison, gdyż mieliśmy jedynie nasze prawdziwe paszporty. Wiedziałem, że to ryzyko jest wkalkulowane. Linie lotnicze rejestrują dane w komputerze i są one dostępne dla wszystkich. To był kolejny powód, aby lecieć do Bostonu: był daleko od naszego punktu docelowego.

Po wylądowaniu znalazłem dla nas pokój w mieście, dokąd pojechaliśmy taksówką. Bel była jeszcze zdezorientowana po podróży. Dla osób początkujących było to trudne, lot wstecz pod prąd czasu. Alkohol nie pozwalał się dostosować. Oglądaliśmy telewizję i jedliśmy nasze posiłki, przyjmowaliśmy wszelkie oferowane nam napoje. Z początku Bel zachowywała się zupełnie jak dziecko, upierała się, że będzie siedzieć przy oknie i patrzeć na chmury. Kazała mi opowiadać o Stanach. Nigdy wcześniej tu nie była, a paszport miała tylko dlatego, że Max uparł się, by poleciała dwa razy na wakacje za granicę. Nigdy nie zabierał jej, gdy leciał w interesach.

— Nie mógł się chwalić swoją pracą, co? — stwierdziła nagle, aż oderwałem wzrok od gazety. Różne odpowiedzi przychodziły mi do głowy, typowa była ta, że broń nigdy nie zabija sama, że to ludzie strzelają.

— To bardziej honorowe od mojej profesji — odpartem i wróciłem do czytania. Bel traktowała to na swój sposób. Oczywiście rozmawialiśmy o Maksie, omijając ostrożnie odkrycie jego zmaltretowanych zwłok. Bel przeszła kilka faz, od hysterii do zadumy, od nadpobudliwości do katatonii. Teraz zachowywała się poprawnie i starała się być sobą. Jednak tylko starała się. Kiedy byliśmy razem sam na sam, była inna. Nie chciałem okazywać, jak bardzo się martwię. Jeżeli już potrzebowałem jej podczas tej podróży, to przede wszystkim musiałem na niej polegać.

Lot przebiegł dobrze. Na pokładzie było może dwoje małych dzieci, ale były za przepierzeniem i dużo nie płakały. Inne dzieciaki bliżej nas przechodziły fazę nudów, ale ich rodzice i obsługa zawsze mieli w pogotowiu arsenał gier, zabawek i napojów.

Byłaby to znakomita okazja, abym przemyślał wszystko, ale tym razem nie zastanawiałem się nad tym, co robimy. Miałem bardzo ogólnikowy plan i może gdybym to wszystko dokładnie przemyślał, uznałbym to za szaleństwo pełne niedociągnięć. Wobec tego czytałem stare wiadomości, rozwiązywałem krzyżówki, pokazałem Bel, jak dochodzi się do odpowiedzi na podstawie ukrytych znaczeń. Ta część była łatwa: lot, przejście przez kontrolę celną i urząd emigracyjny (w tych czasach nawet nie wymagano od turystów prawdziwych wiz), znalezienie hotelu... wszystko poszło ławo.

Zanim dotarliśmy do hotelu, tuż za parkiem Boston Common, uświadomiłem sobie, że jestem psychicznie zmęczony. Potrzebowałem odpoczynku, chociaż kilka godzin. Zastłoniłem okna i rozebrałem się. Bel trochę przespała się w samolocie i chciała wyjść pozwedzać. Nie kłóciłem się z nią.

Obudziła mnie dwie godziny później i opowiedziała o spacerze dookoła Common. Widziała miejsca, gdzie kręcono seriale telewizyjne, a potem przeszła się cudownymi, brukowanymi uliczkami, zajrzała do budowli o złotej kopule i zawędrowała do dzielnicy włoskiej...

— Musiałś szybko chodzić — powiedziałem, idąc pod prysznic.

Poszła za mną do łazienki. Połowy tego, co mówiła, nie słyszałem. Dałem jej pięćdziesiąt dolarów, z których część wydała na coś do jedzenia i kawę.

— Kupiłam hot doga i słynną bostońską fasolkę.

— Mniam, mniam.

Powoli uchodziło z niej powietrze. Kiedy wyszedłem spod prysznica, Bel przełączała kanały w telewizji, skacząc z odcinków *Star Treka* i innych starych powtórek, na typowe talk showy i kanały sportowe, zakupy telewizyjne i telewizję chrześcijańską.

— Możesz ściszyć?

— Pewnie. — Najwyraźniej tak samo podobały się jej programy bez głosu. — Jest dużo reklam, co? To znaczy, wstawiają je nawet między koniec programu a napisy końcowe.

Spojrzałem na nią i próbowałem się uśmiechnąć ze zrozumieniem, ale ona znowu oglądała telewizję. Wiedziałem, czego jej trzeba. Potrze-

bowąta okresu spokojnej, refleksyjnej żałoby. Problem polegał na tym, że nie stać nas było na ten luksus. Musieliśmy ruszać w drogę.

Musiałem zadzwonić. Gdzieś w Teksasie odezwała się automatyczna sekretarka. Postanowiłem zostawić wiadomość.

— Spike, tu Mike West. Przyjechałem na krótko. Dzwonię z wyprzedzeniem, bo mam kolejną listę zakupów. Będę za parę dni, jak wszystko pójdzie pomyślnie. — Nie miałem numeru kontaktowego.

— Spike? — zapytała Bel.

— Tak ma na imię.

Wróciła do otępiającej telewizji. Trochę później zasnęła; leżała na łóżku, a głowę miała wspartą na poduszkach. Pilota nie wypuściła z rąk.

Poczułem się trochę lepiej, chociaż nos miałem zapchany. Wyszedłem na spacer. Mózg mówił mi, że jest środek nocy, ale w Bostonie było późne popołudnie. Znalazłem bar z typowymi koniczynkami na ścianie i guinessem z kija. Wszyscy oglądali baseball w wielkoekranowym telewizorze. Na barze leżała złożona gazeta, więc czytałem ją i popijałem piwo. Ostrzeliwanie z samochodu wyszło z mody; albo też było tego tak wiele, że nie stanowiło sensacyjnej wiadomości. Informacje tak często zależały od mody. Porwania samochodem, o tym jeszcze pisano, ale musiała to być szczególnie ładna marka, żeby było warto.

O broni pisano wszędzie. Jedni chcieli jej zakazać, a National Rifle Association, czyli Amerykańskie Stowarzyszenie Strzeleckie, broniło się zaciekle. Tylko że teraz nawet prezydent opowiadał się za ukróceniem prawa do posiadania broni, a kilka stanów uznało za wykroczenie, jeżeli nieletni są uzbrojeni. Musiałem przeczytać to zdanie dwukrotnie. W niektórych miastach, jak się okazało, jedno na pięćoro dzieci przynosiło do szkoły broń, razem z książkami i drugim śniadaniem. Zamknąłem gazetę i skończyłem piwo.

Wiedziałem, co powie Spike: Witaj w strzeleckim raj.

Barman zapytał, czy chcę jeszcze jedno piwo. Chciałem, rzeczywiście. Barman więc wyjął z lady chłodniczej kolejną szklankę i nalał mi piwa, chociaż w Anglii nazwaliby je lager, a ciemne piwo — to właściwe — spotykało się rzadko, przeważnie w modnych barach w pobliżu college'ów. Nie pamiętałem, jak łatwo jest kupić piwo w Bostonie. Nie wiedziałem, czy istniały sldepy z alkoholem i czy miały licencję na sprzedaż w nocy. Prawo zmieniało się od stanu do stanu, podobnie jak stawki podadui i chyba wszystko inne. Na przykład, sklepy monopolowe kontrolował tu rząd. Przynajmniej, jak nad tym się zastanowiłem, było to słuszne. Lecz mózg odcinał na noc wszelkie przekazy. Starałem się myśleć o czymkol-

wiek, byle nie o Bel. Widząc jej rozpacz, stawałem twarzą w twarz z ofiarą. Zabiłem tylu ludzi... Zawsze potrafiłem o nich myśleć, odczuwając ich. Lecz teraz krążyli wokół mnie niczym duchy.

Wypiłem piwo i wyszedłem. Do drzwi przypięta była reldama piwa. Przeczytałem ją: „Lepiej być nie może”.

Myślałem o tym w drodze do hotelu.

Nazajutrz rano poszliśmy na Dworzec Amtraku i pojechaliśmy pociągiem do Nowego Jorku. Bel usiadła po swojemu przy oknie i znowu stała się dzieckiem. Była faktycznie dobrze przygotowana na tę „amerykańską przygodę”, bo w Anglii dużo oglądała amerykańskiej telewizji. Słyszała nawet o Amtraku i ścisnęła mnie za rękę, gdy podróż dobiegała końca i było widać fragmenty Manhattanu za ponurą linią niekończących się przedmieść. Górna część stanu Nowy Jork to wieś, a wieś miała wszędzie. Nie zawsze mogła podziwiać Manhattan.

Nasz hotel w Bostonie należał do sieci, więc zarezerwowałem pokój w ich manhattańskim oddziale. Czekaliśmy na żółtą taksówkę, takiego grata, że musieliśmy uważać, aby w czasie jazdy nie uszkodziło nam wewnętrznych organów. Hotel znajdował się na rogu Siódmej i Czterdziestej Drugiej Ulicy. Przed hotelem zebranych o drobne przeganiiali sprzedawcy tanich gadżetów, szalików i parasoli. Słońce kryło się za mgłą. Pełno ludzi kręciło się wszędzie albo stało w przejściach, nie zwracając uwagi na pędzące samochody i pieszych. Praktycznie musiałem przepchnąć Bel przez wejście do hotelu.

Recepcja była niczym strefa objęta działaniami wojennymi. Właśnie przybyła jakaś wycieczka autokarowa i meldowała się, odwrotnie niż inna grupa. Obie parły do tego samego punktu, podpowiadając sobie, co warte jest zwiedzania. Zabraliśmy nasz bagaż do restauracji.

- Dwie kawy proszę — zwróciłem się do kelnerki.
- Kawa dla państwa, tak?
- Tak.
- Coś jeszcze?
- Dla mnie mleko — powiedziała Bel, na co kelnerka zerknęła dziwnie.

— Nic do jedzenia, dziękuję — dodałem i kelnerka odeszła. — Pamiętaj — zwróciłem się wtedy do Bel. — Jesteśmy tu tylko tę jedną noc, więc nie odgrywaj turystki. Jak chcesz się rozejrzeć, dobrze, ja załatwię, co mam do załatwienia i możemy iść zwiedzać razem. Na co masz ochotę: muzea, galerie, sklepy, przedstawienia, World Trade Center?

— Chcę przejechać się dorożką po Central Parku.

Jednak najpierw była moja sprawa do załatwienia. Moja skrytka z depozytem znajdowała się w dyskretnym, choć dobrze strzeżonym miejscu przy Park Avenue South, na północ od Union Square. Wcześniej zadzwoniłem i powiadomiłem o swoim przyjeździe. Bel nalegała, abyśmy poszli pieszo albo żebyśmy pojechali metrem. Zrobiliśmy jedno i drugie: przeszliśmy kilka przecznic, a potem wsiedliśmy do metra.

Przy Liddle Trusts & Investments musieliśmy nacisnąć dzwonek, który przywołał do drzwi strażnika. Powiedziałem mu, kim jestem, i zostaliśmy wprowadzeni do środka, gdzie sprawdzono mój paszport; po potwierdzeniu mojej tożsamości wpuszczono nas do pokoju całkiem podobnego do tego przy Knightsbridge. Bel musiała tu poczekać, podczas gdy urzędnik i ja zeszliśmy do skarbcza. Do otwarcia mojego sejfu potrzebne były dwa klucze, jego i mój. Urzędnik wyciągnął kasetę i podał mi. Zaniośłem ją do pierwszego pomieszczenia i położyłem na stole.

— Co jest w środku? — zapytała Bel.

Kaseta miała wierzchnią pokrywę na zawiasach. Uniosłem ją i wy dobyłem gruby plik dolarów, pięćdziesiątki i dwudziestki. Bel wzięła banknoty i zagwizdała cicho. Potem wyciągnąłem złożony pas na pieniądze.

— Masz — powiedziałem. — Zaczynaj wkładać do niego pieniądze.

— Tak jest. Co jeszcze tu masz?

— Tylko to.

Kaseta była pusta, a ja trzymałem w ręku plik fałszywych amerykańskich dokumentów. Był tu paszport, legitymacja ubezpieczeniowa, książeczka zdrowia, różne zezwolenia stanowe na broń i prawo jazdy, i jeszcze kilka innych dowodów tożsamości. Bel przyjrzała się im.

— Michael West — powiedziała.

— Od tej pory to ja, ale nie martw się tym, nie będziesz miała kłopotów — odparłem, na co uśmiechnęła się. — Moi przyjaciele nadal nazywają mnie Michael.

Spakowała trochę gotówki do pasa. — Żadnej broni ani niczego? Spodziewałam się przynajmniej jakiegoś pistoletu.

— Później — odparłem.

— Kiedy później?

Popatrzyłem na nią. — Niedługo.

— Dobrze.

Usiadłem obok niej. Zauważyłem, że uroki Manhattanu nie odwróciły jej myśli od śmierci Maxa.

— Bel, może tu zostaniesz?

- Myślisz, że będę bezpieczniejsza?
- Mogłabyś pozwiedzać, odpocząć. Wiele przeszłaś.

Zaczerwieniła się. — Jak śmiesz tak mówić! Ktoś zamordował mego ojca i ja chcę spojrzeć mu w twarz. Nie myśl, że mnie się pozbędziesz, Michael, bo nie uda ci się. Ajak spróbujesz, będę krzyczeć za tobą na najwyższych kominach, więc pomóż mi...

- Bel, oni tu nie mają kominów.

Nie zaszczyciła tej uwagi odpowiedzią.

Wróciliśmy taksówką w stronę Central Parku. Kierowca uważał, że znajdziemy dorożkę w pobliżu Columbus Circle. Bel kupiła małą, składaną mapkę wyspy. Ciągłe do niej zaglądała, a potem przenosiła wzrok na prawdziwe ulice, z palcem wbitym w mapę.

- Jak tu wszędzie ciasno.

To było, zanim zobaczyła Central Park. Park wyglądał zachwycająco. Ludzie uprawiali jogging, nianie pchały wózki, inni wyprowadzali psy, rzucali frisbee albo piłki, improwizowali mecze baseballa albo siatkówki, no i w słońcu zajadali się hot dogami na ławkach. Bel zapytała mnie, czy kiedykolwiek obszedłem Central Park dookoła.

— Nie i wątpię, aby ktoś tego dokonał. Dalej na północy park dochodzi do Harlemu.

- I nie jest bezpiecznie?

- Niezupełnie.

Nasz dorożkarz zapytał, czy chcemy koc albo coś innego, ale nie potrzebowaliśmy. Nasz koń nie płoszył się, co było błogosławieństwem, zważywszy liczbę samochodów przejeżdżających przez park. Bel ścisnęła mnie za rękę.

- Michael, powiedz mi coś.
- Co takiego?
- Coś o sobie.
- Zabrzmiało to jak kwestia z filmu.

Zacząłem więc opowiadać, a w odgłosie kopyt końskich na asfalcie było coś hipnotycznego. Nakłaniało mnie do opowieści, kazało się otworzyć. Bel nie przerywała.

Urodziłem się w pobliżu jednostki wojskowej w Anglii. Ojciec był oficerem, chociaż nigdy nie awansował tak wysoko, jak chciał. Wiele razy się przeprowadzaliśmy. Jak to się dzieje z rodzinami wojskowych. Szybko się zaprzyjaźniałem, a zaraz potem traciłem kolegów, gdy albo oni, albo ja musieliśmy się wyprowadzić. Przez jakiś czas pisywaliśmy do siebie, a potem to się urywało. Wjednostce zawsze dużo się działo: filmy, przed-

stawienia, gry i zabawy, kluby, gdzie można było się zapisać; ale to tylko separowało nas od wszystkich innych dzieciaków, które nie mieszkały wjednostce ani w pobliżu. Łatwo robiły mi się siniąta, ale nie przejmowałem się tym. Czasami, jak się uderzyłem, opuchlizna nie schodziła przez kilka tygodni, a do tego bolało. Jednak nigdy o tym nikomu nie mówiłem. Ojciec opowiadał, jak to żołnierze muszą „wytrzymywać barierę bólu”, i ja wyobrażałem sobie, że przechodzę właśnie taką próbę, jakbym napierał na gumową błonę, aż przedostawałem się przez nią. Czasami kilka razy trzeba było przyklejać plaster, zanim rozcięte kolano albo łokieć goiły się. Mama myślała, że zrywałem sobie strupy, aleja tego nie robiłem. Tata raz musiał zabrać mnie do lekarza, kiedy odgryzłem sobie koniuszekjęzyka i krew nie przestawała lecieć.

Innym razem musiałem iść do dentysty wyrwać ząb. Dentysta zatkał potem dziurę, ale ja cały czas krwawiłem, nie za mocno, ale równomiernie. Dentysta próbował nałożyć mi coś kwaśnego na dziąsła, a potem wsadzić tampon z adrenaliną, ale ostatecznie dał mi zastrzyk. Kiedy to nie zadziało — a była to już moja czwarta lub piąta wizyta — odesłał mnie do specjalisty, u którego badania potwierdziły, że mam umiarkowaną hemofilię. Z początku wyznaczyło mi to pewną pozycję wśród rówieśników, ale już niedługo koledzy przestali się ze mną bawić. Mogłem co najwyżej przyglądać się im. Poczytałem o hemofilii. Miałem szczęście w dwóch aspektach: przede wszystkim moja choroba była łagodna; poza tym urodziłem się odpowiednio późno i poczyniono już postępy w leczeniu jej. Substytut czynnika VIII wprowadzono dopiero na początku lat siedemdziesiątych, wcześniej stosowano krioterapię. Ciężko chorzy na hemofilię mają o wiele gorzej. Mogą mieć krwotoki wewnętrzne, do stawów, do brzucha, nawet do mózgu. Ja nie mam tych problemów. Jeżeli idę na operację albo do dentysty, robią mi zastrzyk z czynnikiem powodującym krzepnięcie krwi i wszystko jest w porządku. To dziwna choroba, gdzie kobiety mogą być nosicielkami, ale na to nie chorują. Mniej więcej jeden mężczyzna na pięć tysięcy w Wielkiej Brytanii ma hemofilię, czyli jest nas dziewięć tysięcy. Nie tak dawno temu nikt nie badał krwiodawców pod kątem HIV. Przez to ponad tysiącu dwustu chorym został podany śmiertelny produkt. Ponad tysiąc dwustu z nas, mężczyzn i chłopców, jest teraz HIV pozytywnych i skazanych.

Podobnie zdarzyło się we Francji. Dzieciom podano skażony czynnik krzepliwości, potem próbowano zatuszować sprawę. Byłem wtedy tak wściekły, taka czarna rozpacz mnie ogarnęła, że prawie chciałem iść sprzątać tych, którzy byli za to odpowiedzialni... tylko kto to był? To był

ludzki błąd, obojętnie jak bardzo irytujący. Z tego właśnie powodu nie będę brał zleceń w krajach Trzeciego Świata, chyba że pieniądze będą duże. Boję się, że mogę zostać ranny i podadzą mi wtedy zakażony czynnik VIII. Dzisiaj krew sprawdza się rygorystycznie, ale czy każdy kraj to robi, przesiewa i eliminuje próbki? Nie jestem pewien. Nigdy nie można być pewnym.

Cały sprzęt wożę z sobą, oczywiście, strzykawki i sproszkowany czynnik, wodę destylowaną. Kiedy muszę iść do lekarza albo dentysty, powinienem udać się do Centrum Leczenia Hemofilii, poza coroczną kontrolą. Leki, których używamy, mogą zawierać różnego rodzaju zanieczyszczenia, prowadzące do uszkodzenia wątroby, zapalenia albo marskości... Poza tym są krwotoki, które mogą wywołać artretyzm. (Wyobraźcie sobie płatnego zabójcę z artretyzmem). U pięciu do dziesięciu procent z nas mogą pojawić się inhibitory, antyciała, które powstrzymują czynnik VIII przed działaniem. Jak mówię, to dziwna choroba. Nie możemy dostawać zastrzyków domięśniowych albo zażywać aspiryny. Lecz sprawy mają się coraz lepiej. Jest DDAVP, syntetyczny produkt, który wzmacnia poziom czynnika VIII, rekombinacyjny czynnik VIII, tak go nazywają. To jak 8SM i monoclate P, ale powstałe w laboratorium, nie z krwi. Żadnych zanieczyszczeń, przynajmniej mam taką nadzieję.

Właściwie *to istnieje* lekarstwo na hemofilię: przeszczep wątroby. Tylko na dzisiaj jest to bardziej niebezpieczne od samej choroby. Będzie jednak lekarstwo; pojawi się dzięki badaniom genetycznym. Po prostu wyeliminuje się uszkodzony chromosom.

Jak widać, hemofilia miała ogromny wpływ na moje życie. Od razu, gdy tylko ją zdiagnozowano. Rodzice obwiniali siebie. W rodzinie nie było historii tej choroby, ale w jednej trzeciej przypadków nie ma; po prostu dochodzi do nagłej, spontanicznej mutacji plemnika. Tak było u mnie. Rodzice, szczególnie mama, traktowali mnie jak porcelanowy prezent ślubny, taki, co to można wyciągać na specjalne okazje. Koniec z szaleństwami z kolegami — postarali się, aby inni rodzice dowiedzieli się o mojej chorobie. Ojciec teraz spędzał więcej czasu z dala ode mnie, na strzelnicy. Trafiłem więc tam za nim i poprosiłem, aby nauczył mnie strzelać. Najpierw z pistoletu, a później z karabinu. Żebym nie siniaczył sobie ramienia, mama zrobiła małą poduszkę, którą wpychałem między bark a kolbę. Nadal jej używam.

Mama przeciwstawiała się temu całemu przedsięwzięciu, ale nie potrafiła postawić się ojcu. Minęło kilka lat, zanim mogłem go pokonać. Nie wiem, czy wzrok mu się pogorszył, czy mniej stabilną miał rękę, a może

po prostu ja byłem coraz lepszy. Ostatecznie wyprowadziłem się z domu jako strzelec wyborowy.

Zawsze dobrze się uczyłem i poszedłem na studia, ale długo tam nie wytrzymałem. Potem były nic nie rokujące zajęcia, praca, po której miałem sporo czasu dla siebie. Miałem etat w bibliotece, potem w kilku księgarniach, aż w końcu dostałem wspaniałą pracę w wypożyczalni kajaków w Lake District. Wpadłem, jak pracodawcy odkryli, że choruję na hemofilię. Powiedzieli, że praca jest zbyt ryzykowna, że mogą pociągnąć ich do odpowiedzialności.

Czy to dziwne, że nigdzie nie mogłem się utrzymać? I chciałem przebywać jedynie na strzelnicy. Zapisałem się do klubów strzeleckich i brałem udział w zawodach. Nawet kilka razy pojechałem na polowanie, szukając nowych wyzwań. Potem poznałem uroczego człowieka, Holly'ego MacIntyre. Był wielki i uparty, miał krótko ścięte włosy z odrobiną siwizny na skroniach. Koledzy nazywali go „Wściekły Pies”. Oczywiście miał wytrzeszczone i zaczerwienione, jakby zbyt wiele czasu spędził w chlorowanym basenie. Zawsze był skory do rozróby, a czasami sam ją inicjował. Przypominał mi napastnika rugby.

Holly znał mojego ojca i widział kilka razy, jak strzelam. Wtedy już od dłuższego czasu nie pracował w siłach zbrojnych i przeszedł do — jak to określaliśmy — „sił zabezpieczających” w różnych krajach, chociaż nie mógł ich wymienić. W zasadzie to był najemnikiem, szefem dwunastoosobowego gangu, który można było kupić, który pojechałby w dowolne miejsce na świecie i przeskolił przypadkowy motłoch za konkretne pieniądze. Wściekły Pies szukał świeżej krwi.

Powiedziałem mu, że mojej nie dostanie, i wyjaśniłem dlaczego.

— Czy tylko to cię powstrzymuje? — powiedział. — Chryste, mimo to możesz mi się przydać.

Zapytałem go, w jaki sposób.

— Jako snajper, chłopcze, snajper. Wsadzę cię na drzewo i zostawię tam. Będzie ci wygodnie i przytulnie, żadnych ran, żadnych siniaków, nikt nie będzie wiedział, że tam siedzisz. Będziesz musiał jedynie ich zdejmować po kolei, jak się pojawiają.

— Zdejmować... kogo?

— Kurwa, wroga, a kogo?

— A kto to będzie?

Pochylił się do mnie i chuchnął mi whisky. — Kto tylko chcesz!

Odrzuciłem jego ofertę, ale wcześniej przedstawił mi kilku osobom, które później okazały się pomocne. No cóż, w tamtym okresie by-

łem fanatykiem wojskowości. Kręciłem się z szeregowcami i starymi żołnierzami, z kimkolwiek, kto wyznawał podobną filozofię i miał zbliżone pochodzenie. Wiedziałem, do jakich pubów i klubów chodzić, do jakich siłowni. Wiedziałem, gdzie w weekend będzie strzelanie. To strzelanie to nie paintball ani polowanie na kuropatwy czy wyliniałe, stare lisy. Organizowano je w tajemnicy, gdzieś z dala od ludzi, gdzie można było hałasować i nikt tego nie słyszał. Prowadziłem tam zakłady. Stawiali monetę na masce samochodu, a ktoś w kabinie trzymał rękę na dźwigni otwierającej Idapę. Na dany sygnał musiałem trafić w monetę, zanim maska odskoczyła.

Wszyscy mnie kochali, ale ja wiedziałem, że stoję się nikim. Nawet gorzej, stawałem się dziwadłem. Zrobiłem więc coś w tej sprawie. Przygotowałem sobie plan życia. Nie stało się to z dnia na dzień: czytałem książki, podróżowałem. Uświadomiłem sobie trzy rzeczy: byłem znudzony, byłem biedniejszy, niż chciałem być, i posiadałem pewną umiejętność.

Zacząłem pomału, od zastrzelenia kilku szczurów ze sklepu zoologicznego. To mi nie wystarczało: nie miałem nic przeciw szczurom. Zrozumiałem, że lubię je bardziej od większości ludzi z mojego otoczenia. Tak naprawdę, to nie lubię ludzi, tylko bardzo dobrze udaję. W Stanach trochę polowałem, a to było lepsze niż strzelanie do szczurów. Pewnej nocy zdjąłem ćpuna, strzelając z zaciemnionego okna hotelu. Stali w zaułku sześć pięter pode mną. Rozumowałem, że i tak dużo życia im nie zostało, średnia długość życia narkomana na nowojorskich ulicach wynosi trochę mniej niż szczura. Od tej pory szło coraz łatwiej.

Poszedłem do Wściekłego Psa, tylko był gdzieś w Afryce i tym razem nie wrócił. Znałem jednak innych, z którymi mogłem rozmawiać, innych, którzy wiedzieli, czego musiałem się dowiedzieć. Minęło pół roku, zanim dostałem pierwsze zlecenie. Spodziewano się, że strzelę gościowi w głowę i zakopię go w lesie Epping Forest. Zamiast tego zdjąłem go w czteryosobowym tłumie, o czym natychmiast stało się głośno w gazetach. Moi pracodawcy uznali, że tak może być. Zapłacono mi, a nazwisko przekazano dalej. Wiedziałem, że nie będę pracował dla Armii Zbawienia, w końcu nie zabijałem zakonnic czy księży. Dopiero po kilku zleceniach doszedłem do wniosku, że każdy może być celem. Kat nie decyduje o winie czy niewinności. Jedynie dolidada starań, by narzędzie było humanitarne.

Zauważyłem, że Bel siedzi obok mnie jak skała.

— Przepraszam — powiedziałem. — Ale nie mówię nic, czego już nie wiesz.

— Michael, mówiłeś tak długo, a w zasadzie niczego nie powiedziałeś.

— Tak?

— A możemy teraz iść gdzieś się napić?

— Pewnie.

Powiedziałem woźnicy, aby nas zawiózł z powrotem. Po drodze minęliśmy inną dorożkę. Z tyłu siedzieli japońscy turyści. Kiedy woźnice wymienili znudzone spojrzenia, Japończycy nakręcili nas kamerą wideo, machali do nas i śmiali się. Wyglądaliśmy jak znudzone małżeństwo po kolejnej kłótni.

Wiesz, że ty nigdy mnie nie wypytywałeś — odezwała się Bel. — To dziwne. Jak wcześniej umawiałam się z mężczyznami, zawsze kończyło się na tym, że pytali o moje życie. Ile ty masz lat, Michael?

— Według paszportu: trzydzieści pięć. — Leżeliśmy w łóżku. Nie kochaliśmy się, nasze ciała nawet się nie stykały. Telewizor był włączony bez fonii.

— I nigdy nie byłeś żonaty, nigdy nie miałeś stałej dziewczyny?

— Było kilka.

— **Ile?**

— Nie wiem.

— Kilkaset? Kilkadziesiąt?

— Tylko kilka. Chryste, Bel. — Odrzuciłem kołdrę i wstałem. Klimatyzacja warczała, owiewając mnie chłodnym powietrzem. — Słuchaj, nie jestem... Nigdy nie twierdziłem, że jestem w tym dobry... w tych rzeczach — wyznałem.

— A czyja się skarżę?

— Dobrze, to wypytam cię teraz...

Uśmiechnęła się smutno. Miała piękne brwi. Miała piękne usta. — Daj spokój. Zrobisz to innym razem, jak się nie będę spodziewała.

Potem usiadła w łóżku i zaczęła oglądać telewizję, na nowo zamykając się w sobie.

Nazajutrz poleciliśmy do Nowego **Meksyku**. Nie miałem zamiaru **kupować** samochodu w Nowym Jorku. Nikt nie **kupuje** używanego samochodu w tym mieście, jeżeli tylko ma inną opcję. Tu wozy rdzewieją bardziej niż gdzie indziej, mają więcej kilometrów przebiegu (nawet jeżeli pokazują mniej na liczniku) i wygórowane ceny wymalowane na **przedniej**

szybie. Kupuje się na zachodnim wybrzeżu albo w Nowym Meksyku, gdzieś tam. My kupiliśmy w Albuquerque.

Bel miała rację: blondyn ze swoją bandą nie będzie miał problemów z trafieniem na nasz trop. Sprawdzi w informacji na lotniskach i w hotelach i może nas namierzyć aż do Nowego Jorku. Lecz to Michael West, a nie Michael Weston płacił za przelot do Albuquerque, a bilet jego towarzyski wystawiony był na Rachel Davis. Podejmowałem te wszystkie ostrożności, chociaż wystarczyło, żeby ten blond śmieszek z Oban skierował się wprost na półwysep Olympic i tam na nas zaczekał. No trudno; nie chciałem tylko, żeby mnie usidlił. Wtedy ja pierwszy miałbym szansę przynajmniej na jeden dobry strzał.

W Albuquerque nie marnowaliśmy czasu. Dzięki dowodowi tożsamości na Nowy Meksyk i plikowi banknotów nabyliśmy szybki samochód. Był to pontiac trans-am, w sam raz na czekającą nas podróż. Trafiłem na niego w gazecie z ogłoszeniami motoryzacyjnymi, którą pospiesznie przejrzałem, gdy usiedliśmy w barze. Zakreśliłem kółkiem kilka anonsów i poszedłem do telefonu. Pod pierwszym numerem żona powiedziała, że mąż jest w pracy i będę mógł obejrzeć samochód, dopiero jak wróci. Pyszczęściło mi się przy drugim telefonie. Rozmawiałem z bełkoczącym mechanikiem imieniem Sanch, który miał fioła na punkcie „zajebistych popierdalaczy” (*jego określenie na szybkie samochody*) i sprzedawał swojego trans-ama, bo chciał kupić pięknego, starego firebirda z takim lakierem, że „aż chce się wyć”.

Tak bardzo chciał go sprzedać, że przyjechał po nas do baru pick-upem i zabrał do dwupiętrowego domu przy szutrowej drodze w miłej dzielnicy dla klasy średniej.

— Naprawiam wszystkie wozy w okolicy. Wszyscy tu przyjeżdżają.

Wyglądało na to, że połowa samochodów z dzielnicy, przeważnie w częściach, zaparkowała przed domem Sancha. Najlepsze modele trzymał w warsztacie, także innego, mocno tuningowanego trans-ama. Wolałbym wziąć tego, ale wóz na sprzedaż też był super. Zajrzałem do silnika, a potem przejechaliśmy się. Pontiac był biały, a wewnątrz miał trochę zapuszczone, a na dodatek brakowało mu ćwiartki zderzaka. Silnik był jednak czysty. Wóz miał też system audio. Sanch zszedł z ceną o kolejny tysiąc za gotówkę, a ja zapytałem, czy mogę skorzystać z łazienki.

Kiedy Bel raczyła się zimnym piwem i kolekcją kalendarzy z gołymi modelkami w kuchni Sancha, ja rozpiąłem pas z pieniędzmi i wyjąłem banknoty. Gdy wróciłem do kuchni, Sanch wypełnił już odpowiednie rybryki w dokumentach własności.

— Aha — odezwał się, podając mi piwo — chciałem jeszcze zapytać, do czego będzie pan używał tego wozu.

— Żeby trochę pojeździć.

— Tak się zwiedza Amerykę.

— Właśnie — potwierdziłem, podając mu pieniądze.

Przyjrzał się im, ale nie liczył.

— Wygląda w porządku. A tu mam coś dla was. — Trochę trwało, zanim znalazł to, czego szukał. Był to atlas samochodowy Rand-McNally, pozbawiony oldadek, z oślimi uszami, poplamionymi smarem. Jednak strony były w porządku. — Pełno tu się tego wala. W końcu chyba nie chcecie się zgubić.

Podziękowałem mechanikowi, skończyłem piwo i schowałem dokument własności do kieszeni.

Wtedy pojechaliśmy do Lubbock.

Był to ładny wstęp do jazdy po Ameryce. Długie, proste drogi, czasami jakaś rudera ustawiona pośrodku pustkowia i niespodziewane miasteczka, które znikwały w tumanie kurzu za samochodem. Wóz zachowywał się przyzwoicie, a Bel, z braku telewizji, zadowalała się radiem. Najbardziej spodobali się jej kaznodzieje, ale irytujący słuchacze nie pozostawali daleko w tyle. Jeden burak wychwalał strzelanie.

— Broń stworzyła Amerykę i broń ją ocali!

— Kompletny świr z ciebie, mój przyjacielu — stwierdził DJ i przełączył się na inny telefon.

Albuquerque leży zaledwie czterysta kilometrów od Lubbock. Z ła-twością dojechalibyśmy w jeden dzień, ale niespecjalnie nam się spieszy-ło. Kiedy zatrzymaliśmy się w Clovis, a w Lubbock ciągle odbierała auto-matyczna sekretarka, postanowiliśmy zameldować się w motelu. Wybra-liśmy rzeczywiście świetnie; pokój dwadzieścia dolarów za noc, urządzo-ny w kolorze pomarańczowym z lat pięćdziesiątych. Wydawało się, że byliśmy jedynymi gośćmi, a koleś w recepcji wyglądał na takiego, co mógł wiele nauczyć niejednego psychopatycznego mordercę-właściciela mote-lu. Wprowadził naszą gotówkę do staroświeckiej kasy z dzwonkiem i przeprosił nas za basen. Chodziło mu o to, że basen nie był jeszcze skoń-czony. Taka duża, okrągła forma z betonu, jeszcze bez kafelków; był nie ocieniony i znajdował się tuż przy drodze. Według mnie niewielu letni-ków będzie z niego korzystać. Wiał gorący wiatr, ale motel chwalił się ma-szyną do lodów i innym automatem wydającym zimną colę.

— Ale nie mają kablówki! — poskarżyła się Bel, już zaprawiona w wojażach po zachodzie. Na trasie oferowano nam łóżka wodne, łóżka

king-size, kanały dla dorosłych i HBO, wszystko na przydrożnych reklamach. Bel nie była ujęta naszym pokojem za rozsądną cenę, ale ja pozostawałem w o wiele bardziej optymistycznym nastroju. W końcu właściciel nie kazał nam się wpisywać do księgi meldunkowej i nie zapisał numerów naszego wozu. Nie będzie żadnych dowodów, że kiedykolwiek tu się zatrzymaliśmy.

— Chodźmy lepiej pozwiedzać — zaproponowałem.

Przeszliśmy tam i z powrotem główną i jedyną ulicą. Wiele sklepów już pozamykano, okna zasłonięto deskami. Trafiliśmy na dwa nijakie puby, kolejny motel po drugiej stronie miasta z czerwonym, neonowym znakiem oznajmiającym, że brak wolnych miejsc, chociaż także nie było tam widać oznak życia, dwie stacje benzynowe i bar restauracyjny. Tam zjedliśmy.

Był w nim pokój na tyłach, skąd dochodziła wrzawa jakiegoś przyjęcia. To urodziny obchodził jakiś strażak, a jego koledzy, żony i sympatie kolegów śpiewali mu z tej okazji. Kelnerka podeszła do nas z uśmiechem, żeby przyjąć zamówienie.

— Jajecznicę na szynce — poprosiła Bel. — Jajka lekko ścięte. — Uśmiechnęła się do mnie. — I kawę.

Ja zamówiłem kurczaka. Tyle go było, że Bel musiała mi pomóc. W naszym pokoju nie mieliśmy telefonu, więc jeszcze raz spróbowałem dozwonić się do Lubbock z restauracji i znowu odezwała się automatyczna sekretarka. Po obiedzie zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej i kupiliśmy czekoladę, jakąś tanią colę i czteropak piwa. Rozejrzałem się dookoła i zauważyłem, że sprzedają lodówki turystyczne. Wybrałem największą na półce. Kobieta za ladą wytarła z niej kurz.

— Napełnić ją lodem?

— Proszę.

Wtedy dodałem jeszcze jeden czteropak do naszych zakupów.

Następnego ranka napełniliśmy lodówkę lodem, piwem i colą, i zjedliśmy śniadanie w barze. Dyżur miała ta sama kelnerka.

— Przyjęcie się udało? — zagadnęła Bel.

— Och, te chłopcy — utyskiwała kelnerka. — Dosłownie musiałam ich węzem polewać, żeby ich stąd wyrzucić.

Była dziesiąta i robił się upał, kiedy wyjechaliśmy z miasteczka. Sanch nie powiedział nam jednego o pontiacu: klimatyzacja nie działała w stu procentach. W końcu wyłączyłem ją i jechaliśmy z otwartymi oknami. Na kolejnej stacji Bel kupiła kilka taśm, więc nie musieliśmy więcej

męczyć się z radiem. Kierowcy na tych długich, dwupasmowych odcinkach byli mili do przesady. Jeżeli zamierzałeś kogoś wyprzedzić, samochód przed tobą zjeżdżał na pas serwisowy. Nawet ciężarówka. Lecz spodziewali się, że to samo zrobisz dla nich. Choć wielu ludzi nas nie wyprzedzało. Jechaliśmy sto dziesięć, sto dwadzieścia i uważaliśmy na radar. Za każdym razem, gdy mijaliśmy jakiś samochód osobowy albo ciężarówkę, Bel machała przez okno.

Od dłuższego czasu nie byłem tak zrelaksowany. Już kiedyś przejechałem kawałek Stanów i wtedy też mi się podobało. Jak powiedziała Bel, stawałeś się swoją ulubioną gwiazdą filmową we własnym kinie drogi. Co ważniejsze, z naszego punktu widzenia, nikt nie mógł cię wyśledzić.

Lubbock, gdzie urodził się Buddy Holly, to poleć prerii z muzeum poświęconemu życiu na ranczo. Muzeum posiadało okazałą kolekcję drutów kolczastych, a do tego galerię karabinów, na których widok aż zapierało dech. Tyle było do powiedzenia o Lubbock. Ostatni raz, kiedy tu byłem, nie potrafiłem znaleźć centrum, ale to typowe w amerykańskich miasteczkach. Tamtym razem zatrzymałem się w zaniedbanym motelu niedaleko pomnika Buddy Holly'ego. Lecz po zeszłej nocy uznałem, że Bel nie będzie zachwycona, więc poszukaliśmy hotelu, który wyglądał na nowy, tuż przy szosie i tam się zameldowaliśmy.

W amerykańskich hotelach i motelach kiedyś proszono o dokument tożsamości, ale w obecnych czasach trzeba było tylko wypełnić kartę meldunkową. Można więc było z powodzeniem podać fałszywe nazwisko, fałszywy numer rejestracyjny i prawo jazdy. Bel podobał się pokój: była kablówka z HBO, płatne filmy w sieci. Było też łóżko king-size i telefon. Po raz ostatni wybrałem numer, a potem postanowiłem mimo wszystko tam jechać.

— Czy ja się w końcu dowiem? — zapytała Bel, kiedy wsiedliśmy znowu do pontiaca.

— Co takiego?

— Do kogo próbowałeś się dodzwonić.

— Do jednego gościa, Jacksona. Spike'a Jacksona. Polubisz go.

Spike mieszkał niedaleko muzeum Texas Tech i uniwersyteckiego Ranching Heritage Center. Zabrał mnie tam podczas mej poprzedniej wizyty. Prowadziła tam dwupasmówka, przy niej z jednej strony stały parterowe sklepy, odchodziły też przecznice. I na końcu jednej z nich mieszkał Spike. Miałem nadzieję, że nie wyjechał z kraju w interesach. Wiedziałem, że w większości pracuje za granicą.

Zjechaliśmy z dwupasmówki i przejechaliśmy przed sklepami. Bel zauważyła taki ze strojami kowbojskimi i chciała, abyśmy się zatrzymali. Wysadziłem ją i powiedziałem, że wrócę za pięć minut, cokolwiek się stanie. Znikła w drzwiach sldępu.

Przed piętrowym domem Spike'a stały zaparkowane dwa samochody, ale to nic nie znaczyło. Jak wszyscy porządni goście Spike przeważnie używał kilku wozów. Miał przynajmniej dwa samochody na chodzie, a czasami jeszcze jakiś wrak, przy którym grzebał trochę, aż w końcu holował go na złomowisko. Podkręciłem obroty kilka razy w pontiacu, żeby dać mu znać, że ma gościa. Nie chciałem, aby się denerwował.

Jednak nie widać było nigdzie oznak życia, kiedy podchodziłem schodami do frontowych drzwi. Po obu stronach był ganek odgradzony siatką na owady, z fotelami i stołem oraz bujaną kanapą. Spike ostatnio nie miał gospodyni; wszędzie walały się pudełka po pizzy i puszdł po piwie. Ponownie zadzwoniłem i usłyszałem, jak ktoś biegnie do drzwi, które gwałtownie otworzyły się na oścież i stanęła w nich nastolatka. Nim się odezwałem, dała mi znak, abym szedł za nią, i popędziła z powrotem do środka.

— Brakuje mi trzech tysięcy do rekordu! — zawołała. Podążyłem za nią na piętro, do sypialni, która wyglądała jak warsztat radiowca. Wszędzie pełno elektroniki. Prowizoryczny stół (stare drzwi położone na skrzynkach) w całości zajmował system komputerowy.

Dziewczyna mogła mieć jakieś piętnaście albo nawet osiemnaście lat. Była szczupła i miała niezwykle długie nogi, do których czarne dżinsy przylegały niczym druga skóra. Gęste, rude włosy zawiązała niedbale z tyłu głowy; miała na sobie czarny T-shirt reklamujący jakiś zespół rockowy. Wróciła przed komputer i używając joysticka, skierowała śmiertelny promień na wrogie skorupiaki. Do komputera podłączone były dwa głośniki, co potęgowało efekty dźwiękowe.

— Kim jesteś? — zapytała.

— Znajomym Spike'a.

— Spike'a nie ma.

— Kiedy wróci?

Gdy ekran zgasł i pojawił się nowy scenariusz, dziewczyna powoli wytarła ręce w dżinsy i spojrzała na mnie. — Skąd jesteś? Z Australii?

— Z Anglii.

— Tak? W dechę.

Kusiło mnie, żeby wyciągnąć wtyczkę z gniazdka, ale nigdy nie wiadomo, jak talde dzieciaki zareagują. Może wtedy ona wyciągnie pistolet. Musiałem w jakiś sposób przyciągnąć jej uwagę.

- Spike nigdy nie gustował w takich młodych.
- Hm?
- Dziewczynach.

Parsknęła. — O nie! — Miała dołeczki i piegi, bladą twarz, która rzadko widywała słońce. Zasłony w pokoju były dokładnie zaciągnięte. Po przypinala do nich fotosy; głównie gwiazd filmowych. — Nie jestem dziewczyną Spike'a. — Przewróciła oczyma. — Je-zu!

Usiadłem na niepościelonym łóżku. — Kim w takim razie jesteś?

— Nie powinnam cię wpuszczać, co? Możesz być, kurwa, nie wiadomo kim, nie? Jakimś gwałcicielem, a nawet gliniarzem.

- Musiałbym być angielskim gliniarzem, co?
- Nie. Wiem, kim jesteś. Spike opowiadał mi o tobie.
- W takim razie, kim jestem?
- Mówi o tobie „Wild West”.

Uśmiechnąłem się. To prawda. Znowu na mnie patrzyła. — Mam rację?

— Tak, masz. Muszę się zobaczyć ze Spike'em.

— Hm, nie ma go tu. Patrz lepiej na to, osiem milionów siedemset tyśniaków.

- Najwyższy wynik?
- Ajak.

— Skoro jesteś do przodu, to może lepiej byłoby przerwać, tak bym radził.

— Uh-uh. — Potrząsnęła głową. — Jestem na drodze do ich unicestwienia.

- A gdzie jest Spike?
- Człowieku, nudzisz. Strzela.
- Strzela?
- Tam w stronę poczty. Jakaś godzina jazdy.
- Możesz podać szczegóły?
- Pewnie, wyjedź z miasta na południowy wschód...
- Możesz na jakiejś kartce?

Znowu parsknęła. — Jestem amerykańską nastolatką, my *nie piszemy*.

— Zaraz wyciągnę wtyczkę od komputera.

— Zrób to, a pożałujesz. — Nie zartowała, ale mnie się skończyła cierpliwość. Znalazłem rozgałęźnik na podłodze i podniosłem go, zaciśkając dłoń na pierwszym kablu.

— Dobra, chłopie, wygrałeś. — Nacisnęła jakiś klawisz na klawiaturze i obraz na ekranie monitora zastygł. — Przerwa sześćdziesiąt sekund. — Rozejrzała się za jakąś kartką i znalazła powieść w tanim wydaniu; oderwała tylną okładkę i na pustej stronie narysowała mapę. Rzuciła ją do mnie i wskoczyła z powrotem na swoje miejsce.

— Dzięki za gościnność — pożegnałem się.

— Ajak tu być gościnnym, skoro cię starzy wykopali?

Najwyraźniej domagała się, abym zapytał ją o coś. Moją jedyną bronią było odejść i tak właśnie postąpiłem.

Kiedy wróciłem do sklepu, Bel zdążyła kupić sobie parę kowbojek. Miały błyszczące, metalowe sprzączki i ozdobny, czerwony szew na czarnej skórze. Kupiła też czarne dzinsy. Wyglądała teraz jak rodowita mieszkanka, co nie było złe. Może właśnie dlatego kupiła te rzeczy, a może chciała pozbyć się starego ubrania, angielskiego. Ubrania z domu, którego już nie chciała.

Podaliśmy jej mapę, gdy ruszyliśmy. Spojrzała na obrazek, a potem na dopisek. Przeczytała na głos:

— „Komputerowi bandyci są na wolności w nadprzestrzeni i tylko ty możesz ich powstrzymać, stając się Kurtem Kobaltem, Podmorskim Poszukiwaczem z piękną, ale zabójczą asystentką, Ingress”. — Bel spojrzała na mnie. — Czy to my, co?

— Nie.

19

Nie tak łatwo było znaleźć miejsce strzelania. Sama mapa nie była zła, ale niektóre z dróg okazały się nieomal leśnymi duktami i ogarniały nas wątpliwości, czy w ogóle gdziekolwiek dotrzemy. W rezultacie raz czy dwa zdawało się nam, że się zgubiliśmy, i wracaliśmy na główną drogę tylko po to, żeby zorientować się, że jechaliśmy dobrze.

W końcu zajechaliśmy na odosobnione miejsce, sama dzicz, pagórki i wzniesienia. Żadnych domów całymi kilometrami, a jednak zjechały się tu samochody. Dookoła stali mężczyźni i kobiety, racząc się napojami z puszek. Natychmiast mnie to zmartwiło: broń i alkohol — najgorszy mariaż.

Gdy tylko wysiedliśmy z samochodu, poculiśmy to: w powietrzu aż gęsto było od kordytu. Trudno było powiedzieć, czy był dym, czy nie, bo na drodze wzbili się pył. Byłem zadowolony z kupna tego pontiaca za-

miast jakiegoś anonimowego japońskiego wozu. Ci ludzie byli wyznawcami trans-ama. Były jeszcze dwa takie zaparkowane obok corvette strin-grayów, mustangów i dwóch le baronów.

Ktoś zawołał: — Ognia! — i nagle rozległa się ogłuszająca kanonada z najbliższego wzniesienia. Bel instynktownie schowała głowę, co wśród piwošy wywołało wyrozumiały ušmiech. Wystrzały ciągnęły się przez piętnaście sekund, potem wszystko ucichło, a huk zastąpiły okrzyki i brawa. Podszedł do nas mężczyzna z puszką piwa w dłoni.

— Cześć, sześć dolców każdy.

Podawałem mu pieniądze, kiedy usłyszałem nieomylny głos.

— Ty stary psie, co tu, u diabła, robisz? — To był Spike Jackson.

Miał na głowie czapkę do baseballu, odwróconą daszkiem do tyłu. Zdjął ją i przeczesał dłonią włosy. Miał gęste, faliste włosy, zaczesane do tyłu, dzięki czemu odsłaniały wysokie, wydatne czoło. Nosił szkła w stalowych oprawkach, trampki i stare džinsy, a do tego T-shirt z oberwanymi rękawkami, ukazując zaokrąglone, muskularne barki i mocne ramiona. Nagle jakby zastygł, potem odchylił plecy do tyłu i wyrzucił ręce ku niebu w szerokim geście.

— Chłopie, to niebo dla strzelców! Umarłem i poszedłem do nieba. Nie mówiłem ci tego, Wild West? Widzisz, taki jest ten kraj.

Widownia potwierdziła jego zdanie. Teraz podszedł do nas, ciągle z rozpostartymi rękami, objął mnie i oderwał od ziemi.

— Wild West, chłopie, do diabła, co u ciebie? — Postawił mnie i ušmiechnął się do Bel, chwytając się za krocze na szczęście, potem odwrócił się z powrotem do mnie. — Stary psie! Chodź, zobaczysz, co jest grane. — Podszedł do stosu puszek z piwem i wyciągnął kilka, z których jedną rzucił do mnie, ale dla Bel otworzył puszkę osobiście i podając, skłonił się w pas. — Miła pani, jestem Spike Jackson, do usług.

Bel wzięła piwo, ale nic nie odpowiedziała.

Spike zaprowadził nas, gdzie — jak to ujął — coś było grane. Na drugiej polance zebrał się tłumek i przyglądał się, jakich zniszczeń dokonała ostatnia kanonada na dwóch wrakach samochodów, szopie oraz martwej naturze ze skrzynek, puszek i butelek. Spoceni ochotnicy ustawiali nowy cel.

Oczywiście orientowałem się, co to takiego. Spike już wcześniej zabrał mnie na teksańskie strzelanie. Od czterdziestu do pięćdziesięciu entuzjastów zbierało się i strzelało z najrozmaitszej broni. Można było w tym uczestniczyć lub jedynie się przyglądać. Potem dwóch dealerów, którzy zapewnili większość arsenału, zbierało zamówienia. Widziałem

ich. Byli niscy i pękaci, z kaburami pod przepoconymi pachami. Było wściełde gorąco i już żałowałem, że nie kupiłem sobie stetsona albo przynajmniej baseballówki.

Spike nigdy nie organizował tych strzelań *oficjalnie*, bo oficjalnie nie był dealerem broni. Pracował na czarnym rynku i brał sporo towaru z baz wojskowych w całym Teksasie. Kupował też za granicą. Tylko nie robił tego legalnie.

— Popatrz — zwrócił się do mnie. Zaprowadził nas do wystawki dziesiętego arsenału rozłożonego na plastikowych płachtach na ziemi. Wyglądał, jakby przejęto go od Irakijczyków. Spike podniósł karabin przeciwlotniczy browninga, jednocześnie ukazując opalone i umięśnione ręce. — Coś dla damy — powiedział, zanosząc się śmiechem.

Też się zaśmiałem, a Bel obrzuciła mnie oburzonym spojrzeniem.

— Mamy twoje M16-stki, AK-47 i 74. — Spike wybierał najciekawsze egzemplarze. — Patrz tu, mamy nawet coś z Finlandii czy gdzieś tam, varmint.

— Valmet — poprawiłem go. — M62.

— Może. Mamy amunicję przeciwpancerną, nie wyobrażasz sobie, człowieku. Patrz tu, M39B. Użyj tego w broni ręcznej, a przejdzie przez kamizelkę kuloodporną. Kule Black Talon, słyszałeś o nich?

— Przy uderzeniu rozprężają się — powiedziała chłodno Bel — i mają drobne, ostre krawędzie.

Spike otworzył szeroko oczy i rozdziawił usta. — Patrzcie no, mamy eksperta! Trzeba uważać na tych cichych! — Potem wrócił do swojego inwentarza. — To są cacka i wierzcie, mamy *wszystko*.

— Więc co byś zaproponował?

Spike przerwał swoją tyradę i spojrzał na mnie. Chwiał się, ale to była raczej parodia pijaka niż efekt piwa. Jego błękitne oczy były wyraźne.

— Hm, to zależy, czego chcecie.

— Potrzebujemy różnych rzeczy. Karabin snajperski, dwa pistolety i może karabin szturmowy, coś poważnego.

Spike pokiwał głową w zamyśleniu, potem odliczył na palcach. — Snajperski na daleki zasięg, pistolet na krótki i szturmowy na Siódmy Pułk Kawalerii Stanów Zjednoczonych.

— Ciepło, ciepło.

Skończył piwo i zgniótł puszkę, a potem rzucił na ziemię. — O co chodzi z tym „my”, cholera?

Skinałem głową w kierunku Bel. Spike gapił się na mnie, chcąc dojść, czy mówię serio, potem potrząsnął głową.

— Może lepiej to omówmy — zdecydował.

Wiedziałem, że nie będzie chciał omawiać niczego na otwartej przestrzeni. Prawo w Teksasie nie było surowe w kwestii posiadania broni, ale nie znaczyło to, że nielegalni dealerzy mieli zielone światło. Po masakrze w Waco nawet Teksasńczycy zaczęli zadawać pytania, ile jest broni wśród ludności.

Pojechaliśmy za pickupem Spike'a. Bel powiedziała, że chce prowaździć, więc usiała za kierownicą pontiaca. To mi wcale nie przeszkadzało; dzięki dwóm kierowcom jazda na północ będzie o wiele szybsza. Z powrotem w domu Spike krzyknął pod schodami, że już jest, a potem poszedł do kuchni i wyciągnął z lodówki sześć zimnych piw. Rozsiadliśmy się wygodnie na werandzie. Bel powiedziała, że musi iść do łazienki, a Spike wskazał jej drogę. Potem nie widzieliśmy jej jakiś czas.

Spike wypił pierwsze piwo w milczeniu.

— Więc kim ona jest? — odezwał się w końcu.

— Przyjaciółką.

— Z czym ma problem?

— Jest w żałobie.

— Hm. — Otworzył kolejne piwo i przedramieniem otarł pot z czoła.

— No, to opowiadaj wszystko, Wild West.

Potrząsnąłem głową, a Spike wzruszył ramionami.

— Jak chcesz, twoja sprawa, ale skoro zamierzasz kupić tyle żelastwa, ludzie będą się zastanawiać.

— To już nie mój problem. Moje problemy zaczną się, jak nie będziesz mógł tego zdobyć.

— Chłopie, ja mogę zdobyć wszystko. Chcę się tylko uspokoić, po co ci to jest potrzebne.

— Co to za nowe prawa? Musisz mieć czyste sumienie po każdej transakcji?

Uśmiechnął się i pokręcił głową. — Mówię ci, istne wariactwo. Lekarze nam mówią, że z broni ginie więcej dzieciaków niż od wszystkich chorób razem wziętych. A teraz rządzi Clinton, najbardziej z wszystkich prezydentów nastawiony przeciw broni. Skurwiel wprowadził ustawę ograniczającą broń w prywatnych rękach! Stowarzyszenie Strzeleckie nadal walczy, ale nie zawsze wygrywa. Nie zawsze się z nimi zgadzam, sam wiesz. To niesprawiedliwe, żeby nieletni nosili broń, absolutnie. Ale teraz niektóre stany ograniczają użycie broni szturmowej, ilość kupowanych sztuk... Czerdziestu zabitych dziennie, chłopie, czterdziestu. Wiem, że to głównie w starciach gangów, ale to sporo krwi!

— Spike, może po prostu starzejesz się? Albo zostałeś demokratą.
— Bo ci gębę mydłem wyszoruję! Nie, powiem ci dlaczego, to od czasu, kiedy zamieszkała u mnie Jazz. Naprawdę ma na imię Jasmine, ale woli Jazz. Dzieciaki, z którymi się trzyma, noszą broń; chłopak w jej klasie sam się zastrzelił. W jakimś zoo była strzelanina. Opowiada mi o tym wszystkim, a ja po prostu... — Wzruszył ramionami i skończył piwo numer dwa.

— Kim ona jest? — zapytałem.

— Jazz? To moja siostrzenica, chłopie. Jej rodzice się rozwiedli, a żadne z nich nie było gotowe jej zabrać. Cholera, nie winię mojej siostry, ma teraz kłopoty, rozumiesz. Więc zgodziłem się, żeby Jazz została u mnie przez jakiś czas, może u mnie będzie spokojniej, bardziej stabilnie, bez tego wariactwa.

Bezwiednie pokiwałem głową.

— To świetny dzieciak, chłopie, zdolna dziewczucha. Ma u siebie w pokoju komputer, na tej kupie żelastwa umie zrobić wszystko. Chyba z niej jest jakiś geniusz...

— Zdobędziesz dla mnie karabin szturmowy? — brutalnie wtargnąłem w jego marzenia.

— Cholera, pewnie, o ile nie potrzebujesz licencji. Wiesz, dlaczego zaczęli wystawiać licencje na automaty? — Mówił już mi to wcześniej, ale nie przypomniałem mu. — Żeby Dillinger, chłopie, i gangsterzy polubili go. Myśleli, że mogą powstrzymać tych facetów kontrolami Biura ds. Alkoholu, Tytoniu i Broni. Chłopie, oni ledwo co dają radę sprawdzić wyniki ligi baseballu!

Spike wypił więcej, niż sądziłem. Mógł tak głądzić całą noc, próbując usprawiedliwić swoje istnienie, a także innych dookoła, starając się zrozumieć świat. Wiedziałem, że jego świat nabierał sensu tylko w jednym miejscu: na strzelnicy.

— Zostajesz na noc, tak?

— Mamy hotel.

— O, mogliście zatrzymać się tu.

— Dzięki, ale już zarezerwowałem i zapłaciłem. — Wzruszyłem ramionami.

— To ldepsko.

— Możemy jeszcze porozmawiać rano. Ile zajmie ci załatwienie tych rzeczy?

— Mogę to mieć dla ciebie na jutro. Gotówka, tak?

— Tak.

- Mówimy tu o dużych kwotach.
- Pieniędzmija się będę martwił.
- Świetnie. — Rozejrzał się dookoła. — Gdzie twoja kobieta?
- To nie jest moja kobieta.
- Och? A czyja jest?
- Swoja własna.
- Hetera?
- Nie to powiedziałem.
- To usłyszałem w twoim głosie. Musiała się zgubić czy co...

Weszliśmy do środka. Bel nie zgubiła się, była u Jazz. Siedziała przy komputerze i grała w nową grę, a Jazz podawała jej instrukcje zza pleców.

- Bel, czas ruszać.
- Jeszcze pięć minut, Michael.

Jazz obrzuciła mnie spojrzeniem. — Jak go nie posłuchasz, Bel, to może wyciągnąć wtyczkę.

— Wtedy dostanie kopa w jaja — ze spokojem oświadczyła Bel, aż Jazz parsknęła śmiechem. A Spike powiedział coś bezgłośnie pod moim adresem. Było to słowo: hetera.

Leżeliśmy w łóżku nago, wilgotni po prysznicu i oglądaliśmy telewizję. Wtedy Bel zrobiła coś, co mnie zaskoczyło. Wyłączyła telewizor i odłożyła pilota.

- Ta Jazz — powiedziała.
- Co z nią?

Bel przekręciła się na bok, żeby na mnie spojrzeć. — Ma niesamowity komputer.

- Tak? — Zacząłem gładzić ją po plecach.
- Może moglibyśmy... *użyć* go w jakiś sposób.
- W jaki? — Teraz zainteresowałem się.
- Nie przestawaj głąskać — poinstruowała mnie. — Nie wiem dokładnie jak, ale w dzisiejszych czasach komputery można wykorzystywać do wielu rzeczy, co? Nie są tylko do gier czy do wyszukanego pisania.
- To jest myśl. Przekażemy to jej.
- Michael, powiedz mi coś. Kochasz broń, tak?
- Tak.
- Dlaczego?
- Nie wiem. Może dlatego, że potrafię nad nią zapanować.
- Albo panować nad innymi ludźmi za jej pomocą.

Wzruszyłem ramionami. — Może powinienem wystąpić w jakimś talk show i wyrzucić to z siebie.

Uśmiechała się przez chwilę. — Nie podobało mi się to strzelanie w polu. Ci ludzie dobrze się bawili. Jak to może być zabawą?

Znowu wzruszyłem ramionami.

— Michael, myślisz, że kochasz to bardziej niż kobietę?

Przez „to” rozumiała oczywiście broń. Zastanawiałem się przez chwilę. — Nie ująłbym tego w ten sposób.

Bel położyła się na plecach, przygniatając mi ramię. Nasze twarze były blisko.

— Udowodnij to — powiedziała.

Tym razem, kiedy się kochaliśmy, nie płakała, nie otwarcie. Ale w jej wnętrzu panowała wściekłość, szarpała, uderzała pięściami i drapała mnie. Nagle przerwała.

— O co chodzi? — zapytałem po chwili.

— Zabijemy ich, tak? — Głos miała dziwnie spokojny. — Obiecuj mi, że ich zabijemy.

Zabijemy? Jezu, nawet nie wiedzieliśmy, kim ci *oni* są.

— Obiecuję — wyszeptałem. Chciała, żebym powtórzył to głośniej. Powtórzyłem.

Spike zaprosił nas na lunch, co oznaczało grillowane steki u niego na „podwórku”. Podwórko to zasadniczo długi, wąski ogród, a w zasadzie sama trawa z kojcem z siatki na końcu, gdzie mieszkała Wilma.

— To świnia — powiedziała Bel, gdy ją przedstawiono. Założyła nowe dżinsy, kowbojki i świeży, biały T-shirt.

— To nie świnia — poprawił ją Spike. — Raczej wieprz. Jak kogoś nie lubię, to Wilma zjada skurczybyka żywcem. — Spike miał na sobie plastikowy fartuch kuchenny i wymachiwał drewnianą łyżką, którą od czasu do czasu wkładał do buzi. A potem znowu mieszał sos i dodawał kolejną szczyptę tabasco.

Salon Spike'a nie był reklamą kawalerskiego stanu. Większość miejsca na ścianach pokrywały zdjęcia i wycinki z czasopism, a dywanu nie było widać za sprawą części starego silnika, trofeów sportowych, porzucanych ubrań i pamiątek. Spike zbierał szyldy z warsztatów samochodowych, szczególnie te metalowe. Poza tym najwyraźniej lubował się w pełnowymiarowych, kartonowych podobiznach mistrzów sportu. Był tam czarnoskóry koszykarz, o którym nigdy nie słyszałem; opierał się o jedną ścianę, a za kanapą stał miotacz-baseballista.

— Kiedy ogląda mecz — wyznała Jazz — to mówi do telewizora, jakby to była prawdziwa osoba. — Potem potrząsnęła głową i wróciła do siebie.

Zakamuflowanych czarnym materiałem na kanapie spoczywało lalka eksponatów, które miałem obejrzeć. Spike, z ustami pokrytymi pomarańczowym sosem, wszedł z powrotem, machając łyżką. — Daj mi minutę, a pogadam z tobą. Bel poszła na górę z Jazz.

Kiedy wyszedł, odwinąłem pierwszą sztukę. Był to karabin snajperski, remington 700 „Varmint”. Nie była to ta wojskowa wersja, którą proponował mi Max, ale komercyjna, co znaczyło, że była pięknie wypolerowana i nie wyposażona wstępnie w lunetę. Używałem już takiego, podczas ostatniego pobytu w Lubbock. Może to była ta sama broń. Wyprodukowano ją w Ilion, w stanie Nowy Jork i wiedziałem, że jest dokładna. Nie był to najlepszy karabin snajperski na świecie, ale wystarczał. Luneta była od redfielda. Sprawdziłem, czy pasuje do podstawy. Wtedy otworzyłem drugi pakunek.

Tu kryły się pistolety, a w zasadzie jeden pistolet i jeden rewolwer. Rewolwer to smith & wesson 547, z lufą długości dziesięciu centymetrów zamiast siedmiu i pół. Nigdy nie miałem dosyć czasu, aby zająć się rewolwerami, chociaż wiedziałem, że Amerykanie je uwielbiają, może bardziej ze względu na ich przeszłość niż ich współczesne możliwości.

Pistolet lepiej leżał. To był kolejny smith & wesson, 559 półautomat, o stalowej obudowie, cięższy od rewolweru. Mieścił czternaście pocisków parabellum, ale nie można było założyć tłumika. Nie żebym go potrzebował, chociaż ta opcja byłaby miła.

Rozpakowywałem trzecie zawiniątko, kiedy zjawił się Spike.

— Czekaj, aż zobaczysz — powiedział.

Spodziewałem się M16, ale ten był o wiele krótszy, w zasadzie to o jedną trzecią metra. Nie ważył dużo więcej niż te dwa pistolety i podniosłem go jedną ręką.

— To colt commando — oznajmił Spike. — Dość podobny do M16, ale lufa jest o połowę krótsza. Kolba nastawna, widzisz, i tłumik płomienia na życzenie. Można ładować wszystko, magazynek od dwudziestu do trzydziestu sztuk. Używają go tylko elitarne oddziały, chłopie, więc to żadna lipa, tylko pierwsza klasa.

— Oszczędź mi chwytów marketingowych, Spike. Nie można jednak założyć lunety.

Spike uśmiechnął się. — Bo nie ma potrzeby, to fakt.

— Dlaczego?

— Bo na dużą odległość są do kitu. Nie mają prędkości lufowej takiej jak M16. Potrzeba też tłumika płomienia, bo to cholerstwo hałasuje jak kartaczoznica Gatlingai Jednak z bliska nie ma nic lepszego. Wsadź pod pachę ze złożoną kolbą i możesz strzelać jedną ręką, zupełnie jak Wielki Arnie!

— Podoba mi się ten rozmiar.

— Chłopie, możesz to schować do podręcznej torby, nikt nie będzie wiedział... O cholera, steki!

Wybiegł z pokoju. Zapakowałem broń i sprawdziłem, jaką przygotowałem amunicję. Zdecydowałem się wziąć wszystko poza rewolwerem. Bel wykazywała pewne zainteresowanie uzbrojeniem się, ale nie zamierzałem jej zachęcać. Cokolwiek ustali Stowarzyszenie Strzeleckie, jak masz broń, to istnieje większe prawdopodobieństwo, że ktoś do ciebie strzeli, niż gdybyś był nieuzbrojony.

Poszedłem na górę i zastałem Bel i Jazz zajęte komputerem.

— Idź sobie stąd! — wrzasnęła Jazz. Więc odszedłem.

W ogrodzie otworzyłem kolejną puszkę Old Milwaukee. — No to ile? — zapytałem. Spike odwrócił kolejny stek i polał go tłuszczem.

— Och, hm, zaraz policzę...

To znaczyło, że załóż już dolidadną sumę, o jaką chciał poprosić. Zaczął udawać, że liczy. Potem poszedł do kuchni i przyniósł wiaderko sałatki ziemniaczanej, którą wcześniej przygotowała Jazz.

— Jest z niej prawdziwy skarb — pochwalił ją Spike. — Wczoraj nie za bardzo z nią się dogadałeś, tak mi powiedziała. Zawsze rozmawia ze mną wieczorem. Oczywiście potem prosi mnie o dwadzieścia dolców i znika do rana. — Zaśmiał się. — Tylko żartowałem. Przeważnie wraca przed drugą.

— Czyli w normie.

— A ta Bel wygląda na miłą.

— Wiem, że wczoraj nie za bardzo z nią się dogadałeś.

— Jeden-jeden, brachu. Znasz mnie, nazywam się Spike, a to znaczy kolec. Czyli mogę ukłuć... Więc twierdzisz, że wasza dwójka w nic diabelskiego się nie wplątała?

— Nie przypominam sobie, żebym coś takiego mówił.

Spike uśmiechnął się, a potem wrócił do steków. — Mam wrażenie... Chłopie, przepraszam, znasz mnie. Nie wsadzam nosa. Ale coś czuję, że wdepnąłeś w niezłe gówno.

— Rzeczywiście.

Polował głową w zamyśleniu. — I chcesz z tego wyjść cało?

- Mam nadzieję.
- Wild West, nie powinieneś zabierać z sobą cywila.
- Bel nie jest cywilem, Spike. Jej ojciec był ofiarą.
- Wobec tego to też jest jej wojna — przyznał. — Tylko że ona nie wygląda na ten typ. Ale ty też nie.
- Stałem się tym typem.
- Rozumiem, chłopie, ale rozumiem jeszcze jedno. Jesteś zmęczony, a to jest niebezpieczne.
- Po tej wyprawie myślę, żeby skończyć z tym wszystkim.
- Może okazać się za późno, Wild West.
- Powiedz tylko, ile ci płacę za tą broń.
- No, dobra, to co bierzesz?
- Wszystko poza rewolwerem.
- Na nowo posmarował steki. — Potrzebna ci pomoc?
- Wiedziałem, co proponuje; proponował siebie. Nie patrzył na mnie.
- Doceniam, Spike, ale nie sądzę. A teraz, ile ci płacę?
- Powiem ci coś, wróć do mnie, jak będzie po wszystkim. Odbiorę broń, jak będziesz ją jeszcze miał, i uwolnię was od tego wozu.
- Trans-ama?
- Taka będzie umowa.
- A jak nie wrócę?
- Nie zrobisz mi tego, chłopie. — Wyciągnął wolną rękę, a ja swoją.
- Tylko nie chcę w nim żadnych nowych wgnieceń.
- Będzie cacy — odpowiedziałem i dodałem: — Wiesz, kto tu naprawia klimę?

Spike zadzwonił do kolegi, który mógł się zająć pontiakiem jeszcze tego dnia. Facet zjawił się z kolegą i zabrał samochód. Spike zdażył już trzy razy zawołać na górę, że jedzenie gotowe. Zanim Jazz i Bel zeszyły, było bardziej niż gotowe. Obie miały rozpromienione twarze i były czymś podekscytowane. Bel trzymała rękę na ramieniu Jazz. Jazz wyglądała młodziej i ładniej niż wczoraj. Bel na pewno coś w niej zmieniła.

Razem ze Spike'em byliśmy już w połowie steków.

- Świetna sałatka — pochwalił pracę siostrzenicy.
- Dzięki, wuja.

Jazz otworzyła piwo dla Bel i siebie. Obie wzniosły toast.

- No dobra, to mów — powiedział wtedy Spike.
- Poczekaj, to zobaczysz — odparła Bel. — Drukarce może to jeszcze trochę zająć.

Teraz chciały rozmawiać wyłącznie o jedzeniu, samochodzie i podróży, która nas czekała. Próbowałem spojrzeć na Bel twardo i przeciągle, ale udawało mi się tylko na nią zerknąć. Raczyliśmy się mięsem i piwem, a potem Jazz oświadczyła, że chce mi coś pokazać. Bel też poszła. Spike został i zdrapywał resztki do koryta Wilmy.

Na górze, w pokoju Jazz z drukarki wylewał się papier. Jazz zaczęła zbierać kartki, a Bel wyjaśniała.

— Fantastyczny sprzęt, Michael. Weszliśmy w sieć informacyjną i poprosiliśmy o dane na temat Apostołów. Gdzie się dostałyśmy, Jazz?

— Do Biblioteki Kongresu, na początek.

— Tak, komputer Jazz pogadał z komputerem w Bibliotece. Potem przedostałyśmy się do Seattle. Jak to miejsce się nazywało?

— U-Dub — pospieszyła Jazz.

— Skrót od University of Washington. Połączyłyśmy się ich systemem informatycznym z innymi miejscami. To trwało tylko kilka minut... i patrz, co mamy.

Jazz z dumą wręczyła mi stos zadrukowanych kartek. Były to doniesienia z prasy na temat Apostołów Miłości, cała bibliografia materiałów źródłowych. Powinno to zrobić na mnie większe wrażenie, ale wiedziałem, że nie znajdę tu nic nowego.

— Chodzi o tego faceta — mówiła Jazz, stukając palcem w jedną z kartek. Był to artykuł reportera nazwiskiem Sam T. Clancy.

— Zajmował się Apostołami — wyjaśniała Bel. — A niedawno zniknął.

— Ukrył się — poprawiła ją Jazz. Na ten temat też był artykuł. Sam T. Clancy, po nieudanym zamachu i ucieczce, kiedy to doszło do niemal fatalnej w skutkach awarii układu hamulcowego w jego samochodzie, zapadł się pod ziemię. Jego gazeta, *Post-Intelligencer*, zrobiła z tego wiadomość na pierwszej stronie. Jak to gazeta, zamieścili też zdjęcie reportera. Nie rozumiałem, jak to mogło mu pomóc w ukryciu się.

— Nie wiem, do czego to nas doprowadzi — stwierdziłem.

— Daj spokój — powiedziała Bel. — Ktoś zastawia na ciebie pułapkę, ktoś likwiduje dziennikarkę w Anglii, a teraz sprzątają reportera w Seattle. Musimy znaleźć tego całego Clancy'ego i porozmawiać z nim, zobaczyć, co wie.

— Ty znasz północny zachód, Bel? Wybrzeże, wyspy, odludzie, góry? Co mamy zrobić, wspiąć się na szczyt Mount Rainier i zawołać na cały głos, żeby się z nami spotkał?

— Jezu — zajęczała Jazz — i kto tu nie ma kręgosłupa.

— Słuchaj, doceniam...
— Żadnego sensownego planowania — ciągnęła Jazz. — Myślisz, że artyleria **to** odpowiedź na wszystko?

Bel tylko stała z lekko rozchylonymi ustami niczym brzuchomówca.

— Wielki macho kopniakiem wywali kilkoro drzwi, wystrzela parę magazynków i nagle wszystko robi się jasne. *Dupa!*

— Słuchaj, Jazz... — Ale ona wyminęła mnie i wyszła z pokoju, wbiegła na górę, biorąc po trzy stopnie. Bel wyduła usta i założyła ręce na piersi.

— Ciężko pracowała, żeby zdobyć te informacje. I tak sprawnie.

— Wiem, Bel.

— A naprawdę jak trudno będzie znaleźć tego reportera? Pomyśl, Michael. To *reporter*. Jeżeli nadamy rozgłos naszej sprawie, sam się do nas zgłosi.

Musiałem przyznać, że miała rację.

Doprowadziliśmy pontiaca do idealnego stanu. Klimatyzacja działała. Była to drobna naprawa, nic poważnego. Mechanik odprowadził samochód. Silnik zaterkotał słodko, kiedy przekręciłem **kluczyk**. A wszystko za setkę dolarów gotówką. Uczciliśmy to wycieczką do Ranching Heritage Centre. Bel uznała muzeum za nudne: te zrekonstruowane domy na **plan-tacji** i wiatrald, lokomotywę parową, wystawy we wnętrzach.

Osobiście udałem się oddać hołd przed winchesterami.

Zabraliśmy Spike'a i Jazz na kolację tego wieczoru. Nazajutrz czekała nas ciężka jazda, w której na pewno nie pomogłoby kac. Jednak strzeliłem sobie miarkę Jacka Danielsa na koniec posiłku, tylko żeby obłąskawić Spike^ . W końcu w bagażniku miałem broń wartości kilku tysięcy dolarów, a on nawet nie poprosił o depozyt.

Nie pytałem go ponownie, co będzie, gdybym przypadkiem nie wrócił. Nie chciałem o tym myśleć.

Z powrotem w hotelu Bel padła jak nieżywa na łóżko. Poszedłem na spacer i trafiłem w rezultacie pod pomnik Buddy Holly'ego. Trzymał gitarę tak, jak maszerujący żołnierz trzymałby karabin. No, prawie. Zapłaciłem za pokój, wyjaśniając, że wyjeżdżamy o świcie. Byłem zadowolony, że tym razem trafiliśmy na wygodny i czysty hotel, choć całkowicie bezduszny. Nie wiedziałem, jak teraz sprawy się potoczą.

Położyłem się o wpół do dwunastej. Leżałem przez godzinę, odliczając minuty i przekonując się, że Bel mocno śpi. Wtedy wstałem i poszedłem do łazienki, gdzie zostawiłem ubranie. Spakowaliśmy się przed ko-

lacją i zabrałem moje torby, wychodząc z pokoju. Myślałem, żeby zostawić list, ale nie potrafiłem znaleźć właściwych słów. **Bel** będzie wiedzieć, co się dzieje. Pójdzie do Spike'a. Zadzwońię do niej wieczorem.

Na parkingu i ulicach panowała cisza. Postawiłem torby na ziemi i szukałem kluczyków w kieszeniach. Zostawiłem je w pokoju. Przekląłem bezgłośnie i zabrałem torby z powrotem do pokoju. Każde z nas miało klucz do pokoju, a ja zostawiłem swój w recepcji. Teraz musiałem go stamtąd odebrać i pojechać windą na trzecie piętro.

Zostawiłem bagaże na korytarzu i wszedłem do środka. Kluczki musiały leżeć na stoliku obok telewizora, ale nie widziałem ich ani nie mogłem wymacać. **Bel** nadal oddychała głęboko i równo.

— Ich szukasz? — rozległ się głos.

Odrzuciłem się. Ciągle leżała z głową pod kołdrą, ale jedną rękę uniosła i machała do mnie kluczykami.

— Chciałem schować rzeczy do samochodu — powiedziałem.

— To może poczekać.

— Nie mogłem zasnąć.

— Kłamca. Chciałeś wykraść się beze mnie. — Wepchnęła kluczyki z powrotem pod poduszkę. — Znienawidziłabym cię do końca życia, gdybyś **to** zrobił. Dlatego nie mogłam **ci na** to pozwolić.

— Byłabyś **tu o** wiele bezpieczniejsza.

— Ty też.

— **Bel, to nie to...**

— *Wiem, co to* jest, Michael. — Usiadła w łóżku, podciągając kolana pod brodę. — W porządku, mogę **to** zrozumieć, ale muszę tych skurwysynów wyprawić na tamten świat. Muszę tam być.

Stałem przez chwilę w ciemności, próbując **to** pojąć. Wtedy wniosłem bagaże z korytarza i rozebrałem się.

Obudziłem się znowu **o** piątej. **Bel** też się **obudziła**. Nie skarżyła się już **na** minioną noc. **Po** prostu wstała i wzięła prysznic. **Zanim** się **ubrała**, przytuliła mnie, zaciskając mocno oczy.

Długo tak staliśmy.

20

Robert Walkins miał dom z widokiem na zatokę Chesapeake, między Baltimore a Waszyngtonem DC, niezbyt daleko Annapolis. Był wykończo-

ny drewnianym sidingiem, który niedawno pokryto jaskrawą, białą farbą. Drewniany płótek dookoła domu też był biały. Z drogi nie było wiele widać. Trzeba było wysiąść z samochodu i przejść na tyły domu. W zasadzie dom stał tyłem do drogi. Front, co było naturalne, wychodził na zatokę. Parter najwyraźniej zajmował garaż, warsztat i pokój dla dzieci. Schody prowadziły na balkon na kolumnach i tam właśnie znajdowało się główne wejście. Na jednej z kolumn trzepotała amerykańska flaga. Hoffer znowu wydmuchał nos, zanim zastukał do drzwi.

Gdy czekał, odwrócił się i spojrzął na długi, wąski trawnik, który schodził aż do brzegu zatoki, a znaczyło go tylko kilka starych drzew. Hoffer wiedział, że dla wielu domów nad brzegiem erozja stanowi poważny problem. Z każdym rokiem zatoka podkradała się coraz bliżej pod drzwi. Dookoła leżało drewno; albo wyrzuciła je woda, albo miało posłużyć poskromieniu natury. Dzień był pogodny i Hoffer musiał mrużyć oczy przed refleksami na tafli wody, gdy przyglądał się pomostowi.

Był tam ktoś. Siedział na krześle, a nogi opierał o okrągły, drewniany stół. Podniósł szklankę do ust, potem odstawił ją na mniejszy stolik tuż obok krzesła. Z daleka Hoffer nie był pewien, ale zakładał, że to musi być Walkins.

Kiedy wracał w dół schodami, nie wiedział, czy ma się cieszyć, czy nie. Nie lubił siedzieć u Walkinsa w domu. Tam przechodziły go ciarki, przez brak zdjęć córki, a mnogość fotografii i obrazów żony. Co za tym idzie, powinien czuć się lepiej, swobodniej, rozmawiając z Walkinsem na świeżym powietrzu. Tylko że nie należał do zwolenników przyrody. Kiedyś przesiedział kilka godzin na pomoście Walkinsa, a słony wiatr chłostał go; potem przez wiele dni szczypała go skóra, a płuca próbowały pozbyć się oparów, które wchłonęły.

Pokonał trawnik, zdejmując marynarkę, aby przerzucić ją sobie przez ramię. W dodatku denerwował się. Cóż, spotykał się ze swoim mecenasem twarzą w twarz. Musiał się denerwować.

— Siadaj — powiedział Walkins, popijając na powitanie. — Drinka?

Na stole stała butelka J&B, wiadro z lodem i zapasowa szklanka. Lecz Hoffer potrząsnął przecząco głową. Ziewnął lekko, żeby odblokować uszy. Lot znowu dał mu się we znaki. Cholerne samoloty.

— Jak było w Anglii? — zapytał Walkins.

— Jakby dopiero co przegrali wojnę.

— Czasami jeździliśmy tam na wakacje. Lubiłem Anglików.

Nie było sensu tego komentować, więc Hoffer milczał. Zauważył, że Walkins postarzał się. Może dlatego, że był najwyraźniej znudzony: znu-

dzony nierobieniem nic przez cały dzień. Tylko czekał, aż Leo Hoffer zadzwoni z wiadomościami.

— On tu jest? — zapytał Walkins.

— Tak, jest tutaj. — Hoffer zapalał papierosa. Walkinsowi nie przeszkadzało, że gość pali na dworze, o ile zabierze z sobą niedopałki. Hoffer nigdy tego nie rozumiał; cała zatoka to jedna wielka popielniczka, a on musiał zabierać z sobą te cholerne pety.

— Skąd wiesz?

— Mam płacone, żeby wiedzieć. — Hoffer próbował usadzić się wygodnie na krześle. Grube, drewniane listwy nie ułatwiały tego. — Mam kontakty: linie lotnicze, biura podróży, lotniska...

— Ico?

— Polecieli do Bostonu. Ta część była łatwa. Kobieta podróżowała pod prawdziwym nazwiskiem, Belinda Harrison. Prawdopodobnie nie mieli czasu lub okazji, aby zdobyć dla niej fałszywy paszport.

— A on? — Walkins potrafił skupić się tylko na jednym.

— Jej towarzysz podróży nazywał się Michael Weston. To trzecie nazwisko, z którego korzystał do tej pory. Mam kontakt w FBI, ma dla mnie oczy i uszy otwarte. Jak narobią kłopotów, dowiemy się o tym.

— Dobrze.

— Tymczasem wysłałem człowieka do Bostonu, aby sprawdził hotele, wypożyczalnie samochodów, tego rodzaju miejsca.

Hoffer działał na automatycznym pilocie. Dzięki temu miał szansę obserwować Walkinsa, jednocześnie informując go. Walkins miał staloszare włosy i głębokie bruzdy na twarzy. Był przystojnym mężczyzną, pomimo tragedii z wiekiem nadal był przystojny. Nalał sobie kolejną szklanekę, ale tak naprawdę to whisky jego chłoneła.

— Hoffer, to cholernie wielki kraj — w końcu Walkins odezwał się. Mówił to, jakby się chwalił.

— Tak jest — potwierdził Hoffer.

— Człowiek w takim wielkim kraju może ukrywać się wieki całe.

— Nie, jeżeli ktoś chce go znaleźć.

— Wierzysz w to?

— Tak jest, wierzę.

Walkins przyglądał się mu, więc Hoffer nie śmiał zamrużyć oczyma. Czuł, że oczy robią mu się tak wodniste jak u Walkinsa. W końcu starszek dźwignął się na nogi i podszedł do balustrady na końcu pomostu. Oparł się o nią i zapytał:

— Co teraz?

— Mam kilka poszlak — odparł Hoffer, sam sobie nie wierząc.
— Kilka poszlak — powtórzył Walkins, jakby wyczerpany.
— Mógłby pan też pomóc.
— O? Wjaki sposób?
— Hm, zdaje się, że nadal posiada pan przyjaciół na wyższych stanowiskach?

— A jeżeli tak?
— Może ktoś z nich mógłby pobawić się nazwiskiem. To nazwisko to Don Kline. Był w Londynie, interesował się Demolką. Powiedział, że jest z agencji, ale niejestem co do tego przekonany. K-l-i-n-e.

— Popytam.

Sądząc po stanie, w jakim znajdował się Walkins, Hoffer wątpił, czy pół godziny po jego wyjściu będzie jeszcze pamiętał to nazwisko. Zapisał je na odwrocie swojej wizytówki i podszedł do stolika, gdzie przygniótł ją pokrywą od wiaderka z lodem. Walkins obserwował go kątem oka. Sldnął głową, kiedy Hoffer usiadł z powrotem na swoim miejscu. Potem odwrócił się twarzą do detektywa i zaciągnął się powietrzem. No, w końcu — pomyślał Hoffer — numer popisowy.

— Chcę śmierci tego drania — wycodził Walkins. — Słyszysz? Chcę, żeby miał dupę zimną jak szczyt góry, i chcą ją tu dostać. — Głos przybie-
rał na siłę, drżał od gniewu. Walkins ruszył w stronę Hoffer'a. — I nie chcę dla niego szybkiej śmierci, musi być powolna... powolna jak rak, paląca wewnątrz jak ogień piekielny. Rozumiesz?

— Jasno i wyraźnie. — Nie po raz pierwszy dotarło to do Hoffer'a, ale teraz bardzo jasno, że Robert Walkins oszalał na tym punkcie. W kącikach ust starca zbierały się białe płatki, a cała twarz spazmatycznie się wykrzywiała, istny upiór. — Ma pan rację — przyznał Hoffer, starając się załagodzić sytuację. Zatrudnił go szaleniec, ale szaleniec, który płacił rachunki i czynsz. Poza tym, bogaci wariaci nigdy nie byli szaleni... byli *ekscentryczni*. Hoffer starał się do zapamiętać.

W końcu Walkins najwyraźniej się zmęczył. Kiwnął głową kilka razy, wyciągnął rękę i poklepał Hoffer'a po plecach.

— Dobrze, synu, to dobrze. — Potem znowu wrócił na krzesło, nalał sobie kolejną whisky i wrzucił do szklanki trochę lodu. Oparł się, popił i odetchnął. — A teraz — dodał — jak to zrobisz?

Odpowiedź zabrała Hofferowi minutę. Nadal też starał się wyobrazić sobie siebie jako Dobrego Syna.

21

Żadnego zwiedzania, trzeba się skoncentrować na jeździe. Na północ międzystanową 27 do Amarillo, potem 287. Jechaliśmy na zachód, przemierzając się wstecz w czasie, od gór do Pacyfiku. Jednak na początek kierowaliśmy się wyłącznie na północ. Z Lubbock do Denver było prawie tysiąc kilometrów. Ominęliśmy góry na zachód od Denver i przejechaliśmy do Wyoming na południe od Cheyenne.

— Wyjaśnij mi jeszcze raz — odezwała się Bel. — Dlaczego nie lecimy?

— Loty można sprawdzić bez problemu, jeżeli masz władzę agencji rządowej. Poza tym, łatwo jest im obstarwić lotniska albo sąsiadujące z nimi wypożyczalnie samochodów. W ten sposób uda nam się wymknąć.

Bel pokiwała głową, ale nie wyglądała na przekonaną. Mogłem dodać, że potrzeba mi czasu na zastanowienie się, na zaplanowanie ataku, a w czasie jazdy będę go miał. Problem w tym, że nie wiedziałem, co mamy zrobić w Seattle. Nie miałem jasnego planu ataku. Modliłem się, aby coś mnie oświeciło między punktem A a punktem B.

Do wczesnego wieczora pokonaliśmy ponad tysiąc kilometrów. Myślałem o wielu rzeczach. Między innymi o tym, że szaleństwem będzie dojechać do celu wyczerpanym. Przy autostradzie znaleźliśmy motel. A raczej to on nas znalazł. Po prostu zajechaliśmy przed jeden z wielu przy drodze i wzięliśmy pokój.

Dziwnie było stanąć na ziemi i stawiać kroki. Po całym ciele przechodziło mnie mrowie. Mózg mi mówił, że nadal jestem w samochodzie, że nadal prowadzę. Przez ostatnią godzinę lub dłużej przeszedłem na automatycznego pilota. Lewą rękę miałem spaloną od słońca, bo opierałem ją w otwartym oknie. Bel też odsłużyła swoją wachtę jako kierowca i najwyraźniej rozumiała samochód lepiej niż ja. Różniliśmy się co do wyboru muzyki i przystanków po drodze, ale poza tym dużo nie rozmawialiśmy. Och, z początku gawędziliśmy, ale potem skończyły się nam tematy. Na stacji Bel kupiła jakąś taną książkę i trochę czytała, aż wyrzuciła ją przez okno na pobocze.

— Nie mogę się skupić — wyjaśniła. — Za każdym razem, Idedy już myślę, że udało mi się zapomnieć, widzę to znowu... Widzę Maxa.

Więcej nie musiała mówić.

W motelu każde z nas wzięło kąpiel. Zamówiliśmy w restauracji zeberka i jabłecznik z dostawą. Wypiliśmy colę z mnóstwem lodu i poszliśmy spać. Łóżka były za miękkie, więc przeniosłem się na podłogę. Kiedy się obudziłem, Bel leżała obok mnie, wsłuchiwałem się w jej oddech i w wibracje z dworu. Nasz pokój zalewała pomarańczowa poświata, jak wtedy, kiedy rodzice zostawiali światło zapalone na schodach i drzwi do mojej sypialni otwarte... żeby odstraszyć potwory.

Jak to możliwe, że potwory przychodzą tylko w nocy? Co one, głupie?

Rano poszliśmy jeść do innego baru. — Im dalej na zachód, tym kawa będzie lepsza — obiecałem, ale Bel i tak skorzystała z dolewki.

Pojechaliśmy 1-80 na zachód, przez kontynentalny dział wodny. Były to wyżyny i kręciło się sporo turystów, co nas czasami spowalniało. Podróżowali najnowszymi osiągnięciami motoryzacji; były to samobieżne przyczepy wielkości autobusu. A z tyłu ciągnęli rodzinny samochód. Prawdopodobnie uznawali się za potomków pionierów, ale byli jedynie wczasowiczami. Trudno było uchronić się przed rozmową z nimi na przydrożnych parkingach. Wtedy sypały się nieskończone pytania o Europę. Jedna kobieta nawet upierała się, aby nagrać nas na wideo. Staraliśmy się wyglądać ładnie i miło przed obiektywem, co nie było łatwe.

— Może prochy by pomogły — zasugerowała potem Bel.

— Nie na dłuższą metę. Pomogłyby wjeździe, ale tylko maskowałyby symptomy. Skończylibyśmy w szpitalu.

— Byłeś już tam?

Skinąłem głową, na co ona uśmiechnęła się. — Ciągle zapominam, jaki z ciebie *światowiec*, nie to co ja!

Zatrzymaliśmy się przed Ogden na międzystanowej 84. Kolejny pokój w motelu, kolejna długa kąpiel, kolejny bar.

Bel oparła głowę na blacie stołu. — Michael, przypomnij mi, w jakim stanie jesteśmy.

— Chyba w Utah, ale już niedługo. Niedługo będziemy w Idaho.

Kelnerka przyjęła od nas zamówienie.

— Dobrze się pani czuje? — zwróciła się do Bel.

— Dobrze, dziękuję, jestem tylko zmęczona.

Kelnerka odeszła. — Myślisz, że jesteś naćpana — wyjaśniłem Bel.

— To tylko adrenalina.

— Tak najlepiej zwiedza się kraj. W zasadzie to kłamstwo. To *jedyny* sposób, żeby zwiedzić Amerykę. Kiedyś zrobimy to należycie, jeżeli zechcesz.

— Chciałabym. — Znowu położyła głowę na stole. — Może za dziesięć lat albo dwadzieścia.

— Kiedyś spędziłem tydzień w samochodzie, podróżując przez kraj. Nawet spałem w samochodzie.

— Czułeś się paskudnie, co?

Uśmiechnąłem się na to wspomnienie. — Czułem, że żyję, i to bardzo.

— Hm, a ja czuję się ledwo żywa w najlepszym razie, ale to lepsze niż nic. — Popiła spory łyk mrożonej wody. — Wiesz, gdybym nie wyjechała z tobą, to znaczy do Londynu i Szkocji...

— Wiem.

— Chryste, Michael, już bym nie żyła. — Miała w oczach łzy. Odwróciła twarz i spojrzała przez okno, zasłaniając dłonią usta. Ręka jej się trzęsała. Kiedy chciałem jej dodać, zerwała się od stołu i wybiegła.

Pobiegłem za nią. Nasz bar stał przy parkingu dla ciężarówek. Był tam wielki, asfaltowy plac, ale tylko dwie ciężarówki w odległym końcu. Oświetlały nas stadionowe jupitery ustawione w narożnikach. Kelnerka obserwowała nas przez okno.

Bel zataczała nierówny okrąg, z oczami wbitymi w ziemię; zawodziła. Zatrzepotała rękami, żeby mnie zatrzymać, więc cofnąłem się o kilka kroków i przykucnąłem. Asfalt był ciepły w dotyku. Usiadłem, wyciągając przed siebie nogi, i obserwowałem ten egzorcyzm z odrobiną przyjemności.

Bel mówiła coś, czasami krzyczała. Przekleństwa, wyzwiska, obelgi, aż w końcu doszła do imienia swojego ojca. Kiedy je wypowiedziała, przeciągała je do granic możliwości, jakby wyrwała je z organizmu. Potwarzała je raz za razem, aż dostała napadu kaszlu. Kaszel przeszedł w suche wymioty. Upadła na kolana. Wielka ciężarówka zjeżdżała akurat na parking z syldem hamulców ciśnieniowych. Reflektory oświetliły postać szalonej kobiety. Kierowca dla pewności postanowił zaparkować w sporej odległości.

W końcu, kiedy Bel brała nierówne, głębokie oddechy, wstałem i podszedłem do niej. Przykucnąłem obok, aby ją przytulić.

— Kupić ci kawę? — zapytałem.

Następnego dnia rano wjechaliśmy do Idaho. Na wszystkich tablicach rejestracyjnych widniał napis „Słynne Pyry”.

— Pyry? — dziwiła się Bel.

— Ziemniaki. To dumny naród.

Znajdowaliśmy się jakieś tysiąc dwieście kilometrów od Seattle. Uznałem, że powinniśmy dojechać jak najbliżej i zatrzymać się na kolejną noc, żebyśmy wypoczęci wjechali do miasta nazajutrz rano. Bel nie chciała się zatrzymywać. Droga stała się dla niej jak narkotyki. Nie potrafiła się zrelaksować, gdy robiliśmy przerwę. Nawet w motelu wierciła się, gdy oglądaliśmy telewizję, poruszała kolanami. Żywiła się teraz hamburgerami i koktajlami mlecznymi. Włosy i cera straciły blask, a oczy miała ciemne. To wszystko moja wina, powtarzałem sobie. Jednak od wczoraj wyglądała lepiej, była bardziej zrównoważona. Od krzyku ochrypła, a oczy miała zaczerwienione. Wiedziałem jednak, że już więcej się nie rozsypie. Była bardziej pewna siebie, twardsza... i gotowa do działania.

— Nie — zdecydowałem. — Zatrzymamy się gdzieś, popołączymy sobie, odpoczniemy.

Problem polegał na tym, jak sobie popołączyć na pustkowiach między Salt Lake City a Seattle. Zboczyć do Portland nie miało sensu. Odpowiedź zakrawała na żart. Postanowiliśmy zatrzymać się w Pasco, jedynie z tego powodu, że było przyzwoitej wielkości, a matka Bel z domu właśnie nazywała się Pascoe. I już przy drodze do miasta, poza wszystkimi innymi tanimi hotelami znalazł się Love Motel z wodnymi łóżkami w kształcie serca, szampanem, czekoladkami, filmami dla dorosłych... Nasz pokój wyglądał jak stanowisko Świętego Mikołaja w supermarkecie, cały w czerwonym aksamicie i satynie. Na łóżku leżała czarna pościel, a na poduszce jedna plastikowa róża.

— Jak w środku krwawiącego nosa — stwierdziła Bel, padając na łóżko. Kiedy zafalowało pod nią, nawet się zaśmiała, po raz pierwszy od jakiegoś czasu. A po wypiciu butelki napoju, który od szampana dzieliły lata świetlne, wszystko wyglądało lepiej. Bel zauważyła, że leżeć w łóżku, to jakby nadal być w samochodzie. Dużo nie obejrzeliśmy pornola, ale za to wykapaliśmy się wspólnie. Wjacuzzi. Bel włączyła dysze na pełną moc. Zaczęliśmy kochać się w wannie, ale skończyliśmy na łóżku. Skończyliśmy tak wilgotni, aż podejrzewałem, że łóżko gdzieś zaczęło przeciekać. Bel nigdy nie była taka namiętna. Trzymała mnie tak mocno, jakby tonęła. To ten rodzaj seksu, który uprawia się przed śmiercią albo wyprawą na wojnę. Może czekało nas jedno i drugie.

Zasnęliśmy bez kolacji, obudziliśmy się późno i poszliśmy do całonocnego sklepu, gdzie zrobiliśmy zapasy. Usiedliśmy na podłodze w pokoju i jedliśmy bułki nadziane plasterkami wędzonej szynki, popijaliśmy colą. Potem znowu się kochaliśmy i przysnęliśmy do rana. Zostało nam wtedy jeszcze ponad trzysta kilometrów do przejechania, musieliśmy jednak

podjąć różne decyzje, na przykład, czy będzie bezpieczniej wybrać motel poza miastem, czy też duży hotel w centrum. Baza w centrum miała sens, ale także miało sens nie dać się złapać.

Gdy wjechaliśmy na międzystanową numer 90 do centrum Seattle, w oddali widać było Mount Rainier ze śnieżnym szczytem.

Chciałem opowiedzieć Bel o różnych rzeczach. Chciałem jej powiedzieć, dlaczego nie opłakiwałem śmierci Maxa. Chciałem powiedzieć jej, dlaczego nie zachowywałem się tak jak ona wtedy na parkingu. Chciałem jej powiedzieć o powstrzymywaniu emocji do momentu, kiedy będzie się na nie gotowym. Kiedy znowu spotkam wrogów... Ale nie potrafiłem znaleźć słów. Poza tym, nie wiedziałem, jak mają pomóc.

Zapowiadał się kolejny gorący i suchy dzień. Samochody poruszały się mozolnie, ale najwyraźniej nikomu to nie przeszkadzało. Ludzie po prostu byli szczęśliwi, że są tutaj, a nie w jakimś innym, jeszcze bardziej zatłoczonym mieście. Seattle jest położone i ukształtowane dość unikalnie. Od wschodu wjechaliśmy na Mercer Island, a z wyspy z powrotem na wąski pas lądu, na którym leżało samo miasto, wciśnięte między jezioro Washington a zatokę Puget. Zjechaliśmy z drogi w sam środek sieci ulic, alei biegnących z północy na południe i ulic ze wschodu na zachód. Ostatni raz, kiedy tu byłem, pojechałem taksówką z Sea Tac poprzez niekończące się tereny na zapleczach podejrzanych moteli, barów, spelun ze striptizem reklamujących „49 pięknych kobiet i... jedną brzydka”. Teraz jechaliśmy o wiele lepszą trasą. Stało tu kilka pierwszorzędnych hoteli, bastiony znanych sieci obsługujące głównie biznesmenów na delegacjach. W pierwszym, do którego trafiliśmy, znalazł się wolny pokój, więc go wzięliśmy. Z ulgą odstawiliśmy samochód do garażu i zabraliśmy torby na górę, ze świadomością, że mamy bazę. Postanowiliśmy zostać w centrum; dzięki temu oszczędzimy czas na dojazdach. Zameldowaliśmy się jako państwo West, gdyż kupiliśmy obrączki w lombardzie. Bel przejrzała informatory miejskie, a w międzyczasie ja dzwoniłem.

Rozmawiałem z kimś z działu informacji.

- Mogę prosić Sama Clancy'ego?
- Przebywa na urlopie.
- Przeczytałem trochę inne wieści... Czy mogę zostawić dla niego wiadomość?

Nastąpiła przerwa. — Jest taka możliwość.

- Nazywam się Mike West i zatrzymałem się w hotelu w mieście. Chciałbym prosić, aby Sam skontaktował się ze mną. Zdaje się, że prowadzimy podobne śledztwo, tylko ja pracowałem niedaleko Oban, w Szkoc-

cji. — Poczekaj, aż mężczyzna zapisze szczegóły. — O-B-A-N. Proszę mu powiedzieć Oban, zrozumie.

— Jest pan dziennikarzem?

— W pewnym sensie, tak. — Podałem mu numer pokoju i telefonu do hotelu. — Kiedy mogę się spodziewać, że otrzyma tę wiadomość?

— Czasami tu zagląda, ale nieregularnie. Może potrwać kilka dni.

— Im szybciej, tym lepiej. Ja tu nic nie robię, tylko drepczę w miejscu.

Rozmówca obiecał, że zrobi, co w jego mocy, i odłożył słuchawkę. Bel nadal studiowała informatory.

— Powiem ci, co robi się w Seattle — zwróciłem się do niej. — Wjeżdża się na Space Needle w pogodny dzień, zwiedza się Pike Place Market dowolnego dnia i kręci się po Pioneer Square.

— Michael, kiedy byłeś tu przedtem... czy to było zlecenie?

— Tylko i wyłącznie przyjemność — odparłem.

— Jakiego rodzaju? — Nie patrzyła na mnie, mówiąc to.

— Obserwacje wielorybów — wyjaśniłem.

Teraz spojrzała na mnie. — Wielorybów?

— Popłynąłem statkiem na Vancouver Island i obserwowałem wieloryby.

Zaśmiała się i potrząsnęła głową.

— Co jest nie tak?

— Nic, to po prostu... sama nie wiem. To znaczy, jesteś taki *normalny* w wielu sprawach.

— Chcesz powiedzieć, jak na płatnego zabójcę?

Teraz przestała się śmiać. — Tak, właśnie.

— Bel, mimo to jestem mordercą. To robię najlepiej.

— Ale jak to się skończy...

— Zobaczymy.

Zadzwoił telefon. Odebrałem. To był Sam Clancy.

— Ale szybko — powiedziałem.

— Muszę uważać, panie West. W recepcji dowiedziałem się, że zameldował się pan zaledwie dwadzieścia minut temu.

— Racja.

— Nie traci pan czasu.

— Chyba żaden z nas nie może sobie na to pozwolić.

— Niech więc pan opowiada.

Nie mówił z obcym akcentem. Jego był miękki, wyrafinowany, który jednak krył coś bardziej nosowego i wymagającego, może dzieciństwo

w Nowym Jorku. Opowiedziałem mu moją historię, pomijając kilka szczegółów takich jak moją profesję i prawdziwą rolę w całej sprawie. Powiedziałem, że jestem dziennikarzem i badam zabójstwo mojej koleżanki po fachu. Opowiedziałem mu o śmierci Maxa i o tym, że córka dealera broni jest ze mną w Seattle. Opowiedziałem o Amerykanach, których spotkaliśmy przy wyjeździe z Oban, zaraz po wizycie u Apostołów Miłości. Rozmawiałem chyba przez dwadzieścia lub trzydzieści minut, a on nie prze-rwał mi ani razu.

— A jak jest pańska historia? — zapytałem.

— Chyba już ją pan w większości zna. Były dwie próby zamachu na moje życie, a żadnej policja nie wzięła na poważnie. Nie potrafili znaleźć dowodów, że ktoś grzebał przy hamulcach w moim samochodzie, ale ja znalazłem mechanika, który pokazał mi, jak to zrobić, aby nie zostawić żadnych śladów. Nigdy nie należy kupować oldsmobila. W każdym razie, skoro najznakomitsi w Seattle nie zamierzali nic z tym począć, pomyślałem, że sam coś zrobię. Wtedy w gazecie ukazała się moja historia, a policja uznała, że jedynie szukam rozgłosu, nic więcej.

— Myśli pan, że Apostołowie byli za to odpowiedzialni?

— Hm, zapytałem o to moją byłą żonę; powiedziała, że to nie ona. Nie zostaje zbyt wielu wrogów. Jezu, to nie jest tak, jakbym napisał „Sza-tańskie wersety”; jedynie zadawałem pytania.

— O fundusze?

— Tak jest.

— Co pan znalazł?

— Ciągłe znajduję. To nie talde łatwe, kiedy muszę chodzić wszędzie potajemnie.

— Mógłbym pomóc.

— Są tacy, którzy już mi pomagają.

— W pańskiej redakcji?

— Żadnych nazwisk. Jeszcze nie wiem, czy mogę panu zaufać.

— A możemy się spotkać? Chciałbym porozmawiać o Apostołach.

— Nie wiem... Może mi pan przekazać jakiś dowód? To znaczy dowód na to, co pan powiedział, kim pan jest?

Myślałem o tym. Odpowiedź brzmiała: nie. — Chyba córka zamordowanego jest wystarczającym dowodem.

Westchnął. — Jest z panem?

— Jest tu obok mnie.

— Proszę podać jej słuchawkę.

Przekazałem słuchawkę Bel. — Potrzebuje potwierdzenia, że jesteś prawdziwa.

— Pan Clancy? — odezwała się Bel. — Musi pan nam pomóc. Gdyby widział pan, co zrobili mojemu ojcu. Oni go tak po prostu nie zabili, to im nie wystarczało. Chcę ich złapać... bez względu na cenę. Z panem czy bez pana, będziemy ich ścigać. — Oddała mi słuchawkę.

— W porządku — zdecydował Clancy — umówmy się na kolację.

— Gdzie?

— W pobliżu Green Lake jest mała meksykańska restauracja. Wie pan, gdzie to jest?

— Poszukam.

Sam Clancy podał mi nazwę i adres restauracji. Umówiliśmy się na ósmą wieczorem i na tym rozmowa się skończyła.

— Wygląda obiecująco — powiedziałem do Bel, całując ją. — Masz w tej stercie jakiś plan miasta?

— Tylko centrum.

— No, to chodźmy na zakupy.

Trudno jest zgubić się w amerykańskich miastach, **dopóki** człowiek trzyma się siatki ulic. Prawie zawsze znajdzie się właściwą **drogę**, chociaż **można** wtedy mieć **problemy** ze **znalezieniem** właściwego **budynku**, **ponieważ** numeracja nie zawsze ma sens.

Tego wieczoru dotarliśmy na Aurorę i jechaliśmy nią całymi kilometrami. Bel chyba nigdy nie widziała tak długiej ulicy, a kiedy zjechaliśmy z niej przy Green Lake, Aurora jeszcze ciągnęła się dalej. Nad jeziorem było mnóstwo biegających i spacerujących osób, skejciarzy i wrotkarzy oraz osób zażywających świeżego powietrza.

Popołudnie upłynęło nam przyjemnie na spacerze ulicami, wizytach w kawiarniach, poznawaniu ludzi. Jak obiecałem Bel, kawa tutaj była o klasę lepsza od tej rozlewanej w barach. Bel zawsze zamawiała trzy filiżanki w Starbuck's, a kofeina dawała o sobie znać. W każdej kawiarni, gdzie przysiedliśmy, ludzie, słysząc nasz akcent, chcieli z nami rozmawiać. Dzięki temu dowiedzieliśmy się więcej o mieście. Ballard to dzielnica, gdzie mieszkają potomkowie Wikingów. Ulic na wschód od Kingdome należało unikać. Drużyna Marinerów miała kolejny marny sezon i przeszła teraz w posiadanie Nintendo. Nie załapaliśmy się na doroczny Folk-life Festival. Była susza. Kilka miejscowych mikrobrowarów produkowało wymienite ciemne piwa... Niektóre z nich już znałem, ale inne były nowe, a doceniałem wszelkie nowości. Przecież Jeremiah Provost był tutaj

u siebie. Ważnym było wiedzieć o mieście tyle, co on. W ten sposób ustrzeżemy się wielu pułapek.

Jak dotąd Seattle najwyraźniej pozbawione było pułapek. Pokazałem Bel Pike Palace Market, wytknąłem palcem policjantów na rowerach na Pioneer Square i prowadziłem ją pośród ludzi ulicy i żebraków tłoczących się na nabrzeżu. Lombardy robiły dobre interesy w Seattle. W oknach wystawiano broń i gitary, ale ja nie zatrzymywałem się, aby popatrzeć. Nie miałem przy sobie broni, kiedy jednak poszliśmy na kolację z Samem Clancym, schowałem pistolet pod siedzeniem w pontiacu.

Samochód nie chodził naleźycie. Trzeba go było znowu podreperować, zmienić olej i może dać nowy wydech. Chyba musiał też porządnie odpocząć. Żyłowaliśmy go mocno, a on dobrze nam służył, ale chcieliśmy, żeby jeszcze trochę pociągnął.

Przeceniliśmy natężenie ruchu i w restauracji znaleźliśmy się wcześniej, zaparkowaliśmy więc wóz i poszliśmy nad jezioro. Bel ściągnęła kowbojki, żeby chodzić boso po trawie. Wyglądała dobrze, nie była zestresowana ani zmęczona. Czekwała, aż coś się wydarzy, jakaś scena, ale udawało jej się opanować i nie zdradzać zniecierpliwienia.

Zanim wróciliśmy do restauracji, oznajmiła, że jest gotowa się napić. Nadal nie było widać Clancy'ego, ale stolik był zarezerwowany na nazwisko West, więc zajęliśmy go. Nakryty był dla trzech osób. Kelner zapytał, czy mamy ochotę na margaritę, kiedy będziemy czekać. Bel skinęła potakująco głową.

— Dużą czy małą?

— Dużą — stwierdziła i zabrała się do studiowania menu. — Czym się różnią te wszystkie rzeczy? Taco, burrito, fajita, tortille...

— Zapytaj kelnera.

Jednak ona wzięła tylko bardzo dużą margaritę od niego i przejechała palcem po brzeżku.

— To sól — wyjaśniłem.

— Wiem. — Wytarłszy do czysta fragment kieliszka, popiła, zastanowiła się i wzięła następny łyk.

W restauracji był mężczyzna. Kiedy wchodziliśmy, studiował menu dań na wynos i jeszcze teraz to robił. Wstałem od stołu i podszedłem do niego.

— Może przyłączy się pan do nas? — zaproponowałem.

Próbował wyglądać na zaskoczonego, a potem zrezygnował i się uśmiechnął. — Wiedział pan cały czas?

— Mniej więcej.

Zaprowadziłem go do stołu. Sam Clancy był wysoki i szczupły, o trupiobladej twarzy i zapadniętych oczach. Miał około trzydziestu lat, rzemieńskie, kasztanowe włosy zaczesane ukosem na czoło. Po głosie sądziłem, że jest starszy. Zanim usiadł, podał Bel rękę. Zjawił się kelner, a Clancy ruchem głowy wskazał jej drinka.

— Dobrze wygląda — powiedział. Kelner przytaknął i odszedł. — A zatem nie zrobiłbym kariery, gdybym pracował jako tajniak, hm? Chcecie porozmawiać na wstępie czy bierzemy się do pracy?

— Uznajmy, że już się sobie przedstawiliśmy — zdecydowała Bel.

— Dobrze. Chcecie więc wiedzieć to, coja wiem. Hm, proszę bardzo. Dzisiaj już Jeremiaś Provost wycofał się z bieżącego zarządzania Apostołami. Znać jego historię?

— Bogata rodzina — powiedziałem. — Zły profesor.

— Streszczenie całkiem niezłe. Poza tym kompletny wariat. Ciągłe trafia do drogich klinik. Nie ma śladu, aby zażywał prochy czy alkohol, musi więc istnieć jakiś inny powód, na przyłdad zwykły brak równowagi psychicznej.

— Więc skoro wycofał się, to kto rządzi? — zapytała Bel.

— Od strony biznesowej, niejaki Nathan. Nawet nie wiem, czy to jego imię czy nazwisko. Wiecie, że kilku reporterów zostało zaatakowanych przez Apostołów? To był Nathan. Nie podobali mu się, więc ich pobił.

— Wobec tego przydaje się? — wtrąciłem.

— To twardy skurczybyk. Jest jeszcze Alisha, to matczyny typ z domieszką junty. Ona rządzi ludźmi, każe im robić to, co trzeba.

— I to wszystko dzieje się na półwyspie Olympic?

Clancy sldnął głową. — Najpiękniejsze miejsce na kontynencie. Lecz Provost nieczęsto tam bywa. Zamieszkał niczym miliarder w nowiućkiej willi na Queen Ann Hill z niesamowitym widokiem na centrum i z basenem. Krążyła plotka, że dom chciał wynająć Kiefer Sutherland, kiedy kręcił *Zniknięcie*. W każdym razie tu Provost spędza czas, otoczony telefonami, faksami i komputerami, więc może kontaktować się z wyznawcami na całym świecie.

— W Oban był faks — przypomniałem sobie. — Miał w pamięci przynajmniej dwa numery ze stanu Waszyngton.

— Półwysep Olympic i Queen Anne — stwierdził autorytatywnie Clancy.

— Rozmawiał pan kiedyś z Provostem? — zapytała go Bel.

— Próbowałem, ale otacza go stalowy pierścień.

— Ale kto tak naprawdę zarządza tym cyrkiem, on czyjego porucznicy?

— Dobre pytanie.

Clancy przerwał, abyśmy mogli złożyć zamówienie. Bel poszła za jego radą, kiedy była jej kolej, i zamówiliśmy następne drinki do posiłku. Jakieś chipsy-tortille z dipami ustawiono na stole, więc zagryzaliśmy je, rozmawiając.

— Ludzie, którzy zabili mojego ojca — mówiła Bel — jeżeli to ci sami, którzy zatrzymali nas przy wyjeździe z Oban, to byli Amerykanie.

— Jednak nie wyglądali na ludzi z sekty — zwróciłem się do Clancy'ego. — Bardziej na pracowników rządowych.

— I tu wracamy do mojego śledztwa — odparł Clancy, najwyraźniej zadowolony. — Wiecie, że Apostołowie nagle aktywizowali się pod koniec 1985 roku? To znaczy, zaczęli kupować ziemię i nieruchomości. A to znaczy, że Provost miał pieniądze na inwestycje. Skąd pochodziły? Nikt nie wie. Czy grupka bogatych krewnych nagle zmarła w stosownym momencie? Nie. Czy wygrał na loterii? Nie. Szczęśliwy tydzień w Vegas? Bynajmniej. Ludzie zachodzili w głowę, skąd wzięły się te pieniądze.

— Dowiedział się pan? — zapytała Bel.

— Niezupełnie, jeszcze nie. Ale chyba byłem coraz bliżej. — Więc może Eleanor Ricks też była blisko? — Wiem to. — Clancy melodramatycznie rozejrzał się po restauracji, a potem pochylił się nad stolikiem. Zastanawiałem się, czy potrafi znaleźć różnicę między plotką a faktem. — Provost pojechał do Waszyngtonu. Proszę, nie pytajcie, skąd to wiem. Muszę chronić moje źródła. Moje... hm, techniki nie były zawsze całkowicie legalne. Był w stolicy na spotkaniu z prawnikami i innymi grubymi rybami. Ale w międzyczasie odwiedziło go dwóch gości, dwóch mężczyzn: Elyot i Kline. Odwiedzili go nie jeden raz. Działo się to w styczniu 1986 roku, kilka miesięcy po tym, jak Provost zaczął wydawać pieniądze. I chyba udało mi się wyśledzić, kim są Elyot i Kline. Jest taki agent nazwiskiem Richard Elyot, który pracuje dla CIA. A w NSC był kiedyś facet, który nazywał się Kline.

— Kiedyś?

— Zrezygnował oficjalnie w 1986. Od tamtej pory trzyma się na ubożu, tylko jego nazwisko już nie figuruje oficjalnie. Nikt nie wie, dlaczego zrezygnował, czy go zmuszono, czy co. Opiszę wam Kline'a.

Opisał. W połowie pokiwałem głową i dalej kiwałem.

— Wygląda znajomo — przyznałem.

— To ten facet na tylnym siedzeniu, co? — wywnioskował Clancy.

— Racja — potwierdziłem. — A co z Elyotem?

— Elyot wyładował na placówce w jakiejś ambasadzie, niezbyt prestiżowej. Dostawał gówniane zlecenia przez ostatnie pięć lat. Słyszałem nawet, że był w konsulacie Stanów Zjednoczonych w Szkocji przez kilka miesięcy.

— Ciekawe.

— *Wszystko* jest ciekawe — powiedziała Bel, kończąc drugą margarytę. — Ale dokąd to nas prowadzi?

— Apostołowie — odparł Clancy — w jakiś sposób są powiązani z CIA i NSC. Tylkojak? I co mogą mieć wspólnego?

— Cokolwiek to jest — dodałem — czy wynika z tego, że Provost jest na ich liście płac?

— Absolutnie — powiedział Clancy, opierając się w krześle.

— Nie pogniewałbym się, gdybym mógł zamienić słowo z Provostem.

Clancy zaśmiał się. — To trzeba stanąć w kolejce, przyjacielu.

— Michael ma swoje sposoby — stwierdziła po cichu Bel, wbijając we mnie wzrok.

— Ach, tak? — zainteresował się Clancy.

— Ale jego techniki — dodała — nie są zawsze całkowicie legalne.

Clancy wyglądał na bardziej zainteresowanego. — Bel — powiedziałem szybko — to był dla nas długi dzień.

— Długa podróż — przyznała.

— Może powinniśmy poprosić już o rachunek.

Nie zaprzeczyła. Zapytałem jeszcze Clancy'ego, jak chce to rozegrać. Wzruszył ramionami, więc zaproponowałem kilka rzeczy. Zgodziliśmy się, że rano przyjdzie do nas do hotelu. Zapłaciłem gotówką za kolację. Na odwrocie rachunku widniała prośba o komentarze. Widzieliśmy już takie w barach. Bel jedną taką już wypełniła. Napisała: „Obsługa nazbyt przyjazna, jedzenia dużo, ale bez smaku, miłego dnia”. Tym razem wzięła długopis od Clancy'go i napisała: „Uwielbiam tequile”.

Pod spodem narysowała serduszko rozdarte na pół.

22

Spotkaliśmy się z Clancym nazajutrz rano w hallu hotelu. Jego pierwsze słowa brzmiały: — Wykonałem lalka telefonów do Anglii. Nikt tam o was nie słyszał...

— Bo Michael pracuje w zespole redakcyjnym — wyjaśniła Bel. — I chodźmy już napić się kawy.

Zamówiliśmy trzy *caffé latte* w pobliskiej kawiarni i usiedliśmy w środku, mimo że właściciel zapewniał nas, że wygodniej nam będzie na zewnątrz. Mieliśmy widok na drugą stronę ulicy na Seattle Art Muséum. Clancy nazwał je po prostu „Sam”.

— Jedną przecznicę dalej jest teatr porno — powiedział. — Kiedyś przy wejściu reldamował wystawy w Art Muséum. To jest tylko możliwe w Seattle, przyjaciele.

Powiedział nam, że główny przemysł w Seattle to Boeing, przetwórstwo ryb i Microsoft, a sytuacja w Boeingu była teraz bardzo niepewna.

— No i jesteśmy dla świata stolicą muzyki grunge'owej. Wiecie, co to jest? Podarte dzinsy, narkomania i szyderstwa.

— To Keith Richards tego nie opatentował?

Clancy zaśmiał się i spojrzął na zegarek. Wiedziałem, że jeszcze w pełni nam nie ufa, a mnie się nie podobało, że rozpytywał o nas w Londynie. Tam plotki szybko się rozchodzą. — Dobra — zdecydował. — Pora brać się do roboty.

Pojechaliśmy pontikiem do mechanika w pobliżu U-Dub, którego znał Clancy. — To chrześcijański mechanik — wyjaśnił Clancy. — Każdą pracę wykonuje z błogosławieństwem i gwarancją niebiesiec.

Mężczyzna był młody, przysadzisty, z brodą. Przypominał mi amisza. Powiedział, że naprawa potrwa dzień albo dwa, a w międzyczasie możemy korzystać z jego volkswagena golfa. Był to mały, brązowy samochód, idealny do krótkiego wypadu, jaki planowaliśmy. Z deski rozdzielczej zwisał plastikowy worek na śmieci, z jednej strony widniał na nim Wuj Sam, a z drugiej Przysięga Wierności. Wyjąłem torbę z trans-ama i zamknąłem ją w bagażniku golfa. Nikt nie pytał, co w niej jest, a ja nie odpowiedziałbym, gdyby mnie zapytano.

Bel usiadła z tyłu, a ja pozwoliłem prowadzić Clancy'emu. Pojechaliśmy Aurorą na południe do Queen Anne Hill. Była to ekskluzywna dzielnica mieszkaniowa, głównie z bungalowami. Na samym skraju wzniesienia mieściły się kosztowne parcele, górujące nad miastem. Tam właśnie Jeremiaś Provost miał swój dom.

Był wielki, nawet według miejscowych standardów, a stał na takiej stromiznie, że na sam widok kręciło się w głowie.

— I jak tu się wspiąć, wracając z zakupów.

Clancy spojrzął na nią. — *Wspiąć?* Bel, nikt tu się nie wspina. Nikt tu nie chodzi piechotą.

Zaparkowaliśmy po drugiej stronie ulicy, naprzeciw domu Provosta. Nawet przy zaciągniętym ręcznym hamulcu i wrzuconym biegu nie byłem pewien, czy golf nie zacznie się staczać. Wszyscy mieliśmy założone okulary przeciwsłoneczne, a Clancy — w ramach dalszego kamuflażu — miał jeszcze czerwoną baseballówkę. Jego twarz pokrywała warstwa nerwowego potu. Wiedzieliśmy, że sporo ryzykujemy, przyjeżdżając tu, ale nadeszła pora na podjęcie ryzyka. Zaparkowaliśmy przed domem z wieżyczką. Jednak zbyt wiele samego domu Provosta nie udało się nam zobaczyć. Schody prowadziły przez najeżony roślinami ogród ku białej, betonowej ścianie pozbawionej zupełnie okien i drzwi.

— Jest tylko jedno wejście — powiedział Clancy — za rogiem. Tam są balkonowe okna wychodzące na basen i patio, więc w sumie są to dwa wejścia.

— I dwa wyjścia — dodałem. — A gdzie są kamery ochrony?

Spojrzał na mnie, może zastanawiał się, skąd wiem. — Tuż za rogiem.

— Jest jakaś pułapka na podczerwień?

— Nie wiem; możliwe.

— Z wierzchu to mi wygląda, jakby wcale nie było ochrony, więc myślę, że jeżeli jakaś jest, to na wysokim poziomie.

— Pewnie, a do tego goryl przy drzwiach.

— Tylko ten jeden?

— No cóż, Provost to fanatyk religijny, a nie bojownik z Bliskiego Wschodu.

— A co w nocy? Ma światła na fotokomórkę?

— Tak, jeżeli na trawniku pojawi się choćby jeż, cały dom zapala się jak na Święto Niepodległości. — Clancy cały czas mnie obserwował. — Zadaje pan prawidłowe pytania, tylko według mnie takich pytań nie zadałby reporter.

— Nie jestem reporterem od codziennych spraw — odparłem. — On tu spędza większość czasu?

— Tak. Nad Hood Canal jest dom, który należy do Nathana. To też wyjątkowe miejsce. Czasami Provost jeździ tam na weekend. Nie robi zbyt wiele, wykopuje małże, zbiera ostrygi podczas odpływu. Szef Microsoftu ma posiadłość kilka domów dalej.

— Ile wie pan o Nathanie?

— Niewiele. Mam to nazwisko czy imię i rysopis.

— Kiedy wstąpił do Apostołów?

— Nie wiem. Problem polega na tym, że mam tylko to nazwisko czy imię. Nawet nie mogę prześledzić jego historii.

— On zarządza całym biznesem, czy to oznacza pieniądze?

— Tak, jest też księgowy, ale Nathan codziennie robi bilans. Rzecz w tym, że bardzo mało pozostaje po stronie zysków. Bardzo mały dochód w porównaniu z wydatkami.

— Może więc powinniśmy porozmawiać raczej z Nathanem niż z Provostem.

— Wcale nie jest łatwiej dostać się do niego. A minę ma, jakby chciał komuś rozwalić twarz. Te kultury zawsze są niebezpieczne. Jak ktoś zacznie wahać, szukając sensacji, to nie zapowiada się na panegiryk.

Spojrzałem na dom Provosta. — Można obejrzeć go pod innym kątem?

— Tak, jak zejdzie się w dół zbocza i skręci w lewo. Ale szczerze, stamtąd nie zobaczy się więcej niż stąd. Więcej betonu i szczyt okna. Mądry projekt, całkowicie otwarty, ale zachowuje prywatność. Nawet nie ma ogrodzenia, ale mógłby kręcić hard-core'owe porno u siebie w basenie i żaden z sąsiadów nic by nie wiedział.

— Niektórzy z przywódców sekt lubią przeprowadzać inicjację nowo przyjętych — zauważyła Bel, która dobrze odrobiła lekcje.

Clancy wzruszył ramionami. — Nie wiem, czy Provost posuwa kobiety z sekty. To znaczy, przy nazwie takiej jak Apostołowie Miłości, po takim wstępie, można się wszystkiego domyślać. Jednak nigdy nie propagował ryćkania.

— To wygląda na cytaty z któregoś z pana artykułów.

Clancy uśmiechnął się. — Tak jest, tylko gazeta przedstawiła to jako zniesławienie.

— Dobrze — zdecydowałem. — Widziałem już dosyć. Chodźmy kupić, co potrzeba.

Potrzebny nam sklep znajdował się przy Aurora, na północ od Green Lake. Nazywał się „Broń i sprzęt sportowy u Eda”, a prowadził go Archie, który mówił ze śladowym szkockim akcentem. Wiedziałem, czego nam trzeba: kurtek moro, spodni terenowych, wysokich butów, kilku namiotów, małego piecyka i garnka, talerzy, kubków i sztućców, lornedti i dwóch plecaków, żeby to wszystko pomieścić.

Lornetka, którą mi pokazał, była mała, ale silna. — Ornitologzy ją uwielbiają — dodał sprzedawca, jakby to była jakaś rekomendacja.

Oddałem ją. — Macie coś z noktowizorem?

— To już są spore koszta.

— Są.

Poszedł poszukać noktowizora. Bel wybierała grube skarpety do butów. — Chcemy wyglądać jak turyści, nie?

— No tak.

— Wtedy będziemy mieć za dużo rzeczy, a wszystkie nowiutkie.

— No tak.

— No, to chcę nowe okulary przeciwsłoneczne. — Skinąłem głową, a Bel poszła wybrać sobie jakieś.

Tymczasem znalazłem kompas i przestudiowałem kilka dostępnych noży. Noże do survivalu wyglądały dobrze. Był jeden z pustą rękojeścią, w której mieściła się żyłka, haczyki i igła, miniaturowy kompas oraz inne drobiazgi. Inny był tak wielofunkcyjny, że można było zamienić go w toporek, szpadel albo nawet latarkę. Poza tym był duży. Chyba na tyle duży, żeby przestraszyć większość ludzi.

— Wezmę ten — postanowiłem, wskazując Archiemu nóż, który wrócił z prostym pudełkiem.

Mężczyzna obliżywał usta, podekscytowany sumą sprzedaży, ale też zdenerwowany łatwością, z jaką wydawaliśmy pieniądze. Może myślał, że wydobędziemy broń albo nawet zagrozimy mu jednym z jego wojskowych noży. Zamiast tego wydobyłem plik banknotów i pomachałem mu przed twarzą. Skinął głową i zrelaksował się nieco.

Sprawdziłem lornetkę. Była idealna. Mogłem używać jej jako lunety albo, poczyniwszy kilka poprawek, założyć ją do karabinka snajperskiego-

— Panie Archie, potrafi pan zachować dyskrecję? — zapytałem.

— To zależy.

— Hm, chcę kupić to wszystko i chcę zapłacić gotówką, ale muszę wykonać pewną pracę. Ma pan tu jakiś warsztat? — Skinąłem głową. — Mógłbym skorzystać z niego przez jakieś piętnaście minut?

Archie wzruszył ramionami. — Przy zakupie takiego towaru, to po mojemu możecie tam nawet spać.

— To nie będzie konieczne.

Bel zapytała o mapy, kiedy wychodziłem ze ślepu. Wsunęła nóż wielozadaniowy w cholewkę buta, żeby sprawdzić, jak tam pasuje. Clancy przyglądał się przez moment nożowi, a potem wyszedł za mną. Clancy nie był typem wiejskiego chłopaka ani nawróconym Tarzanem. Seattle miało charakter miasta pogranicza, ale on do przeżycia zdecydowanie potrzebował Starbucksa i muzeów sztuki. Zdradził nam, że na półwyspie

Olympic był, aby zobaczyć gorące źródła. Przejeżdżał wtedy obok terenów Apostołów, ale tylko za dnia i w ogóle nie wysiadał z samochodu.

Lecz większość półwyspu to dzikie ostępy, góry i pierwotne lasy strefy umiarkowanej. Osobiście uważałem, że trzeba być przygotowanym na każdą ewentualność. A Clancy przyglądał się, jak otwieram bagażnik i wyjmuję torbę.

— Kurczę, kim pan właściwie jest? Jesteście z bezpieki, co? To znaczy, jacyś tajni agenci, czy coś podobnego? Znajomych reporterów nie stać by było na taki hotel, a co dopiero, żeby nie wracać na noc. Nawet jakby było ich stać, to wybraliby jakąś szczyrzą norę i zaoszczędzili pieniądze. I nigdy, ale to nigdy nie nosiliby przy sobie tyle gotówki. Tylko karty kredytowe, i zbieraliby wszystkie rachunki i paragony.

Zamknąłem bagażnik na klucz. — Więc nie jestem dziennikarzem. Powiem tylko, że jak będzie się pan z nami trzymał, to dostanie pan pełną historię. To dla pana lepsze. Nie stanowią żadnej konkurencji. Ma pan wyłączność.

Clancy potrząsał przecząco głową. — Nie jadę z wami.

— Nie jest już pan nam potrzebny. Chce pan tu zostać, to dobrze. Może będziemy szukać tego miejsca godzinę albo dwie dłużej, ale znajdziemy je. Nie będę błagał, żeby pan pojechał.

— Mógłbym was wystawić. Wystarczy, że zadzwonię do Provosta. Uśmiechnąłem się. — Sam, nie jesteśmy pańskimi wrogami. Dlaczego miałby pan to robić?

Zastanowił się. — Nie zrobiłbym tego. Proszę zapamiętać to, co powiedziałem. — Wszedł za mną do sklepu.

Bel przymierzała kurtkę w czerwono-czarną kratę, typową dla drwali. Archie dał mi znak, żebym za nim poszedł. Sam ciągle deptał mi po piętach. Weszliśmy na zaplecze wypełnione narzędziami. Była tam nawet tokarka. Wszędzie leżały elementy zestawów do czyszczenia broni. Postawiłem torbę na warsztacie i rozpiąłem ją.

— Chcę tylko wiedzieć — odezwał się wtedy Sam. — Widzi pan, różni próbowali mnie zabić i nie mogę grymasić przy wyborze przyjaciół. Zgłasza się do mnie ktoś z bzdurną historyjką, że jest dziennikarzem, a potem okazuje się, że nim nie jest. Potem muszę się zastanawiać, kim tak naprawdę jest...

Słowa utknęły mu w gardle, kiedy zobaczył, jak odwijam varmintę, potem pistolet, a na końcu colta commando.

— Jezu Chryste — wy dobył z siebie bezgłośnie. Gdy ja zacząłem sprawdzać, czy uda mi się dopasować lunetę do varmintę.

— Sam — odezwałem się wreszcie, nie podnosząc głowy. — Z nami jest pan bezpieczny.

— Dotarło do mnie.

— Boję się o Bel. Byłem przyjacielem jej ojca. Od czasu do czasu sprzedawał mi broń. Widziałem, co te gnoje z nim zrobili, i chcę tylko dowiedzieć się dlaczego. To cała historia, z wyjątkiem jednego. — Teraz spojrzalem na niego. — Nie obchodzi mnie, ile to będzie kosztować.

Jego usta nagle zrobiły się suche. Na warsztacie stała otwarta puszka piwa. Popiłem z niej łyk.

— Może przyniesie nam pan parę puszek ze sldepu? — zaproponowałem. — A jak już tam pan będzie, to proszę przemyśleć wszystko. Jak chce pan zrezygnować, to wyciągniemy z samochodu pański aparat i może pan złapać taksówkę do miasta... — Zamierzałem dać mu trochę pieniędzy.

— Nie potrzebuję pieniędzy. Stać mnie, żeby kupić kilka piw.

— W takim razie dobrze.

I już go nie było. A wtedy Archie zajął się warsztatem.

— Przepraszam, że przeszkadzam, ale przez tę panią skończy pan w przytułku.

— W takim razie będziemy najlepiej ubranymi żebrakami.

Zaśmiał się. Ten dzień miał naprawdę bardziej interesujący niż zwykle. Przyjrzał się temu, co robię. — Ładny karabin. Pomóc może?

— Może tak. Noktowizor i mocowanie zupełnie nie pasują.

— Niech no spojrzę. Całkiem gratisowo.

— Bardzo proszę.

Trochę czasu nam to zajęło, ale Archie miał różne rzeczy na zapleczu i jedna z nich nam pasowała. Teraz karabin wyglądał nieomal jak gadżet Agenta 007, ale wydawał się w porządku.

— Nigdy nie pytam klientów, do czego zamierzają strzelać — powiedział Archie.

— Może do jakiegoś zwierzaka — odparłem.

— Tak, może, ale ta druga sztuka to już zakrawa na terroryzm.

Uśmiechnąłem się. — Zdaje się, że tak. Oj, tak.

Kiedy wróciliśmy do sldepu, nie było nowych klientów, a Clancy też nie wrócił.

— Gdzie tu najbliżej można kupić piwo? — zapytałem.

— Na rogu jest sklep spożywczy — odpowiedział Archie.

Pokiwałem głową. Wyglądało na to, że Clancy nas zostawił.

— Lepiej zacznijmy podliczać — zasugerowałem Archie'emu.

— A potem zamknę sklep na dzień, żeby odnowić zapasy. — Zabrał się do pracy z kalkulatorem.

Bel ubrała się na powrót w zwykłe rzeczy. Na nogach miała jedynie kowbojki od czasu, gdy je kupiła. — Gdzie Sam? — zapytała.

— Chyba zostaliśmy sami.

— Nawet się nie pożegnał. Powie komuś?

— Wątpię.

— Co mu powiedziałaś?

— Przyznałem się, że nie jestem reporterem.

— Widział broń? — Pokiwałem głową. — Nic dziwnego, że uciekł.

Na mnie też wywiera taki efekt.

Archie przerwał dodawanie, żeby napełnić kilka reklamówek towarem już podliczonym.

— Proponuję od razu do plecaków; potem je sobie poukładamy.

Do całości dodałem jeszcze jedną latarkę.

— Wie pan co — powiedział Archie. — Może nie będziecie tego potrzebować, ale dam wam apteczkę pierwszej pomocy i środek na komary. Do tego wszyscy płacący gotówką dostają dziesięć procent zniżki.

— Dzięki. — Odwróciłem się z powrotem do Bel.

— Więc jedziemy sami? — zapytała.

— Zdaje się, że tak. Chyba znajdziemy ten prom, co?

— Zaoszczędzimy też trochę pieniędzy.

— Jak to?

— Nie potrzeba nam dwóch namiotów; poza tym jeden duży śpiwór nam wystarczy.

— Masz rację. — Lecz w tym momencie drzwi się otworzyły i wpadł Clancy. Myślałem, że jest ranny, i ruszyłem w jego stronę, ale on zataczał się jedynie pod ciężarem toreb z zakupami.

— Trochę zapasów na wycieczkę — oznajmił, odstawiając torby. — Piwo, chipsy ziemniaczane, czyli konserwowe, tuńczyk, parówki i fasolka. — Wsadził rękę do jednej z toreb. — Patrzcie, nawet spakowałem otwieracz do puszek.

Zaśmialiśmy się z wyjątkiem Archiego, który był zbyt zajęty podliczaniem. Kiedy skończył, wtedy przyszła kolej, aby on się roześmiał. Odliczyłem pieniądze, a Clancy porwał paragon.

— Skoro wy nie odliczacie kosztów, to może ja mógłbym.

— W takim razie może pan zapłacić za prom — powiedziałem, dźwigając plecak na ramię.

— Umowa stoi.

Prom był pełen rodzin wybierających się na wakacje.

— Dokąd oni wszyscy jadą? — zapytałem Sama.

— Tam, gdzie my — wyjaśnił. — Półwysep Olympic jest bardzo popularny o tej porze roku.

— Myślałem, że to dzicz.

— Głównie tak. Ci ludzie, których tu widzicie, prawdopodobnie nie oddała się od swoich samochodów na dalej niż sto metrów podczas całej wycieczki. Przez półwysep prowadzi szosa, ale w samym parku narodowym nie ma żadnych dróg. Proszę, kupiłem mapę.

Była to mapa, którą służby porządkowe parku wręczały gościom. Jak mówił Clancy, prawie wcale nie było dróg, tylko sporo szlaków i kilka szutrowych tras. Jedyna dobra droga, jak zauważyłem, prowadziła na szczyt Hurricane Ridge. Stamtąd kierowaliśmy się na zachód, do jeziora Crescent. Clancy wskazał je na mapie. Poza granicami parku cały półwysep uznawany był za lasy państwowe. Park kończył się tuż na północ od jeziora Crescent.

— Widzicie, co zrobił Provost, przejął dom, który już tam stał. Z budową nowych budynków w parku są bardzo ostrożni, ale cóż poradzić na domy, które już tam były przed wytyczeniem Parku Narodowego? Nie miał też zbyt wiele kłopotów z uzyskaniem zgody na budowę kilku drewnianych chat z bali w tym samym stylu. Dał nawet obrobić drewno tak, żeby wyglądało na wysłużone.

— Na pewno jest też miły dla głupich zwierząt.

Teraz znaleźliśmy się w powoli przemieszczającym się strumieniu samochodów opuszczających prom. Piesi turyści z plecakami próbowali złapać autostop. Bel uśmiechnęła się do nich i wzruszyła ramionami. Wszyscy jechali tą samą drogą z Bremerton wzdłuż południowego wybrzeża Hood Canal. Nie było miejsc, gdzie można się zatrzymać poza podjazdami do domów, więc Clancy jedynie wskazał dom Nathana, gdy przejeżdżaliśmy obok. Miał niski żywopłot od frontu, duży, starannie przycięty trawnik, a sam był parterowym sześcianem, zupełnie jakby to był model w skali, a nie prawdziwy dom, tak starannie został wykończony. Za nim przebiegał kanał, w rzeczywistości była to zatoka wrzynająca się w ląd w kształcie odwróconego J. Trzymaliśmy się Hood Canal długi czas, a potem skierowaliśmy się na zachód w stronę Port Angeles.

— Z tego, co słyszałem — odezwał się Clancy— jak i z tego, co zobaczyłem wczoraj na własne oczy, naszym priorytetem jest znaleźć kemping.

Miał rację. Najbliżej kwatery Apostołów znajdowało się pole kempingowe Fairholm, ale kiedy tam dotarliśmy, nie było już wolnego miejsca. Wróciliśmy tą samą drogą i wstąpiliśmy do Lake Crescent Lodge, ale wszystko było zarezerwowane. Musieliśmy zatem podążyć na północ, w stronę wybrzeża, gdzie nad rzeką Lyre znaleźliśmy pole biwakowe z wolnymi miejscami. Znajdowało się ponad kilometr od cieśniny Juan de Fuca, po drugiej stronie której leżała wyspa Vancouver, terytorium Kanady. Powietrze było niesamowite, uderzało do głowy, pulsowało. Czuło się, że nikt wcześniej nim nie oddychał. To nie było miejskie powietrze, to na pewno.

Clancy opowiadał nam, że na północy niechętnie podchodzi się do wyrębu drzew. Wielu drwali traciło pracę, sporo miast żyjących z przemysłu drzewnego bankrutowało. Pytali, czy mogą wejść do lasów państwowych i „posprzątać” powalone drzewa, ale odrzucono ich prośbę. Innych lasów też nie można było tknąć, a to ze względu na chroniony gatunek sowy. Byli coraz bardziej zdesperowani.

— Nie ma sprawiedliwości... — stwierdziłem.

Na kempingu była skrzynka pełna kopert. Włożyliśmy naszą opłatę do jednej z nich i wepchnęliśmy ją przez szczelinę. Potem umieściliśmy paragon w małym okienku na słupku obok naszego miejsca.

— Bardzo wygodne, nie? — powiedziałem. Bel miała wątpliwości. Spała ostatnio w nazbyt wielu wygodnych łóżkach, żeby rozkoszować się noclegiem pod gwiazdami. Do siedziby Apostołów było stąd jakieś dwadzieścia kilometrów, więc ustawiliśmy nasze namioty. A raczej zrobiłem to razem z Clancym, a Bel poszła nad rzekę i porozmawiała z innymi turystami. Potem, zadowoleni z naszej kwatery, wróciliśmy do samochodu i wyjechaliśmy. Znajdowaliśmy się po niewłaściwej stronie jeziora, jak wkrótce się zorientowaliśmy. Żadna droga nie prowadziła dookoła zbiornika. Główna szosa kierowała się na południe, a na północy była w połowie szutrowym, w połowie zwykłym szlakiem. My znaleźliśmy się od strony szlaku, co oznaczało, że nie mogliśmy dojechać w pobliże Apostołów samochodem, chyba że objedziemy całe jezioro i zbliżymy się do nich od zachodu utwardzoną drogą. Objazd dookoła mógł nam oszczędzić prawie dwóch kilometrów pieszej wędrowki.

— Skoro przywieźliśmy cały ten sprzęt, to powinien na siebie zarobić — stwierdziłem.

Tak więc przebraliśmy się za turystów. Clancy niósł jedyny potrzebny nam plecak, a ja zamknąłem samochód.

— Nie masz żadnej broni? — zapytał Clancy.

- Za dużo oglądałeś gangsterskich filmów.
- Ale masz czy nie?
- Nie.
- To dobrze.

Przeszliśmy niecały kilometr, aż Bel nagle się zatrzymała. Zapytałem, co się stało. Rozglądała się dookoła.

— Nigdy nie byłem w takim pięknym miejscu. Słuchaj: nic. Patrz, ani żywej duszy dookoła.

Ledwo wymówiła te słowa, kiedy trzyosobowa grupka pojawiła się na szlaku przed nami. Skinęli głowami na przywitanie. Ich obecność zupełnie nie przeszkadzała Bel. Wyglądała jak dziewczyny z czasów mojej młodości, kiedy upijają się na prywatkach. Cała promieniała.

— To jest brak toksyn w atmosferze — wyjaśnił Clancy. — Jeżeli twój organizm nie jest do tego przyzwyczajony, zaczynają dziać się dziwne rzeczy.

Poszliśmy dalej, a Bel nas dogoniła. Clancy rozłożył mapę.

— Na North Shore jest teren biwakowy — powiedział — ale zobaczymy chaty wcześniej. Są między tym szlakiem a tamtym prowadzącym na Pyramid Mountain.

Trafiliśmy na nich wcześniej, niż się spodziewaliśmy. Osada trochę przypominała tę w Oban, ale była dużo bardziej jawna. Ani śladu ogrodzenia czy innych barier, jedynie chaty w miejscu, gdzie nie powinno stać nic, były barierą samą w sobie. Nie wyobrażałem sobie, aby Apostołowie mieli wielu przypadkowych gości.

— Co teraz zrobimy? — zapytała Bel.

— Idziemy dalej — wydałem rozkaz. — Jesteśmy na wycieczce. Wkrótce dotrzemy na North Shore. Urządzimy sobie piknik, a potem porozmawiamy. Teraz idziemy.

Jednak kątem oka ogarniałem chaty, mały warzywnik, łądz na przyczepie. Nie widziałem żadnych oznak życia, żadnych samochodów, ani pickupów, ani vanów. Żadnego dymu, ale z drugiej strony chaty nie miały kominów, poza tą, która zdaje się, była pierwotną budowlą tutaj, nieco większą od innych. Zamiast kominów były baterie słoneczne na dachach i jeszcze kilka na ziemi. Wokół chat rosło sporo drzew i krzewów, i ani śladu zwierząt domowych. Nie byłem pewien, czy w parku narodowym wolno trzymać zwierzęta.

Najejorze były łódzie. Wyglądały, jakby pochodziły z Lake Crescent Lodge. Widziałem, jak ojcowie zmagali się z wiosłami, gdy małżonki uwieczniały tę komiczną scenę na wideo, a dzieci huśtały łajbą jeszcze

bardziej ku większej frustracji „papcia”. Usiedliśmy na miejscu piknikowym i spoglądaliśmy na jezioro.

— Jest piękne — powiedziała Bel.

— Nieomal tak piękne jak mecz baseballu — przyznał Clancy.

Bel zignorowała go.

— Więc to było to? — odezwałem się do niej.

— Spodziewałam się więcej.

— Apostołowie nie są ważni. Mógłbym wam pokazać dziesięć sekt w Stanach o wiele większych od nich, w tym zgromadzenie Świętego Elvisa. Nie są duzi, są tylko bogaci i mają obsesję na punkcie prywatności.

Bel odwróciła się od jeziora. Już była cała pogryziona i nagie ramiona spryskała środkiem na komary. U Archie’ego kupiłem granatową basebalówkę i byłem teraz z tego zadowolony. Słońce dopiekało, aż nieomal wszysdco skwierczało jak na patelni. Clancy otworzył lodówkę i rozdał piwo.

— Więc teraz musimy iść i zastukać do ich drzwi — podjęła Bel. — Zapytać ich, dlaczego zamordowali mi ojca.

— Może nie od razu — przestrzegłem.

— Ale myślałem, że właśnie o to chodzi.

— Chodzi o to, Sam, żeby rozegrać to bezpiecznie. Słyszałeś, żeby ktoś odszedł kiedyś od Apostołów?

Potrząsnął głową i wyssał pianę z puszki. — Tym tropem poszedłem w pierwszej fazie. Gdybyś był prawdziwym reporterem, o to właśnie byś mnie zapytał na samym początku. Bardzo chciałem znaleźć kogoś, kto wiedziałby, co się tam dzieje, ale nikogo takiego nie było.

— Rozmawiałeś z obecnymi członkami?

— O, tak, wiele razy. Rozpoczywałem rozmowę, kiedy jechali po zapasy do Port Angeles. I muszę wam powiedzieć, były to bardzo jednostronne rozmowy. Monologi. Dostawałem strzępki informacji, nic więcej.

Bel wykładała jedzenie. Mieliśmy szynkę, krakersy, kiełbasę i chipsy ziemniaczane.

— Bel — zagadnąłem — jak będzie z nową rolą?

— Chyba dość dobrze odegrałam policjantkę.

— A zagrasz bardzo głupią osobę?

Wzruszyła ramionami. — To byłoby wyzwanie. O jak głupiej osobie myślisz?

— Takiej na wakacjach, która sama idzie na spacer. Trafia na osadę i myśli, że to jakaś restauracja albo posterunek w parku narodowym, a może sklep z pamiątkami.

Clancy spojrział na mnie. — Jesteście szaleni.

Bel otworzyła paczkę chipsów. — Mówisz, Michael, że sama miałabym tam wejść?

— Właśnie to mówię.

— Dlaczego?

— Chyba mniej będą się ciebie spodziewać, jeżeli będziesz sama.

— Tak, ale dlaczego w ogóle mam tam iść?

— Na rekonesans. Masz dowiedzieć się jak najwięcej o uldardzie przestrzennym i to zapamiętać. Czy są zamki w drzwiach i oknach? Czy widać alarmy albo jakieś inne zabezpieczenia? Jakies światliki, otwory, rysy w pancerzu?

— Zamierzasz odwiedzić ich nocą?

Uśmiechnąłem się do niej i skinąłem głową. Wcale nie była zmartwiona moim zamiarem. Zjadła tylko trochę chipsów i zastanowiła się.

— To muszę iść do tej osady — zdecydowała w końcu.

Potrząsnąłem głową. — Idź tylko do jednej chaty, tej głównej. O niej chcę to wiedzieć.

— Oboje jesteście szaleni — stwierdził Clancy, chwytając piwo oburącz.

Bel skończyła chipsy i wstała, wycierając ręce w spodnie. — Muszę się ku — powiedziała. — Zobaczmy się na początku szlaku.

— Będziemy czekać.

Patrzyłem, jak odchodzi. Obiecałem Maxowi, że nie narażę jej na niebezpieczeństwo. Raz po raz łamałem tę obietnicę.

— Ma ikrę — przyznał Clancy.

Sldnąłem głową, ale nic nie powiedziałem. Clancy nie mógł wydusić ze mnie ani słowa przez resztę prowizorycznego posiłku.

Wracaliśmy szlakiem powoli, witając się z mijanymi ludźmi. I znowu nie patrzyliśmy na chaty, mijając je w odległości około stu metrów. Były zbudowane na dość stromym zboczu. Zbocza i nocna wędrówka nie za bardzo do siebie pasowały. Ale jeżeli będę się trzymał ścieżki nad jeziorem, jest większa szansa, że zostanę zauważony. Sporo myślałem przez resztę drogi. Usiedliśmy w samochodzie na chwilę. Clancy włączył radio i przestroił je, a ja wysiadłem i przeszedłem się kawałek.

Minęła dobra godzina, zanim zobaczyliśmy Bel. Spieszyła się do nas, policzki miała zarumienione, jak mniemałem, za sprawą sukcesu. Kiedy z uśmiechem uniosła kciuki ku górze, uściskałem ją i uniosłem nad ziemię. Potem wróciliśmy do golfa i ruszyliśmy na kemping, a Bel opowiedziała nam wszystko.

Nie żeby było co opowiadać. Przede wszystkim zastała na miejscu młoda kobietę, która — jak się okazało — przez kilka lat studiowała w Anglii, więc chciała wypytać Bel, jak teraz jest w starym kraju, a wtedy Bel poprosiła o skorzystanie z toalety, a dopiero potem zapytała, co to w zasadzie jest za miejsce. W odpowiedzi usłyszała historię i została oprowadzona kródko po osadzie. Ponieważ obie kobiety wyglądały na przyjaciółki, nikt inny z początku się nie interesował. Potem podszedł pewien mężczyzna i zapytał, kim jest, a wtedy atmosfera zrobiła się wyraźnie chłodna. Siedziała nad filiżanką herbaty ziołowej, którą zaparzyła dla niej kobieta, ale wtedy ów mężczyzna grzecznie, ale zdecydowanie poprosił ją, aby odeszła.

Nie udało jej się zobaczyć wnętrza starej chaty, obejrzała ją jedynie z zewnątrz. Jednak nie było żadnych skrzynek z systemem alarmowym, a w żadnym oknie nie było widać nic bardziej zaawansowanego od zwykłych zamków. Opowiadała dalej, a pod koniec jej relacji miałem ochotę znowu ją uściskać. Zamiast tego uczciliśmy to posiłkiem ugotowanym na piecyku w naszym obozowisku: parówki z fasolką, które popiliśmy czarną kawą. Clancy kupił kilka filtrów i prawdziwą mieloną kawę. Pachniała cudownie i smakowała wyśmienicie. O tej porze komary przeszły też do ataku, spragnione porządnej, spóźnionej kolacji przed snem.

— Och, jeszcze jedno — dodała Bel. — Za kilka dni sam Provost odwiedzi tę osadę.

— Naprawdę? — Spojrzałem na Clancy'ego: — Ma to jakieś znaczenie?

Wzruszył ramionami. — Teraz rzadko to się zdarza, ale tak bywa.

— To znaczy, że jego dom w Seattle będzie pusty — rozważałem.

— Tak, tak pusty jak bank z doskonałym systemem zabezpieczeń. Uśmiechnąłem się. — Rozumiem, o co ci chodzi.

Później Clancy zasugerował, aby zabrać Bel do Port Angeles, żeby przyjrzeć się życiu nocnemu. Mogli mnie po trasie wysadzić, a potem odebrać w drodze powrotnej, ale Bel nadała się. Chciała jedynie wczłgać się do śpiwora z latarką, kolejnym piwem i ostatnio zakupionym czytadłem. Byłem zadowolony, że nie chce jechać z Clancym. Posiedziałem z nim jeszcze na zewnątrz chwilę dłużej. Zapytał, czy ma odwiedzić mnie do Piedmont, ale ja potrząsnąłem głową.

— Zrobię to sam.

Kiedy było już odpowiednio ciemno, byłem gotów.

Wróciłem do Piedmont i zaparkowałem niedaleko początku szlaku. Miałem na sobie kurtkę moro i ciemne, terenowe spodnie, do tego wysokie buty turystyczne. Zabrałem też noktowizor. Gdyby ktoś mnie zatrzymał, wytłumaczyłbym, że obserwuję nocne zwierzęta, może nawet rzadki gatunek wapiti.

Do parku nie wolno było wносить broni palnej, ale mimo to zabrałem z sobą 559, naładowany. Uznałem, że bez względu na prawo, Apostołowie będą uzbrojeni.

Świeciła połówka księżycy, który prześwitywał spomiędzy powoli przesuwających się obłoków. Warstwa chmur nie była gruba, dzięki czemu sączyła się wystarczająca poświata i gdy tylko mój wzrok przywykł do nocy, okazało się, że mogę się poruszać i nie padać na nos, fikając koziółki.

Wcześniej niezbyt często to robiłem, chociaż oczywiście zdarzało mi się pójść na rekonesans przed zadaniem. W obozie panowała cisza. Bel nie słyszała ani radia, ani też nie widziała anten telewizyjnych. Wyglądało na to, że Apostołowie wyznawali zasadę: „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje”, co mi odpowiadało. Może spieszyło im się uprawiać miłość pod kołdrą pozszywaną ze skrawków materiałów.

Stara, pierwotna chata stała frontem do nowych, więc znalazłbym się w najbardziej wrażliwym miejscu, gdybym wszedł od przodu. Zajrzałem przez tylne i boczne okna, ale nikogo nie zobaczyłem. Okna były jednak zamknięte, a ja nie miałem przy sobie żadnych narzędzi. Wiedziałem, że przydałaby się tu Bel ze swoimi umiejętnościami, ale nie mogłem jej zabrać ze sobą pod żadnym względem. W tej ciszy brzęk tłuczonego szkła zabrzmiałby niczym syrena okrętowa we mgle. Przeszedłem więc do frontu chaty. Wtedy zobaczyłem latarkę. Najpierw snop światła, przeszukujący grunt. Ktoś wyszedł z którejś z pozostałych chat. Jak się ruszę, to mnie usłyszy. Stałem więc w bezruchu, z odwróconą twarzą, w nadziei, że wtopię się w ścianę domku. Gdyby ten ktoś skierował latarkę wprost na mnie, oczywiście zobaczyłby mnie natychmiast. Wstrzymałem oddech i czekałem.

Ktoś chrząknął. Potem usłyszałem strumień wody padający na ziemię. Wyszedł, żeby się wysikać. Widziałem też stertę kompostu tam, gdzie stał; bez wątplenia na nią sikał. Serce mi waliło. Wtedy mężczyzna

odwrócił się i poszedł tą samą drogą. Słyszałem, jak zamyka drzwi chaty, chociaż wcześniej nie było słyhać, aby je otwierał.

Pospiesznie podszedłem do frontowych drzwi starej chaty i nacisnąłem klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Wsunąłem się do środka i powoli zamknąłem za sobą drzwi. Nie chciałem używać latarki. Zbytnio rzucałyby się w oczy.

Jak się zorientowałem, stałem w biurze. Były tu dwa biurka i jeszcze jeden stolik z maszyną do pisania. Zauważyłem zarys komputerów i segregatora, coś przypominające kserokopiarkę i kilka dużych regałów. Podszedłem tam i pociągnąłem za szufladę. Nie była zamknięta. Wiedziałem, że potrzebne mi światło, wyjąłem więc z kieszeni chusteczkę i zawiązałem w nią latarkę. Kiedy ją włączyłem, światło było przygaszone, wystarczające, by móc przy nim czytać. Zacząłem przekopywać się przez papiery w pierwszym segregatorze.

Chociaż noc była zimna, byłem spocony na plecach i czole. Trzecia szuflada zawierała mnóstwo szczegółów dotyczących członków sekty. Sprawdziłem Nathana i Alishę. Alisha wstąpiła na początku 1986, kiedy przyjechała na zachód z Raleigh w Północnej Karolinie. Nathan wstąpił później tego samego roku. W jego aktach było mało szczegółów na temat życia przed wstąpieniem do Apostołów, co było nietypowe. Wiedziałem, do jakiej szkoły średniej uczęszczała Alisha, kiedy i gdzie się urodziła, co studiowała. Wszystko, czego dowiedziałem o Nathanie po przeczytaniu jego akt, to tylko to, że na imię ma Nathan. A nazywa się Kline...

To nie mógł być zbieg okoliczności. Wepchnąłem moje teczkę na miejsce i zamknąłem szufladę. Spróbowałem poszperać w kilku innych szufladach, ale niczego specjalnego nie znalazłem. Z pewnością nie było tu niczego na temat finansów sekty, poza codziennymi wydatkami. Provost mógł finansować przedsięwzięcie jedynie, gdyby posiadał górę gotówki w domu w Queen Anne. Nie znalazłem też żadnych dowodów morderczego spisku, chociaż prawdopodobnie takich dokumentów tutaj by nie przechowywano. Dom Nathana przy Hood Canal byłby zdecydowanie lepszym celem i nagle naszła mnie ochota, aby tam wrócić i przyjrzeć się mu z bliska.

Jednak wpierw musiałem zrobić inne rzeczy. Za pierwszym biurem znajdował się wąski korytarz z drzwiami po bokach. Więcej biur, najwyraźniej. Spróbowałem otworzyć jedno z nich, ustąpiły. Zajrzałem do środka. Tak, jeżeli pierwsze biurka były zajmowane przez podwładnych, to należały do Nathana i Alishy. Jedno z nich mogło nawet być zajmowane przez samego Provosta. Nic nie sugerowało, do kogo mogą należeć, a szu-

flady biurka i szafki były pozamykane na klucz. Niespecjalne zaufanie, co? To mi mówiło coś na temat Apostołów. Tacy otwarci z pozoru — choćby główne drzwi nie zamknięte na klucz — a jednak istniały sekrety, które musiały być trzymane pod kluczem. Postanowiłem nie wyważać żadnej z szuflad. Nie chciałem, aby wiedzieli, jak jestem blisko.

Na powrót w korytarzu zauważyłem schody. Znajdowały się na samym końcu i prowadziły na poddasze. Nie myślałem o tym wcześniej. Nie było tam żadnych okien, więc uznałem, że ta przestrzeń jest niewykorzystywana. A jednak prowadziły tam schody.

Wszedłem na trzeci stopień, kiedy zobaczyłem postać stojącą w górze schodów.

— Kurwa, kto tu? — zapytał mężczyzna.

Lecz ja już biegłem. On szybko pokonał stopnie, ale nie wystarczająco. Wypadłem przez główne drzwi i biegłem dalej. Nie sądziłem, że będzie gonił tu mnie, ale myliłem się. Na pewno miał buty, bo inaczej leśne poszycie porozcinałoby mu stopy w kilka sekund.

Nie miałem innego planu, tylko uciekać, ale oczywiście ten, co mnie gonił, znał las lepiej ode mnie. Nie wzywał pomocy, więc było jeden na jednego. Co więcej, ja miałem pistolet i nóż. Czułem się trochę pewniej, kiedy nagle zjawił się przede mną. Sięgnąłem po nóż, ale on uderzył mnie pięścią w twarz, a stopą w nogę. Wiedziałem, że celował w kolano, co znaczyło, że był wyszkolony. Trafił wyżej, osłabiając mi udo, ale nie paraliżując. Był szybki, co do tego nie było wątpliwości. Lecz ja teraz wydobyłem pistolet. Próbował go schwycić; jego ręka niczym wąż wystrzeliła spośród ciemności. Wykręcił mi nadgarstek, nieomal go łamiąc. Puściłem pistolet i sięgnąłem po nóż lewą ręką. Dzięki temu tamten miał sporo czasu, aby wymierzyć mi kolejne uderzenia ręką i nogą. Pięść trafiła mnie w skroń i ciemność nagle zamieniła się w pięćdziesiąt odcieni niesamowitego błękitu. Kopniak pochodził ze szkoły kung-fu i nieznacznie ominął moje serce. Był jednak na tyle silny, że zatoczyłem się między drzewa. Utrzymałem równowagę. Bóg jedyny wie jak. Wiedziałem, że muszę użyć tego cholernego noża.

Pojawił się księżyc i oświetlił jego nagi tors. Widać na nim było siatkę cięć od gałęzi, ale to nie spowalniało napastnika. Rzucił się na mnie z rozpostartymi rękami, pogardliwie odsłaniając zęby. Znał się doskonale na walce wręcz; wiedział, że nie będę mógł użyć noża w kłinczu.

Zrobiłem unik w bok, upadając przy tej okazji. Usłyszałem, jak sieknął, gdy minął się ze mną. Rozległ się trzask. Wstałem jak najszybciej. Dla niego siedzący cel to pierwszorzędna okazja. Ale kiedy spojrzałem, on

stał całkowicie nieruchomo, z rękami zwisającymi po bokach. Wtedy zauważyłem przyczynę. Z pleców sterczała mu niska gałąź. Nadział się na jakąś choinkę jak na włócznię.

— Jezu Chryste, dzięk ci za to — wyszeptałem. Potem włączyłem latarkę i odnalazłem pistolet. Wetknąłem sobie go na powrót za pas. Zastanawiałem się, czy nie zakopać ciała, ale wiedziałem, że to nie będzie łatwe. Jeżeli go tu zostawię, to każdego koronera można przekonać co do przedziwnego wypadku. Zdecydowanie nie wyglądało to na morderstwo. Zaświeciłem mu latarką w twarz i natychmiast zauważyłem podobieństwo do jego brata.

— Cześć, Nathan — powiedziałem.

W drodze na kemping cały się trząsałem. Nigdy dotąd nie byłem tak blisko śmierci. Nigdy nie widziałem tyle świeżej krwi z bliska. Oczywiście, widziałem ciało Maxa, ale nie było ciepłe. Obraz Nathana Kline'a pozostał nie ze mną jeszcze długo, gdy inne ofiary popadną w niepamięć. Ani alkohol, ani wakacje nie zamażą twarzy Nathana.

Clancy i Beljeszcze nie spali, czekając na mój powrót. Kiedy mnie zobaczyli, od razu wiedzieli, że coś poszło niepomyślnie. Połowę twarzy miałem opuchniętą i nadal kulałem po kopnięciu w udo. Włosy miałem zlepione potem, a ubranie powalane ziemią.

— Muszę jechać do szpitala — powiedziałem.

— Może jest jakiś w Port Angeles.

— Potrzebuję specjalisty.

— Michael choruje na hemofilię — wyjaśniła Bel.

— To trzeba będzie jechać do Seattle albo Tacomy — zdecydował Clancy.

Spakowaliśmy wszystko w świetle latarki, a raczej tylko oni, podczas gdy ja siedziałem w samochodzie. Kilku obozowiczów poskarżyło się na hałasy, a Bel wyjaśniła, że to nagła sytuacja i musimy jechać do szpitala. Miałem nadzieję, że nie powie czegoś niepotrzebnego. Teraz turyści gapi-li się na mnie, jakbym był okazem w zoo. Trzymałem pochyloną głowę, żeby nie widzieli sińców. Wiedziałem, że do rana większość obozowiczów zniknie, kiedy to ciało Nathana zostanie znalezione. Ale policja i tak ich odszuka gdzieś w parku i wypyta o dzisiejszą noc. A oni opowiedzą o mężczyźnie, który chował przed nimi głowę i musiał nagle wyjechać z kempingu w środku nocy.

Sprawy przyjęły niekorzystny obrót.

Wyjechaliśmy, gdy Bel zaczęła przeproszać.

— Po prostu nie myślałam — powiedziała.

— To nic.

Prowadził Clancy. Nie wiedział o żadnych promach, nie o tak późnej porze, więc skierowaliśmy się na południe szosą 101, a potem międzystanową 5 przez Tacoma do Seattle. Niezbyt daleko od naszego hotelu był szpital. Musieliśmy przejść przez typowo amerykańską biurokrację, spisywanie danych, podpisywanie zrzeczeń i rezygnacji, no i oczywiście chcieli wiedzieć, skąd dostaną pieniądze, zanim lekarz mnie obejrzał.

— Bójka przed barem — wyjaśniłem.

— Nie powinien pan wdawać się w bójki.

— To samo powiedziałem facetowi, który mnie uderzył.

Ostatecznie wypuścił mnie, choć nie bez wątpliwości, ale kazał zgłosić się do specjalisty rano. Zapłaciłem gotówką w recepcji i Clancy odwiózł nas do hotelu.

Obsługa nic nie powiedziała, kiedy Bel poprosiła o łóżko do pokoju. Może już wcześniej bladym świtem widzieli zmarnowanych turystów w rynsztunku do wędrowni.

Otworzyliśmy butelkę tequila, którą kupiła Bel, a ja obłożyłem sobie siniaki lodem zawiniętym w ręcznik.

— Nadal tego nie rozumiem — mówił Clancy. — Twierdzisz, że nazywa się Nathan *Kline*?

— Tak było napisane na jego teczce.

— Myślisz, że to jakiś krewny Kline'a?

— Byli podobni z twarzy.

Clancy potrząsnął głową. — Jezu — dodał.

— Kimkolwiek był, nie tak sobie wyobrażałem „apostoła miłości”. Znal się na walce wręcz tak, jak ja znam się na karabinach. Miałem szczęście, że walczyliśmy w nocy. Za dnia zabiłby mnie.

— Kim wobec tego był?

— Prawdopodobnie były wojskowy, coś w tym stylu. Może CIA albo NSC. Wiem tylko, że mimo to nie żyje.

Bel wpatrywała się we mnie, więc odwróciłem się do niej.

— Bel, nietęgo się z tym czuję, ale tym razem to była kwestia: albo on, albo ja. I nie zabiłem go, nadział się na gałąź. Ale i tak bym go zabił. Albo on mnie.

— Wiem — wyszeptała Bel. — Dobrze, że tamten zginął. — Zajął się na powrót drinkiem.

Clancy nie pojechał do domu. Spał w fotelu, a Bel i ja położyliśmy się do łóżek. Jeszcze trochę porozmawialiśmy i gdy słońce wstawało, w końcu zasnęliśmy. Zdaje się, że spałem godzinę, może trochę dłużej. Potem poszedłem do łazienki, zamknąłem drzwi i zapaliłem światło. Wyglądałem, jakbym ocalał po zderzeniu z ciężarówką wyładowaną drewnem. Klatka piersiowa i udo mieniły się kolorem fiołkowym i czarnym. Oko zamknęło się nieomal za sprawą opuchlizny poniżej. Przy dotyku było obolałe, ale przynajmniej nie straciłem zębów.

Chyba jednak nie umrę, pomyślałem. Hemofilicy rzadko umierają w dzisiejszych czasach, jeżeli tylko należycie dbają o siebie. Jednak i tak wrócę do szpitala i dam się należycie przebadać.

Zszedłem do recepcji i wyszedłem na świeże powietrze i nowy dzień. Jedynie w głowie miałem środek nocy i środek lasu, gdzie rozrywał mnie na kawałki wściekły komandos z dżungli. Starałem się nie kuleć. Wcześniej założyłem czyste ubranie. Dookoła pojawiały się sporadycznie ranne ptaszki. Ludzie jechali do pracy albo snuli się chodnikami, grzebiąc w śmieciach. Skierowałem się w stronę morza, aby zebrać myśli.

Nie miałem cienia wątpliwości, że Nathan to brat Kline'a, co bardzo mocno łączyło Apostołów Miłości z NSC. Tutaj pojawiało się pytanie: czy ktoś spośród Apostołów znał prawdziwą tożsamość Nathana? I gdyby się tak zastanowić, co było tak ważne, że Nathan ukrywał się przez prawie osiem lat, aby nie zdradzić, kim jest? Może już znaleźli jego ciało. Może skontaktowali się z policją. Jeżeli nie, to by tłumaczyło złożoność całej sekty. Musiałem wrócić na półwysep, aby zyskać pewność.

Chciałem także zwiedzić dom Nathana przy Hood Canal. Jeżeli chciałem to zrobić, musiałem działać szybko, zanim Kline dowie się o nazbyt podejrzanym zgonie brata.

— Piękny dzień na to — powiedziała jakaś kobieta, pokonując tory kolejowe z wózkiem z supermarketu. Właśnie powoli toczył się pociąg, wstrzymując kilka samochodów. Wiózł drewno, tysiące desek z południowej Kanady. Oboje przyglądaliśmy się, jak mija nas nieznośnie niemrawo.

— Piękny dzień na to — powtórzyła kobieta i pomachała do mnie na odchodnym.

Poszliśmy na śniadanie i zjedliśmy wielkie bułki nadziewane borówkami, pijąc mocną kawę. Powiedziałem Clancy'emu i Bel, że chcę wrócić na półwysep.

— Chyba zwariowałeś — stwierdził Clancy.

Wysłuchaliśmy porannych wiadomości w radio; nie było komunikatu na temat śmierci Nathana. Przed kilkoma minutami Clancy zadzwonił do kolegi w dziale wiadomości i zapytał, czy były jakieś doniesienia o „czymkolwiek” w parku. Odpowiedź kolegi była negatywna.

— Ty najpierw — zdecydowała Bel — musisz wrócić do szpitala. Nie chcę, żebyś mi się nagle przewrócił, Michael.

— I musimy zmienić samochody — dodał Clancy. Miał rację. O wiele bezpieczniej będzie pojechać na półwysep nowym samochodem. Obozowicze widzieli mnie w volkswagenie golfie, całkowicie odmiennym od trans-ama. — Słuchajcie, może podrzucę was do szpitala i pojedę po pontiaca, żeby was odebrać?

— Jak najbardziej — przystała Bel.

To więc ustaliliśmy. Upewniliśmy się, czy samochód jest gotów, i potwierdziliśmy konsultację w szpitalu. Przed wyjazdem z hotelu sprawdziłem, czy w golfie niczego nie zostawiliśmy.

Martwiłem się samochodem. Wystarczyło, że jeden turysta zapamiętał numer rejestracyjny i przekazał go policji, a oni natychmiast namierzą warsztat, którego właściciel zna Clancy'ego. A jak już dowiedzą się o nim, to będzie koniec.

Musiałem ślepo wierzyć, że nikt nie zapamiętał rejestracji, a nie lubiłem zdawać się na cokolwiek i kogokolwiek poza samym sobą.

Razem z Bel czekaliśmy trochę w szpitalu. Zauważyła, jak bardzo jest jasny i nowy, jak dobrze wyposażony. Ale jedynie podtrzymywała rozmowę, to wszystko.

— Poczekaj, aż zobaczysz, ile zażądamy — odparłem — wtedy nie będziesz tak się dziwić.

Wydawaliśmy pieniądze. Niechętnie myślałem o tym, jak dam radę zarobić więcej.

— Szkoda, że nie byłem przy tym, jak go zamordowałeś — powiedziała cicho Bel.

— Nie zamordowałem go — przypomniałem jej. — I na miłość boską, po co chciałybyś tam być?

Odwrociła się do mnie i uśmiechnęła lodowato.

Zobaczył mnie lekarz i wszystko wyglądało w porządku. Nalegał na kilka badań krwi, gdyż chciał „mieć pewność”, chociaż ja oponowałem, bo za kilka dni odlatuję do Anglii.

Po wszystkim rozstałem się z częścią gotówki. Osoba za biurkiem nadmieniła, że nie wie, ile wszystko będzie kosztować, gdyż badanie krwi wykonywano w niezależnym laboratorium, więc rachunek prześlą póź-

niej. Znowu podałem fałszywy adres, ten sam co poprzedniej nocy, i wyszedłem ze szpitala przekonany, że przynajmniej zaoszczędzę kilka dolarów.

Potem czekaliśmy na Clancy'ego. Czekaliśmy długo. W końcu zrezygnowaliśmy i pojechaliśmy taksówką do hotelu.

Recepcjonistka przypomniała sobie coś, kiedy stałem z Bel przed windą.

• — Och, panie West? Czy pańscy przyjaciele skontaktowali się?

— Słucham?

— Wczoraj wieczorem były dwa telefony do pana. Powiedziałam, że pan wyszedł.

— Przedstawili się?

— Przepraszam najmocniej, powiedzieli tylko, że czeka pan na telefon od nich.

Hm, w zasadzie to była prawda. Wróciłem do kontuaru.

— Będziemy się wymeldowywać — powiedziałem.

Kobieta wyglądała na zaskoczoną. — Mam nadzieję, że nic się nie stało?

— Muszę wracać do Anglii. Widzi pani, że miałem wypadek...

— Nie miałam zamiaru niczego sugerować, ale...

— A opieka medyczna jest tu zbyt kosztowna. Idziemy na górę tylko się spakować. Może pani przygotować rachunek?

— Tak, oczywiście.

Przyjechała winda. Wszedłem do kabiny za Bel. Poczekąta, aż drzwi się zamkną, zanim zapytała, o co chodzi.

— O wszystko — odparłem. — Ktoś wie, że tu jesteśmy. Musiało do tego dojść; mamy szczęście, że dotarło do nas to ostrzeżenie.

Spakowaliśmy się szybko. Colta commando trzymałem w torbie na wierzchu, a pistolet włożyłem za pasek. Jeżeli spotkasz kogoś w Stanach z koszulą zwisającą na spodnie, bądź pewny, że pod nią ukrywa broń.

Zapłaciłem rachunek, a recepcjonistka wyraziła nadzieję zobaczyć nas ponownie. Nie zakładałbym się o to; wyszedłem i przywołałem taksówkę. Dopiero kiedy samochód zatrzymał się przed drzwiami, dałem znak Bel, aby wyszła. Zapakowaliśmy nasze torby do bagażnika razem z reklamówką Clancy'ego. W środku był aparat fotograficzny, film i mały magnetofon kasetowy.

— Lotnisko Sea Tac? — zapytał taksówkarz. Ja jednak podałem mu adres warsztatu samochodowego.

Przejeżdżaliśmy blisko szpitala i trzymaliśmy się głównej trasy. Lecz ulica przed nami była odgradzona i policjant kierował ruchem.

— Pewno jakiś wypadek — odezwał się kierowca.

— Może pan się zatrzymać? — poprosiłem taksówkarza. Zatrzymał się. — Proszę czekać, to potrwa minutę. — Kazałem Bel nie ruszać się. Chyba wiedziała, o czym myślę. Zagryzła wargę, ale skinęła głową.

Podszedłem do kordonu. Przed nim tłoczyli się gapie. Na światłach stał samochód, dookoła kręcili się oficjałowie. Była też karetka, ale głównie widać było mężczyzn wyglądających na policjantów. Niektórzy robili zdjęcia.

Unieruchomiony samochód to nasz pontiac trans-am. Przednia szyba splamiona była krwią. Jeden z gapiów zapytał, co się dzieje. Drugi, który już tu trochę postał, chętnie podzielił się szczegółami.

— Ostrzelali go z samochodu. Chyba dealerzy narkotyków; robi się tu tak jak w Los Angeles. Facet nie żyje. Rozchlapało go po całym wnętrzu. Wygląda jak truskawki w mikserze, gliny mi tak powiedziały.

— Jak truskawki?

Odszedłem z obolałą nogą. Bel nie musiała pytać. Powiedziałem taksówkarzowi, że zmieniliśmy plany. Zawiózł nas na Aurorę, aż znaleźliśmy tani motel z czerwonym neonem oznajmującym wolne pokoje.

Przypominał mi ten pierwszy motel, w którym zatrzymaliśmy się po kupnie pontiaca: tandetne kolory i mało aktywne pokojówki. Poszedłem do maszyny z lodem, a Bel rozpakowała „wysterylizowane” plastikowe kubki, które znalazła w łazience.

Piliśmy tequile. Bel skończyła drugą i runęła na łóżko, zalewając się łzami. Stałem w oknie i spoglądałem na zewnątrz przez listewki żaluzji. Wybrałem pokój na tyłach motelu, chociaż nie wiedziałem, o ile bezpieczniejsze to będzie. Z okna miałem widok na parking, zaśmiecony, a za nim na wąską uliczkę zabudowaną rozsypującymi się ruderami, z trudem walczącymi o miano „bungalowów”.

— Co teraz? — odezwała się Bel.

— Trzymamy się planu — odparłem. — Z tym wyjątkiem, że teraz wiem, że są blisko. Ostrzeżony... uzbrojony.

— Tak, myjcie się, dziewczyny, bo... Michael, to nic nie znaczy.

— Bel. — Podszedłem do łóżka i podniosłem ją, mocno tuląc do siebie. Przeczesałem dłonią jej włosy. Nie wiedziałem, jak długo będziemy bezpieczni w tym motelu. Może kilka dni, może mniej. Przy Aurorze były

dziesiątki, może setki moteli. Lecz Kline albo jego ludzie przeszukają każdy z osobna. Im szybciej zabierzemy się do pracy, tym lepiej.

— Zostań tu — powiedziałem. — Włącz telewizor. Mają tu HBO.

— Nie chcę HBO! Chcę, żeby to się skończyło!

— Bel, to zaraz się skończy, uwierz mi. — Tylko sam nie wierzyłem sobie, że potrafię napisać finał.

Zrobiłem coś, co niewielu robi na Aurorze. Poszedłem pieszo. W zasadzie chodnika nie było, a kierowcy spoglądali na mnie jak na ofiarę wypadku. Na szczęście nie miałem daleko do przejścia. Motelu nie wybierałem na chybił trafił. Akurat znajdował się w pobliżu kilku komisów samochodowych. Wszedłem do pierwszego i przeglądałem ofertę. Było tu kilka poważnych wozów, wypolerowanych cacek z lat pięćdziesiątych i początku sześćdziesiątych, sam chrom, pionowe stateczniki, skóra. Co najważniejsze, chciałem mieć miejscowe tablice. Musieliśmy wtopić się w pejzaż.

— W czym mogę pomóc?

Sprzedawca był dokładnie taki, jakiego można sobie było wyobrazić: źle dobrane ubranie, cygaro w ustach. Chodził, szeroko rozstawiając stopy na boki, jego sylwetka przypominała piłkę do rugby: sam brzuch, schodzący się na górze i na dole. Zapytałem o kilka samochodów i powiedziałem, że może jeszcze wrócić. Nadmieniłem także, że płacę gotówką.

Następny komis pełen był zdezelowanych wozów, zupełnie tutaj nie nadających się do jazdy. Mieli jednak dobrego mechanika. Dzięki paru sztuczkom samochody wyglądały i chodziły ładnie. Trzeba było dobrze się przyjrzeć, żeby wiedzieć, jak tego dokonać. Amerykanie romansują z samochodami, w rezultacie na rynku dostępny jest milion produktów dla domorosłych mechaników. Można nalać do silnika jakiejś mazi, która tymczasowo powstrzyma wyciek oleju albo dzięki której silnik będzie chodził gładko, a przynajmniej nie będzie rządził jak pacjent chory na raka. Te specyfild nie dawały nawet odroczenia. To czysta szarlataneria.

Kolejny komis miał kilka ładnych, nowszych modeli. Spodobało mi się jedno volvo i starszy mercedes. Ford mustang to droższa opcja, którą rozważałem przez kilka minut, ale wtedy zobaczyłem volkswagena campera. Wiedziałem, że daleko mu do ideału. Nie przegoni nawet roweru, słabo radził sobie na wzniesieniach i przy tym był hałaśliwy. Ale mogliśmy wydostać się z miasta i spać w nim. Sprzedawca żądał czterech tysięcy dolarów, a po ldopotach z przesunięciem bocznych drzwi, zszedł do trzech i pół. Przyjrzałem się silnikowi. Miał dwugardzielowy gaźnik, choć nie zamontował go ekspert. Powiedziałem, że takiego nie chcę.

— To zmniejsza żywotność i cenę na rynku wtórnym — dodałem. Odszedłem od samochodu, potem odwróciłem się i znowu na niego popatrzyłem, gotowy wyrzucić go z pamięci.

— Aha, mówiłem, że płacę gotówką?

Sprzedawca zszedł do trzech i dodał, że podcina sobie gardło.

— To niech pan tylko nie zachłapie kołpaków — odparłem. Nie powinienem: wrócił obraz pontiaca i śmierci Sama Clancy'ego.

Uporaliśmy się z papierami i wyjechałem z parkingu. Układ kierownicy miał luz, ale nie na tyle duże, aby było to niebezpieczne. Kierunkowskazy też nie działały, więc nie zdobywałem sobie przyjaciół w drodze do motelu. Zaparkowałem tuż przed naszym pokojem. Bel stała przy drzwiach, obejmując się rękami, podskakując na palcach. Nie wiedziałem, że tak bardzo podekscytuje ją widok volkswagena.

— On żyje! — powiedziała. Wprowadziłem ją do środka i zamknąłem drzwi.

— Co?

— Nic mu nie jest, żyje. Mówili w wiadomościach.

Usiadłem na łóżku. — Clancy? — zapytałem.

Skinęła głową, powstrzymując się od płaczu. Razem oglądaliśmy telewizję w milczeniu, trzymaliśmy się za ręce. Minęło trochę czasu, zanim przysłała pora na kolejne wiadomości. W szpitalu był reporter.

— To ten sam szpital, w którym ja byłem.

Reporter donosił, że kierowca pojazdu, Sam Clancy, miejscowy dziennikarz, który ukrywał się po rzekomych próbach zamachu na jego życie, został postrzelony cztero- lub pięciokrotnie, w tym raz w głowę, raz w szyję i przynajmniej dwa razy w bark. Był w stanie stabilnym, choć nadal nie odzyskał przytomności. Przy łóżku czuwała policja, a przed pokojem uzbrojona straż.

— Ale numer! — Trudno mi było w to uwierzyć.

Pokazano wywiad z inspektorem. Zapytano go o poprzednie zamachy na życie Clancy'ego, ale policjant nie miał nic do powiedzenia w tym momencie. Potem rozmawiali z wydawcą Sama i jednym z kolegów z pracy. To mógł być ten, z którym rozmawiałem, gdy pierwszy raz zadzwoniłem do redakcji. W końcu pokazali zdjęcia pontiaca i warsztatu.

— Cholera.

Na pewno rozmawiali z właścicielem, który powie, że to nie był samochód Sama, nie, panie władzo, należał do jego znajomych z Anglii... a wtedy policja zacznie się zastanawiać: gdzie teraz są owi przyjaciele? A jak naprawdę się postarają albo dopisze im szczęście, powiążą Sama

i jego przyjaciół ze zniknięciem trojga ludzi późną nocą z kempingu, nie-
daleko miejsca tajemniczej śmierci, z których to jeden mężczyzna był po-
ważnie ranny.

Oczywiście Bel też to wszystko rozumiała i mocniej ścisnęła moja
dłoń. — Musimy ruszać — powiedziała. — Zanim to wszystko spadnie na
nas.

Pokiwałem głową, a ona uśmiechnęła się do mnie. — Och, Sam żyje!
On żyje, Michael!

Objęliśmy się, potem wyciągnąłem ją z łóżka. — Chodź, ruszamy
w drogę, czeka na nas świat.

— A właśnie — zorientowała się — co robiłeś w tym rzęchu?

Rzęchem pojechaliśmy z powrotem do Bremerton i dalej na półwysep
Olympic. Skrzynia biegów z uporem przełączała się na bieg jałowy, ale
poza tym nie było problemów. Van oczywiście nie miał klimatyzacji ani
radia. Lecz Bel zbadała łóżko i pootwierała wszysdne szafki, zdjęła pokry-
wę ze zlewu i ostatecznie spodobało się jej.

To prawda, że nie można było nigdzie zaparkować na drodze biegną-
cej wzdłuż kanału. Prawdopodobnie zrobiono tak celowo, aby turyści nie
zatrzymywali się i nie gapili na te wszystkie ładne domy. Jednak nie za-
wsze widać było dom z podjazdu i na odwrót, zatrzymałem się więc na
podjeździe posesji kilka działek dalej, po drugiej stronie ulicy w stosunku
do domu Nathana. W rezultacie blokowałem wjazd, ale mogło to prze-
szkadzać jedynie ludziom, którzy tu mieszkali, a oni mogli się o tym nig-
dy nie dowiedzieć. Clancy wspominał, że wiele z tych posiadłości używa-
no jedynie w weekendy albo podczas wakacji. Obszedłem volkswagena
od tyłu i otworzyłem silnik, żebyśmy mogli powołać się na jakieś mecha-
niczne kłopoty, gdyby ktoś nas zagadnął. Powiedziałbym, że czekamy na
speców od staroci.

Dłużyło się nam w vanie. Nie zabraliśmy z sobą nic: nic do jedzenia
ani do picia, ani nawet do czytania. Bel znalazła talię kart w schowku na
rękawiczki, ale było ich tylko trzydzieści trzy. Poszukała więc innych
szpargałów. Brudny banknot dolarowy, poszewkę na poduszkę, gwizdek
od czajnika, nie ruszony listek gumy Wrigley's i pompkę do roweru.

— Moglibyśmy otworzyć sklep z rupieciami — orzekła Bell.

— Ty lepiej popatrz na to...

Spojrzała przez przednią szybę. Z domu Nathana wyjeżdżał samo-
chód. Nie było go wcześniej, kiedy przejeżdżaliśmy, musiał więc być
w garażu. Był elegancki, długi z przodu, o linii schodzącej do tyłu. Podej-

rzewalem, że jest to sedan buick. Tyle widzieliśmy samochodów po drodze, że stawaliśmy się ekspertami.

— To lincoln — stwierdziła Bel.

— Tak?

Kiedy wóz nas mijał, mignęła mi postać na tylnym siedzeniu. Dostrzegłem jedynie platynowe włosy i garnitur, ale nam to wystarczyło.

— Chcesz się włamać do domu? — zapytała Bel.

Zastanawiałem się nad tym, ale teraz zaprzeczyłem. — Dom to tylko miejsce spotkań. Tam chyba nic nie znajdziemy.

— To co robimy?

— Jedziemy za Kline'em — zdecydowałem. — Ty prowadzisz.

— Co? — Zaczęliśmy zamieniać się miejscami.

— On ciebie nie zna — dodałem. — Przynajmniej nie poznał ciebie. Jak będziemy go śledzić, lepiej, żebyś to ty siedziała z przodu, a ja z tyłu.

— Widział mnie, kiedy wysiadłam z samochodu wtedy w Oban.

— Widział nie więcej niż tył twojej głowy. Poza tym, wtedy nie miał okularów przeciwsłonecznych.

Bel wcisnęła się za kierownicę. — Teraz jest już pewnie w połowie drogi do Seattle.

— Nieważne — odparłem. — Chyba wiem, dokąd jedzie.

Problemem był **prom**, a raczej mógł być. Zostaliśmy tam w vanie, siedzieliśmy z tyłu, udając, że gramy w karty naszą niekompletną talią.

— Zabieram — powiedziała Bel. Nie podnosiliśmy wzroku znad stolika na wypadek, gdyby Kline przechodził przypadkiem i rzucił na nas okiem. Dla ludzi z zewnątrz musieliśmy wyglądać na tak zaprzątniętych grą, jak każdy fanatyk pokera. Nie musieliśmy się martwić. Wóz Kline'a stał w innym rzędzie, jakieś osiem samochodów przed nami. On też został w środku, a jego kierowca poszedł zapalić na pokład. Widziałem kierowcę przez krótką chwilę i poznałem go; to ten sam, który woził Kline'a wtedy w Oban.

Pojechaliśmy za nimi z promu, ale zgubiliśmy na stromych ulicach centrum Seattle. To nie miało znaczenia. Poprowadziłem Bel na Queen Anne, a potem dalej, do wielkich budynków przy Bigelow. Druga uliczka, w którą wjechaliśmy, to była ta właściwa.

— Jak działa hamulec ręczny? — zapytała Bel, parkując na poboczu.

— Jeszcze go nie potrzebowałem.

Dom Provosta szczylił się garażem w piwnicy, a prowadził do niego pochyły zjazd z poziomego chodnika. Tam był zaparkowany wóz Kline'a.

Bel pojechała jeszcze kawałek dalej w dół zbocza, co nam się przydało. Nie mogliśmy rzucać się w oczy. Nadal było jasno, aleja mimo to postanowiłem zaryzykować.

— Zostań tu — powiedziałem do Bel.

— Zawsze to mówisz.

— Teraz mówię poważnie. — Wsiadłem z vana, wsadziłem ręce do kieszeni i pogwizdywałem jak koleś w drodze z pracy do domu. Szedłem pod górę i mijałem samochód Kline'a. Bel miała rację, to był lincoln. Rejestracja chyba nic mi nie pomoże, ale i tak zapamiętałem numer. Mijałem ścieżkę prowadzącą z boku domu. Spojrzałem w górę i w dół ulicy; nikogo nie było, nikt nie widział, jak nurkuję w zarośla i zaczynam czołgać się do frontowych drzwi. Clancy wspominał o lampach reagujących na ruch. Miałem nadzieję, że system działa jedynie w nocy.

Usłyszałem głosy. Stosownie zwolniłem. Poznałem głos Kline'a, potem odezwał się inny mężczyzna. Co dziwne, ale prowadzili rozmowę — i to rozgorączkowaną — na progu domu Provosta. Słyszałem strzępki zdań. Kline mówił ściszym głosem, ten drugi rozłoszczonym.

— Mówiłem ci, żebyś tu nie wracał! Ty nigdy nie słuchasz! — to mówił ten drugi.

Wtedy znalazłem się z nosem tuż przed kolczastym krzakiem. Spoglądałem spomiędzy liści. Od frontowych drzwi oddzielał mnie trawnik wielkości znaczka pocztowego. W drzwiach stał mężczyzna i spoglądał z góry na Kline'a i jego kierowcę. Kierowca trzymał ręce założone na plecach. Kline stał z rękami w kieszeniach, z pochyloną głową. Zaczął coś mówić, czego nie słyszałem. Ponad trójką mężczyzn dostrzegłem lampę wysoko na ścianie. Była wycelowana w moją stronę i paliła się. Musiałem ją uruchomić. Modliłem się, aby oni nie spojrzeli do góry i nie zobaczyli światła. I tak nic więcej nie dało się zrobić.

Wobec tego skoncentrowałem się na Provoscie.

Widziałem go po raz pierwszy. Robił wrażenie jego wygląd szalonego profesora. Wyglądał, jakby przytył od niedawnych zdjęć publikowanych w gazetach. Brodę miał dłuższą i bardziej siwą, kędzierzawe włosy miał odgarnięte z czoła i zaczesane do tyłu, jakby cały był naelektryzowany. Był ubrany w dżinsy i T-shirt, a do tego stary, zapinany sweter. Na szyi miał sznur grubych koralików, których dotykał, gdy mówił. Jego postawa jasno wyrażała, że nie ma zamiaru wpuścić Kline'a za próg. To było najbardziej zaskakujące.

Kiedy Kline skończył przemówienie, Provost spojrzął w niebo, szukając wskazówek. — Słuchaj — powiedział potem z akcentem wykształ-

conej osoby — po prostu, kurwa, odpiardol się, dobra? Czy o zbyt wiele proszę?

Znowu jakieś mamrotanie Kline'a.

— *Wiem*, że ten jeden nie żyje — warknął Provost. Chodziło mu o Nathana. Krwawa śmierć Nathana nadal nie pojawiała się w wiadomościach. Na pewno Kline i jego ludzie zajęli się maskowaniem sprawy. Provost nadal mówił: — I jak dotąd nie wiemy nic poza tym, że tamten nie żyje. Do czego zmierzasz?

Nieomal zagwizdałem: Provost nie znał powiązania między Kline'em a Nathanem. Nawet przez chwilę czułem żal wobec Kline'a, który dopiero co stracił brata. Potem uśmiechnąłem się w duchu.

Lampa u góry nadal się paliła. Dziękowałem Bogu, że nie jest podłączona do jakiegoś alarmu. Była jeszcze kamera, ale wycelowana w ścieżkę, tuż przed frontowymi drzwiami. Kline szurał nogami. Dodał coś jeszcze, a potem odwrócił się, aby odejść.

• — No — powiedział Provost — i nie zapomnij, kurwa, zabrać tego goryla. — Widziałem, jak goryl zaciska pięści za plecami. O rany, miał ochotę walnąć Provosta, ale zdobył się jedynie na potajemne wytknięcie środkowego palca.

Poczekaliśmy, aż odjadą, a Provost zamknie i zarygluje drzwi. Wtedy ruszyłem w dalszą drogą po okręgu, tam gdzie zarośla kończyły się tuż nad basenem. „Basen” to raczej przesada; była to przerośnięta balia. Balkonowe okna były otwarte i powiewały w nich firanki. Widać było przez nie obszerny, biały salon, pośrodku którego stała przysadzista kobieta. Głaskała Provosta po głowie i całowała go w kark, coś szepcząc. Mrużyłem oczy przed blaskiem zachodzącego słońca. Z drugiej strony domu dobiegł mnie odgłos, jak Kline wyjeżdża samochodem na ulicę. Kobieta miała długie, pozbawione blasku włosy, a ubrana była w zwiewny kaftan, który powiewał na wietrze wpadającym przez okna. Domyślałem się, że może to być Alisha. Odsunęła się od Provosta, który pocierał twarz dłońmi: człowiek dźwigający ciężar świata. Zaczął trzepotać rękami i coś wykrzykiwać bliski obłędu lub szaleństwa, czegoś w tym rodzaju.

— Jerry, co tam ci przyszło do głowy? — zapytałem pod nosem w nadziei, że Provost krzyknie coś w odpowiedzi.

Jednak zamiast reakcji Provosta kobieta zdjęła kaftan przez głowę i spuściła na podłogę. Pod spodem była naga. Nie był to zły ruch. Provost przestał się gryźć i zaczął patrzeć. Było na co; między innymi na niemożliwie wielkie piersi. Podeszedł do niej, a ona ujęła jego głowę i przytuliła do siebie. Wtedy wydał się niczym dziecko, a ona przemawiała do niego

szeptem, głaskała go i uspokajała. Odsunął się od niej po dłuższym czasie i zaczął zdejmować ubranie, a ja wycofałem się rakiem poprzez zarośla na ulicę.

Kolana i łokcie miałem czarne od ziemi, a przy dodatkowo posiniaczonej twarzy nie miałem wątpliwości, że jak ktoś mnie zobaczy, bez wahania wezwie policję. Tak więc pobiegłem w miarę możliwości do volkswagena i wsiadłem.

— Widziałam, jak odjeżdżali — powiedziała Bel. — Jak od razu nie wróciłeś, myślałam, że...

Ugasiłem jej panikę pocałunkiem. Zadziałało to tak samo jak na Provosta. Opowiedziałem, co odkryłem u Provosta, ale ona niewiele z tego rozumiała.

— Cały czas sprawy coraz bardziej się komplikują.

Miała rację. Trochę trwało, zanim dotarliśmy z powrotem na Aurorę, gdzie staliśmy się ofiarami wieczornych godzin szczytu. Zauważyliśmy „drive-in” z hamburgerami, zatrzymaliśmy się więc na obiad. Ów specjał był wielki i smakowity. Wtedy Bel wypaliła:

— Chcę zobaczyć się z Samem.

24

Nowy Jork w stanie Nowy Jork. Hoffer wrócił do swojego żywiołu. Kochał tu wszystko, począwszy od Brooldynu, a skończywszy na dolnym Manhattanie. Tu było jego miejsce, razem z wszystkimi innymi ludźmi interesu, lawirantami, kowbojami i szwindlarzami. Rozumiał Nowy Jork, znał zasady, wiedział kiedy grać i jak grać. Inne miasta, inne kraje: pieprzyć je.

Staął przed galerią z bohomazami i poczuł taką euforię, że nieomal wszedł schodami do swojego biura. Jednak zdecydował się na jadłodajnię naprzeciw i telefon do sekretarki.

— Moira, kochana, jestem tu na dole, gdyby ktoś mnie potrzebował.

— Oczywiście. Constantine tu jest.

— Przyślij go na dół za pięć minut.

— Dobra. Przywiozłeś mi coś?

— Hm?

— Pamiątkę — nalegała. — Chciałam coś królewskiego. — Najwyraźniej się niecierpliwiła.

— Daj mi spokój — odpalił Hoffer, odwieszając słuchawkę. Nie poznawał żadnej z kelnerek. Ta, która podeszła do jego stolika, powiedziała, że są wakacje, wszyscy z obsługi na sali odpoczywają na urlopie.

— A ty, skarbie, nie chcesz *odpocząć*? — zagadnął Hoffer z uśmiechem.

Przestała żuć gumę i spojrzała na niego. Nie można było powiedzieć, że to spojrzenie wyraża „zainteresowanie”.

— Tylko kawę — zdecydował Hoffer, zwalniając kelnerkę.

Zerknął na zegarek. Pięć minut to dosyć czasu na szybką kawę. Nie zamierzał tu zostać, nie z Constantine'em. Ten skurwiel zawsze był głodny i nigdy nie miał dosyć pieniędzy, żeby się najeść.

Constantine to jeden z trzech pracowników Hoffera. Właśnie wrócił z Bostonu i Hoffer oczekiwał sprawozdania. Tymczasem wypił swoją kawę. Na ulicy tłoczyły się taksówki i pijacy, a do tego paru turystów. Ktoś z pozoru zainteresowany kupnem bazgrołów na płótnie wszedł do galerii. Chyba w ogóle pierwszy klient. Wtedy Hoffer zauważył Constantine'a; wyszedł z budynku. Facet był młody; zaledwie po dwudziestce. Zawsze elegancko ubrany. Hoffer domyślał się, że ma robotę na boku. Na pewno nie stać go było na te wszystkie ciuchy z tego, co mu płacił. Constantine był bystry, mimo swoich lat. Wyrósł na ulicy, a przynajmniej niedaleko i do tego umiał posługiwać się słowami. Przeważnie potrafił zachęcić ludzi do mówienia.

Hoffer czekał na Constantine'a przy drzwiach do baru. Objął go ramieniem i zabrał od drzwi.

— Przejdziemy się, przewietrzymy.

— Miałem ochotę na sernik — poskarżył się Constantine.

— Dobra, chłopie, później. Najpierw opowiedz mi o Bostonie.

Co było opowiadać? Constantine uzbrojony w informację, że Demolka i Harrison wyładowali tam, musiał jedynie znaleźć ich hotel.

— Zostali tylko jedną noc — zdawał raport pracodawcy. — Personel prawie wcale ich nie widział. Pewnie poszli kimać.

Hoffer słuchał jednym uchem. Dzięki koledze w FBI i kontaktom Roberta Walkinsa udało mu się dowiedzieć co nieco o Donie Klinie. Przez ostatni dzień więcej o nim myślał niż o Demolce. W końcu Demolka nigdy nie ośmielił się przeszkadzać Hofferowi w porze śniadania.

Kline służył niegdyś w NSC. Nikt nie wiedział, dlaczego zrezygnował; a przynajmniej nikt o tym nie mówił. To nie dawało spokoju Hofferowi, bo nie był pewien, kto płacił Kline'owi. Ktoś musiał. Ta wycieczka do Anglii trochę kosztowała, a do tego musiał wykarmić swoich ludzi. Kline

martwił Hoffer'a bardziej niż sam Demolka. Może denerwował się, że Kli-
ne może wytropić Demolkę przed nim. Może było coś jeszcze...

— Co mówiłeś? — rzucił nagle do prawnika.

— Hotel z tej samej sieci — powtórzył Constantine. — Tam pojecha-
li z Bostonu.

— Dokąd?

— No, tutaj — odparł Constantine, szeroko rozkładając ramiona. —
To cały czas ci mówię. Tu, na Manhattan.

— Gdzie na Manhattan?

— Na rogu Czterdziestej Drugiej i Siódmej.

Hoffer już machał na taksówkę.

Hotel był typowym miejscem dla turystów, pozbawionym stylu, **ale** wy-
starczająco czystym. Zameldowali się jako państwo Weston i znowu za-
trzymali się tylko na jedną noc. Hoffer wręczył dwadzieścia dolarów re-
cepcjoniście.

— A jak spędzali czas?

— Mówiąc szczerze, proszę pana — odparł mężczyzna — w ogóle
ich nie pamiętam.

-- Nie, na pewno?

Recepcjonista potrząsnął głową.

— Cóż, dziękuję za poświęcony czas. Za to, na ile liczysz, mógłbym
sobie wziąć dziwkę. — Hoffer odwrócił się i znalazł się twarzą w twarz
z Constantine'em. — Nie podoba mi się to — stwierdził.

— Co?

— To, że Demolka tu był. To, kurwa, moje miasto! — Potem we-
pchnął ręce do kieszeni i wypadł z hotelu, nieomal przewracając po dro-
dze dwóch starszych turystów. Constantine podążył za nim na ulicę. Hof-
fer odwrócił się tak gwałtownie, że prawie wpadli na siebie. — Dobra —
zdecydował — sprawdź samoloty, pociągi, autobusy, wypożyczalnie sa-
mochodów, parkingi. Niczego nie opuszczaj. Uważaj na takie nazwiska
jak: Weston, West, Wesley, a imiona: Michael albo Mark. I pamiętaj, że
ma towarzyszkę. — Hoffer odwrócił się w stronę ruchliwej ulicy. Nie wi-
dział samochodów. — Co tutaj robił? — zapytał. — Po co tu przyjechał?
Musiał tu przyjechać z kimś się zobaczyć, może miał coś schowane...

— Wodzu, nie sądzi pan, że on tu jeszcze jest?

— A co to ja, kurwa, jestem: Siedzący Byk? Nie nazywaj mnie żad-
nym „wodzem”, zrozumiano?

— Pewnie. — Constantine przełknął ślinę. Nigdy nie widział takiego szefa. A mówiąc dokładnie, to w ogóle rzadko widywał szefa, i tyle. Choć facet płacił, zawsze na czas i zawsze tyle, ile trzeba. I to należało szanować. Pieniądze, wyłączając Giantów, własną matkę i związek Cary Granta z Katherine Hepburn, to jedyne, co się naprawdę liczyło.

— No, to na co czekasz? — zapytał Hoffer. — Na wdzięczność?

Wtedy odwrócił się od Constantine'a i odszedł. Constantine patrzył, jak odchodzi. Przez moment zrobiło mu się go żal. Nie chciałby być Leo Hofferem, choćby jeden dzień, nawet za sto tysięcy dolarów (a jak mnie mał, tyle właśnie Hoffer zarabiał rocznie). W przerośniętym ciele Hoffera nie mogło zostać zbyt wiele życia, najwyżej dziesięć lat. Faceci w jego typie nie żyli długo: byli jak dinozaury, też bez szans na przetrwanie.

W końcu uwagę Constantine'a odwrócił bar z hamburgerami po przeciwległej stronie skrzyżowania. Zagłębił rękę w kieszeni i zaczął przeliczać drobne.

Hoffer, po powrocie wieczorem do swojego mieszkania, wziął prysznic i pożałował. Uszyjeszcze nie doszły do siebie po locie i do jednego z nich dostało się trochę wody z mydłem. Zupełnie jakby wlał sobie wosku, a ten w środku żył własnym życiem, zaczął trzaskać. Może płyn mutował i ewoluował. Hoffer wetknął do ucha zapałkę, ale to bolało, zostawił więc wosk w spokoju. Może to coś więcej niż wosk, jakaś infekcja albo coś innego. Zażył środki przeciwbólowe, popijając tego beczkowym alkoholem. Potem osunął się na kanapę i rozejrzał dookoła.

Mieszkanie było nijakie. Żadnej osobowości ani nic w tym rodzaju. Było to miejsce do spania, czasami do bzykania, miejsce, żeby coś ugotować, jeżeli mu się chciało. Nie miał żadnego hobby i nie miał zamiaru marnować czasu na remonty ani nic w tym rodzaju. Nigdy nie sprowadzał tu przyjaciół, bo ich nie miał. Było paru facetów, z którymi mógł iść na mecz albo pograć w pokera, ale zawsze szli gdzie indziej, nie tutaj. Byli to znajomi jeszcze z czasów służby. W zasadzie ostatnio trzymał się bardziej ze starymi gangsterami niż z glinami. Znak czasu w jego życiu.

Nie mógł przypomnieć sobie ostatniej kobiety, którą tu przyprowadził. A niby dlaczego miałyby? To zawsze były numery na jedną noc, kobieta zawsze była pijana, a co za tym idzie Hoffer też. Miał nad czym się użalać. Mógł tak siedzieć i się mazać całą noc jak dziecko. Albo mógł iść się urządzić do pobliskiego baru. Zamiast tego wyciągnął akta, które dostał od Joe Drapera. I znowu zaczął się zastanawiać, co tu robi, skoro mógłby być w Seattle? Wiedział, że tam właśnie skieruje się Demolka, może nie od

razu, ale prędzej czy później. Co więc Hoffer robi! w Nowym Jorku? Zda-
je się, że miał połowę odpowiedzi: chciał, aby Demolka wykonał swoją ro-
botę; bo Hoffer też chciał wiedzieć, kto wystawił Demolkę i dlaczego.
Chciał wiedzieć, kto jeszcze uganiał się za Demolką tak samo jak on. Po
części to współzawodnictwo nie podobało się mu. Zupełnie jakby ktoś
chciał mu skraść ulubionego psiaka.

Jednak chodziło tu o coś więcej. O Kline'a. Nadal nie rozumiał, jak on
pasuje do tej łamigłówki, ale wiedział, że Kline będzie na niego uważał.
Od powrotu do Stanów rozglądał się za tajniakami, za pluskwami. Kline
będzie chciał go namierzyć. Hoffer nie chciał się za bardzo spieszyć.
Wkrótce dojedzie do Seattle, ale na własnych warunkach. A do tej pory
może Kline i Demolka zdemaskują się. To będzie ciekawe. A nawet bar-
dzo.

— Tak — powiedział do siebie, kiwając głową. Wtedy wstał i założył
marynarkę. Nagle zapragnął dwóch rzeczy: drinka i towarzystwa.

— Proste potrzeby — mruknął, zamykając za sobą drzwi.

25

Nadeszła pora, aby Bel się przebrała.

Pofarbowaliśmy jej więc włosy na czarno i pomogłem jej ściąć je tro-
chę. I tak już miała krótkie włosy, a teraz wyglądała jakjeż. Chociaż nie
powiedziałem jej tego. Bel podobała się fryzura. Przeczesała dłonią wło-
sy, szczecina była miła w dotyku. Tuszem do rzęs pofarbowała sobie brwi.
Potem zaczęła bawić się zestawem do makijażu, który kupiliśmy w super-
markecie obok motelu.

Przystrzygła też mnie włosy. Była w tym dobra, kiedyś się tego uczyła.
Sam wybrałem farbę niezbyt szczęśliwie i zostały mi pasemka. Z brwiami
dałem sobie spokój.

— Jak wyglądam? — zapytała Bel. Prawda była taka, że wyglądała
oszałamiająco. Już nie jak Bel. Oczy miała mocno umalowane, czarne
i niesamowicie sexy. Trudno było na nie patrzeć, by zaraz nie odwrócić
głowy. Upudrowała sobie lekko policzki i umalowała usta wiśniową po-
madką. Kupiła tanią biżuterię; teraz założyła kolczyki, bransoletki i złoty
łańcuszek na szyję.

— Wyglądasz inaczej.

— O to chodzi. — Wydęła wargi. — I co, Mikey, teraz mogę iść do
szpitala?

— Tylko nie staraj się mówić z amerykańskim akcentem, dobra?

— Masz to u mnie, Mikey.

W zasadzie, jak na mój słuch, miała całkiem dobry akcent. Jedyna wada polegała na tym, że mówiła jak aktorka, nie jak realna osoba. Zdaje się, że podebrała akcent z telewizji i filmów, a nie podczas naszych podróży.

Najwyraźniej była pewna siebie, więc zawiozłem ją do miasta. Po części miałem nadzieję, że wejdzie do pokoju Clancy'ego i zostanie aresztowana na miejscu. Nie sądziłem, że coś im powie, ale przynajmniej będzie bezpiecznie zamknięta. Zastanawiałem się, czy nie zadzwonić z budki i dać im cynk, tylko że ona wiedziałyby, kto to zrobił.

Wysadziłem ją więc niedaleko szpitala i objechałem kwartał ulic. Był tu parking dla gości, a skoro nie znalazłem miejsca gdzie indziej, na nim właśnie skończyłem. Problem polegał na tym, że stamtąd nie widziałem wejścia do szpitala. Wsiadłem z vana i zacząłem chodzić, stukając obcasami, jakbym czekał na kogoś. Nie byłem sam. Było jeszcze paru innych mężczyzn, którzy zachowywali się podobnie, a do tego taksówkarz żujący gumę, wystawiający przez okno ramię z tatuażem i bębniący palcami o dach.

Wieżór był ciepły, ale nie parny. Mniej więcej o tej samej porze roku byłem tu oglądać wieloryby. Dopisało mi wtedy szczęście. Widziałem kilka stad orek. Nie pamiętam, dlaczego wybrałem się na wieloryby, ale cieszę się, że mi się udało.

— Nie cierpię szpitali. — Usłyszałem czyjś głos. Odwróciłem się. To był taksówkarz. Podszedłem do niego. — Mógłbym czekać w środku, nie? Ale wolę w samochodzie. W środku może wziąłbym kawę, ale wtedy czułbym te zapachy. Zna pan te zapachy? — Pomachał dłońmi przed nosem. — Cholerne szpitalne, specyfiki w butelkach. Takie tam.

— Wiem, o co chodzi.

— Papierosa? — Podsunął mi jednego, aja z jakiegoś powodu poczęstowałem się. Kierowca zdecydował, że już przełamał lody, i wysiadł z taksówki. Już na zewnątrz zapalił oba papierosy. Miał twarz eksboksera i kilka wyblakłych tatuaży na rękach. Ubrany był w koszulę z krótkimi rękawami, a w kieszonce na piersi tkwił rząd długopisów. — Myślał pan kiedyś, ilu ludzi tam umiera, jak tu się czeka, co? Ilu tam flaki wypruwa albo wykrwawia się?... Bił się pan czy co?

Dotknąłem twarzy. — Tak, coś w tym rodzaju.

— Jezu, czym on pana uderzył, łyżką do opon?

— W zasadzie to pięścią.

Taksówkarz zagwizdał. — Wielki skurwiel był, co?

— Wielki.

Kierowca napiął ramiona; pewnie zastanawiał się, czy poradziłby sobie z moim przeciwnikiem.

— Boksował pan? — zapytałem.

— Tak. Kiedyś tak.

— Tak podejrzywałem.

— A pan?

— Jestem pokojowo nastawiony.

— Według mnie każdy jest pokojowo nastawiony, dopóki coś go nie wkurzy porządnie. Za młodu byłem agresywny. Co miałem zrobić, być wrzodem na dupie czy iść na ring? Wejść na ring, tam jest zgoda na agresję. To rozrywka.

— Lubił pan to, co?

— Nie lubiłem dostawać wpięprz...

Już go nie słuchałem. Obserwowałem wejście. Właśnie wyszło ze szpitala kilka osób i stało na stopniach. Najpierw rozpoznałem Kline'a. Minęła chwila, zanim poznałem Bel.

Kline rozglądał się po ulicy. Z początku myślałem, że mnie szuka, ale tak naprawdę czekał na samochód. Jeden z jego ludzi, pasażer na przednim siedzeniu z Oban, powiedział coś do radia. Bel gapiła się w ziemię. Kline trzymał rękę na jej ramieniu.

— Hej, nic panu nie jest?

Papieros wypadł mi z ust. Odwróciłem się od kierowcy i szybko poszedłem do vana. Wsiadłem z tyłu, otworzyłem szafkę i wyciągnąłem colta commando. Był załadowany i gotowy do akcji. Potem przenieśliem się za kierownicę i zapaliłem silnik. Taksówkarz szeroko otwierał oczy ze zdziwienia, kiedy go mijałem, w jednej ręce ściskając kierownicę, a w drugiej broń.

Samochód Kline'a właśnie podjechał. Podprowadzili Bel do krawężnika. Nabrałem prędkości i uderzyłem w ten krawężnik, wjeżdżając vanem na chodnik. Kline i jego ludzie wpięprz wyglądali na zaskoczonych, potem na przerażonych. Zanurkowali na boki, kiedy wypaliłem kilkakrotnie. Bel nie trzeba było mówić, co ma robić. Otworzyła drzwi od strony pasażera i wspięła się do środka.

— Hej, Kline! — ryknąłem. — Musimy pogadać.

Kucał za samochodem. — Spierdalaj!

Wypaliłem jeszcze raz, żeby utrzymać ich w tej pozycji, potem wycofałem, wrzuciłem pierwszy bieg i ruszyłem z wyciem silnika.

— Pochyl się! — krzyknąłem. Wystrzeliłem w powietrze, ale oni już się nie bali. Początkowe zaskoczenie ustępowało i teraz szukali pistoletów. Słyszałem, jak pociski trafiają w bok i tył vana. Nie trafili w opony. Ostro skręciliśmy w prawo, przejechaliśmy na czerwonym świetle, a potem w lewo. Za cholerę nie wiedziałem, gdzie jesteśmy, ale na pewno byliśmy poza zasięgiem.

— Coś nie mamy szczęścia z naszymi samochodami — zauważyłem. I pomyślałem: teraz już wiedzieli, że jestem poważnie uzbrojony i jeżdżę volkswagenem vanem. Może nawet zapamiętali numer rejestracyjny. To tylko trzy litery i trzy cyfry, łatwo zapamiętać. Zerkałem w lusterko wsteczne, ale nie było widać pościgu. Zwolniłem nieco, aż zorientowałem się, gdzie jestem. Wkrótce znaleźliśmy się z powrotem na 99 i jechaliśmy na północ.

— Nie chcesz wiedzieć, co się stało? — zapytała Bel. Cała drżała. Podkręciłem moje okno. Potem zorientowałem się, że przecież ona nie drży z zimna.

— To co się stało? — Byłem na nią bardziej niż zły, byłem wściekły. Mówiłem jej, aby tam nie szła. Wiedziałem, że to głupi pomysł. Jednak jej nie powstrzymałem. Byłem wściekły na siebie.

— Musieli być w hallu, tylko ich nie zauważyłam. Zapytałam, gdzie znajdę Sama Clancy'ego, a kobieta w recepcji wskazała mi drogę. W połowie korytarza złapali mnie. Dobrze mi się przyjrzeni, a wtedy Kline kazał mi coś powiedzieć.

— Wypróbowałaś amerykański akcent?

— Tak. Ten gnój mnie uderzył. Zaczęłam go wtedy przeklinać, a on tylko się uśmiechał. A potem powiedział, że wie, kim jestem, i zapytał mnie, gdzie ty jesteś.

— Jak mnie nazwał?

— Weston.

— Nie West?

— Nie, Weston. A może West. Nie wiem. Jezu, Michael, byłam sparaliżowana.

— Powiedziałaś im coś jeszcze?

— Powiedziałam, że wiem, że zamordował mojego ojca i że ja go za to zabiję.

— No, to powiedziałaś mu całkiem sporo z tego, co chciał wiedzieć. Teraz nie może puścić nas wolno.

Zagryzła wargę. — Dzięki, że mnie wyciągnąłeś.

Udało mi się do niej uśmiechnąć.

Minąłem motel, nie zatrzymując się. Skręciłem przy barze szybkiej obsługi i poczekałem minutę przy drodze. Nikt za nami nie jechał.

— Jutro znowu musimy się przeprowadzić. Dzisiaj będziemy spać na zmianę. Ten drugi obserwuje z okna. Dobra?

— Dobra.

Jak się okazało, nie miałem serca jej budzić. Przede wszystkim to tylko moja wina, że ona tu się znalazła. Co chciałem osiągnąć, zabierając ją do Londynu? Oczywiście, gdybym jej nie zabrał, prawdopodobnie zabiliby ją tak samo jak Maxa. Ta myśl przegnała winę. Siedziałem przy oknie. Wychodziłem czasami do automatu po lodowatą colę i batoniki. Zgryzłem kilka tabletek z kofeiną, aż tętno zrobiło się za szybkie. Znałem każdy centymetr parkingu, każdy śmieć porywany przez wiatr. Sodowe światło latarni raniło mi oczy. Zamknąłem oczy na sekundę za długo. Zasnąłem.

Było rano, kiedy się obudziłem. I to wcale nie wczesne.

Przez okno zobaczyłem pokojówkę z wózkiem do sprzątania. Patrzyła na mnie, więc potrząsałem głową, a ona przepchnęła wózek do następnego pokoju, zastukała w drzwi i weszła.

Spojrzałem na zegarek. Była dziesiąta piętnaście. Wstałem z fotela i przeciągnąłem się, otrząsając zesztywnienie. Musiałem wziąć prysznic.

— Bel — odezwałem się. — Pora wstawać.

Obróciła się, ziewnęła, a potem uniosła głowę z poduszki. Jak ja, była prawie cała ubrana.

— Która jest?

— Po dziesiątej. No, już, wstawaj. Możesz pierwsza wziąć prysznic.

Patrzyłem, jak czmycha do łazienki i zamyka drzwi. Wiedziałem, że teraz nasze opcje zmniejszyły się znacznie. Już więcej nie byliśmy łowcami, tylko zwierzyną. Co gorsza, nadal nie wiedziałem, co się dzieje. Do głowy przychodziło mi tylko jedno nazwisko tego, który wiedział: Jeremiah Provost. Lecz Kline będzie krył Provosta. Kline krył wszystko.

Zostało mi dosyć drobnych, aby kupić colę na śniadanie. W głowie miałem mętlik, a całe ciało było tak obolałe, jakbym dźwigał ciężary. Automat stał obok maszyny do lodu w małym łączniku między tyłem a frontem motelu. Do pokoi na pierwszym piętrze prowadziła betonowa klatka schodowa. Siedziałem tam trochę zeszłej nocy, wsłuchując się w ruch na szosie. Teraz, kiedy brałem drugą puszkę coli, usłyszałem pisk opon przed motelem. Wyrzałem z za węgla i zobaczyłem samochód

przed recepcją. Od strony pasażera wysiadał mężczyzna, zapinał marynarkę po drodze do biura. Miał założone okulary przeciwsłoneczne i rozglądał się. Nie znałem go, ale nie wyglądał na typowego mieszkańca. Wyglądał urzędowo. Zanurkowałem z powrotem w korytarz i popędziłem do naszego pokoju.

— Uciekamy! — zawołałem. Bel wyszła z łazienki ubrana, wycierając włosy w ręcznik. — Uciekamy — powtórzyłem. Kiedy zobaczyła, jak wrzucam rzeczy do torby, zrozumiała, rzuciła ręcznik i zaczęła się pakować.

— Co się stało?

— Dziwni kolesie w recepcji. Mogą pytać o volkswagena vana. — Chwyciłem smith & wessona. — Masz — powiedziałem. — Weź go.

Nic nie odpowiedziała. Minęła chwila, zanim się zdecydowała, wtedy schwyła pistolet. Sprawdziła magazynek, wprowadziła go z powrotem na miejsce i zabezpieczyła broń. Nie miałem czasu na uśmiech.

Mówi się, że odwaga winna iść w parze z rozważą, ale nam było daleko do rozwagi, kiedy opuszczaliśmy hotel. Pobiegliśmy do vana, wrzuciliśmy torby do tyłu. Bel wymachiwała pistoletem, a ja trzymałem colta commando za specjalną rączkę. Nie miał zamontowanego tłumika płomienia. Kiedy ostatni raz go używałem minionej nocy, hałas bez tłumika był imponujący. Ludzie tylko chowali głowy. Dlatego już go nie zakładałem.

Teraz, kiedy byliśmy już w vanie, wahałem się przez chwilę. Co mieliśmy robić? Przejechać obok tamtego samochodu i ukłonić się z uśmiechem? Bawić się chowanego dookoła motelu? Czy zostawić vana i iść ulicami? Na pewno nie chciałem zostawić vana, jeszcze nie teraz. Pozostało więc jechać...jechać i patrzeć, co się dzieje. Mogłem równie dobrze rozstać się z Bel, kazać jej uciekać na własną rękę albo zostać w pokoju. To mnie chcieli. Ale jej też. Teraz byliśmy drużyną; wiedziała wszystko to, co ja. Poza tym nie będzie chciała zostać. To nie w jej stylu. Odwróciłem się do niej.

— Opowiedz mi o sobie.

— Co?

— Mówiłaś, że mam ciebie zapytać kiedyś, jak nie będziesz się spoziewać.

— Zwariowałeś, Michael. — Jednak uśmiechała się. Chyba była na to bardziej przygotowana ode mnie. Zapaliłem silnik.

— Chodzi o to, że dobrze by było poznać ciebie, zanim zginiemy.

— Nie zginiemy. — Uniosła pistolet. — Kocham cię, Michael.

— Ja też ciebie kocham. Zawsze kochałem.

Odbezpieczyła półautomat. — To ruszaj — poleciła.

Ruszyłem. Powoli wyjechaliśmy z parkingu i z boku objechaliśmy motel, potem przyspieszyliśmy. Widziałem, że tamten samochód nadal jest zaparkowany. Gorzej, wycofał się, aby zablokować jedyny wyjazd. Zatrzymałem vana. Ten drugi wyszedł z biura i zobaczył nas. Wskazał nas kierowcy, a potem wyjął radio z kieszeni. Drugą ręką sięgał do kieszeni po coś innego. A kiedy kierowca wysiadł z samochodu, widziałem, że trzyma pistolet maszynowy. Zaryzykowałem spojrzenie przez ramię, ale widziałem tylko ściany.

— Dalej, Michael, zróbmy to.

— Co?

— Jak myślisz? — Pchnęła drzwi i szykowała się do wyjścia. Kierowca celował, wsparłszy się o dach samochodu. Otworzyłem drzwi z mojej strony i wycelowałem z commando.

Wtedy ją zobaczyłem.

Lawetę z metalową osłoną z przodu i reflektorami zamontowanymi na kabinie. Nie wiem, skąd się wzięła, ale widziałem, dokąd się kieruje. Wjechała na chodnik i jechała dalej. Słyszac ryk silnika, kierowca odwrócił się lekko, zobaczył, co się święci, i odskoczył od samochodu dokładnie w momencie, kiedy stalowa rama uderzyła w tył. Siła zderzenia sprawiła, że tylne koła lawety uniosły się wyraźnie nad chodnik, ale to było nic w porównaniu z samochodem. Skoczył do przodu, a potem zakręcił się. Wyglądał jak dziki koń, który chce zrzucić jeźdźca. Kłapa zgniecione go bagażnika otworzyła się, tylna szyba rozpadła się w kawałki. Kierowca i pasażer uderzyli o ziemię. Teraz w oknie lawety od strony pasażera pojawiła się strzelba, z której padły dwa strzały ponad głowami leżących mężczyzn, roztrzaskując okno w recepcji. Wtedy laweta wycofała się krótkim podjazdem i wyjechała na szosę, zatrzymując ruch.

— Czeka na nas! — krzyknęła Bel. Już znalazła się na powrót w nanie, zatrzaskawszy za sobą drzwi. Przejechałem obok zdezelowanego samochodu, celując przez okno z mojego commando na wypadek, gdyby ci dwaj postanowili wstać. Laweta już ruszyła, więc pojechaliśmy za nią narażeni na skargi wstrzymywanych kierowców.

— Kto to jest? — krzyczała Bel. — Kto jest w tej lawecie?

Śmiałem się od ucha do ucha. — A jak sądzisz? Pewnie, że to Spike.

26

Kierowca lawety najwyraźniej wiedział, dokąd zmierza. Jechaliśmy za nim na wschód drogą międzystanową numer 5, a potem na południe przez miasto, aż dotarliśmy do międzystanowej numer 90 i wyjechaliśmy z miasta na wschód. Kierowaliśmy się w głąb kraju.

— Dlaczego się nie zatrzyma?

— Nie wiem. — Mignąłem światłami kilka razy, ale w odpowiedzi on jedynie machnął ręką przez okno. Przejechaliśmy przez Mercer Island, wracając tą samą trasą, którą dotarliśmy do Seattle. Wkrótce znaleźliśmy się na szerokiej drodze z gąszczem po obu stronach. To był prawdziwy kraj pogranicza. Tylko nieliczni turyści i wczasowicze ośmielali się tu zapędzić. Było gorąco i sucho, a jeżeli nie podobały ci się wzgórza i drzewa, to innego pejzażu nie było do wyboru. Był to kraj wyrębu drzew, a świadczyły o tym naprędce sklecone znaki potępiające politykę rządu, import drewna zza granicy, sowy i „zielonych”. Nie zawsze w tej kolejności.

Z międzystanowej zjechaliśmy w Snoqualmie. Myliłem się co do turystów. Sporo samochodów zjechało się pod wodospad Snoqualmie. Pickup zasygnalizował zjazd na parking, więc pojechaliśmy za nim. Jedyne dostępne miejsce było kilkanaście samochodów dalej. Z niecierpliwością wyłączyłem stacyjkę.

Popędziłem sprintem do lawety. W kabinie nikogo nie było. Wtedy zobaczyłem Spike'a. Przykucnął przed samochodem, badając uszkodzenia ramy. Wstał i uśmiechnął się, ukazując cudownie białe zęby.

Podeszliśmy do siebie i uściskaliśmy się. Tym razem ja go uniosłem nad ziemię.

— Cholera, Spike, nie wiem, skąd się zjawiłeś, ale zrobiłeś to jak prawdziwy anioł z nieba.

— Chłopie, wiesz, skąd pochodzę: z Lubbock w Teksasie. Z żadnego nieba! U-u! — Dotknął siniaka na mojej twarzy.

Wtedy dobiegła do nas Bel. Ją też objął i ucałował.

— Dlaczego wcześniej się nie zatrzymałeś?

— Chciałem mieć pewność, że te szympany niejadą za nami.

— Żartujesz? Nie widziałeś, jak urządziłeś ich wóz?

— Och, ale mają przyjaciół. A wy wyglądacie na takich, co mają samych wrogów.

— I niewielu przyjaciół — przyznałem.

— Ale potrzebny nam był tylko jeden. — Bel znowu cmoknęła Spike[^] w policzek i ścisnęła go za ramię. Zarumienił się, ale zamaskował to, wycierając twarz czerwoną bandaną. Miał ciemne oczy i tłuste włosy, a do tego trzydniowy zarost.

— Człowieku — powiedział — to ubranie przyrosło do mnie.

— Tak, to widać.

Walnął mnie w pierś. Było to w ramach zabawy, ale trafił w obolałe miejsce. Syknąłem z bólu i zgiąłem się wpół.

— Jezu, Wild West, przepraszam.

Bel pomogła mi się wyprostować i wyjaśniła: — Michael wdał się w bójkę z jednym z tych zbójów.

— Zdaje się, że macie o czym opowiadać.

— Oj, mamy — odparłem, dochodząc do siebie. — I chcemy ci zadać kilka pytań.

Spike wzruszył ramionami. — Poszukajmy jakiegoś baru w mieście, gdzie można zrzucić z siebie ciężar. — Zastanawiał się nad czymś. — Nie zamieniliście mojego trans-ama na to nazistowskie gówno, co? W nim jest pełno dziur po kulach!

Zastanawiałem się, co odpowiedzieć. — Najpierw piwo.

— Jeździe za mną.

Okazało się, że Spike całkiem dobrze zna Snoqualmie i tereny North Bend. Polował tam, miał tam starych przyjaciół i raz rozbił się tu samochodem, po czym przez miesiąc chodził o kulach.

— Dobrzy ludzie — powiedział w barze — ale niektórzy potrafią być trochę dziwni. Sam nie wiem, mają to wrodzone, czy co? Wiecie, że tutaj nakręcili *Miasteczko Twin Peaks*?

Moja twarz pozostała niewzruszona, ale Bel zainteresowała się.

— Więc dlaczego za nami pojechałeś? — zapytałem.

Spike popił tęgi łyk rainiera. — Pomyślcie. Wiedziałem, że masz kłopoty, Wild West. Jazz opowiedziała mi trochę z tego, co zdradziła jej Bel. Kazałem małej wejść do komputera i wydrukować mi to samo, co wam wydrukowała. Wtedy wiedziałem, dlaczego jedziecie do Seattle, i wiedziałem też, że może zrobić się poważnie. Te sekty nie żartują. Miałem kolegę, który się zamieszał w to towarzystwo. I nie zapominajcie, że zainwestowałem w to trans-ama. Pomyślałem więc, że pojedę za wami...

Muszę jednak wam powiedzieć, że dzisiaj rano znalazłem się tam całkowicie przypadkowo, nic mnie nie zainspirowało. Nad ranem wjechałem do miasta i jeździłem Aurorą tam i z powrotem, szukając motelu, który mi

się spodoba. Zdradzę jeszcze, że przed waszym przejeżdżałem dwa razy i ani razu nawet się nie zastanowiłem. Chłopie, co jest, nie akceptują twojej karty w lepszych czy co? — Pociągnął nosem i oparł się w krześle. Założył jedną stopę na drugą, ukazując zdarte kowbojki o srebrnych czubach. Najwyraźniej ta opowieść sprawiała mu przyjemność. — W każdym razie, kiedy tak jeździłem, zauważyłem te wozy z tymi w garniturkach. Zupełnie nie pasowali do Aurory. Wyglądali na najgorsze typy. Sprawdzali motele, nie szukali pokoiów, to było oczywiste. Pytali o kogoś. Poszedłem z jednym z nich do recepcji i podsłuchiłem jego opis, który przedstawił recepcjoniście: mężczyzna i kobieta, Anglicy, w vanie volkswagenie. Hm, poza samochodem, wszystko się zgadzało. Przestałem więc szukać pokoju i pojechałem za nimi. Kiedy zobaczyłem waszego volkswagenie, chłopie, wiedziałem, że postąpiłem słusznie.

— Masz absolutną rację — wtrąciła Bel.

— Trans-am oberwał — dodałem. — Dlatego mamy tego campera.

— Co się z nim stało?

— Facet nazwiskiem Kline kazał swoim ludziom go ostrzelać. Wtedy akurat prowadził go dziennikarz, który nam pomaga.

— Czy on...?

— Żyje, zdaje się. Jest w szpitalu.

— Więc te skurwysyny ostrzelali mi wóz, co? — Spike miał bardzo zdeterminowaną minę. Taki sam wyraz twarzy miał za każdym razem, gdy sięgał po karabin szturmowy. — Chłopie, muszę wyrównać z nimi rachunki.

— Nie tak szybko — odparłem. — Jeszcze nie wysłuchałeś naszej historii. Może jak wysłuchasz, nie będziesz takim entuzjastą.

— To jeszcze napijmy się piwa i opowiadajcie.

Napiliśmy się.

Tego faceta, tego całego Kline'a — mówił Spike — muszę kropnąć, **chłopie**. Nigdy **go** nie spotkałem, nie zna mnie, kurwa, a jednak wiem, że muszę go wałnąć. Nie spocznę, dopóki tego nie zrobię.

Nie były to zwykłe pogaduszki przy piwie: te wszystkie prochy, które brał po drodze, aby nie zasnąć, aby mocniej naciskać na gaz, aby to wszystko utrzymać w kupie. Wiedziałem, że za pięć minut albo za dwie godziny padnie jak betka.

— Muszę się przespać — powiedziałem. — Mózg mi przestał pracować. Nie spałem całą noc. Może wyjedziemy poza miasto, znajdziemy ustronne miejsce i naładujemy akumulatory?

— Pewnie — odparł Spike. — Znam takie miejsce.

Wyprowadził nas z Snoqualmie drogą na North Bend, a potem zjechał w leśny trakt. Tyle wzniecał pyłu, aż bałem się, że nasz silnik zakrtusi się i zgaśnie. Droga robiła się coraz węższa, potem jeszcze bardziej. Z początku był to szlak do wywozu drewna, wystarczająco szeroki dla ciężarówki, ale teraz gałęzie drzew drapały w boki samochodu, a szuter poprzerał trawą. Odliczyłem piętnaście kilometrów tej drogi, zanim wyjechaliśmy na przecinkę. Jak dotąd nie widzieliśmy ani jednego drogowskazu, ani śladu siedzib ludzkich: żadnych słupów trakcji elektrycznej ani telefonicznej, żadnych skrzynek na listy, nic.

Jednak pojawił się duży dom z bali, całkiem nowy, otoczony trawnikiem, za którym wznosił się nieprzenikniony las. Spike kilka razy zatrafił, ale nikt nie wyszedł. Razem podeszliśmy do drzwi. Na nich przyklejona była kartka, którą przeczytał Spike.

— „Drogi Przyjacielu, jeżeli zajechałeś tak daleko, to prawdopodobnie nas znasz, więc też chyba nie zdziwisz się, że nas nie ma. Jesteśmy w Portland przez kilka dni i wrócimy w czwartek albo w piątek. Prosimy rozgościć się i obozować. Jest tu źródółko, jeżeli wiecie, gdzie je znaleźć. Miłość i pokój. Marnie i Paul.

— Moi przyjaciele — wyjaśnił Spike. Dookoła domu pełno było roślin w doniczkach i Spike postukał kilka z nich butem dla zabawy. — To długa historia.

— Nam pasuje — zdecydowałem. — Mamy namioty w vanie, a zresztą w wozie też można spać. — Spike pochylał się, podnosił roślinki, oglądał i wachał. — Nawet mamy piecyk... — Zamarł mi głos, kiedy Spike odwrócił małą doniczkę dnem do góry i wysypał ziemię wraz z krzaczkiem na dłoń. Tam, wśród ziemi i białych korzonków, spoczywał klucz do domu. Spike puścił do mnie oko.

— Przyjaciele wiedzą, gdzie szukać klucza.

W środku dom był fantastyczny, nieomal zbyt jasny jak na mój gust. Słońce wlewało się przez wielkie świetliki w dachu. Wszędzie dookoła dominowała niemalowana sosna. Z niej były wykonane ściany i meble, a sufit wyłożono boazerią. Był tam jeden duży salon z piecem pośrodku. Z niego prowadziły drzwi do sypialni, łazienek i kuchni.

— W łazience jest jacuzzi — poinformował nas Spike. Padł na białą kanapę. — Chłopie, to jest życie.

Nie chciałem siadać. Nie chciałem niczego dotykać z obawy, że to pokalam. Byłem zaskoczony tym, że kiedy Spike wstał, nie zostawił czarnych smug na białym materiale.

Bel badała pomieszczenie niczym sceptyczny potencjalny nabywca. Podniosła kosz na śmieci i pokazała mi go.

— Wyczyścili go w środku — powiedziała. Rzeczywiście tak zrobili.

— Hej — odezwał się Spike — chcecie śmieci, to wracajcie do mnie. To miejsce jest idealne dla waszych celów.

— A jakie są nasze cele? — zapytałem.

— Chodźcie za mną, to się dowiecie.

Zaprowadził nas z powrotem do półciężarówki. Zauważyłem, że w kabinie, za tylnym siedzeniem jest stojak na karabiny, ale był pusty. Spike otworzył drzwi, abyśmy mogli zajrzeć do środka. Widok nie był ładny. Z popielniczki wysypywała się zawartość, niedopałki leżały na podłodze, o którą zostały rozdeptane. Było tam też dosyć sałaty i pomidorów, aby przygotować surówkę dla całej rodziny. Zdaje się, że Spike'a zaopatrywali podwładni z warsztatu. Wszędzie walały się puste puszki, brudne skarpety, mapy, kasety i zabrudzony T-shirt na dokładkę.

— Ładnie — stwierdziłem. — Bierzemy.

Spike tylko uśmiechnął się i zgarnął zawartość siedzenia na podłogę.

— Połóż jakiś dywanik na to i wszystko będzie wyglądać jak nowe.

Nadal się uśmiechał, kiedy odhaczył dwa zatrzaski pod siedzeniem. Wtedy pociągnął za siedzisko i wysunął je. Potem wyciągnął całość i oparł o bok samochodu.

— No, no — powiedziałem.

Pod siedzeniem był spory schowek. Spike wypełnił tę przestrzeń śmiercionośnym arsenałem.

— Chyba pomyślałem o wszystkim — stwierdził Spike.

Bel sięgnęła do środka i wydobyla pas z nabojami. Były to bardzo długie, mosiężne pociski. Trzymała go, jakby to był pyton, który owinał się jej wokół nadgarstka.

— Ciężka artyleria — przyznałem.

— Minał czas skradania się na palcach przez kwiatki — powiedział Spike, wyciągając coś przypominającego ingrama, może cobraya. Pod spodem dostrzegłem kilka M16. Nie wyobrażałem sobie, co jeszcze tam się może kryć. — Bez dynamitu — wyznał z pokorą. — Inaczej nie ryzykowałbym taranowania tego gnojka. Ale mam trochę plastiku, jeżeli jesteście w nastroju. — Zbliżył twarz do mojej. Była to przystojna twarz, typowo amerykańska, jeżeli brać pod uwagę odkarmienie, ale nadal głodna. Miał na sobie jeden ze swoich czarnych T-shirtów pozbawionych rękawów i czarne dżinsy. — Raj z bronią, Wild West, istny raj.

Wahałem się **całe** pięć sekund.

— Dobra.

Przespaliśmy resztę dnia. Wstałem **akurat** gdy Spike, **ubrany** w świeżą koszulkę i **szorty, kroił** cebulkę w kuchni. W głównej **sympialni** znalazł marihuanę w doniczce i uszczknął kilka listków. Aromaty w kuchni to nie tylko zioła do gotowania. Uniósł nóż, abym się przyjrzał. Był to nóż wojskowy z gumową rączką i grubym, dwudziestodwucentymetrowym ostrzem, z których ostatnie osiem centymetrów miało ząbki.

— Wspaniale kroi warzywa, Wild West.

— Wierzę ci na słowo. — Zajrzałem do lodówki i wyciągnąłem karton soku pomarańczowego. Było tu o wiele wygodniej. Potępieniec mniej martwi się stanem celi. Potrząsnąłem kartonem i napiłem się.

— Oj, chłopie, zarazki! — obruszył się Spike. — Szklanki są w szafce nad zlewem.

Nalałem więc resztę soku do szklanki, napełniając ją po brzeg. Wypiłem połowę, kiedy weszła Bel ubrana w długi, męski T-shirt i jak się orientowałem, niewiele więcej. Kupiła tę koszulkę na stacji benzynowej. Była na niej ciężarówka z chromowanym przodem, buchająca dymem niczym byk na kreskówkach. Tło stanowiła konfederacka flaga i podpis: „Nigdy nie tchórzę!”

Spike starał się nie patrzeć na jej wyprostowane nogi, gdy stała zgięta wpół przed lodówką, by sprawdzić, co tam jest.

— Jakiś sok?

— Proszę. — Podałem jej moją szklankę. — Jesteśmy w fazie wymieniania się zarazkami — poinformowałem Spike'a.

— To miłe — zauważył, ciągle siekając cebulę, po czym wrzucił ją na patelnię i dodał oliwy. Bel podeszła, aby się przyjrzeć. — Tekszańskie chili według wujka Spike'a — zdradził nazwę. — O ile znajdę wszystkie składniki. — Otworzył puszkę pomidorów i wlał zawartość razem z tubką **puree**. Potem dodał proszek chilli i trochę innych ziół, a **na** koniec odcedzoną czerwoną fasolkę. — Nie mogę znaleźć żadnego mięsa, ale co tam. Lubisz **na** ostro? — Podsunął Bel łyżkę sosu. Uznała, że i tak jest już wystarczająco pikantne.

— Ale tchórz — wycedził.

— Spike, może odlejesz trochę tego **do** innego garnka, tylko dla mnie? A wtedy wy dwaj, chłopcy, możecie zrobić **to** sobie takie ostre, jak tylko zechcecie. **Ja** sobie usiądę i **będę** patrzeć, **jak** twardzi jesteście, jak

przyjdzie do jedzenia. — Poklepała go po plecach. — Pamiętaj, to jedzenie, a nie zawody w siłowaniu na rękę.

Spike poczekał kilka chwil, a potem zaniósł się śmiechem.

— Bel, ty to masz jaja, większe niż niejeden facet. Przenieś się do mnie do Teksasu i wyjdź za mnie. — Ukląkł na jedno kolano i chwycił ją za rękę. — Oświadczam się w tej chwili, oświadczam się kobiecie moich marzeń.

Bel odepchnęła go nagą stopą, aż Spike usiadł na podłodze, podpierając się rękami z tyłu.

— Dobry Boże, oszczędź mi odrzucenia!

— Przykro mi, Spike. Może kiedyś, jak podrośniesz...

— Chodź — odezwałem się, prowadząc Bel do salonu. Od kuchni oddzielał go blat. Usadowiliśmy się na kanapie, a Spike zaśpiewał kilka wersów jakiejś piosenki country, potem przeszedł na gwizdanie.

— Bel — rzekłem cicho. — Chcę, byś tu została, kiedy Spike i ja...

Zerwała się. — W życiu, miły panie! Wytrwałam tak długo, a teraz chcesz mnie rzucić?

— Usiądź, proszę.

Usiadła. — Posłuchaj, zanim wypróbujesz inne gadki i sposoby, Michael. Wiem, dlaczego na to się zdecydowałaś i doceniam to. To znak, że dbasz o mnie. Ale nie powstrzymasz, nawet jeżeli przyłożysz mi pistolet do głowy, nawet jeden z tych M16. Jeżeli mnie tu zostawisz, zatrzymam pierwszy lepszy wóz, obezwładnię kierowcę i pojedę za tobą. I nie będę miła.

— Bel, ja tylko chcę...

— Wiem, czego chcesz, kochanie. — Wstała, pochyliła się nade mną i pocałowała w czoło. Potem podeszła do radia i poszukała czegoś odpowiedniego.

Cóż, pomyślałem, poszło dość zgodnie z przewidywaniami. Spróbowałem, co nie znaczy, że teraz mogę działać z czystym sumieniem. Chciałem powiedzieć Bel, że jak pojedzie z nami, to będzie tylko ciężarem. Może przeszkadzać albo w krytycznym momencie doprowadzi do podjęcia niewłaściwej decyzji. Wiedziałem, że gdybym był ranny w ciężkiej strzelaninie, Spike mnie zostawi... i będzie miał rację. Ale czy któryś z nas zostawiłby Bel w podobnych okolicznościach? Spike już zadeklarował, że nie chce zabierać Bel.

— Chłopie, nie jestem szowinistą, ale to nie jest towarzystwo dla dam. Nikt tam nie będzie zajadał kiełbasek na patyku, popijając kalifornijskim winem. Nie będzie ładnych sukienek i wytwornych rozmów. Będą

przekleństwa i wybuchy, i tyle. Co będzie, jak się przestraszy, jaką sparaliżuje, hm? Co wtedy?

Nie znałem odpowiedzi. Tak naprawdę to pytanie trzeba było zadać samej Bel.

Bel puściła Springsteena, co nasz szef kuchni przyjął z entuzjastycznym ryknieniem. Był to wczesny Bruce i nawet ja znałem ten album. Śpiewaliśmy tam, gdzie umieliśmy, a Spike śpiewał nawet tam, gdzie nie umiał. Bel zniknęła z powrotem w sypialni i pojawiła się w dżinsach i kowbojkach. Spike urządził z kuchni łaźnię i pociągał czerwone wino z butelki. Zauważył, że na niego patrzę.

— Rozumiem — powiedział — ani kropli więcej, dobra?

— Dobra — odparłem — ale nie jedziemy tam dzisiaj.

— Czemu nie, Wild West?

— Jest wiele powodów. Prawie na pewno spodziewają się nas, nie jesteśmy gotowi, nadal jesteśmy zmęczeni i trochę podekscytowani. Wiele powodów.

— Nie gotowi? Chłopie, a jak bardziej mamy być gotowi?

— Bardziej niż jesteśmy. Musimy w pełni wypocząć. Jutro będzie lepiej.

— Czyli jutro o świcie?

— Jutro w nocy.

— Po co czekać, chłopie?

— Bo jutro Jeremiahs Provost ma wizytować kwaterę główną.

Bel usiadła obok mnie. — Myślisz, że jednak przyjedzie?

— Nie wiem, może.

Spike wyszedł z kuchni. Podał nam kieliszki i nalał wina z butelki, z której wcześniej popijał. — Bez obaw, Wild West, nie mam syfu.

— Chodzi o zarazki — wyjaśniłem Bel.

— Wiem — odpowiedziała ze spokojem.

— Spike — dodałem — potrzebujemy tego dodatkowego czasu. Musisz pokazać nam, jak używać tego twojego arsenału.

— Tak — przyznał — to prawda. Miałem ochotę zrobić to dzisiaj w nocy.

— Uspokój się, zrelaksuj. Pij powoli, zjemy ze spokojem. Jutro postrzelamy, sprawdzimy, jak to działa.

Bel potrząsnęła głową. — Jeżeli jutro w nocy pojedziemy na półwysep, to miałyby sens wypróbować broń dzisiaj, kiedy warunki będą takie same...

Spike zagwizdał przez zęby. — Ma rację.

— Czasami na coś się przydadę — powiedziała Bel, przyjmując więcej wina.

Dwadzieścia minut później zasiedliśmy do bezmięsnego chilli. Jedliśmy je tylko z ryżem, bez niczego innego. Było dobre, ale Spike ciągle narzekał, że jest bez smaku, i nieustannie polewał swoje sosem pieprzowym. Czoło miał pokryte potem, kiedy rozmawialiśmy.

— To commando jest całkiem dobre — stwierdziłem. — Trochę tylko szarpie.

— Jak trzymasz jedną ręką, to musi szarpać. Czekaj, aż użyjesz ingrama, to jakby ktoś bez przerwy szarpał cię za ramię. Nie mówimy, żeby trafić w łebek od szpilki, ale według skali zniszczeń osiąga dziewięć przecinek pięć. — Nabrał kolejną łyżkę fasoli. — Próboweś już varminta?

— Jeszcze nie musiałem.

— To jeden z tych tygodni, co? Hm, to mój plan. Wystrzelę z ingrama w powietrze, to ich wywabi, wtedy pociągnę po gnojach, a ty w międzyczasie będziesz siedział na drzewie i wybierał tych cwaniaków, co siedzą po chatach. Co ty na to?

— Paskudnie — powiedziałem, czytając w myślach Bel. Osobiście nie uważałem tego za taki zły plan.

Lecz Bel rzuciła łyżkę do talerza. — Możecie strzelać do niewinnych ludzi. Nie wiem, czy oni wszyscy są w to zamieszani. Jeżeli chodzi o sektę, nie wiem, czy *ktokolwiek* z nich jest zamieszany.

— To prawda, Spike — dodałem pośpiesznie. Nie chciałem dać mu szansy powiedzieć czegoś, co naprawdę rozgniewałoby Bel. — Z tego, co podsłuchałem z rozmowy Provosta z Kline'em, wynikało, że oni niekoniecznie się kolegują. Kline nie mógł być potraktowany gorzej, gdyby sprzedawał Biblię w piekle.

— Piekło jest pełne sprzedawców Biblii — odparł Spike, a ja uśmiechnąłem się szeroko, słysząc ten żart.

Bel nadal miała kamienną twarz, ale Spike miał w zanadru jeszcze jedną broń.

— Bel — mówił, nie patrząc na nią — nie zrozum mnie źle, ale jutro w nocy nie chcę, żebyś z nami jechała.

— Trudno — odpowiedziała.

Spike szukał u mnie wsparcia, ale ja byłem zajęty nakładaniem ostatnich kilku fasolek na łyżkę.

— Widzisz — mówił dalej — Wild West i ja byliśmy tu wcześniej, osobno. Nigdy w zespole, ale znamy sytuację i znamy teren.

— Nie — zaoponowała. — Me *znacie*. Ja znam, bo tam byłam, w tym pieprzonym obozie! Myślicie, że będę siedzieć i robić wam na drutach szaliki na zimę, jak popędzicie na tę swoją wojenkę? W życiu.

— Bel — powiedział. — Wiem, że znasz się na broni, ale czy potrafisz jej użyć?

Bez słowa mierzyli się spojrzeniami. Bel przemówiła pierwsza: — Tu mnie wkurwiłeś. — Potem wstała, odeszła od stołu i wyszła na dwór.

Podążyłem za nią, ciekawy, co zamierza teraz zrobić. Znalazła włącznik na ścianie. Chyba zauważyła go wcześniej. Polanę zalało jasne światło. Wydawało mi się, że dostrzegłem młodego jelenia, jak zapada się w las. Lampy były na poziomie ziemi i w górze, na drzewach. Zupełnie jak w teatrze. Spike przyłączył się do mnie na ganku; przyniósł mi mój kieliszek z winem. Bel doszła do półciężarówki i zapaliła silnik.

— Co jej jest? — zapytał Spike.

— Zdaje się, że wiem.

Odjechała lawetą w odległy kraniec polanki i zaparkowała. Potem zaczęła się rozglądać. Wziąłem pustą butelkę od Spike'a i ruszyłem w dół po schodkach. Zanim dotarłem do Bel, znalazła dwa duże kamienie i pustą puszkę po coli. Podałem jej butelkę po winie. Uśmiechnęła się i postawiła ją na masce ciężarówki. Potem sięgnęła do kabiny i wydobyła kilka sztuk broni.

Spike też zszedł z ganku. Nawet on zorientował się, co się dzieje. Bel ruszyła w stronę domu, po czym odwróciła się przodem do lawety. Samochód stał bokiem do niej. Wszystkie cele ustawione były rzędem na masce. Najpierw wybrała pistolet. Ze znanstwem sprawdziła i powtórnie załadowała magazynek, potem wycelowała jedną ręką, zamknęła lewe oko i wypaliła trzykrotnie. Trafiła puszkę i dwa kamienie. Ześlizgnęły się z maski. Ustawiłem ponownie puszkę i kamienie, a ona w międzyczasie zapoznała się z małym, wojskowym rewolwerem. Kolejne trzy strzały, wszystkie celne.

Spike zaczął klaskać, rozlewając wino. — Dobra — powiedziała. — Kolejny punkt. Dotarł do mnie przekaz.

Lecz to jej nie wystarczało. Wydobyła varmintę z volkwagena i załadowała go, a potem wypaliła sześć eleganckich razy; każdy trafił w cel. Nie zadrapała lakieru półciężarówki. Ostatnim strzałem rozbiła na kawałki butelkę po winie.

Spike znowu klaskał i gwizdał. Odwróciła się do niego.

— Umieję strzelać — powiedziała. — Tylko nie lubię. A szczególnie, kiedy giną niewinni ludzie.

— Dobra — przyznał Spike z rozpostartymi rękami w geście zgody.
— To zmienimy plan.

— Ja już mam plan — odezwałem się. — Najpierw pytanie. Jak odróżnicie dobrych od złych?

Oboje potrząsnęli głowami, więc udzieliłem odpowiedzi:

— Patrzycie, kto ucieka. A teraz chodźcie, następny drink na koszt firmy.

Lecz zamiast wina napiliśmy się kawy i usiedliśmy na ziemi na polanie, gdy Spike rozkładał swój towar. Ułożył wszystko na dwóch kocach.

— Jak w tym filmie, gdzie cała broń leży na łóżku i De Niro kupuje! Chłopie, nie mogę się doczekać ich min, jak zjawimy się, wymachując tym małym zestawem. — Uśmiech Spike'a zaświecił niczym halogeny.

Zdawało mi się, że Bel zadrzała, ale w końcu robiło się późno. Sam też poczułem dreszcze.

27

A trzeba było jeszcze podjąć różne decyzje.

Na przykład, czy powinniśmy sprawdzić dom Provosta, czy rzeczywiście pojechał nad jezioro Crescent. Czy może najpierw pojechać do domu nad Hood Canal? W ten sposób mogliśmy wyeliminować możliwe wsparcie. Nie chcieliśmy, żeby przy ataku na chaty podkraǳła się na nas od tyłu świeżo wezwana falanga.

Czy powinniśmy wziąć półciężarówkę, volskwagena, czy oba wozy? Oni będą wyglądali campera, ale też będą uważać na szalonego kierowcę lawety z powgniataną osłoną chłodnicy.

Wiedzieliśmy jedno: było zbyt niebezpieczne dostać się na półwysep promem. Prawie na pewno będą obserwować Bremerton. W zasadzie, to według mnie nie było dosyć dróg prowadzących na półwysep Olympic. Obszar, mierzący na oko sto czterdzieści na sto kilometrów, miał jedynie dwie trasy dojazdowe. Była tylko jedna główna droga: 101, prowadząca dookoła Parku Narodowego i Lasu Państwowego. Wystarczyło zaledwie kilku ludzi, żeby uzyskać przewagę poprzez obserwację dróg.

Istniały inne możliwości, ale wymagały czasu. Mogliśmy popłynąć łodzią do Victorii w Kolumbii Brytyjskiej, a potem przesiąść się na inną z powrotem do Port Angeles. Oba rejsy zajęłyby nam razem kilkanaście godzin i — jak domyślał się Spike — Kline też wzięłyby to pod uwagę. Gdy-

by działał z ramienia agencji albo rządu, kazałby obserwować ruch na morzu.

— Twierdzisz zatem — wnioskowała Bel — że nie ma sposobu, abyśmy się tam dostali bez ich wiedzy?

Spike pokiwał głową, ale ja wpadłem na pomysł. To był mój najbardziej szalony pomysł, jednak moi partnerzy przystali na niego. Wtedy sprawy zaczęły się układać.

Skoro władze nie szukały Spike'a, wynajęliśmy samochód na jego nazwisko w North Bend. Był to przeciętny, rodzinny model i Spike opłakiwał brak swojego ukochanego drażka zmiany biegów. Jednak czuliśmy się pewniej, wracając do Seattle. Zatrzymaliśmy się jeszcze w sklepie Eda: „Broń i sprzęt sportowy”. Zapytałem Archie'ego, czy ktoś rozpytywał o nas. Potrząsnął przecząco głową.

— Czego tym razem szukasz, synu?

— Kominiarek i farby do kamuflażu — poinformowałem go.

W momencie kiedy to powiedziałem, wszystko dotarło do mnie, czyste szaleństwo tego przedsięwzięcia. To zupełnie nie moja liga. Grałem w zupełnie co innego. Powinienem być przestraszony nie na żarty i byłem. Nie mogłem opanować drżenia rąk — to niezupełnie dobry znak u zawodowego snajpera. Serce mi waliło i bałem się, że zaraz zwymiotuję. Leczjednocześnie miałem wrażenie, że jestem pijany, a Bel i Spike czuli się tak samo; uśmiechaliśmy się do siebie i momentami wybuchaliśmy nerwowym chichotem. Zaśmiałem się teraz. Archie spojrzął na mnie i uśmiechnął, jakby zrozumiał żart.

— To żaden żart — powiedziałem. Rzeczywiście, to nie był żart. To była euforia wywołana strachem. Pchałem się w konfrontację, jakby każdy krok trzeba było stawiać w coraz gęstszym i głębszym bagnie. Był to najpowolniejszy dzień w moim życiu. Mimo tego całego ruchu i wszystkich działań był wolniejszy od wszystkich dni, jakie spędziłem w hotelowych pokojach, czekając, aż cel zjawi się w mieście, wszystkich dni przeczekanych w oknie, gdy obliczałem kąt strzału i odległość. Archie był wyraźnie rozczarowany wielkością sprzedaży.

— Ten pański przyjaciel wydobrzeje.

— Co?

Uśmiechnął się. — Proszę się nie martwić. Nikomu nie powiem. Pokazaliśmy zdjęcie w telewizji. Od razu go poznałem.

— Jakie są najświeższe wiadomości?

— Obudził się. Policja z nim rozmawia. Jak dotąd ma to taki sens, jak nagrywanie „Idź na całość” w klasztorze.

Pokiwałem głową, uspokojony. — Archie — zagadnąłem — mógłby pan pojechać do szpitala i powiedzieć, że jest jego przyjacielem?

— Mam go odwiedzić?

— Jeżeli poda pan swoje nazwisko i adres, chyba zgodzi się pana zobaczyć.

— Dobra, co tam, co powiedzieć?

— Niech pan powie, że jesteśmy cali. Że dzisiaj wypada ten dzień. Może to go rozweseli.

Archie przymknął oko. — Czy grozi mi przez to współudział?

— A w czym?

— No... — Podrapał się w głowę. — Do szóstej nie mogę zamknąć sklepu.

— Wieczorem będzie dobrze. Nawet idealnie.

Próbowałem wręczyć mu dwadzieścia dolarów za fatygę, ale nie chciał przyjąć.

— Tylko niech pan uważa tam — dodał.

— Będę, Archie, będę.

Nienawidzę tego samochodu — orzekł Spike. — W takim nudnym **wozie** nigdy nie siedziałem. Koniec. Kropka.

Zaparkowaliśmy na szczycie wzgórza, sto metrów od domu Provosta. Siedzieliśmy i obserwowaliśmy przez chwilę. Spike bębnił palcami o kierownicę.

— Słuchajcie, przechodzimy na mój plan. — Plan Spike'a był prosty. Miał podejść do drzwi domu Provosta i zadzwonić. Zupełnie jak konsultantka Avon, skwitował.

Plan zależał od dwóch rzeczy: tego, że Provost, Kline i inni nie znali Spike'a, oraz umiejętności Spike'a w wyprodukowaniu jakiejś bzdurnej wymówki, dlaczego w ogóle dzwoni do drzwi.

Głosowaliśmy: wyszło dwa do jednego za. Byłem jedynym przeciw. Tak więc Spike wysiadł z samochodu i pobiegł w dół z boczna.

— Co się stało? — zapytała wtedy Bel.

— Mam wrażenie, że wyciągnęliśmy naszego jokera trochę za wcześnie. — Nie zrozumiała tego, więc wyjaśniłem. — Spike to nasza tajna broń. Jeżeli go zbiją, to dostaniemy mata.

Uśmiechnęła się. — Nie mieszasz kart z szachami?

Spojrzałem na nią kwaśno, jakbym ugryzł coś twardego i sprawdzał, czy nie uszkodziłem sobie trzonowców. Potem obserwowałem przez szybę, czy nie wraca Spike.

Nie minęło dużo czasu, zanim wrócił biegiem. Rzucił za siebie spojrzenie, aby sprawdzić, czy nikt za nim nie podąża, po czym wsiadł do samochodu i zapalił silnik.

— Dom jest pusty — oznajmił. — Rozejrzałem się, nic. Mają zasłony w oknach, ale mimo to wiem, że nie ma tam nikogo.

— No, to pojechał na półwysep — stwierdziła Bel.

— Na to wygląda. Albo wybrał się do Costco na comiesięczne zakupy.

A zatem to. Jechaliśmy na konfrontację z Provostem i Kline'em. Czuję się zmęczony i oparłem głowę o oparcie, zadowolony, że to Spike prowadzi. Włączył radio i poszukał stacji rockowej. Springsteen: Born in the USA. Spike zrobił maksymalnie głośno i śpiewał na cały głos przesterowaną piosenkę.

Wiedzieliśmy już, że jedziemy na półwysep długą trasą, na południe przez Taeomę, a potem znowu na północ.

— Spike — zagadnąłem — naprawdę doceniamy, że nam pomagasz.

— Chłopie, nie pomagam wam. Jestem na *wakacjach*.

— I jak?

— Więcej frajdy niż w Disneylandzie. Jak babcię Kocham.

— Co to za rekomendacja.

Ukazał w uśmiechu nieomal idealny zgryz. — Oj, jest, uwierz mi. Powinniśmy razem pojechać do Disneylandu, jak to się skończy.

— Kto wie? — dodałem po cichu. Wjechaliśmy do Port Angeles, a potem wyjechaliśmy znowu w stronę Pioneer Memoriał Museum.

Zatrzymaliśmy się na południowym skraju miasta, niedaleko Dyrekcji Parku. Wtedy zaczęliśmy wdrażać mój plan.

Bel udało się zwrócić uwagę dwóch strażników parku, którzy właśnie wyjechali z bazy. Przyprowadziła ich do samochodu, gdzie razem ze Spike'em uśmiechaliśmy się i kłanialiśmy na powitanie.

— Co się stało? — zapytał grzecznie pierwszy z nich.

— A to — odparł Spike, celując z ingrama w pierś mężczyzny.

Strażnik, to trzeba mu oddać, natychmiast pojął, w czym problem. Nie był nasz, *ale jego*. Zaprowadziliśmy obu do chryslera, a Bel poprowadziła wóz patrolowy służby leśnej. Trochę dalej za miastem zjechaliśmy z szosy na leśny trakt i rozebraliśmy strażników.

— Jezu, czemu wybrałaś Flipa i Flapa? — utyskiwał Spike na Bel. Miał kłopoty z założeniem munduru, podczas gdy mój wisiał na mnie jak pranie na sznurze. Już próbowaliśmy się zamienić, ale było jeszcze gorzej.

Doldadnie związaliśmy leśników i jednego z nich zostawiliśmy na przednim siedzeniu chryslera, drugiego na tylnym. Przenieśliśmy nasze rzeczy do ich wozu, a Bel wsiadła do tyłu i położyła się płasko na siedzeniu, przykrywając się kocem w kratkę.

— Służba Leśna — powiedział Spike, siadając za kierownicą. — Chroni dziką przyrodę. — Zaśmiał się. — Pokażemy, co to naprawdę znaczy *dzika*.

Potem wycofał aż do szosy. Pojechaliśmy sto jedyneką na zachód. Osiem kilometrów za miastem droga rozwidła się, a my skierowaliśmy się na zachód szosą numer 112. Niedługo ich zobaczyliśmy.

Na poboczu stał zaparkowany wóz z napędem na cztery koła. Tak bardzo rzucali się w oczy, że na więcej nie mogliśmy liczyć. Rozważaliśmy, czy zatrzymać się i skonfrontować z nimi — Spike powiedział, że będzie to przynajmniej test naszych przebrań. Jednak ja wygrałem i pojechaliśmy dalej. Gdybyśmy ich wyeliminowali, prawdopodobnie zauważono by ich nieobecność. A my potrzebowaliśmy czasu na zaaranżowanie wszystkiego. Zostawiliśmy ich więc tam ze świadomością, że jak zostaną wezwani do kwatery głównej Apostołów, będą potrzebować pół godziny na dojazd. Według mnie aż tyle czasu nie potrzebowaliśmy. Spike widział to tak, że gdybyśmy realizowali *jego* plan, wystarczyłoby nie więcej niż pięć minut.

Jeżeli widzieliście atak napalrmowy w *Czasie apokalipsy*, to wiecie, jaką skalę planuje.

Przykucnąłem w lesie i obserwowałem przez noktowizor. Dziwne **rzeczy** **działy** się w osadzie Apostołów.

A raczej *nie* się nie działo.

I to było dziwne.

Nie dlatego, że wszyscy poszli spać. Miałem przeczucie, że większość chat była pozbawiona życia. Spike i Bel poszli na rekonesans i wrócili z wiadomością, że nigdzie nie zauważyli żadnych samochodów. Hm, ja widziałem jeden: lincolna Kline'a. Stał wciśnięty między dwie chaty, najwyraźniej ukryty. Jednak innych wozów nie było.

Koncentrowałem się nie na najstarszej chacie, gdzie stałem się z Nathanem, ale na mniejszej obok. Tam paliło się światło. Wyglądało to na

lampę naftową lub taką na gaz; rzucała żółtą poświatę. Odbывała się tam rada plemienna. Czekałem, aż śmiałkowie wyjdą.

Tymczasem lustrowałem resztę osady. Panowały nieprzeniknione ciemności, ale na prawym oku miałem czerwony filtr z czarną siatką. Było cicho i spokojnie. Głos niósł się daleko i faktycznie usłyszałem odległy chrobot otwieranych drzwi chaty.

Przeniosłem lunetę z powrotem na chatę i obserwowałem, jak w drzwiach pojawił się mężczyzna. Był to jeden z ludzi Kline'a; palił papierosa. Inni wychodzili pojedynczo przed chatę i zapalali papierosy. Pewnie Provost jest niepalący. Byli z nim w pokoju, a teraz ich przypiliło. Naliczyłem ich sześciu. Zdaje się, że trzech poznałem w Oban, a trzech byli mi obcy. Provost i Kline musieli pozostać w chacie. Drzwi otworzyły się ponownie i wyszedł ktoś.

Kobieta.

Poznałem jej figurę. To Alisha, porucznik Provosta i kochanka. Przyjęła papierosa i zaczęła rozmawiać z mężczyznami.

Mówili ściszymi głosami, ale nawet mimo to słyszałem dźwięki, chociaż nie rozróżniałem słów. Mężczyźni mieli na sobie garnitury. Pod nimi musiały kryć się pistolety, ale byli jeszcze lepiej przygotowani. Dwóch z nich, na czas palenia, oparło swoje M16 o ścianę. Spoglądali w dal, głównie w moją stronę. Lecz z tego miejsca nie mogli mnie widzieć. Mogli dostrzec co najwyżej ruch, a ruszały się tylko gałęzie drzew na wietrze.

Czekałem, ale Kline i Provost nie pojawiali się. Nawet nie przypadkiem w oknie. Poprawiłem nastawienie lunety i poczułem się lepiej. Luneta przymocowana była do varminta, a varmint był naładowany pełnymi pięcioma magazynkami. Nie założyłem osłony na kolbę. Nie bałem się sińców. To był najmniejszy problem.

Z tyłu usłyszałem jakiś ruch.

— No i...? — szepnął Spike.

— Naliczyłem ich sześciu jak dotąd. Nie widziałem ani Provosta, ani Kline'a, ale jest jedna kobieta. Więc razem dziewięcioro.

— Siedmiu możemy zdjąć natychmiast — zdecydował Spike.

— Chciałbym wziąć Kline'a żywcem... przynajmniej dopóki wszystkiego mi nie powie.

— Wtedy trzeba będzie wziąć akumulator i dwie elektrody. Przecież sam z siebie nie będzie chciał mówić.

Miał rację. Bel poruszała się ciszej od Spike'a. Była po mojej drugiej stronie. Wszyscy troje mieliśmy założone kominiarki, do tego twarze

umazane farbą: zieloną i czarną. Na wypadek gdyby mieli zainstalowane światła. Jak dotąd polegali na ciemnościach. Jednak zawsze mogli zmienić taktykę i rozświetlić las. Gdyby nas oświetlili, wtedy oczywiście ich też byłoby widać. A my będziemy mieć kamuflaż. Mieliśmy na sobie czarno-zielone kurtki i zielone spodnie. Zdecydowanie wyglądaliśmy na przygotowanych, chociaż mogliśmy się tak nie czuć. Spike był w swoim żywiole, ale maźnięcia na twarzy Bel jedynie maskowały fakt, że pobladała. Nawet z jej ust odpłynęła krew.

Jeżeli chodziło o mnie, to opanowałem drzenie, ale nadal chciałem to rozegrać ostrożnie. Wszystko było nowe. Nie byłem najemnikiem, chociaż trzymałem z nimi. Nie byłem Action Manem ani GI Joe. Nie byłem też Spike'em.

— A co z normalnymi hipisami? — zapytał Spike.

— Wybylistad.

— Świetnie. Cudownie. — Wbił we mnie spojrzenie. — Mam je tu, chłopie — wyszeptał. Trzymał cztery krótkie, pękate cylindry.

— Ciagle to powtarzasz.

— Kiedy to zrobimy?

Spojrzałem na Bel; skinęła głową. — Teraz — zdecydowałem.

— Dobra, to teraz — wycedził Spike, znikając w mroku.

Bel i ja patrzyliśmy po sobie przez chwilę. Chciałem ją pocałować. Chyba o tym wiedziała. Ale ona tylko uśmiechnęła się i znowu skinęła głową, potem ścisnęła mnie za ramię i zaczęła wycofywać się, pełznąąc w przeciwnym kierunku niż Spike.

Teraz to była moja gra. Oparłem varminta o ramię i spojrzałem. Musiałem dać Spike'owi i Bel minutę. Strażnicy skończyli palić. Zbierali się. Podobało mi się, jak stoją na ganku, zupełnie jak cele na strzelnicy w wesołym miasteczku. Usłyszałem trzask radia i zobaczyłem, jak jeden z nich wyciąga walkie-talkie z kieszeni. Byłem zadowolony, że nie zaatakowaliśmy tamtych ludzi w punkcie kontrolnym. To oznaczałoby komitet powitalny. Jednak przynajmniej wtedy sprawa ruszyłaby do przodu.

Policzyłem do trzydziestu. Potem jeszcze raz.

Kiedy doszedłem do dwudziestu dziewięciu przy drugim razie, zacząłem strzelać. Pamiętajcie, nie jestem szybkostrzelny, ale wiedziałem, że muszę powalić jak najwięcej strażników. Nie skupiałem się na efektywnych strzałach, po prostu celowałem, aby trafić w dowolny punkt celu.

Wystrzeliłem dwa razy, zanim zlokalizowali mnie. Na tym polega problem strzelania w nocy bez tłumika płomienia. Zobaczyli płomień przy drugim wystrzale. Choć to im pomogło, nie przy tej odległości. Cią-

gle strzelali do cieni, a ja zdejmowałem ich po kolei. Padły dwa ciała, kiedy flary Spike'a wyładowały w osadzie. Żeby dorzucić je tak blisko chaty, musiał podczołgać się niebezpiecznie blisko. Dołożył jeszcze kilka z nich. Płonęły pomarańczowo-różowo i dawały dużo dymu. Wystrzeliłem jeszcze trzy razy z tego magazynku, zanim zadymiło się na dobre. Próbowali wycofać się do chaty, ale dostali rozkaz rozbiec się po osadzie.

Tego właśnie się spodziewaliśmy. Dlatego Spike był po jednej stronie osady, a Bel daleko po drugiej, uzbrojona w dwa pistolety. Teraz strzelali strażnicy; dookoła na oślep z automatów. Skądś dobiegł mnie nieomylny odgłos ingrama Spike'a. Zdjąłem lunetę, odłożyłem varmintą, podniosłem colta commando i ruszyłem przed siebie.

Osadę wypełniał dym, który teraz oświetlały cyrkowe światła, ale wiatr rozganiał dym tak samo szybko, jak się tworzył. Postanowiłem przestraszyć tych, którzy zostali w chacie, więc wypaliłem w nią kilka serii. Ściany były z cienkich desek przybitych do drewnianego szkieletu. Na filmach takie ściany powstrzymywały kule, ale nie w realnym świecie. Rozwiercałem ściany, aż zobaczyłem, jak z wnętrza pada światło. Wtedy ktoś zgasił lampę. Zacząłem strzelać wysoko, zakładając, że ktoś przestraszony pochylił się albo położył się płasko. Miałem nadzieję, że nie trafiłem nikogo, kogo nie chciałem trafić. Wtedy sobie coś uzmysłowiłem.

Otóż byłem jedynym celem dla strażników. Koło mojej głowy przeleciała kula z pistoletu. Przykucnąłem i wypaliłem serię z colta. Trafiłem strzelca trzy razy w łdatkę, aż poleciał do tyłu w piach. Teraz słyszałem Bel, jak strzelała szybkimi seriami tak, jak ją nauczono. Raz-dwa-trzy, raz-dwa-trzy, niczym kroki w tańcu. A Spike, Spike wrócił na strzelnicę w Teksasie, marnując kule, ale robiąc sporo hałasu. Na pewno myśleli, że atakuje ich cała armia. I to sprawdzało się; strażnicy strzelali, ale jednocześnie wycofywali się, co tam dokładność. Wytrzymałem na swojej pozycji i wystrzeliłem kolejną serię z colta. Wyposażony był w magazynek na trzydzieści pocisków. W kieszeni miałem jeszcze kilka magazynków.

Wtedy rozbito okno w chacie i ktoś zaczął przez nie strzelać. Słyszałem głuchoe dudnienie i uświadomiłem sobie, że rzucają granaty. Upadłem na bok, na ziemię i zacząłem się ruszać. Ekspłodowało daleko za mną i z boku, ale mimo to oderwało mnie od ziemi. Czułem, jak ziemia wzbiera pod moją piersią, jakby glob brał głęboki oddech, a ostatni wybuch wyrzucił mi nogi w powietrze.

Leżałem płasko, zwrócony twarzą w stronę chaty, aż skończył mi się magazynek. Potrzebowałem kilka sekund na przeładowanie, a w tym czasie kolejny łomot zasygnalizował nowy granat. Tym razem był o wiele bli-

zej mnie. Wyłączy! z użycia moje bębni i wstrząsnął mi głową. Przetoczyłem się kilkakrotnie w bok, a fragmenty ziemi i kory spadały na mnie niczym deszcz. W uszach miałem wyłącznie syczącą ciszę, na tle której w oddali pobrzmiwała kanonada.

Próbowałem potrząsnąć głową i uświadomiłem sobie, że coś mnie trafiło. Jakiś kamień, czy coś podobnego. Od uderzenia lewe ramię miałem bezwładne. Ugryzłem się w palce, próbując przywrócić czucie. Potem wstałem i znowu zacząłem strzelać. Przede mną były trzy ciała. Pozbawione życia. Dwa sam trafiłem na ganku, a trzecie nie wiem, kto.

Wtedy zauważyłem kolejną postać biegnącą wśród cieni. Przyłożyłem do oka noktowizor i rozpoznałem Spike'a. Czuł, że go widzę i dał mi znak kciukiem, że wszystko w porządku. Nie żeby mnie widział, ale i tak dał znak. Znowu puściłem serię w stronę chaty. Już nie padały granaty, co znaczyło, że Kline miał tylko dwa. Teraz usłyszałem wrzask kobiety i krzyki dwóch mężczyzn. Spojrzałem w prawo przez noktowizor, ale nie było widać śladu Bel.

Wtedy rozwarły się na oścież drzwi chaty i wypadła przez nie Alisha.

— Nie strzelać! — wrzasnęła. — Nie jestem uzbrojona! — zawodziła. Trzymała się za ramię. Najwyraźniej została trafiona.

— Niech wszyscy wyjdą z domu! — zawołałem. Głos miałem wystarczająco zdecydowany z tego, co słyszałem. — Wychodzić, już!

Zbliżył się Spike i zawołał Bel. Nie było odpowiedzi.

— Idź jej poszukać — rozkazałem, starając się nie zdradzać głosem paniki.

Wyjąłem z kieszeni powoli palącą się flarę, wetknąłem ją w ziemię i zapaliłem, natychmiast od niej odchodząc. Spike szedł w stronę bocznej ściany chaty. W drzwiach pojawił się mężczyzna. To był Jeremiaś Provost. Miał uniesione ręce. Teraz, kiedy flara oświetlała scenę, zauważyłem, że ma krew na białej koszuli. Lecz to było jedynie maźnięcie, nic więcej i domyślałem się, że to nie jego krew, tylko Alishy.

— Alisha, na ziemię — rozkazałem. — Ty, Provost, też!

— Kim jesteś? — Nie ruszał się. — Czego chcesz?

Nagle padł strzał z pistoletu i Spike osunął się na ziemię. Ruszyłem w jego stronę i zrozumiałem swój błąd. Obróciłem się lekko w samą porę, aby dostrzec, jak Alisha wyciąga spod ubrania broń. Strzeliłem jej w głowę z colta. Wystarczył jeden strzał.

Potem znowu się odwróciłem i zobaczyłem, jak Kline przechodzi nad ciałem Spike'a. Celował z pistoletu w moją głowę. Zanurkowałem, jednocześnie strzelając. Jego ciało padło na ziemię. Zza niego wyszła Bel. Z lu-

fy jej pistoletu wznosiła się smużka dymu. Tył jego głowy, tam, gdzie go trafiła, zalewała krew.

Upadła wtedy na kolana i zwymiotowała.

— Bel, został z nich ktoś jeszcze?

Udało jej się przecząco pokręcić głową. Skierowałem colta na Provosta. Zszedł po schodkach przed chatą i uklęknął przy Alishy.

— Dlaczego? — zapytał i powtarzał to słowo ciągle na nowo.

Zostawiłem go tam i sprawdziłem wewnątrz domu. W środku było pusto. Okno z tyłu, przez które wydostał się Kline, było szeroko otwarte. Woń lasu i kordytu mieszały się ze sobą. Wyszedłem z powrotem na dwór i zastałem Bel, siedzącą przy Spike'u. Głaskała go po czole.

— Żyje — powiedziała. — Powinniśmy go ruszać?

— Może trzeba.

Obejrzałem go. Na piersi miał ciepłą, lepłą krew. Został trafiony czy-
sto z przodu. Kula wyszła z tyłu. Gdyby stał dalej, pocisk mógł utknąć
w środku. Nie wiedziałem, czy przeżyje.

— Macie tu nosze? — zapytałem Provosta.

Spojrzał na mnie zalany łzami i bezgłośnie zapytał: — Dlaczego?

— Powiem ci, dlaczego. Bo miała broń. Po co jej broń? Bo nie była
Apostołką Miłości, pracowała dla Kline'a, tak samo jak Nathan. Wiedzia-
łeś, że Nathan był bratem Kline'a? Wiedziałeś, że nazywał się Nathan *Kli-
ne*? Nie? — Provost potrząsnął głową. — Znajdziesz to w dokumentach
we własnym biurze. Jak to możliwe, że ukochana Alisha nie powiedziała
ci? Sam do tego dojdź, ale w pierw powiedz, czy macie tu apteczkę i, kur-
wa, nosze!

Wpatrywał się we mnie. — Nie ma noszy — powiedział. — Apteczka
jest w biurze.

Odróciłem się do Bel. — Idź po nią.

Spike oddychał z bólem, łapczywie chwytając powietrze, ale jednak
oddychał. Podeszedłem do niego. Miał oczy zamknięte, koncentrując się.
Skupiał się na tym miejscu, na czekaniu.

— Spike — wyszeptałem — pamiętaj, nie możesz umrzeć. Chyba le-
piej powiem ci prawdę, Spike. W niebie nie ma broni.

Nieomal uśmiechnął się, ale koncentrował się zbyt mocno. Wróciłem
do Provosta i stanąłem nad nim.

— Czas porozmawiać — zdecydowałem.

— Porozmawiać? Mogliśmy rozmawiać bez tego wszystkiego.

— Nie mój wybór, Provost. To Kline tak chciał. Twój człowiek.

— Mój człowiek? — Mówił, jakby usta miał pełne żółci. — Kline nie był moim człowiekiem.

— To kim był?

— Pracował kiedyś dla NSC. Słyszałeś o nich?

— Trochę.

— Po pewnym wypadku zwolnili go. Ten wypadek to ja.

— Nie rozumiem.

— Zrozumiesz. — Wstał. — Naprawdę myślisz, że Alisha pracowała dla Kline'a?

— To nie znaczy, że ciebie nie kochała.

Wbił we mnie spojrzenie. — Nie zbywaj mnie, West. Kline mówił mi o tobie. Mówił, że mnie ścigasza. Nie powiedział właściwie dlaczego.

— Mam pytania, to wszystko.

Odwrocił się ode mnie i usiadł na stopniach przed chatą z głową w rękach. — Mów — rozkazał, nie podnosząc spojrzenia.

Mów? Zupełnie nie wiedziałem, gdzie zacząć. Bel wróciła z apteczką i zaczęła tamować krwawienie u Spike'a. Ja podszedłem do stopni i zatrzymałem się przed Provostem. Wyjąłem z kieszeni walkmana Sama Clancy'ego i włączyłem nagrywanie.

— W Londynie zginęła kobieta — zacząłem. — Nazywała się Eleanor Ricks. Była dziennikarką i badała Apostołów Miłości.

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— Nie zleciłeś tego zabójstwa?

— Nie.

— Zatem Kline działał na własną rękę.

Teraz spojrzał na mnie. — Tyją zabiłeś?

— Tak.

— To odpowiedz mi na jedno. Dlaczego Kline miałby płacić komuś za wykonanie tego zadania, skoro sam miał armię najemników?

To było dobre pytanie. Tak dobre, w zasadzie, że nie miałem odpowiedzi...

— Nie wiem — odparłem. — Sam mi powiedz.

Provost uśmiechnął się. — Nie umiem. Mogę ci jedynie powiedzieć, co mówił Kline. Nie wie, dlaczego węszysz. Nie zlecał żadnych likwidacji i on sam też zastanawiał się, kto to zrobił. Kiedy zacząłeś zadawać pytania, stworzyłeś zagrożenie.

— I kazał zabijać dziennikarzy, tak? Kazał zastrzelić Sama Clancy'ego.

— Kline nie miał sumienia, jeżeli to chcesz powiedzieć.

- Ale co ochraniał? Dlaczego osłaniał ciebie?
 - Dla pieniędzy, West, co niby jeszcze? Och, nie mówię, że mu płaciłem. To on mi płacił, płacił mi cały czas za swój błąd. — Spojrzał na ciało Kline'a. — Dzisiaj zapłacił najwyższą cenę.
 - Nadal tego nie rozumiem.
 - Kline pracował dla komórki w NSC zaangażowanej w finansowanie nikaraguańskich Contras. To jeszcze w latach osiemdziesiątych. Udało mu się wyłudzić dziesięć milionów dolarów od... no, nie wiem, sułtana skądś z Bliskiego Wschodu. W tym czasie ja miałem trochę pieniędzy. Starsi krewni umierali. Aż znudziły mi się liczne pogrzeby. Chciałem inwestować pieniądze po swojemu, więc założyłem konto w Szwajcarii.
 - Ico?
 - Dla Kline'a to był szczęśliwy traf, zdobyć tyle pieniędzy dla Contras, ale nie bardzo wiedział, co z nimi zrobić. Ktoś w NSC, nie twierdzą, że to pułkownik Oliver North, zaproponował umieścić je w banku i poczekać, aż będzie można je wydać zgodnie z zamiarami.
 - W szwajcarskim banku?
 - NSC miało tam konto. Tylko zaangażowali się bogowie losu i ironii. Kline niepoprawnie skopiował szczegóły konta. Nie pamiętam już, dlaczego właściwie postanowiłem sprawdzić stan rachunku, ale zadzwoniłem do Szwajcarii w pewien czwartek rano ich czasu i podano mi dokładną sumę. Wydawała się większa, niż pamiętałem, większa o około dziesięć milionów. Zapytałem wtedy księgowego, jak wczesnie muszę powiadomić bank o dużej sumie, którą chcę wyciągnąć...
- Provost przerwał tutaj.
- Wyjąłeś całe dziesięć milionów?
 - Nie. W końcu jedynie przenieśliśmy je na nowe konto.
 - Chryste.
 - To był błąd Kline'a. Przyszli go, żeby ze mną porozmawiał... bez względu na dyskrekcję szwajcarskich banków, NSC zawsze znajdzie sposób, aby namierzyć ludzi. Osiągnęliśmy kompromis. Oddałem połowę pieniędzy. Drugą połowę zatrzymałem.
 - A on na to przystał?
 - Nie miał wyboru.
 - Mógł cię zabić.
- Provost uśmiechnął się. — Nie wymieniałem NSC w moim testamencie, panie West. On nadal nie dostałby pieniędzy. Poza tym przełożeni byli na niego wściekli. Nie mogli przystać na taki bałagan.
- Więc go wykopali?

— Nie, zepchnęli go w cień. Jego wyrok polegał na tym, żeby nikt nigdy nie dowiedział się o całej sprawie.

— A to oznaczało powstrzymywanie reporterów przed zbytnim węszeniem?

— Właśnie.

— Dlatego Eleanor Ricks trzeba było powstrzymać.

Potrząsnął głową. — Już mówiłem, Kline temu zaprzeczał. Nieustannie.

— No, to nie ma sensu.

— Może ktoś jeszcze skorzystał z twoich usług.

— Tak, ale ja już...

Zrozumiał, o czym myślę. — Zaszedłeś tak daleko i zabiłeś tych wszystkich ludzi, i nie posunąłeś się nic a nic do przodu?

Skinąłem głową. Umysł pracował na wysokich obrotach. Odzyskałem słuch w większości, ale to nie dlatego. Nie potrafiłem tego zaakceptować.

— Dwie cyfry, oto, co było przyczyną — mówił Provost. Kline niespecjalnie pisał na maszynie. Przetawił dwie cyfry na rachunku bankowym, a czyniąc to, NSC zapłaciło za Apostołów Miłości. *To, West*, jest przyczyna, dla której musieliśmy utrzymać wszystko w tajemnicy. Sponsorowali sektę religijną, a odsetki od tej sumy nadal temu służą.

— Gdzie dowód?

— Och, mam dowód.

— Gdzie? — Chyba jednak nie do końca mu wierzyłem. Musiało być coś jeszcze. Najwyraźniej miał kłopoty z pamięcią, więc poślaskotałem go coltem pod brodą.

— Provost, pamiętaj, z czego żyję.

— Jak mogę zapomnieć? W sejfie mam papiery, a u adwokata kopie.

Może to przez słowo „adwokat”. Nieomal poczułem, jak coś przeskakuje mi w głowie.

— Otworzysz dla mnie sejf.

— Tu go nie ma. Jest w domu w Seattle.

— Świetnie, pojedziemy tam.

— Ja chcę tu zostać. Kombinację łatwo znaleźć, sam jej nigdy nie pamiętam, więc mam numer zapisany w bloku kartek obok telefonu. Jako numer telefonu w Australii.

Wiedziałem, że sam muszę to zobaczyć. Musiałem zachować jakiś dowód całej tej historii. Nawet wtedy to nie wystarczało. Przeszedłem przez to wszystko, wciągnąłem Bel i Spike'a i nadal brakowało odpowiedzi. To nie Provost mógł ją dostarczyć.

Huknął strzał. Zakręciłem się wraz z coltem. Ochroniarz musiał się przyczołgać z miejsca, gdzie zostawił go Spike. Był cały zakrwawiony z przodu. Nie pogorszyłem dużo jego sytuacji, pozbawiając go resztek życia. Odebrałem mu kilka minut, jakie mu zostały.

Lecz kiedy odwróciłem się do Provosta, zobaczyłem, że dostał w serce. Strażnik celował w niego, nie we mnie. Zlecenie samobójstwa od Kline'a, na pewno. Położyłem ciało na ziemi. Bel nawet nie podniosła wzroku. Starła się posklejać Spike'a.

— Ciągłe krwawi — usłyszałem. Poszukałem pulsu u Provosta i nie znalazłem, więc podszedłem do niej. Wtedy dostrzegłem samochód między domkami. Tylną szybę miał roztrzaskaną, ale kiedy się zbliżyłem, aby się przyjrzeć, okazało się, że opony ma nietknięte. Poszukałem kluczyków w kieszeniach Provosta i wyjechałem samochodem na polanę.

Razem z Bel położyliśmy Spike'a na tylnym siedzeniu. Jęknął i zasyczał cicho, więc powtórzyłem mu ostrzeżenie o broni w niebie. Potem wsiedliśmy do samochodu i odjechaliśmy.

— Co zrobimy? — zapytała Bel.

— Zawieziemy Spike'a do szpitala.

— Ale potem? Słyszałam, co tamten mówił. Przyjechaliśmy aż tu nadaremno. Ci wszyscy ludzie zginęli... i mój ojciec też... na darmo.

Spojrzałem na nią. Płakała. — Może kłamała. Może... nie wiem.

Minęliśmy samochód po drodze. Pędził w stronę jeziora Crescent. To była czujka. Nawet na nas nie spojrzeli. Pojechałem objazdem do miejsca, gdzie zostawiliśmy strażników. Byli najwyraźniej przerażeni naszym widokiem. Wyciągnąłem ich z chryslera i zostawiłem opartych o siebie plecami na ziemi.

— Zabierz Spike'a do szpitala — poleciłem Bel.

— Dokąd się wybierasz?

— Do domu Provosta.

Spojrzała na mnie. — Myślisz, że znajdziesz to, czego szukasz?

— Nie wiem, czego szukam, Bel. Opiekuj się Spike'em, hm? — Wtedy pocałowałem ją i wsiadłem do chryslera.

W drodze do Seattle udało mi się zapomnieć o Ameryce. Zacząłem myśleć o Londynie, o samym początku całej sprawy i o Scottym Shattucku. Dlaczego nie poczekałem, aż pojawi się jeszcze raz? Był kluczem do całej sprawy. Moja niecierpliwość zawiodła mnie w złym kierunku. I tak brnąłem od tej pory.

Może nadal zmierzałem w niewłaściwą stronę, ale mimo tojechałem dalej.

Byłem gotowy wyważyć drzwi domu Provosta.

Jednak nie było to konieczne. Drzwi nie były zamknięte. Wydobyłem zza pasa smith & wessona 550 i zakradłem się do domu. Ktoś był tu przede mną. Wnętrze było wywrócone do góry nogami, jakby dokonano kradzieży, tylko że najwyraźniej nic nie zginęło. Telewizor, wideo, wieża hi-fi były na miejscu, podobnie jak damska biżuteria rozsypana po podłodze w sypialni. To musiały być kosztowności Alishy. Nie czułem zbyt wiele wina po zabiciu jej. Inaczej ona by mnie zabiła. Jednak na widok biżuterii i ubrań, a do tego czując zapach jej perfum... musiałem na chwilę odpocząć i opanować oddech.

I wtedy mnie znalazł.

Poczułem chłodną lufę na karku. Na moment zamarłem.

— Rzuć broń.

Posłuchałem, a wtedy zostałem pchnięty od tyłu.

— Idź do salonu.

Poszedłem. Rozpoznałem głos. Wiedziałem, kto jest za mną.

— Teraz odwróć się.

Odwróciłem się i znalazłem twarzą w twarz z Leo Hofferem.

— Siadaj — powiedział. — Zrzuć ciężar. Wyglądasz, jakbyś miał ciężką noc.

— Była ciężka. — Usiadłem na kanapie, ale na brzegu, gotowy zerwać się przy lada okazji.

— Usiądź wygodnie — dodał. — No, proszę, rozsiądź się.

Oparłem się. Kanapa była jak z miękkiej pianki. Wiedziałem, że działa tak samo dobrze jak pęta. Nigdzie się nie śpieszyłem.

— Tak, paskudna jest, nie? — mówił Hoffer. — Posiedziałem na niej wcześniej, kiedy zastanawiałem się, co począć. Zajęło mi pięć minut, żeby z niej wstać. Działa zupełnie jak muchołówka albo rosziczka. No, więc, panie Wesley-Weston-West, co pan tu robi?

— Chyba to samo, co ty.

— Pewnie masz przy sobie jakieś narzędzia, bo ten sejf nie chce ustąpić.

Wskazywał odległą ścianę. Zdjął wielki pejzaż morski i odsłonił mały sejf w ścianie. Nawet stąd widziałem, że próbował się do niego dostać.

Ściana dookoła była cała zdarta i podziurawiona, a metalowa powierzchnia sejfów podrapana i powgniatana.

— Mogę go otworzyć — powiedziałem.

— To dobrze. Bo wtedy wepchnę ci tam głowę i wsadzę do dupy pistolet.

— Oj, Hoffer, ty to masz klasę.

— Powiem ci, co to znaczy mieć klasę. Klasa to podpuścić mnie tak, kurwa, żebym gonił za tobą przez pół świata i z powrotem. To taka klasa, że ci łeb odstrzele.

Nagle poczułem się zmęczony. To znaczy, jak pies. Nie zostało mi nic a nic pary, nic ognia. Potarłem czoło.

— Chcę się napić — powiedziałem.

— Provost nie ma w domu ani kropli. — Sięgnął do marynarki i wyciągnął pół butelki. — Dlatego musiałem to przynieść. — Rzucił butelkę na kanapę obok mnie. Jim Beam, pozbawiony już kilku dobrych centymetrów od zakrętki.

Otworzyłem go i wypilem kilka łyków. Potem już nie czułem się tak bardzo zmęczony.

— Jak mnie znalazłeś?

Zbliżył się do mnie na tyle, aby zabrać butelkę, potem wycofał się. Popił łyk, nie spuszczać oczu ze mnie i swojego smith & wessona 459. Nie trudził się zakręcaniem butelki, ale postawił ją na kominku.

— Nie zapomnij — dodałem — że są na tym twoje odciski.

— Twoje też — odparł. — Wytrę je, zanim wyjdę. Wygląda na to, że jeszcze masz ochotę na łyk.

Lecz potrząsnąłem przecząco głową. — Jeszcze trochę, a zasnę, bez urazy.

Uśmiechnął się. — Nie obrażam się. Ale nie chcę, żebyś zasnął. W zasadzie, to nigdy nikogo nie zabiłem, a co dopiero kogoś bezbronnego. Nie jestem taki jak ty. Nie zabijam niewinnych. Poważnie spieprzyłeś sprawę, jak trafiłeś córkę Walkinsa.

— Wiem.

— I tak pewnie jeszcze ciebie to męczy. Zresztą tak samo jak oni wszyscy, wszystkie twoje ofiary. Będę miał radochę, jak ciebie zabiję.

— Zabić nie jest tak łatwo, jak myślisz. Może ukryjesz mnie gdzieś, zanim zjawi się twój klient i ci pomoże. Na pewno będzie chciał strzelić sobie parę razy.

— Chyba masz rację, ale nie zasłużył na ten przywilej, tak jak ja. Jak ciebie znalazłem? Nie znalazłem. *Ty mnie znalazłeś.* Czekałem na ze-

wnątrz, żeby zobaczyć, kto się zjawi. Spodziewałem się Provosta albo Kline'a.

— Znasz Kline'a?

— Poznałem go.

— Nie żyje.

— Miło to słyszeć. Taki z niego skurwiel, że aż przyprawił mnie o niestrawność. Nie cierpię niestrawności przy śniadaniu, zostaje mi wtedy na cały dzień. Zgaga, wiesz.

Skinałem głową. — Provost też nie żyje.

— Byłeś zapracowany. Więc, o co chodziło, do kurwy nędzy?

Wzruszyłem ramionami. — Tak właściwie — powiedziałem — to chcę ci za coś podziękować.

Zmrużył oczy. — Za co?

— Za to, że przykryłeś głowę Maxa. Jego córka go znalazła.

— Te żałosne gnojki zostawiły ją na ciele.

— Wiem, dzięki.

— Onajest tu gdzieś?

— Ona... jest gdzieś.

— Nie martw się — dodał. — Do niej nic nie mam.

— Wiem.

— To dotyczy ciebie i mnie, Mikey, tak jak zawsze miało być. Aha, twoi starzy przesyłają pozdrowienia.

To było jak cios w głowę. — Co?

— Kazałem facetowi z wojska sprawdzić przypadki hemofilii. Lista była krótka, a jedno z nazwisk brzmiało Michael Weston. Znalazłem twoich rodziców. Pozdrawiają cię. Dlatego tyle trwało, nim tu dotarłem. Musiałem zboczyć, można by rzec. Lecz teraz wiem sporo o tobie i to miłe, skoro nie będziemy sobie przedstawieni w normalny sposób. — Zauważył zdziwienie na mojej twarzy. — Twój ojciec ma na imię John, przeszedł już na emeryturę, ale nadal to na wskroś wojskowy. Mama ma na imię Alexis. Mieszkają w Stockport. — Uśmiechnął się. — Jestem blisko?

— Kurwa, Hoffer, dobiłeś mnie.

— Co jest w tym sejfie, Mike? Zaciekawileś mnie.

— Hm?

— Zjawiłeś się tu po to, co jest w sejfie. Chcę się dowiedzieć, co to takiego.

— Dowód — odparłem. — Ta cała sprawa to Kline i jego gówniany błąd w druku.

Teraz się zainteresował, a to dobrze. Jeszcze mogłem trochę pożyć. Opowiedziałem mu historię, nie spiesząc się. Doszedłem do wniosku, że nie chcę umierać. Nie chciałem już, aby ktokolwiek ginął. Nie dzisiaj, może już nigdy.

— Niezłe — przyznał Hoffer, kończąc gorzałę — jak gównu pokryte dwudziestokaratowym złotem.

• — W sejfie są papiery.

— I ty możesz go otworzyć? — Skinąłem głową. — No, to dawaj.

Poszedł za mną. Do telefonu. Na bloku kartek dużo było notatek, sporo numerów i liter. Znalazłem to, czego szukałem, i wydarłem wierzchnią kartkę. Podszedłem z nią do sejfu w ścianie.

— Bzdura — parsknął Hoffer w niewierze, kiedy przeczytałem z kartki i zacząłem kręcić gałką. Pociągnąłem za rączkę i powoli otworzyłem drzwi sejfu.

Zajrzałem do środka. Wiedziałem, że jeżeli on będzie chciał zajrzeć, będzie musiał stanąć zaraz za mną. Czułem go za sobą. Był blisko, ale czy wystarczająco? Gdybym się na niego zamierzył, czy trafię go, czy raczej powietrze? Wtedy zobaczyłem, co jest w sejfie. Było sporo papierów i zgrabny plik banknotów. Lecz był też rewolwer o krótkiej lufie; piękna, mała 38. Podjąłem decyzję, ale zbyt późno. Kolba pistoletu trafiła mnie w tył głowy i nogi się pode mną ugięły.

Ocknąłem się ścierpięty, jakbym spał w samochodzie. Zamrugałem oczyma i przypomniałem sobie, gdzie jestem. Rozejrzałem się dookoła. Ból w głowie dokuczał. Zastanawiałem się, czy Hoffer tu był i przeprowadzał na mnie jakieś eksperymenty medyczne. Może małą trepanację.

Znajdowałem się w jaskrawobiałej łazience z jacuzzi wpuszczonym w podłogę i złotymi kranami. Siedziałem przy umywalce na zimnych kafelkach, z rękami związanymi z tyłu. Ręce miałem zeszytywniałe. Obejrzałem się do tyłu i zobaczyłem, że jestem przykuty do miedzianych rur pod zlewem. Nogi miałem związane brązowym, skórzanym pasem.

A najbardziej wkurzające było to, że Hoffer siedział na sedesie niecały metr ode mnie.

Jednak spodnie miał naciągnięte. Wieko było spuszczone, aby miał wygodniej. Przez jedno ramię przerzucił sobie mój pas z pieniędzmi i wertował jakieś dokumenty.

— No, Mike — odezwał się — wygląda na to, że miałeś rację, co? Jakis pieprzony interes; rząd oddaje mi pięć dużych baniek. Dzięki bardzo i szalom. Jezuu! — Poklepał się po kieszeni marynarki. — Ale skurwiel

trzymał w sejfie tylko pięć patyków. W sumie starczy na kilka obiadków. Och, i dzięki za twoją darowiznę. — Rzucił w moją stronę pas na pieniądze. — Zostawiam ci czeki podróżne. Nie chcę wdepnąć w żadne fałszerstwo. Ale nie licz na te czeki tam, dokąd się wybierasz...

Szarpnąłem kajdankami.

— Dobre, nie? Nowojorskie policyjne. Zanim przeszli na plastikowe gównno. Słuchaj, zostawiam tu kluczyk, dobra? — Położył na podłodze obok siebie. — Masz. Będziesz miał co robić, jak będziesz umierał. Oczywiście, może już zacząłeś, co? Walnąłem ci całkiem nieźle. Może masz jakiś wewnętrzny krwotok. Widzisz, znam się na hemofilii. Poczytałem trochę. Chłopie, są *tak* blisko wynalezienia leku, co? Genetyka i te rzeczy. Niech się pieprzą ci wszyscy liberałowie, co to chcą zakazać doświadczeń. Mike, potrzebujemy więcej tych królików doświadczalnych z dziurami wydrążonymi w mosznie, z powtykanymi drutami, jakby to były obwody drukowane...

— Leo, obwody drukowane nie mają drutów. Przynajmniej niewiele.

— Oj, przepraszam, profesorze. — Zaśmiał się i podrapał po nosie.

Wiedziałem, że wciągał jakieś dragi, kiedy byłem nieprzytomny, ale nie miałem pojęcia co. Czuł się jednak najwyraźniej dobrze, to było wiadać. Na tyle dobrze, aby darować mi życie? Hm, jeszcze mnie nie zabił. Wstał i otworzył apteczkę.

— Same naturalne gówna — mruknął, wyciągając butelki i potrząsając nimi. Odwrócił się lekko do mnie. — Kurwa, uszy mnie bołą po locie. I to wszystko twoja wina, że musiałem ostatnio ciągle latać.

— Serce mi krwawi...

Teraz się uśmiechnął. — A wiesz, że masz rację. Więc Kline cię wystawił, co?

— Provost mówi, że nie.

— A jednak ktoś to zrobił. Jak tylko usłyszałem, jak pytałeś producenta i prawnika, jakie ubrania nosi Eleanor Ricks, wiedziałem, do czego zmierzasz.

— To jesteś sprytniejszy ode mnie.

— Ten, kto ci zapłacił, wiedział, co ona nosi, hę?

— Tak.

— No, Mike, to zawęźa sprawę, co?

To mnie uderzyło. Rzecz w tym, że ja nic tu jeszcze nie zawęziłem dostatecznie. A teraz już za późno, o wiele za późno...

— To, że mam hemofilię także — powiedziałem. — I masz rację, proste uderzenie w głowę wystarczy.

— Ale znam coś o wiele lepszego. — Wstał i podszedł do mnie. Po-
tem przykucnął przede mną. Miał coś w dłoni. Kiedy ją otworzył, zoba-
czyłem krótkie, płaskie ostrze. Cholera, scyzoryk.

— Piękny, nie? Patrz, z tyłu jest wąż. To znak firmowy. Chwała stal
z Pittsburga, a *to* dopiero jest stal, człowieku.

— Co chcesz zrobić?

— Wiesz, co chcę zrobić, Demolka. Zdemoluję cię. Śmierć od tysiąca
cięć. Może tylko od tuzina, nie więcej.

Wtedy zacząłem się wiercić, szarpać za rury, próbując wyrwać je z
ściany. Wierzgałem związanymi nogami. On tylko kucnął i śmiał się. Żreni-
ce miał jak czarny łebek od szpilki. Zamachnął się i pierwsze cięcie trafiło
w policzek. Przez sekundę nic, potem powolne uczucie gorąca, które
przybierało na sile. Poczułem, jak krew spływa mi po twarzy. Drugi cios
trafił mnie w ramię, a krótkie dźgnięcie otworzyło mi klatkę piersiową.
Ciągłe siłowałem się, ale nadaremnie. Potem zaatakował mi nogi, mniej
więcej na chybił trafił. Nie był podekscytowany. Zachowywał spokój, peł-
ną kontrolę. Przestałem walczyć, chociaż było to trudne.

— Leo, to nic nie załatwi.

— To idealny sposób.

— Chryste, zastrzel mnie, ale nie rób *tego*.

— Przecież już robię. Pokroić i poszatkować. I... *voilà!* — Wstał, żeby
podziwiać swoją robotę, wycierając ostrze w rolkę papieru toaletowego.
Nie potrafiłem policzyć ran na własnym ciele. Było ich ponad dziesięć.
Wszystkie bolały, ale żadna z nich nie sprawi, że się wykrwawię, nie sa-
moczynnie. Ale w sumie... cóż, w sumie to było jedno wielkie gówno. Ko-
szulę już miałem przesiąkniętą krwią i pode mną na kafelkach pojawiła
się rozmazana czerwień.

— Leo — wypowiedziałem jego imię. Coś w moim głosie skłoniło go,
by spojrzeć na mnie. — Proszę, nie rób *tego*.

— Magiczne słowo — orzekł Leo Hoffer. I wyszedł z łazienki.

— Leo! Leo!

Lecz jego już nie było. Wiedziałem. Słyszałem, jak cicho zamknął
frontowe drzwi. Wtedy zobaczyłem kluczyk do kajdanek. Wyciągnąłem
nogi w jego stronę, ale brakowało mi dobrych dwudziestu, trzydziestu
centymetrów. Zsunąłem się na podłogę, nieomal wyciągając ręce ze sta-
wów, i spróbowałem jeszcze raz, ale nadal dzieliło mnie może pięć centy-
metrów. Leżałem wyczerpany, cały w bólu. Hemofilicy nie krwawią szyb-
ciej od innych, my po prostu nie przestajemy krwawić, jak już raz zacznie-
my. Należałem do umiarkowanych przypadków, ale mimo to moje ciało

nie potrafiło bardziej tamować krwawienia. Leo musiał o tym wiedzieć. Tak wiele wiedział o mnie.

— Tyskurwysynu!

Usiadłem znowu i skręciłem łańcuch łączący kajdanki. Każdy łańcuch miał najsłabsze ogniwo, ale ja nie mogłem go znaleźć. Spojrzałem ku górze. Na zlewie leżała szczoteczka do zębów i tubka pasty, kostka mydła, taka jaką zabierało się z pokoju hotelowego. Mydło: może mógłbym nasmarować sobie nadgarstki i zsunąć kajdanki. Tylko że te bransoletki w ogóle nie miały luzu. Zawsze miałem szczupłe przeguby, o wiele szczuplejsze od dłoni. Po tej stronie grobu nie miałem żadnych szans na uwolnienie rąk, z mydłem czy bez.

Oparłem się plecami o ścianę. Myślałem o wielu sposobach, wszystkich świetnych i na filmie któryś by się sprawdził. Ale to była podłoga w łazience w Seattle i nie pozostało mi nic innego, tylko umrzeć.

Wtedy drzwi frontowe otworzyły się.

— Halo! — krzyknąłem. — Tutaj!

Kogo spodziewałem się zobaczyć? Oczywiście Bel. Żywiłem pewną nadzieję, że przyjedzie tu za mną, kiedy już odtransportuje Spike'a do szpitala.

— Tutaj — znowu zawołałem.

— Wiem, gdzie jesteś, idioto — odezwał się Hoffer. Stał w drzwiach z rękami na biodrach. To był wielki skurwysyn, ale nie tak wielki, na jakiego wyglądał w telewizji. Przyjrzał mi się dobrze, jakbym był pijakiem rzucającym się po przedpokoju. Hoffer zastanawiał się, czy kopnąć mnie, czy rzucić mi monetę.

Rzucił mi monetę. A dokładnie: nastąpił na klucz czubkiem buta i przysunął go bliżej do mnie.

— Słuchaj — zaczął — co warte jest życie bez odrobiny zabawy? Zrobisz mi przysługę.

— Co?

Szukał czegoś w kieszeni i w końcu wydobył mały aparat fotograficzny. — Udawaj, że nie żyjesz.

— Co?

— Udawaj martwego. Musisz przekonać Walkinsa, więc się postaraj. Krew wygląda dobrze, ale głowa musi zwisać bezwładnie, nogi rozrzucone, wiesz, o co mi chodzi.

Patrzyłem na niego. Czy prowadził jakąś grę ze mną? Trudno powiedzieć. Oczy miał ciemne, rozbiegane. Wyglądał, jakby miał zalać się łzami. Był trochę zdezorientowany.

Spuściłem głowę na pierś. Zrobił kilka zdjęć pod różnym kątem, a nawet wspiął się na sedes, żeby pstryknąć jedno z nich. Odgłos silniczka w aparacie przesuwającego film był prawie niestosowny. Ja tu wykrwawiałem się jak świnia, a ktoś robił zdjęcia z kibla.

— To ścierna — powiedział w końcu. — No, nie mówiłem ci? Joe Draper chce zrobić film dokumentalny o moim życiu. Może pogadamy o mojej pracy charytatywnej, hę?

— Leo, ciebie tylko do rany przyłożyć.

— Tak, tak.

Odrzucił się, żeby odejść, ale wtedy przypomniał sobie o czymś. Stał plecami do mnie, gdy mówił.

— Mikey, będziesz mnie gonił ze spluwą?

— Nie — odpowiedziałem, sam nie wiedząc, czy dotrzymam obietnicy. — Skończyłem z tym. — Ku własnemu zaskoczeniu, tego byłem pewien. Hoffer zerknął przez ramię i wydawał się usatysfakcjonowany.

— Cóż — odezwał się. — Też trochę o tym myślałem. Widzisz, mógłbym ci złamać rękę, powykręcać palce, roztrzaskać nadgarstek, ale ciało ma zdolności regeneracyjne.

— Leo, przysięgam, nie będę...

— Więc zamiast tego, tak na wszelki wypadek, wystawiłem kontrakty na twoich rodziców. Jak mnie się dostanie, to im też.

— Nie ma potrzeby.

— I twoja przyjaciółka Bel, z nią tak samo. Moje małe ubezpieczenie. W zasadzie nie zwróci się w całości, ale wystarczy.

Chciał odejść.

— Hoffer — powiedziałem. Zatrzymał się. — To samo pytanie: będziesz mnie gonił ze spluwą?

— Nie, jeżeli pozostaniesz martwy. Poszukaj sobie, kurwa, normalnej pracy, Mike. Układaj towar na półkach czy coś. Sprzedawaj hamburgery. Powiem Wałkinsowi, że cię kropnąłem. Mam nadzieję, że uwierzy. Tracę najlepszego klienta, ale to powinno pomóc. — Poklepał się znowu po kieszeni, tam gdzie były pieniądze. — • Kilku innym też mogę powiedzieć.

Uśmiechnąłem się. — Masz na myśli prasę.

— Mike, muszę zarobić na życie. Skoro ty nie żyjesz, potrzeba mi rozgłosu.

— Proszę cię bardzo, Hoffer, wejdź na dach i krzycz o tym na cały głos.

— Właśnie zamierzam.

I poszedł. Sięgnąłem po lducz, ale nawet wtedy cholernie trudno było odpiąć kajdanki. Jak to robił Houdini? Może gdyby wybić sobie jakiś staw czy coś... W końcu je zdjąłem i wydostałem się z łazienki na chwiejnych nogach, i upadłem na kolana w korytarzu. Pełzłem w stronę drzwi, kiedy otworzyły się, bardzo powoli. Najpierw zobaczyłem jedną stopę, potem drugą. To były prawdziwe kowbojki.

— Michael! — krzyknęła Bel. — Co się stało?

Objęła moją głowę.

— Przynies plaster — poprosiłem.

29

Hoffer wrócił do Nowego Jorku z dziewięcioma i pół tysiącami w kieszeni oraz papierami Provosta w teczce.

Nie wiedział, czy kiedykolwiek coś z nimi zrobi. Były coś warte, na pewno. Z drugiej strony były też niebezpieczne. Wystarczyło spojrzeć na Demolkę.

Do miasta zjeżdżali dziennikarze. Przez wojnę w bazie Apostołów Miłości. Hoffer widział, że władze trzymały język za zębami. Ale większość ciał zidentyfikowano jako obecnych lub byłych członków służb bezpieczeństwa. Wyjaśnienie było takie, że Kline, jako zgorzkniały były pracownik, w jakiś sposób nakłonił obecnych pracowników, aby dla niego pracowali i cała grupa została wmieszana w jakieś wątpliwe interesy z Apostołami. Pewnie, wróżka Zębuszka mieszka przy 53 Zachodniej. Nikt nie wspominał dziesięciu milionów ani Bliskiego Wschodu.

Hoffer nie wracał do biura jeszcze przez dwa dni, a kiedy poszedł, to rozmyślił się w połowie piętra. W końcu od wysokości bolały go uszy. Tak więc wycofał się do baru po drugiej stronie ulicy. Lokal był pełen łachudrów wczepionych w niekończący się kubek kawy. Odkryli tajemnicę życia i byli nim zmęczeni. Dwóch z nich ukłoniło się Hofferowi, gdy wszedł, jakby to on był u siebie.

Kelnerka Donna była w pracy; ona też pomachała do niego na przywitanie, jakby przychodził tu codziennie bez jakiegokolwiek przerwy. Podała mu kawę i telefon, a on zadzwonił do swojej sekretarki.

— Moira, jestem tu na dole.

— A to niespodzianka.

— Przynies mi najświeższe wiadomości i dokumenty, faksy, pocztę, całe to gówno. Zajmiemy się tym tutaj, dobrze? — Odłożył słuchawkę

i zamówił jajecznicę na szynce. Za oknem Nowy Jork robił to, co do niego należało, pulsował energią i nadmiarem ludzi, którzy starali się choćby przetrwać, jeżeli nie mogli iść naprzód.

— Jeszcze kawy?

— Dzięki, Donna.

Obsługiwała go od roku, przez większą jego część, i jeszcze nie okazała zainteresowania, nigdy nie pytała, jak się czuje ani co porabia. Założyłby się, że nawet nie pamiętała, jak ma na imię. Był tylko klientem, który czasami gdzieś dzwonił na miasto i dawał jej sowity napiwek. To wszystko. Był tylko tym.

Jezu, ciężko będzie przeżyć bez Demolki.

Jego rodzice, nie powinien był rozmawiać z nimi. Zbyt realnie przedstawili tego faceta, zbyt ludzko. Pozbawili go tego całego knowania, zagrożenia. Skonfrontowali go ze zdjęciami niezdarnego młodzieńca o szczupłych ramionach i krzywym uśmiechu. Zdjęcia na plaży, w parku, w samochodzie taty, jak macha przez okno.

Nie powinien był tamjechać. Nie wyjaśnił nawet, dlaczego się u nich zjawił. Wybełkotał coś, że ich syn był świadkiem jakiejś zbrodni, ale teraz nikt nie mógł go znaleźć. Najwyraźniej nie interesowało ich to, o ile nic mu się nie stało.

Nie, nic mu się nie stało, nie bardzo. Ale dokonał zniszczeń w stanie Waszyngton.

Hoffer wiedział, że rodzice to nie jedyny powód, ale wystarczający. Nie wiedział w zasadzie, dlaczego nie zabił Demolki. Może nie chciał plamić rąk kolejnym zabójstwem. Powiedział Michaelowi Westonowi, że nigdy nikogo nie zabił. To w zasadzie nie była prawda.

Hoffer zabijał sam siebie od lat.

Gazety oczywiście nie powiązały Demolki ze sprawą Kline'a i Provošta. Hoffer oczywiście mógł ich wyręczyć, ale postanowił tego nie robić. Tymczasem czekał cierpliwie na okazję. Czekał, aż gazety się uspokoją, kiedy puste kolumny i ekran telewizora będą głodne wiadomości. Wtedy będzie pora podjąć kroki i zjawić się z historią, a może nawet zdjęciami, całą prawdą o tropieniu Demolki i zabiciu go. Nie było oczywiście kogo pokazać, więc Hoffer musiał wymyślić, jak go usunąć.

Wymyślił coś.

Tymczasem racyzył się gazetami, świeżymi rewelacjami o mężczyźnie przywiezionym do miejscowego szpitala z raną postrzałową. O tajemniczej kobiecie, która go tam podrzuciła. Potem był luksusowy dom Provo-

sta w Seattle. Jak tam wytłumaczyć krew na podłodze albo metalowe kajdanki na rurze?

— Lepiej niż w kinie — powiedział do siebie w momencie, gdy Donna zjawiła się zjedzeniem.

— Mówiłeś coś?

— Tak — odparł Hoffer. — Zapytałem, czy wybierzesz się kiedyś ze mną do kina?

— Chyba śnisz, kochany — odparła. — Chyba śnisz.

Część czwarta

30

Spike nie tylko wyszedł ze szpitala, nic nie mówiąc o pochodzeniu postrzałów, nie tylko o jego rachunki ktoś zadbał, ale wysledził, jakie władze przejęły trans-ama, i wyciągnął go od nich. Przysłał mi zdjęcie tym samym kanałem. Na nim opierał się wraz z Jazz o samochód. Na fotografii napisał: „Troszeczkę Nieba”.

Natomiast ja utrzymywałem, że jestem turystą, którego napadnięto, by odebrać czeki podróżne. Tak naprawdę nikogo to nie obchodziło, wszyscy byli zbyt zajęci aferą na półwyspie Olympic. Każdy miał jakąś teorię. Każda była w dużej mierze przesadzona i każda była bardziej wiarygodna od samej prawdy. Hm, wszystkie poza tą opublikowaną przez *Weekly World News*.

Pewnego dnia do szpitalnego łóżka Sama Clancy'ego dostarczono paczkę. Był w niej jego walkman z taśmą w środku gotową do odtworzenia. Nie wiedziałem, co Sam zrobi z wyznaniem Provosta. To nie moja sprawa, już nie.

Gdy tylko było to możliwe, wyjechałem razem z Bel ze Stanów. Po powrocie do Londynu spędziliśmy noc w hotelu, potem ona wróciła do Yorkshire. Musiała uporządkować wiele spraw. Zastanawiała się, czy znam kogoś, kto kupi pół tony niechcianego arsenału.

Och, zdaje się, że znałem kilka osób.

Był dżdżysty, londyński poranek, kiedy zjawiłem się w biurach Crispin, Darnforth, Jessup. Strząsnąłem deszcz z włosów i wszedłem po schodach. Zastukałem do drzwi, wszedłem i stanąłem z uśmiechem przed biurkiem sekretarki. — Do pana Johnsa.

Kobieta zmarszczyła brwi i zdjęła okulary.

— Czy spodziewa się pana?

— Nie jestem pewien. — Czekała, aż powiem coś więcej, aleja tylko stałem i uśmiechałem się, a woda ściekała ze mnie na pastelowy dywan.

— Obawiam się, że nie może nikogo przyjąć bez wcześniejszego umówienia się. Jest dzisiaj bardzo zajęty.

— Zobaczysz się ze mną. — Widziałem, że mój uśmiech zaczynają irytować. Umieściła okulary z powrotem na nosie.

— A pańskie nazwisko?

— Nikt.

Podniosła słuchawkę i wybrała jakąś cyfrę. — Panie Johns. Czeka tu niejaki pan Nikt... Nie, jest bardzo tajemniczy. — Spojrzała na mnie. — Nie wygląda na akwizytora. — Potrząsnąłem głową na potwierdzenie. — Tak jest. — Zakryła dłonią słuchawkę. — Gdyby zechciał się pan umówić...

Wyrwałem jej słuchawkę i przemówiłem.

— Wiesz, kim jestem. Byłem tu wcześniej jako policjant.

Potem trzasnąłem słuchawką o widełki i czekałem, a sekretarka spojrzała na mnie, jakbym właśnie spróbował na nią wskoczyć.

Otworzyły się drzwi.

— Ach, tak — powiedział. — Proszę wejść.

Wszedłem do biura i rozejrzałem się. Nie było nikogo innego. Byliśmy tylko we dwóch.

— Proszę usiąść — poprosił i sam usiadł za biurkiem, składając ręce niczym do modlitwy. — Tak, pamiętam pana. Jak sam pan mówi, przyszedł pan jako policjant. Czyli teraz policjantem pan nie jest.

— Wtedy też nie byłem. — Trochę czasu zajęło mi siadanie. Bandaże i plastry ciasno opasały moje ciało. Pod nimi zrastające się rany swędziały jak diabli.

Johns kiwał głową, jakbym zaledwie coś potwierdził. Miałem ochotę rozwalić mu tę lśniącą gębę, tę pewność siebie bogacza w oczach. Nie bał się mnie. Widział już gorszych przede mną, choćby tylko we śnie.

— Obawiam się, że nie bardzo się orientuję... — przyznał.

— To już jest nas dwóch. Proszę mi opowiedzieć o śmierci pani Ricks.

— Co? Znowu?

— Nie, tym razem spodziewam się prawdy. Nie zdziwiło pana, że zginęła?

— Nie.

— A to dlaczego?

Wydał usta, dotykając wargami czubków palców. Potem oparł się w fotelu, kładąc ręce na oparciach. — Pan ją zabił? — Było to nieomal stwierdzenie.

— Tak. — Nie bałem się przyznać, nie teraz. Jeżeli będzie ze mną szczerzy, ode mnie też oczekiwał szczerości. W zasadzie to tego żądał.

— Rozumiem — powiedział. — W takim razie, mam coś dla pana. — Wstał i podszedł do sejf. Był to wolnostojący model, ciemnozielony z mosiężną tabliczką producenta, taki, jaki w starych westernach kowboje wysadzają dynamitem. Otworzył go kluczem i nacisnął rączkę. Kiedy obrócił się do mnie, celowałem do niego z pistoletu. To go nie zmartwiło, chociaż poprzedniej nocy Scotty Shattuck zmartwił się, kiedy go tak potraktowałem.

— Nie ma potrzeby z tego korzystać — stwierdził ze spokojem Johns. I otworzył szeroko sejf, abym mógł zajrzeć do środka.

Był pełen papierów i dużych, szarych kopert. Wyciągnął górną kopertę i podał mi ją. Nie było na niej nazwiska ani nic; w dotyku była cienka. Wskazałem mu fotel, aby usiadł z powrotem. Położyłem pistolet na biurku i rozerwałem kopertę. W środku były dwie zadrukowane kartki, przypominały list. Podpis pod spodem należał do Eleanor Ricks.

Zacząłem czytać:

„Skoro to czytasz, to postąpiłeś dobrze i siedzisz w gabinecie Geofreya. Może celujesz do niego z pistoletu. Możesz chcesz jeszcze bardziej krzywdzić w ramach zemsty za to, co przeszedłeś. Proszę, uwierz mi, kiedy mówię, że on nic nie wie. Zostawiam to u niego jako dowód. Jeżeli tu jesteś, prawdopodobnie chcesz go skrzywdzić. Nie chciałabym, aby cokolwiek przytrafiło się Geoffreyowi, więc proszę, przeczytaj to, zanim cokolwiek zrobisz.

Inny powód jest taki, że odczuwam przemożną chęć zapisania tego wszystkiego, podzielenia się z kimś... nawet jeżeli to musisz być ty. W zasadzie to nie wyobrażam sobie lepszej postaci do roli mojego powiernika.

Jak twierdzą, Geoffrey niczego nie wie, ale do teraz prawdopodobnie dowiedział się całkiem sporo. Nie powiedziałam mu niczego, ale on nie jest głupi, a ja potrzebuję jego pomocy, więc trochę wie.

Na przykład, poprosiłam go, aby wezwał policję w pewnym momencie, kilka minut wcześniej nim wyjdę z hotelu razem z Molly Prendergast. To będzie najtrudniejsze: wyjść, wiedząc, że na mnie czekasz. Wiem, że jak wyjdę z hotelu, ubrana w kolory, których się spodziewasz, będę cała drzeć. Ale chyba wiem, dlaczego się boję, i wiem, co położy kres strachowi, złości i bólowi. Zamiast powolnej, wewnętrznej śmierci.

Mimo to będę drzeć. Chyba uda mi się wyjść. Mam nadzieję, że będę dla ciebie łatwym celem. Proszę, mam nadzieję, że nie będę się ociągać. Kilka miesięcy temu dowiedziałam się, że jestem śmiertelnie chora. Niko-

mu nie powiedziałam. Nie chciałam tego. Lecz czuję, jak coraz bardziej jestem osobą sfrustrowana, złą na siebie, że tyle projektów zostawiam niedokończonych... w tym także ten mój obecny.

Pomysł podsunął mi Scotty Shattuck. A raczej myśl o Scottym naprowadziła mnie na ten pomysł. Skoro to czytasz, chyba rozmawiałeś ze Scottym".

Przerwałem i spojrzałem na Geoffreya Johnsa. Patrzył przez okno. Och, rozmawiałem ze Scottym. Zrobiłem też dużo więcej. Lecz on żył; to zadziwiające, co potrafią zdziałać w szpitalach w dzisiejszych czasach.

„Scotty pomógł mi. Poznałam go podczas zleceń na Falklandach, kiedy był żołnierzem, a później w byłej Jugosławii, kiedy działał jako najemnik. Nie potrafiłabym popełnić samobójstwa zupełnie sama. Mam silną wolę życia. To bólu nie mogę znieść. Zapytałam Scotty'ego, czy umiałby zabić kogoś dla pieniędzy. Opowiadał o tym na swój sposób, a potem wspomniiał ciebie. Płatnego zabójcę. Dobrego, nie taniego, ale odnoszącego sukcesy. I wpadłam na ten pomysł. Bo skoro moje zabójstwo miało być wystarczająco spektakularne i głośne, inni dziennikarze, media, policja, może nawet Interpol lub jakaś inna międzynarodowa grupa... oni wszyscy zaczęliby zadawać pytanie, kto chciał mojej śmierci. A to zaprowadzi ich do Apostołów Miłości. Może wtedy odkryją tajną sektę, cokolwiek to jest. Wiem, że coś się za nią kryje. Płakać mi się chce, że nigdy się tego nie dowiem... chyba że istnieje niebo.

Boże, może ty mógłbyś dokończyć za mnie moją pracę, nie mógłbyś? To straszne nie wiedzieć, jak to się skończy. Zaplanowałam i zaaranżowałam całą sprawę i będę jedyną osobą, która nie zobaczy końca. Pragnę nagłówek, nie nekrologów. Mam nadzieję, że ich schwytałam.

Każę Geoffreycowi poinformować policję, że w domu po drugiej stronie ulicy, naprzeciw hotelu jest morderca. Tam będziesz, chociaż nie mogę przecież nalegać na to w moich instrukcjach dla ciebie. Muszę być ostrożna, żebyś od razu nie zaczął mnie podejrzewać. Cały czas boję się, że media pójną złą drogą. Może będą podejrzewać Freddy'ego albo kogoś wroga z mojej przeszłości. Nie byłam szczególnie przychylna bośniackim Serbom ani najemnym żołnierzom, jeśli o to chodzi. Nie żeby Scotty o tym wiedział; nie czytał moich artykułów. Nigdy nie czyta, jak twierdzi. Wiem, że dla pieniędzy prawdopodobnie sam by mnie zabił, ale bardziej mi się spodobała twoja anonimowość. Chcę, żeby zabił mnie ktoś obcy i wolę kogoś bardziej kompetentnego niż Scotty.

Wybacz, że piszę na maszynie. Robię się roztrzęsiona. Mogę zażyć tabletki, ale one wszystko uśmierzają, a skoro zostało tak mało czasu, pra-

gnę życia, a nie drętwych, mglistych iluzji wyzdrowienia. Wszystko widzę nader wyraźnie. Zwykłe źdźbło trawy ma więcej piękna niż jakikolwiek obraz, ale każdy taki obraz doprowadza mnie do płaczu.

Mam nadzieję, że dobrze obliczam czas. Boję się, że policja zjawi się zbyt wcześnie i przestraszy cię. Muszę nakręcić zegarek. Ostatnio często zapominam o tym. Ale postanowiłam, że w mój ostatni dzień wszystko będzie szło zgodnie z moją wolą. Ja będę rządziła. Ciekawe, czy mam władzę powstrzymać cię od zabijania po tym wszystkim? Może będziesz tak wstrząśnięty, że się wycofasz. To byłoby dobre. Uratuję kilka istnień i nie poświęcę żadnego. Powiedz Geoffreyowi, że będzie mi go brakowało. Niech Bóg ma go w opiece, zawsze mnie kochał".

Był jeszcze podpis. Nic więcej.

Spojrzałem na adwokata.

— Zostawiła dwie koperty — potwierdził. — Pierwsza miała zostać otwarta w dniu jej... śmierci. Otworzyłem ją o określonej godzinie; według instrukcji miałem zadzwonić na policję anonimowo i powiedzieć, że przed hotelem Craigmead dojdzie do morderstwa. Drugą kopertę miałem zostawić w sejfie, aż ktoś się po nią zjawi. — Lzy nabiegły Johnsovi do oczu. — Zadzwoniłem na policję, ale zaraz potem do hotelu i kazałem przywołać Eleanor. Wezwali ją przez głośnik, ale ona nie zgłosiła się do recepcji. Po prostu wyszła na ulicę, ignorując wezwanie, i została zastrzelona.

— Sama ustawiła całą sprawę — stwierdziłem. Tyle wiedziałem już od wczoraj, kiedy Shattuck to potwierdził. Wiedział, kto mnie wynajął, ale nie to, że ona sama wystawiła się na cel. Kiedy usłyszał wiadomość, uciekł. Aż do wczoraj uważał, że zabiłem niewłaściwą osobę. Ale ja go wprowadziłem z błędu.

Kto wiedział, co Eleanor Ricks założy tego dnia?

Nikt inny, tylko ona sama.

Geoffrey Johns wydmuchiwał nos. Potem wstał i podszedł do szafy, gdzie znalazł butelkę whisky i dwie szklanki. Stał odwrócony do mnie plecami i nalewał alkohol.

— Powiedziała, że rozpoznam pana, jak się pan zjawi... Będę wiedział, że mam oddać kopertę. Proszę mi powiedzieć, dlaczego ona to zrobiła?

Zanim Johns odwrócił się do mnie z powrotem, zdążyłem wyjść z gabinetu. Zabrałem z sobą jej wyznanie. Niczego nie byłem winien Johnsovi. Długi miałem jedynie wobec zmarłych.

Wioska przypominała Hollywoodzką scenerię, to znaczy, według mnie, była tak na wskroś angielska, że aż podejrzewać można było sztuczność.

Zdecydowanie ludzie wydawali się sztuczni, jak aktorzy odgrywający swoje role, czy to kmiotka, dziedzica czy wyrobnika. Wszyscy w hotelowym barze mieli na imię George, Gerry albo Arthur, niektórzy nosili apaszki, a popijali z cynowych kufli. Bar miał drewniane belki pomalowane na czarno. Wyglądały na plastikowe, ale tylko wyglądały.

Bel strasznie się podobało. Nasz pokój był w stylu Laury Ashley, podpatrzony w jakimś czasopiśmie i doładnie skopiowany. Łóżko było nowe, mosiężne, z czterema słupami w rogach, z baldachimem w kwiaty. Ściany pokrywały ręcznie malowane tapety, tak nam powiedziała kierowniczką. Dobrze, że powiedziała, bo inaczej człowiek by nie zgadł. Wyglądało to na tapetę, i to bardzo zwykłą. Nawet nie była podpisana.

Musiałem się uśmiechnąć, kiedy Bel zaraz po wejściu do pokoju włączyła telewizor. Leżała na łóżku z pilotem i wybierała darmowe winogrona z misy, wrzucając je sobie do ust.

— Patrz na to — powiedziała.

Znalazła wiadomości CNN. Dwa europejskie państwa znalazły się w stanie wojny.

— Wygląda na to, że mój telefon niewiele zdziałał — powiedziałem.

Cały czas zachowywałem się jak wzorowy uczeń. Nie skarżyłem się. Do znudzenia zgadzałem się ze wszystkim, co mówiła Bel. Powiedziałem wcześniej, że potrafię się dopasować z pozoru, że wyglądam na normalnego, tak jak wy, kiedy stoję z kuflem przy barze albo chodzę z psem po polu golfowym, albo wybieram sobie nowy sweter lub koszulę. Mogę zrobić to wszystko i nie okazywać niczego poza zadowoleniem.

To gra, to wszystko.

Hoffer też jest dobrym aktorem. Wierzy w swoją rolę. Działa metodycznie. Mam przeczucie, że spotkamy się jeszcze, czy nam się to podoba, czy nie. Nie jesteśmy jak dwie strony medalu; jesteśmy po tej samej stronie.

Nie żeby Bel cokolwiek z tego podejrzewała. Ona myśli, że wszystko się skończyło. Myśli, że przyjechaliśmy tu na weekend jak zakochani, żeby zerwać z przeszłością. Od tego dnia zaczynamy na nowo, zostawiając okropieństwa za sobą. Przy lunchu i kolacji trzymam ją za rękę na stole

i lekko ściskam. Światło w jej oczach jest czyste i jasne, o prawie nieznośnej intensywności. Tłumię w sobie słowa, obrazy, sentymenty. Zachowałem szczerą wobec siebie w świecie myśli.

Obeszliśmy wioskę. Nic specjalnego. Wąskie uliczki, wznoszące się po obu stronach głównego traktu. Stacja kolejowa, sklepy, pięć pubów, jeden hotel, cmentarz z krzakami róż dookoła. Najwyraźniej nikt biedny tu nie mieszka. Bel nie wiedziała, że kiedy zatrzymałem się, aby podziwiać piękny dom, miałem skryty motyw.

Był to duży, wolnostojący dom odgradzony od frontu niskim murem i zadbanym ogrodem. Miał żwirowy podjazd, a na nim zaparkowane volvo kombi.

Bel ścisnęła mnie za ramię. — W takim domu chcesz zamieszkać?

Myślałem o tym. Chciałem mieć penthouse na Manhattanie, żeby mieć widok na całe miasto, jakby mieściło mi się na dłoni.

— Może — odparłem.

Na furtce była wizytówka, ale odwróciłem uwagę Bel, wskazując jakieś drzewa po drugiej stronie ulicy. Może i tak nie zauważyłaby nazwiska, w końcu Ricks nie było tak bardzo popularnym nazwiskiem.

To byli rodzice Eleanor Ricks.

Tutaj ona się urodziła. Trochę ponad czterdzieści lat temu. Tyle przeczytałem w gazetach. Jej rodzice rozgadali się po morderstwie. Nie opowiadali się za karą śmierci, nawet dla terrorystów. To było wspaniałe z ich strony.

Bel i ja kochaliśmy się tej nocy pod baldachimem. Pokój kosztował osiemdziesiąt pięć funtów za dobę, włączając w cenę pełne, angielskie śniadanie. Moje rezerwy już bardzo się uszczupliły. Niedługo będę musiał naruszyć moje szwajcarskie zasoby. Bel poruszyła kwestię znalezienia pracy. Myślała, że mogłaby pracować jako sekretarka czy ktoś w tym rodzaju. A może ja mógłbym... hm, było coś, co mogłem robić.

Może sprzedawać hamburgery albo zapełniać półki w supermarketach, jak sugerował Hoffer.

Kochaliśmy się, jak powiedziałem, a potem ona zasnęła. Znowu się ubrałem i zszedłem po schodach. W barze nadal było tłoczno od sobotnich imprezowiczów, ale nikt nie widział mnie, jak wychodziłem w noc.

Szedłem przez wieś. Nawet w nocy była malownicza, dachy kryte łupkiem, zwisające kosze z kwiatami, odległe wzgórza i niskie, kamienne murki.

Jednak cmentarz odgradzony był wysokim murem. W prawdziwej Anglii nie było miejsca dla śmierci. Mimo to, przyszedłem tu oddać hołd. Brama nie była zamknięta, więc pchnąłem ją. Kute wrota ustąpiły z milczeniem.

Szybko znalazłem to, czego szukałem. Na grobie Eleanor Ricks nadal były świeże kwiaty. Stałem tam chwilę, przestępując z nogi na nogę, z rękami w kieszeniach. O niczym nie myślałem. Po pięciu minutach wyszedłem z cmentarza.

Dom jej rodziców stał niedaleko na wzgórzu.

Od autora

Przemilczanymi bohaterami tej książki są prawdopodobnie Elliott Abrams i Fawn Hall. Dla tych, którzy ich nie znają, dobrym wstępem będzie dwuczęściowy esej pióra Theodore'a Drapera z *New York Review of Books*, chociaż tak naprawdę wypada sięgnąć po książkę Drapera *A Very Thin Line: The Iran-Contra Affairs* lub do Kompletnych Przesłuchań w Kongresie dla pełnego obrazu. Zacytuję z pierwszej części tegoż eseju, z wydania z 27.05.1993 roku:

„Niestety, Abrams nie wiedział, jak założyć tajne konto, na którym chciał złożyć spodziewane dziesięć milionów dolarów z Brunei [które miały wesprzeć Contras]. Udał się do Alana Fiersa z CIA i Olivera Northa z NSC po poradę i postanowił postąpić zgodnie ze wskazówkami Northa. North dał mu kartę katalogową z numerem tajnego konta w Szwajcarii, które pozostawało pod kontrolą Northa. Sekretarka Northa, Fawn Hall przypadkowo zmieniła dwie cyfry podczas przepisywania na maszynie na inną kartę. Abrams przekazał błędną informację Ministrowi Spraw Zagranicznych Brunei i dziesięć milionów dolarów znalazło się na koncie obcej osoby, od której odzyskanie pieniędzy trwało miesiące”.

Z Mary Miller
gorącego strumici
przez Boga szkocki
twierdziło się pro¹

Po kolejnych
Tylko z synem, Sai
je. Sandyteż wycl.
ma zbyt dobrej opin

Są jednak tac
wiedliwością tego